

SALMAN RUSHDIE

WSTYD

(PRZEŁOŻYŁ: MARIUSZ FEREK)

SCAN-DAL

Dla Samin

I

UCIECZKI Z MACIERZYSTEGO KRAJU

Rozdział pierwszy

Winda

W K, prowincjonalnym mieście pogranicza, które z lotu ptaka może najbardziej przypominało niezbyt proporcjonalne hantle, żyły sobie niegdyś trzy piękne, kochające się siostry. Imiona... właściwie nigdy nikt nie używał ich prawdziwych imion, podobnie jak najlepszej w domu porcelany, zamkniętej w jakimś kredensie po pewnej tragicznej dla sióstr nocy i w końcu całkowicie zapomnianej; zatem olbrzymi, złożony z tysiąca elementów, pamiętający czasy carskiej Rosji serwis z zakładów garncarskich Gardnera stał się rodzinnym mitem, w którego realne korzenie przestały niemal wierzyć... owe trzy siostry, muszę obwieścić bez dalszej zwłoki, nosiły nazwisko Śakil i były powszechnie znane (od najstarszej do najmłodszej) jako Ćhunni, Munni i Bunni.

Pewnego dnia zmarł ich ojciec.

Stary pan Śakil, w dniu śmierci od osiemnastu lat wdowiec, od dawien dawna określał miasto, w którym mieszkał, słowami „piekielna dziura”. Będąc w ostatnim delirium, wygłosił nieskończenie długi i na ogół niezrozumiały monolog, wśród którego powikłanych peregrynacji służba była w stanie wyodrębnić długie ciągi sprośności, przekleństw i klątw wyrzucanych z taką mocą, że wokół łóżka gwałtownie wrzało powietrze. W tej perorze stary, zgorzkniały pustelnik dał wyraz swej zadawnionej nienawiści do rodzinnego miasta, a to wzywając demony, aby zniszczyły gąszcz niskich ciemnobrązowych, powykrzywianych budowli wokół bazaru, a to unicestwiając inkrustowanymi śmiercią słowami beznamienne, wybielone filisterstwo dzielnic wojzkowych kwater. Właśnie to były owe dwie kule wspomnianych hantli - stare miasto oraz Cantt, pierwsze zamieszkałe przez miejscową, skolonizowaną społeczność, drugie zaś przez obcych kolonizatorów, Angrezów, czy jak kto woli, Brytyjczyków, sahibów. Stary Śakil czuł odrazę do obydwu światów i przez wiele lat pozostawał zamknięty w wysokiej, przypominającej twierdzę olbrzymiej rezydencji o oknach wychodzących w większości na mroczny niczym studnia dziedziniec. Budynek stał na otwartym placu w jednakowej odległości od bazaru i Canttu. Ze śmiertelnego łoża przez jedno z nielicznych zewnętrznych okien pan Śakil miał widok na kopułę palladiańskiego hotelu, który wyrastał niczym miraż z nienawistnych uliczek dzielnic wojkowej i w którym znajdowały się złote spluwaczki i tresowane pająkowate małpy poubierane w uniformy z mosiężnymi guzikami i czapki chłopców hotelowych, co wieczór zaś w zdobionej sztukaterią balowej sali, pośród niebywalej orgii fantastycznych roślin, żółtych róż, białych magnolii i sięgających

sufitu szmaragodowozielonych palm grała orkiestra w pełnym składzie - słowem widok na hotel Flashmana, którego wspomniana już wielka złota kopuła, choć już wtedy popękana, błyszczała, pyszniąc się do znudzenia szybko przebrzmiała wspaniałością; właśnie pod nią wieczorami zwykli się zbierać wystrojeni w mundury i wysokie buty angrescy oficerowie, cywile w białych krawatach oraz ufryzowane damy o pożądliwych spojrzeniach, przybyli ze swoich bungalowów, aby tańczyć i dzielić złudzenie, że są barwną grupą - tymczasem w rzeczywistości byli ledwie biali, a właściwie szarzy za sprawą niszczącego wpływu, jaki okrutny upał wywierał na ich wypielegnowaną pod chmurnym niebem skórę, oraz zwyczaju picia ciemnego burgunda w porze największego szaleństwa słońca bez najmniejszej troski o wątrobę. Starszy mężczyzna usłyszał muzykę imperialistów dochodzącą ze złotego hotelu, muzykę brzemienną rozpaczliwą wesołością, i zwymyślał ów hotel marzeń głośno i wyraźnie.

- Zamknijcie okno - zawołał - abym nie musiał umierać, słysząc tę wrzawę - a kiedy starsza służąca Haszmat Bibi zamknęła okiennice, nieco się odprężył i zebrawszy w sobie resztki energii, zmienił kierunek śmiertelnego, delirycznego nurtu.

- Chodźcie tu szybko - Haszmat Bibi wybiegła z pokoju, wołając córki starszego mężczyzny - wasz ojciec dźwiży was do diabła. - Pan Śakil zostawił wreszcie w spokoju zewnętrzny świat i cały gniew zamierającego monologu skierował przeciwko sobie, żądając wiecznego potępienia dla własnej duszy. - Jeden Bóg wie, dlaczego aż tak go poniosło - zaczęła rozpaczać Haszmat -ale z pewnością nie idzie właściwą drogą.

Wychowując dzieci, wdowiec korzystał z pomocy parsyjskich mamek, chrześcijańskich opiekunek oraz twardych reguł moralności, która była w zasadzie muzułmańska, choć Ćhunni zwykła mawiać, że ojciec stał się surowszy pod wpływem słońca. Troje dziewcząt przebywało w labiryncie rezydencji aż po ostatnie dni życia ich ojca; praktycznie nie otrzymały wykształcenia, uwięzione w zenanie¹, gdzie zabawiały się, wymyślając własne języki i fantazjując na temat wyglądu nagiego mężczyzny, wyobrażając sobie, zwłaszcza w okresie dojrzewania, osobliwe genitalia, na przykład otwory w piersiach, do których ich sutki znakomicie by pasowały, „ponieważ podług całej naszej ówczesnej wiedzy - w późniejszych czasach przypominały sobie często z niejakim zdumieniem - do zapłodnienia mogło dojść przez klatkę piersiową”. To długotrwałe uwięzienie wytworzyło między siostrami pewną intymną więź, której już nigdy nic do końca nie zniszczyło. Spędzały popołudnia, siedząc przy oknie przysłoniętym drewnianą kratownicą, spoglądając w stronę złotej kopuły

¹ Zenana - część muzułmańskiego domu, zamieszkała przez kobiety. (Wszystkie przypisy w tekście pochodzą od tłumacza.)

wielkiego hotelu i kołysząc się przy dźwiękach tajemniczej muzyki tanecznej... powiada się nawet, że właśnie w takie senne popołudnia zwykły bez pośpiechu poznawać wzajemnie swoje ciała, a nocami odprawiać tajemne obrzędy, aby przyspieszyć zgon ojca. Wiadomo jednak, że szatańskie języki nie oszczędzą niczego, zwłaszcza młodych kobiet, które żyją sobie z dala od natarczywych, obnażających męskich spojrzeń. Pewne jest niemal to, że właśnie w tym czasie wszystkie trzy, spragnione dzieci z abstrakcyjną siłą swego dziewictwa, na długo przed wybuchem skandalu z dzieckiem, zdecydowały się utworzyć triumwirat, na zawsze związać się sekretami młodości, nawet gdyby pojawiły się dzieci - innymi słowy postanowiły mieć wspólne dzieci. Nie mogę dowieść ani podważyć paskudnej historyjki o tym, że umowa została spisana i podpisana wymieszaną krwią menstruacyjną odosobnionej trójcy, następnie zaś spalona na popiół, pozostając wyłącznie w klasztorach ich pamięci.

Niemniej jednak przez dwadzieścia lat będą miały tylko jedno dziecko. Nazywać się będzie Omar Chajjam.

A wszystko to działo się w czternastym stuleciu. Stosuję naturalnie kalendarz hedżry²: nie wyobrażajcie sobie, że opowieści tego rodzaju rozgrywają się zawsze w zamierzchłych czasach. Czasu nie sposób homogenizować tak jak mleka, dlatego w tamtych okolicach prawie po terażniejszość panował niepodzielnie wiek trzynasty.

Kiedy Haszmat Bibi oznajmiła, że ich ojciec dożywa ostatnich chwil, siostry poszły go odwiedzić, ubrane w najjaskrawsze stroje. Zastały go w szponach wstydu, gdy władcym tonem, między jednym oddechem a drugim, wzywał Boga, aby ten zesłał go do opuszczonej krainy Dżahannum³, na sam kraniec piekieł. Potem zamilkł, a Ćhunni, najstarsza córka, zapytała go o jedną jedyną kwestię, która interesowała trzy młode kobiety.

- Ojcze, teraz będziemy chyba bogate, prawda?

- Dziwki - przeklął umierający - na to nie liczcie. Bezdenne morze bogactwa, po którym, jak wszyscy mniemali, żeglowały losy rodziny, zaraz rankiem po śmierci Śakila, pełnej plugawych słów i złorzeczeń, okazało się jałowym kraterem. Rozpalone słońce jego nieporadności (ukrywanej z powodzeniem przez dziesięciolecia za imponującą fasadą patriarchy, plugawym usposobieniem i arogancką pewnością siebie, co zresztą stanowiło najbardziej niegodziwą spuściznę, jaką przekazał córkom) wysuszyło wszystkie oceany gotówki, tak że Ćhunni, Munni i Bunni przez cały okres żałoby spłacały długi, o które

² Hedżra - ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny (622 r.), początek ery muzułmańskiej.

³ Dżahannum (hebr.) - piekło w tradycji islamu, gehenna.

wierzyciele nie mieli śmiałości upominać się u starego satrapy, za to teraz domagali się bezzwłocznej zapłaty kwot głównych i wszystkich odsetek. Dziewczęta wyszły z odosobnienia, odnosząc się z arystokratyczną odrazą do tej gromady sępów rzucających się na nędzne resztki po wielkiej rozrzutności ich ojca; a ponieważ wychowały się w myśl zasady, że pieniądze są jednym z dwóch tematów, których nie wolno poruszać z obcymi, rozdały majątek, nie zadając sobie najmniejszego trudu, by choć powierzchownie zapoznać się z dokumentami przedstawianymi przez pożyczkodawców. W końcu przepadły bezpowrotnie wszystkie rozległe posiadłości wokół K., to znaczy w przybliżeniu około osiemdziesięciu pięciu procent urodzajnych sadów i ziemi uprawnej w tym przeważnie jałowym regionie; siostrom nie zostało nic prócz przeogromnej rezydencji wypełnionej od piwnic pod dach najróżniejszymi przedmiotami, po której snuło się kilkoro służących pragnących pozostać, mniej ze względu na lojalność, a bardziej dlatego, że przerażał ich dożywotni areszt w zewnętrznym świecie. Stosownie do powszechnego obyczaju, jaki się zachował wśród osób z arystokratycznym wychowaniem, w reakcji na wiadomość o ruinie siostry postanowiły wydać przyjęcie.

Po latach opowiadały sobie o tamtym sławetnym balu z prymitywnym zadowoleniem, które dawało im złudzenie bycia znowu młodymi.

- Kazałam wydrukować zaproszenia w Cantt - zaczynała zazwyczaj Ćhunki Śakil, siedząc obok sióstr na wiekowej drewnianej huśtawce. Chichocząc radośnie na wspomnienie dawnego wydarzenia, ciągnęła: - I to nie było jakie! Z tłoczonymi złotymi literami na kartkach sztywnych jak drewno. A jakże, to było tak, jakby napluć losowi prosto w twarz.

- A także w zamknięte oczy naszego zmarłego ojca - dodawała Munki. - On by to uznał za wybryk całkowicie bezwstydnym, obrzydliwym, dowód, że nie zdołał podporządkować nas swojej woli.

- Tak samo - dodawała Bunki - nasza ruina dowiodła, że nie powiodło mu się w innej dziedzinie.

Z początku wyobrażały sobie, że gasnący wraz z ojcem wstyd zrodził się z wiedzy o nadchodzącym bankructwie. Jednakże później zaczęły rozpatrywać mniej prozaiczne możliwości.

- A może miał na łożu śmierci wizję przyszłości - wyraziła przypuszczenie Ćhunki.

- Bardzo dobrze - odrzekły pozostałe siostry - w takim razie musiał umrzeć tak marnie, jak marnie my musiałyśmy potem żyć.

Więść o pokazaniu się sióstr Śakil w miejscowym towarzystwie rozeszła się w mieście lotem błyskawicy. Tamtego jakże bardzo wyczekiwanego wieczoru w starym domu stawiała się armia muzycznych geniuszy, których trzystrunowe dumbiry, siedmiostrunowe sarandy,

piszczałki i bębni po raz pierwszy od dwudziestu lat wypełniły purytańską rezydencję odświętną muzyką; zastępy piekarzy, cukierników i innych kupców wkroczyły z górami jedzenia, ogołociwszy sklepy w miasteczku i wypełniwszy wnętrze rozstawionej na centralnym podwórku ogromnej wielobarwnej samiany, której zwierciadła na zewnętrznej powierzchni odbijały przepych przedsięwzięcia. Stało się jednak jasne, że snobizm, który do głębi wpoił trzem siostrą ich ojciec, wywarł fatalny wpływ na listę gości. Większość obywateli K. już wcześniej poczuła się śmiertelnie obrażona, gdyż nie została zaliczona do osób godnych przebywania w towarzystwie trzech osławionych dam, o których złożonych zaproszeniach rozprawiało całe miasto. Teraz zaś do zbrodni z zaniechania doszły przestępstwa polegające na działaniu. Okazało się bowiem, że siostry popełniły gruby nietakt: zaproszenia, ominąwszy najwyraźniej zbyt niskie progi miejscowych notabli, dotarły do dzielnicy wojskowej Angreżów i do sali balowej tańczących sahibów. Jeśli nie liczyć paru wyjątków, zamknięte przez lata domostwo pozostało dla tubylców niedostępne; a gdy u Flashmana minęła pora koktajlu, do sióstr przybył tłum obcokrajowców, umundurowanych bądź wystrojonych w suknie wieczorowe. Imperialiści! - szarolicy sahibowie oraz odziane w białe rękawiczki damy! - rozprawiający ochryplymi głosami, mieniący się łaskawością, wchodzili do połyskującego namiotu.

-I podano alkohol. - Na wspomnienie okropności tego wydarzenia najstarsza matka Ćhunii radośnie klaskała w dłonie. W tym momencie zawsze kończyło się wspomnianie, a trzy damy stawały się intrygująco tajemnicze; zatem nie jestem w stanie wyjaśnić mnóstwa nedorzeczeń, których z upływem mrocznych lat namnożyło się wokół tego przyjęcia.

Czy naprawdę nieliczni miejscowi zamindarowie⁴ oraz ich żony, których bogactwo było niegdyś niczym w porównaniu z milionami Śakila, stali blisko siebie, dzieląc wściekłość, groźnie przyglądając się podrygującym sahibom? Czy wszystkie te osoby wyszły równocześnie zaledwie po kilku chwilach bez przełamania się chlebem i bez zjedzenia soli, pozostawiając siostry na pastwę przedstawicieli władz kolonialnych? Na ile jest prawdopodobne, że siostry, których oczy świeciły antymonowym blaskiem i podnieceniem, w grobowej ciszy przechodziły od oficera do oficera, jakby dokonywały oceny, jakby porównywały połysk wąsów i zarysy szczęk? I że potem (jak głosi legenda) panny Śakil klasnęły unisono w dłonie i rozkazały artystom grać utwory taneczne w zachodnim stylu -menuety, walce, fokstroty, polki, gawoty - muzykę, która nabrała nieuchronnie demonicznego brzmienia, grana z przymusu na znieważanych instrumentach wirtuozów?

⁴ Zamindar (pers.) - pan, właściciel ziemski.

Tańce trwały ponoć całą noc. Skandal związany z tym wydarzeniem tak czy inaczej zepchnąłby niedawno osierocone dziewczęta na margines społeczności, lecz miało się wydarzyć coś jeszcze gorszego. Zaraz po przyjęciu, po odejściu rozwścieczonych talentów muzycznych i wyrzuceniu psom stosów nietkniętego jedzenia -ponieważ siostry z wyżyn swej pozycji nie pozwoliłyby za nic, by potrawy przeznaczone dla ludzi ich stanu zostały rozdane biednym - po bazarach K zaczęła krążyć wieść, iż tamtej szalonej nocy jedna z wyniosłych sióstr znalazła się w odmiennym stanie.

Och, hańba, hańba, jedna wielka hańba!

Nawet jeśli siostry Śakil wiedziały, co to hańba, w żaden sposób nie dały tego po sobie poznać. Przeciwnie, wysłały do K. Haszmat Bibi -jedną ze służących, która nie chciała odejść - aby złożyła zamówienie u najlepszego rzemieślnika w mieście, niejakiego mistrza Jakuba Ballocha, i kupiła największą importowaną kłódkę, jaką znajdzie w sklepie żelaznym o nazwie „Wola Boża”. Kłódka okazała się tak duża i ciężka, iż Haszmat Bibi zmuszona była wynająć muła do jej transportu. Właściciel zwierzęcia zapytał służącą:

- Po co teraz twoim paniom to wielgachne urządzenie, hę? Przecież doszło już do napaści.

Na to Haszmat, robiąc zeza dla podkreślenia wagi swych słów, odrzekła:

- Oby kiedyś wnuki naszczały na twój nędzny grób.

Wynajęty rzemieślnik, mistrz Jakub, był tak urzeczony srogim spokojem przedpotopowej staruchy, że pracował chętnie pod jej nadzorem i nie zdobył się nigdy na żadne słowo komentarza. A kazała mu skonstruować dziwaczną zewnętrzną windę, urządzenie na tyle pojemne, by dzięki systemowi napędzanych silnikami bloczków bez trudu podnieść trzy dorosłe osoby z ulicy na wyższe kondygnacje i vice versa. Haszmat Bibi zwróciła szczególną uwagę na konieczność zaprojektowania windy w taki sposób, aby mieszkańcy rezydencji mogli ją obsługiwać bez potrzeby pokazywania się w oknach: ktoś z zewnątrz miał prawo dostrzec co najwyżej mały palec u dłoni. Następnie wymieniła nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, w które rzemieślnik powinien wyposażyć dziwaczny mechanizm.

- Umieść tutaj - rozkazała - spust sprężynowy, który można będzie uruchamiać z wnętrza domu. Po zwolnieniu ma odpaść dno windy, o, jakoś tak. Tu i ówdzie ukryj wyrzutnie osiemnastocalowych ostrych grotów. Moje panie muszą mieć ochronę przed intruzami.

Zatem winda zawierała wiele straszliwych sekretów. Mistrz dokończył dzieła, nie spojrzawszy ani razu na żadną z sióstr Śakil, lecz kiedy zmarł kilka tygodni później, trzymając się za brzuch, wijąc w ryszotoku i krztusząc krwią, rozniosło się, że to te bezwstydné kobiety otruły go, aby zapewnić sobie jego milczenie na temat ostatniego i najbardziej tajemniczego

zlecenia, jakie nieszczęśnik otrzymał. Wszak dla przyzwoitości stwierdzić należy, że wynik badania medycznego w jego sprawie zdecydowanie zakwestionował tę wersję. Jakub Bal-loch, który od jakiegoś czasu cierpiał na sporadyczne bóle w okolicach wyrostka robaczkowego, niemal na pewno zmarł z przyczyn naturalnych, a jego śmiertelne spazmy nie zostały wywołane upiorną trucizną podaną przez rzekomo krwiozercze siostry, lecz rzeczywiście z powodu pospolitego, acz fatalnego zapalenia otrzewnej. Albo czegoś w tym rodzaju.

Nadszedł dzień, kiedy służba - trzech ostatni mężczyźni, którzy pozostali w rezydencji - zamknęła ciężkie drzwi z tekowego drewna i spiżu. Nim zatrasnęły się owe wrota samotni, by tak już pozostać przez ponad pół wieku, wścibską gawieź miejska zdążyła złowić wzrokiem jakąś taczkę z połyskującą matowym blaskiem olbrzymią kłodą, która miała ostatecznie zapewnić odcięcie się sióstr od zewnętrznego świata. A kiedy drzwi zamknięto, dały się słyszeć odgłosy zakładanej kłódki i przekręcanego klucza, zapowiadające początek osobliwego uwięzienia okrytych hańbą sióstr oraz ich sług.

Okazało się, że podczas ostatniej wyprawy do miasta Haszmat Bibi pozanosiła głównym dostawcom towarów i usług w mieście pewną liczbę zalakowanych kopert, zawierających szczegółowe instrukcje; od tego czasu oznaczonego dnia o określonej porze wybrana praczka, krawiec, szewc, jak również wybrani rzeźnicy, sprzedawcy owoców, artykułów pasmanteryjnych i papierniczych, kwiatów, nasion roślin strączkowych, książek, napojów niegazowanych i gazowanych, zagranicznych czasopism, gazet, maści, perfum, antymonu, pasków kory eukaliptusa do czyszczenia zębów, przypraw, krochmalu, mydła, naczyń kuchennych, ram do obrazów, kart do gry i strun do instrumentów muzycznych zjawiali się u stóp ostatniej konstrukcji mistrza Jakuba. Wystarczyło, że zagwizdali w umówiony sposób, a winda z buczeniem zjeżdżała na poziom ulicy, niosąc zapisane polecenia. W ten sposób panie Śakil całkowicie i trwale zdołały odgradzić się od świata, wróciwszy z własnej woli do egzystencji pustelniczek, której koniec nie tak dawno, po śmierci ojca, mogły świętować; jednakże od świata odcięły się w stylu, który nie wydawał się aktem skruchy, lecz przeciwnie - dumy.

W tym miejscu pojawia się pewne bardzo delikatne pytanie: w jaki sposób zapłaciły za to wszystko?

Przez wzgląd na siostry odpowiadam z pewnym zakłopotaniem, chciałbym jednak dowieść, iż autor, zmuszony wcześniej do pozostawienia pewnych wątpliwych kwestii bez rozstrzygnięcia, potrafi, gdy jest to absolutnie niezbędne, udzielić jasnej odpowiedzi. Otóż zdradzę, że ostatnią zalakowaną kopertę Haszmat Bibi zaniosiła do miejsca o najgorszej sławie, gdzie za nic miano normy Koranu zakazujące lichwy, gdzie półki i skrzynie stękały pod

ciężarem nagromadzonych śmieci po niezliczonych historiach ruiny i upadku... a niech tam. Będę szczery - poszła do lombardu. Od tamtej pory właściciel interesu, mężczyzna w nieokreślonym wieku, chudy jak ołówek, o dużych oczach niewiniątka, sahib Ćalak, zwykł zjawiać się przy windzie (pod osłoną nocy, jak mu polecono), aby oszacować wartość znalezionej wewnątrz partii przedmiotów i od ręki przesłać na górę do wnętrza cichego domostwa sumę sięgającą osiemnastu i pół procenta przybliżonej wartości rynkowej zastawionych na wieki bogactw. Trzy przyszłe matki Omara Chajjama korzystały z przeszłości, jedynego kapitału, jakim dysponowały, żeby kupić przyszłość.

Która z nich jednak zaszła w ciążę?

Ćhunni, czyli najstarsza, średnia Munni czy „mała” Bunni, najmłodsza z trzech?... Nikt się nigdy nie dowiedział, nawet kiedy dziecko przyszło na świat. Zmowa dziewcząt była doskonała i znalazła doskonały wyraz w przywiązywaniu przez nie niezwyklej wprost wagi do szczegółów. Wyobraźcie sobie, siostry rozkazały przysięgać sługom na Księgę, że będą lojalni. Wierni słudzy przyłączyli się do tych dobrowolnych więźniarek i opuszczali rezydencję w jeden jedyny sposób - nogami do przodu - owinięci w białe prześcieradła, oczywiście przejściem skonstruowanym przez Jakuba Ballocha. Przez cały okres ciąży ani razu nie wzywano do domu lekarza. W trakcie jej przebiegu, mając na względzie tę okoliczność, że sekrety, których zachować nie sposób, zawsze jakoś się rozpowszechnią, pod drzwiami, przez dziurkę od klucza albo otwarte okno, aż w końcu wszyscy się dowiedzą, choć nie dowie się nikt... siostry - powtarzam - z pasją pielęgnowały absolutnie wyjątkową solidarność, co polegało przede wszystkim na tym, że dwie z nich udawały cały szereg symptomów, które trzecia przejawiać musiała.

Chociaż Ćhunni od Bunni dzieliło pięć lat, siostry, dzięki identycznym strojom i niepojętym efektom niezwyklego życia z wyboru, zaczęły się upodabniać do siebie tak bardzo, że myliła się nawet służba. Opisałem je wcześniej jako piękności; lecz nie należy sobie wyobrazić, iż były istotami o twarzach krągłych niczym księżyc w pełni i migdałowych oczach, czyli typami wielbionymi przez poetów pochodzących z tej prowincjonalnej ziemi, lecz kobietami o mocno zarysowanym podbródku, pewnym kroku, wyposażonymi w niemal charyzmatyczną moc. Obecnie wszystkie trzy jednocześnie zaczęły nabierać ciała w tali i biuście; kiedy jedna dostawała rano mdłości, pozostałe dwie zaczynały rzygać w geście idealnie zsynchronizowanego współczucia i w żaden sposób nie dało się orzec, czyj żołądek poddał się pierwszy. Podobnie trzy brzuchy powiększały się równomiernie przez cały ten okres. Oczywiście nie można wykluczyć, że to wszystko zostało osiągnięte za pomocą pewnych rekwizytów, poduszek czy podkładek, a nawet oparów wywołujących omdlenia;

jestem wszak przeświadczony, że tego rodzaju analizy w znacznej mierze zniekształcają obraz miłości łączącej siostry. Choć to niby biologicznie niemożliwe, gotowy jestem obstawać przy twierdzeniu, iż wszystkie do tego stopnia pragnęły dzielić się macierzyństwem - by przemienić publiczną hańbę pozamałżeńskiego poczęcia w osobistą radość z posiadania upragnionego przez całą grupkę dziecka - że, ujmując to krótko, bliźniacze ciężce urojone towarzyszyły ciąży prawdziwej; natomiast jednoczesność ich zachowania przemawia na rzecz przyjęcia hipotezy o funkcjonowaniu w tym wypadku pewnej formy wspólnego umysłu.

Spały wszystkie w jednym pokoju. W tym samym momencie pragnęły tego samego: marcepana, płatków jaśminu, nasion sosny, syropu. Ważyły tyle samo, jednocześnie czuły się zmęczone i co rano budziły się o jednakowej porze, jakby dokładnie wtedy ktoś poruszał dzwonkiem. Doskwierały im identyczne bóle; w trzech łonach jedno dziecko i jego dwa urojone odbicia kopały i wierciły się z precyzją właściwą doskonale wyszkolonej grupie tancerzy... identycznie cierpiąc ośmielę się stwierdzić - uzyskały całkowite prawo, aby je traktować jako wspólną matkę mającego się urodzić dziecka. A kiedy dla jednej z nich - nawet nie będą zgadywał imienia -nadszedł czas rozwiązania, nikt inny nie widział, czyje wody odeszły ani czyja ręka zamknęła od środka drzwi sypialni. Nikt z zewnątrz nie widział porodów, jednego prawdziwego i dwóch fałszywych, ani chwili, gdy skurczyły się puste balony, gdy tymczasem między udami jednej z siostr niczym w alejce pojawiło się dziecko z nieprawego łóża; nie widział, czyje dłonie uniosły Omara Chajjama Śakila za kostki i uderzyły go w plecy.

Nasz bohater, Omar Chajjam, zaczerpnął pierwszy haust powietrza w środku tej niesamowitej rezydencji, której komnaty trudno byłoby zliczyć; otworzył oczy i odwrócony do góry nogami, ujrzał przez otwarte okno daleko na linii horyzontu makabryczne szczyty Gór Niemożliwych. Jedna - lecz która? - z trzech matek podniosła go za nogi i zmusiła do nabrania powietrza w płuca... aż, gapiąc się nadal na odwrócone szczyty, zaczął płakać.

Kiedy Haszmat Bibi usłyszała odgłos obracającego się w zamku klucza i z duszą na ramieniu weszła do pokoju z jedzeniem, pićm, czystymi prześcieradłami, gąbkami, mydłem i ręcznikami, zastała trzy siostry w ogromnym łóżu, tym samym, w którym umarł ich ojciec; po czterech wielkich, mahoniowych kolumnach rzeźbione węże wspinały się do brokatowego edenu z baldachimem. Zarumienione twarze siostr promieniały radością, jaka jest prawdziwym przywilejem matek; noworodka przekazywano od piersi do piersi, a żadna spośród sześciu nie była pusta.

Młody Omar Chajjam stopniowo sobie uświadamiał, że jego narodzinom towarzyszyły

pewne osobliwości. Zajmowaliśmy się już tym, co nastąpiło, zanim przyszedł na świat, natomiast wypada wspomnieć co nieco o wydarzeniach późniejszych.

-Absolutnie się nie zgodziłam - powiedziała najstarsza matka, Ćhuni, w dniu jego siódmych urodzin - aby szeptać ci do ucha imię Boga.

W ósme urodziny średnia Munni zwierzyła się:

- Nawet nie było mowy, aby ogolić ci głowę. Obcinać takie śliczne czarne włoski, z którymi przyszedłeś na świat? Nikomu nie wolno było tego zrobić. Nie na moich oczach, o nie!

Dokładnie rok później najmłodsza matka przybrała surowy wyraz twarzy.

- W żadnym razie - oświadczyła Bunni - nie pozwoliłabym usunąć ci napletka. Cóż za pomysł? Nie jest to przecież jakaś tam skórka od banana.

Omar Chajjam Śakil wkroczył w życie pozbawiony dobrodziejstw okaleczenia, ogolenia i boskiej przychylności. Wielu uznałoby to za poważną przeszkodę.

* * *

Urodzony na łożu śmierci, gdzie dookoła (jak zasłony i moskitiera) wisiało widmo dziadka, który w nim skonał, wyznaczywszy sobie miejsce na samym krańcu piekieł, pierwszy widok - odwrócony do góry nogami łańcuch górski... Omar Chajjam Śakil od pierwszych chwil swego życia doświadczał inwersji, odwróconego świata. I musiał żyć z czymś jeszcze gorszym: z obawą, że żyje na krawędzi i w każdej chwili może spaść. Z okien na wyższym piętrze przez stary teleskop mały Omar Chajjam przyglądał się pustemu krajobrazowi wokół K., co utwierdziło go w przekonaniu, że musi się znajdować gdzieś na Obrzeżach Wszechrzeczy i że za horyzontem, za Górami Niemożliwymi rozciąga się wielkie nic, w które z monotonną regularnością staczał się w koszmarnych snach. Najbardziej niepokojącym aspektem tych koszmarów było senne przekonanie, że zanurzanie się w otchłań jest czymś w zasadzie właściwym, że nie zasługuje na nic lepszego... budził się zaplątany w moskitierę, zlany potem, czasem z krzykiem, bo uświadamiał sobie przesłanie tych snów - iż nic nie znaczy, jest człowiekiem bezwartościowym. Cóż, nie mogła go ucieszyć ta nowina.

Właśnie w połowie okresu dojrzewania Omar Chajjam podjął nieodwołalną decyzję skrócenia czasu przeznaczanego na sen, podjął trwający całe życie wysiłek, by pod koniec, to znaczy mniej więcej wtedy, kiedy jego żona rozplynęła się powietrzu - lecz nie, dosyć, nie wolno pozwolić, aby zakończenie wyprzedziło początek albo rozwinięcie, nawet jeśli najnowsze eksperymenty naukowe dowiodły, że w pewnych kategoriach systemów zamkniętych pod wielkim ciśnieniem czas daje się przekonać, by płynąć wstecz, tak że w rezultacie następstwa występują przed przyczynami. No tak, ale jest to dokładnie ten rodzaj

zbędnego postępu, którego gawędziarze w ogóle nie powinni dostrzegać; tą drogą wszak łatwo dojść do obłądu! -w każdym razie osiągnął taki skutek, że wystarczyło mu zaledwie czterdzieści minut na dobę, owe sławetne czterdzieści mrugnięć powiekami, by odpocząć. Jakże był młody, kiedy podjął zadziwiająco dojrzałą decyzję ucieczki od przykrej rzeczywistości snów do nieco przyjemniejszej iluzji codziennego życia na jawie! „Mały nietoperz” nazwały go trzy matki, kiedy dowiedziały się o jego nocnych lotach przez niezliczone pokoje rezydencji, których dokonywał w chroniącym przez chłodem zimowych nocy ciemnoszarym éadarze; i to, czy wyrósł kiedyś na odzianego w pelerynę krzyżowca albo w płaszcz wampira, czy na Batmana lub Drakulę - pozostawiam do rozstrzygnięcia czytelnikowi. (Jego żona, starsza córka generała Razy Hajdara, także nie sypiała; nie można jednak porównywać bezsenności Omara Chajjama z jej bezsennością, jego bowiem była chciana i świadoma, tymczasem głupia Sufija Zinobia leżała w łóżku i trzymała powieki między palcem wskazującym a kciukiem, jakby była w stanie usunąć świadomość spomiędzy rzęs niczym drobiny kurzu albo łyzy. A spłonęła, usmażyła się dokładnie w tym samym pokoju, w którym urodził się jej mąż i zmarł jego dziadek, obok łoża z węzami i edenem - skaranię boskie z tym nieposłusznym czasem! Rozkazuję tej scenie śmierci natychmiast wrócić za kulisy: szazam!)

Jako dziesięciolatek Omar zaczynał doceniać obecność na południu i zachodzie gór, które otaczały go i chroniły. Gór Niemożliwych nie znajdziecie w indeksach waszych atlasów, choćby mapy rysowano w dużej skali. Bądź co bądź, możliwości geografów nie są nieograniczone; młody Omar Chajjam, który z całego serca pokochał cudownie błyszczący mosiężny teleskop, odkryty wśród mnóstwa rupieci wypełniających dom, był zawsze świadomy, iż krzemowe potwory albo gazowe stwory zamieszkujące gwiazdy Drogi Mlecznej, które co noc latały nad jego głową, nigdy by nie rozpoznały swoich domów po nazwach odnalezionych na jego zniszczonych od ciągłego wertowania mapach nieba. „Mieliśmy własne powody - powtarzał przez całe życie - aby naszym osobistym łańcuchom górskim nadać takie a nie inne nazwy”.

Twardzi ludzie o małych oczach, członkowie plemion zamieszkujących te góry, widywani od czasu do czasu na ulicach miasta K. (którego wrażliwsi mieszkańcy przechodzili na drugą stronę, aby uniknąć plemiennego odoru górali i rozkołysanych bezceremonialnie ramion), nazywali ów łańcuch „sklepieniem rajy”. W górach, a właściwie w całym rejonie, także w K. od czasu do czasu występowały trzęsienia ziemi; cała strefa zaliczała się do aktywnych sejsmicznie, ale plemiona wierzyły, że wstrząsy występują, kiedy anioły przeciskają się przez szczeliny. Na długo przed tym, gdy brat Omara ujrzał mężczyznę ze

skrzydłami, który promieniał złotym blaskiem i patrzył na niego z jakiegoś dachu, Omar Chajjam Śakil uświadomił sobie w pełni istnienie wielce prawdopodobnej teorii, iż raj został usytuowany nie w górze, lecz dokładnie pod każdą z jego stóp, zatem poruszenia skorupy ziemskiej były dowodem zainteresowania aniołów sprawami tego świata. Pod anielskim naciskiem kształt łańcucha gór ustawicznie się zmieniał. Z pomarszczonych, brunatnych pochyłości wznosiła się nieskończona liczba uwarstwionych filaropodobnych formacji, każda zaś warstwa była tak wyraziście zaznaczona, jakby potężne kolumny zostały wybudowane przez olbrzymy biegle w sztuce kamieniarskiej... owe boskie świątynie marzeń także wznosiły się i przewracały na skutek wędrówek aniołów.

Piekło w górze, raj pod stopami; pozwoliłem sobie zatrzymać się nieco dłużej nad osobliwym, rozchwianym charakterem pustkowia, w którym dorastał Omar Chajjam, aby poprzeć tezę, że znalazł się między bliźniaczymi wiecznościami, których zwyczajowy porządek został w jego doświadczeniu dokładnie odwrócony; że ekwilibrystyka, z jaką miał do czynienia, powoduje skutki znacznie trudniejsze do uchwycenia niż trzęsienie ziemi - bo czyż jakiś wynalazca opatentował kiedyś sejsmograf duszy? - oraz że Omar Chajjam, którego nie obrzezano, nie ogolono, nie wyszeptano mu do ucha imienia Boga, na skutek ich obecności silniej odczuwał bycie osobą podzieloną.

Lecz już wystarczająco długo przebywałem pod gołym niebem, więc muszę zabrać ze słońca moją opowieść, aby nie miały na nią wpływu skutki przegrzania czy majaków na jawie. Później, bliżej drugiego krańca swego życia (widać przyszłość nie daje się powstrzymać, bez przerwy przenika do przeszłości), kiedy jego nazwisko pojawiło się we wszystkich gazetach w związku ze skandalem towarzyszącym zbrodniom dekapitacji, córka urzędnika celnego, Farah Rodrigues, przestała utrzymywać w tajemnicy opowieść o dniu, gdy dorastający Omar Chajjam, już wówczas osobnik dość otyły, któremu na wysokości brzucha brakowało guzika u koszuli, towarzyszył jej w drodze na posterunek graniczny ojca celnika, jakieś czterdzieści mil na zachód od K. Siedziała w melinie, gdzie podawano nielegalną brandy, i mówiła w powietrze, czyli do nikogo w szczególności, chichocząc przy tym, ale nie był to czysty, perlisty śmiech jak niegdyś, tylko coś przypominającego odgłos tłuczonego szkła, skutek upływu czasu i oddychania powietrzem pustkowia. „Nie do wiary, daję słowo - wspominała - ledwie dojechaliśmy tam dżipem, opadła jakaś chmura i osiadła dokładnie na granicy, jakby nie mogła przejść dalej bez wizy, a ten cały Śakil tak się przestraszył, bo sam jakoś przeszedł, że dostał zawrotów głowy i zemdlał, choć przecież wcześniej stał obiema nogami na twardym gruncie”.

Nawet w okresie największej wspaniałości, nawet po ożenku z córką Hajdara, nawet kiedy Raza Hajdar został prezydentem, Omar Chajjam cierpiał czasem na te niesamowite

zawroty głowy, dokuczała mu świadomość, że jest istotą na krawędzi: człowiekiem peryferii. Pewnego razu w hulaszczych, zakrapianych alkoholem czasach przyjaznych stosunków z Iskandrem Harappą, milionerem i playboyem, radykalnym myślicielem, premierem i wreszcie dokonującym cudów trupem, podchmielony Omar Chajjam opisał sam siebie.

- Widzisz przed sobą - przyznał - faceta, który nie jest nawet bohaterem własnego życia; człowieka urodzonego i wychowanego gdzieś z boku tego, co się dzieje. Liczy się dziedzictwo, nie sądzisz?

- Męczy cię chyba jakaś obsesja - odparł Iskander Harappa.

Omara Chajjama wychowały trzy matki - ni mniej, ni więcej - i ani jeden ojciec - w okolicznościach, których tajemniczość pogłębiły następnie narodziny, kiedy Omar miał już dwadzieścia lat, jego młodszego brata, jak się zdawało również niepokalanie poczętego syna trzech matek. Tak samo niepokojące dla dorastającego młodzieńca było doświadczenie pierwszej miłości, podążania rozkołysanym krokiem z podszytą podnieceniem determinacją za zmysłowo niedostępną postacią niejakiej Farah Parsyjki (z domu Zoroaster), oddawania się zajęciu znanemu wszystkim miejscowym młodzieńcom, z wyjątkiem jego od urodzenia izolowanej osoby i jaźni, jako „klęski w zalotach”.

Cierpiący na zawroty głowy, stojący z boku, poddany inwersji, zadurzony, odmawiający sobie snu, zapatrzony w gwiazdy, otyły: cóż to za typ bohatera?

Rozdział drugi

Girlanda z butów

Kilka tygodni po wkroczeniu do Afganistanu oddziałów radzieckich, wróciłem do domu, aby odwiedzić rodziców i siostry oraz poszczycić się pierworodnym synem. Moja rodzina mieszka w Obronie, w Pakistańskim Towarzystwie Budowlanym Oficerów Służb Obrony Kraju, choć nie jest to rodzina wojskowa. Obrona zalicza się do modnych części Karaczi; niewielu żołnierzy, którym po niskiej cenie pozwolono kupić tutaj działkę, stać było na wybudowanie domu.

Lecz nie wolno im było sprzedawać pustej parceli. Aby kupić kawałek Obrony będący własnością jakiegoś oficera, należało przygotować bardzo złożony kontrakt. Zgodnie z postanowieniami umowy teren pozostawał własnością zbywcy, choć nabywca płacił zań pełną rynkową wartość i jeszcze wyzbywał się pokaźnej fortuny, budując dom według własnych planów. Teoretycznie był jedynie miłym facetem, dobroczyńcą, który z dobrego serca postanowił podarować dom biednemu oficerowi. Ale kontrakt zobowiązywał również zbywcę do wyznaczenia osoby trzeciej, która, gdy już dom był ukończony, uzyskiwała pełnomocnictwo do dysponowania całą posesją. Osoba trzecia pochodziła z nominacji nabywcy, a kiedy robotnicy budowlani opuszczali plac budowy, ona przekazywała mu własność. W ten sposób do przeprowadzenia operacji potrzebne były dwa osobne akty dobrej woli. Obrona rozwinęła się głównie dzięki działaniom takich miłych facetów. Godny podkreślenia wydaje się ów duch koleżeństwa i bezinteresownej współpracy w dążeniu do wspólnego celu.

Była to procedura dość elegancka. Zbywca wzbogacał się, pośrednik otrzymywał swoją część, ty miałeś dom i nikt nie łamał prawa. Naturalnie nikt nigdy nie dociekał, jak do tego doszło, że najbardziej pożądane parcele budowlane w mieście zostały rozdzielone między wojskowych. *Ta* postawa także pozostaje częścią podwalin Obrony: w powietrzu wisi tu całe mnóstwo nie zadanych pytań. Lecz *ta* woń pozostaje nikła, natomiast kwiaty w wielu dojrzewających ogrodach, drzewa rosnące przy alejkach, perfumy używane przez szykowne kobiety z sąsiedztwa składają się na zapach znacznie bardziej rzeczywisty. Dyplomaci, biznesmeni, synowie dawnych dyktatorów, gwiazdy piosenki, tekstylni nababowie, amatorzy krykieta pojawiają się i znikają. Po drogach jeżdżą samochody marki Datsun i Toyota. A nazwa Towarzystwo Budowlane..., która w uszach części obywateli mogłaby zabrzmieć jak symbol (reprezentując wzajemnie korzystny związek między władzami administracyjnymi a ich

siłami zbrojnymi), nie wywołuje; w mieście szczególnego rezonansu. Jest tylko nazwą.

Pewnego wieczoru, krótko po swoim przybyciu, odwiedziłem starego przyjaciela, poetę. Nie mogłem się doczekać jednej z tych naszych długich rozmów, pragnąłem usłyszeć od niego, co sądzi o ostatnich wydarzeniach w Pakistanie i, rzecz jasna, w Afganistanie. W jego domu jak zwykle pełno było gości; nikt nie wydawał się zainteresowany rozmową o czymś innym niż seria ważnych rozgrywek w krykieta między Indiami a Pakistanem. Usiadłem z przyjacielem przy stole i zaczęliśmy niemrawą partię szachów. Ale mnie rzeczywiście zależało na istotnych informacjach, więc zacząłem zadawać pytania, zaczynając od egzekucji Zulfikara Alego Bhutto. Lecz tylko połowę pytania zdołałem wypowiedzieć; druga połowa dołączyła do zbioru wielu nie zadanych pytań, ponieważ dostałem bardzo bolesnego kopniaka w goleń i natychmiast, w środku zdania, wróciłem do tematów sportowych. Omówiliśmy także początki ożywionej koniunktury na rynku wideo.

Ludzie wchodzili, wychodzili, krążyli, śmiali się. Po mniej więcej czterdziestu minutach przyjaciel powiedział: „Teraz w porządku”. Zapytałem: „Kto to był?” Podał mi nazwisko informatora, do którego należała infiltracja tej szczególnej grupy. „Traktowali go uprzejmie, nie zdradzając, że wiedzą, w jakim charakterze się tu pojawia, ponieważ mógłby zniknąć i istniało prawdopodobieństwo, iż następnym razem nie dowiedzą się, kto jest informatorem. Potem miałem jeszcze okazję spotkać tego szpiega. Okazał się zupełnie sympatycznym facetem. Miał twarz uczciwego człowieka i bez wątplenia cieszył się, że nie słyszy nic, co by się nadawało do powtórzenia. Ustaliło się coś w rodzaju równowagi. Po raz kolejny byłem pod wrażeniem, jak wielu wystrzałowych facetów spotkać można w Pakistanie, jakąż to uprzejmość kwitnie w tamtejszych ogrodach, perfumując powietrze.

W okresie od ostatniego mojego pobytu w Karaczi ów przyjaciel poeta spędził w więzieniu wiele miesięcy -z przyczyn społecznych. A konkretnie oznaczało to, iż znał kogoś, kto znał osobę, która była żoną drugiego powinowatego czyjegoś wuja, który dzielił albo i nie jedno mieszkanie z kimś, kto dostarczał broń partyzantom z Beludżystanu. W Pakistanie, jeśli znasz tego czy owego człowieka, możesz się dostać wszędzie, nawet do więzienia. Mój przyjaciel nadal z nikim nie chce rozmawiać o tym, co działo się z nim w ciągu tych kilku miesięcy; inni powiedzieli mi, że po wyjściu z więzienia długo był w kiepskiej formie. Podobno powieszono go za kostki i bito, jak gdyby był nowo narodzonym maleństwem, którego płuca trzeba koniecznie pobudzić do pracy, zatem dziecina może wrzeszczeć do woli. Nigdy go nie zapytałem, czy krzyczał ani czy przez okno widział odwrócone górskie szczyty.

W którąkolwiek stronę się zwrócę, tam pojawia się coś, czego trzeba się wstydzić. Lecz wstyd jest jak wszystko inne; jak się z tym blisko żyje, to się to przestaje dostrzegać niczym

meble w mieszkaniu. W Obronie możesz znaleźć wstyd w każdym domu, dopala się w popielniczce, wisi w ramach na ścianie, przykrywa łóżko. Jednak nikt tego nie dostrzega. I wszyscy są nader uprzejmi.

Może przyjaciel powinien opowiedzieć mi tę historię albo przynajmniej jakąś inną; w każdym razie już nie pisze poezji. Dlatego ja tutaj jestem i wymyślam to, co mnie nie przydarzyło się nigdy. Na pewno zauważycie, że mój bohater już został powieszony za kostki i że nazywa się jak pewien sławny poeta⁵; tylko że spod jego pióra nigdy nie wyszedł żaden czterowiersz.

Outsider! Przestępca! Nie masz prawa wypowiadać się na ten temat!... Wiem: nikt mnie nigdy nie aresztował. Ani nawet nie miał takiego zamiaru. *Plagiator! Nie jesteś żadnym autorytetem. Znamy cię. Otaczasz się tym swoim językiem jak flagą: wypowiadając się o nas językiem żmii, cóż możesz powiedzieć poza kłamstwami?* Odpowiadam, dodając kolejne pytania: czy historia należy wyłącznie do uczestników zdarzeń? W jakich sądach można przedstawiać tego rodzaju żądania? Jakie komisje demarkacyjne wyznaczają owe zastrzeżone obszary?

Czy tylko martwi mogą mówić?

Rozkazuję sobie, aby ta książka była o pożegnaniu, ostatnim słowem o Wschodzie, który przed wielu laty zacząłem tracić. Kiedy to mówię, nie zawsze sobie wierzę. To część świata, z którą, chcę tego czy nie, ciągle jestem połączony przynajmniej rozciągliwymi więzami.

Co do Afganistanu: po powrocie do Londynu spotkałem na obiedzie wyższego ranga dyplomatę brytyjskiego, specjalistę od „mojej” części świata. Otóż stwierdził on, że to całkiem stosowne, aby w obecnej sytuacji Zachód wspierał dyktaturę prezydenta Zii ul-Haqa. Wiem, że nie powinienem tracić panowania nad sobą, ale mi nie wyszło. Niepotrzebnie. Kiedy już odeszliśmy od stołu, jego żona, całkiem uprzejma kobieta, która przez cały czas wydawała z siebie uspokajające dźwięki, powiedziała do mnie:

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego ludzie w Pakistanie nie pozbyli się Zii w, pan rozumie, zwyczajny sposób?

Wstyd, drodzy czytelnicy, nie jest wyłączną właściwością Wschodu.

Kraj, o którym opowiadam w tej książce, to nie Pakistan, w każdym razie niezupełnie.

⁵ Omar Chajjam (1048-1131) - perski matematyk, astronom i poeta, sławny we własnym kraju ze względu na dokonania naukowe, na Zachodzie znany jako mistrz rubajjatów, czterowierszy, tłumaczonych na angielski przez Edwarda Fitzgeralda (1809-1883).

Są dwa kraje, kraj rzeczywisty i kraj wymyślony, które zajmują tę samą bądź prawie tę samą przestrzeń. Moja opowieść, mój wymyślony kraj, podobnie jak ja sam, odbiega nieco od rzeczywistości. Takie odchylenie uważam za konieczne; lecz jego przydatność jest oczywiście dyskusyjna. Osobiście obstaję przy poglądzie, że nie piszę wyłącznie o Pakistanie.

Nie nadałem tej krainie nazwy. A K. wcale nie jest prawdziwą Kwetą. Ale nie chcę przywiązywać do tego nadmiernej wagi; kiedy znajdę się w dużym mieście, nazwę je Karaczi. I będzie tam jakaś Obrona.

Pozycja Omara Chajjama jako poety jest osobliwa. W ojczystej Persji nigdy nie był artystą narodowym; na Zachodzie egzystuje w tłumaczeniach, które są w istocie całkowitą przeróbką jego wierszy, czasem bardzo odległą od ducha (nie wspominając o literze) oryginału. Ja również jestem człowiekiem przekładanym. Urodziłem się „w poprzek”. Powszechnie panuje przekonanie, że w przekładzie zawsze coś się gubi; ja natomiast chętnie pozostaję przy tezie - i ilustruję ją przykładem sukcesu Fitzgeralda-Chajjama - że można coś zyskać.

- Kiedy na ciebie patrzę przez mój ukochany teleskop - powiedział Omar Chajjam Śakil do Farah Zoroaster w dniu, w którym wyznał jej miłość - twój wizerunek dodaje mi siłę, bym się w końcu oparł mocy moich matek.

- Podglądacz - odparła. - Gównu mnie obchodzi, co masz do powiedzenia! Zbyt szybko zeszyły ci jaja, napalasz się, i tyle. Nie zamęczaj mnie swoimi sprawami rodzinnymi.

Wprawdzie była od niego dwa lata starsza, ale Omar Chajjam zmuszony był przyznać, że jego ukochana ma niewyparzoną gębę...

...Prócz imienia i nazwiska wielkiego poety dziecko otrzymało nazwisko rodowe swoich matek. I jakby dla podkreślenia tego, o co im chodziło, gdy nadały mu imię nieśmiertelnego Chajjama, trzy siostry również gmach pełen mrocznych korytarzy, jedyną krainę, która do nich należała, nazwały „Niszapurem”⁶. Tak oto drugi Omar dorastał w drugim miejscu o tej samej nazwie, a kiedy dorastał, często dostrzegał w sześciorgu oczu trzech matek dziwny wyraz, jakby przemawiały spojrzeniem: „Pospiesz się, czekamy na twoje poematy”. Lecz (powtarzam raz jeszcze) dotychczas żaden rubajjat nie wyszedł spod jego pióra.

Dzieciństwo miał wyjątkowe pod każdym względem, bowiem wszystko, co się odnosiło do matek i służby, bez dwóch zdań odnosiło się w takiej samej mierze do naszego

⁶ Niszapur, Nejszabur, NishaSpur - miejsce urodzenia poety Omara Chajjama, położone w dzisiejszym Iranie.

bohatera drugiego planu. Omar Chajjam przeżył dwanaście długich, najważniejszych lat swego rozwoju, uwięziony w odosobnionej rezydencji, w tym trzecim świecie ani materialnym, ani duchowym, lecz będącym rodzajem rupieciarni powstałej z rozczłonkowanych resztek tamtych dwóch bardziej znanych typów kosmosu, w świecie, w którym ustawicznie wpadał - tak samo jak mnóstwo sponiewieranych drobiazgów, przesiąkniętych zapachem naftaliny, oblepionych pajęczyną, pokrytych kurzem - w zastarzałe, niewyraźne wyziewy odrzuconych idei i zapomnianych marzeń. Precyzyjnie obmyślane posunięcie, którym trzy matki odgrodziły się od świata, stworzyło duszną, entropową strefę, w której pomimo procesu gnicia przeszłości nie wydawało się, aby coś zdolne było do wzrostu, i z której ucieczka stała się najbardziej pielęgnowaną młodzieńczą ambicją Omara Chajjama. W tym ohydnie nieokreślonym granicznym uniwersum, nie wiedząc nic o zakrzywieniu czasoprzestrzeni, dzięki której on, który biegnie najdalej i najszybciej, nieuchronnie kończył na linii startu z za-dyszką, z naderwanymi, krzyczącymi ścięgnowymi, marzył o ucieczkach, czując, że w klaustrofobicznym „Niszapurze” zagrożone jest jego życie. Bądź co bądź był kimś nowym w tym jałowym, nadgryzionym zębem czasu labiryncie.

Znacie opowieść o „wilczych” dzieciach wykarmionych -jak się domyślamy - przez włochatą samicę, która wyła do księżyca? Oddzielone od stada, paskudnie gryzą dłonie swych wybawicieli; złapane za pomocą siatki i umieszczone w klatce, cuchnące padliną i odchodami wędrują do wyemancypowanej światłości świata, lecz ich mózgi nie są dość rozwinięte, aby nauczyć się czegoś więcej ponad kilka rudymenarnych zasad cywilizacji... Również Omara Chajjama wykarmiło nazbyt wiele gruczołów mlecznych; przez jakieś cztery tysiące dni błądził w dżungli przedmiotów, jaką był „Niszapur”, ogrodzone murem dzikie miejsce, matczyzna kraina; aż wreszcie zdołał doprowadzić do otwarcia granic, kiedy na urodziny zażyczył sobie podarunku, którego nie dało się dostarczyć dzięki urządzeniu mistrza Ballocha.

- Daruj sobie ten numer z chłopaczkiem wychowanym w dżungli - prychnęła Farah, gdy Omar na niej przeprowadził doświadczenie - nie jesteś żadnym tam pierdzielonym małpoludem, smyku. - A ujmując rzecz całą z punktu widzenia edukacji, miała całkowitą rację; tylko że jednocześnie nie dostrzegła w nim dzikości, tkwiącego głęboko zła; na jej ciele wykazał, że się myliła.

Rozważmy wszystko po kolei: przez pierwsze dwanaście lat miał do dyspozycji cały dom. Niczego mu nie odmawiano (poza wolnością). Zepsuty, sprytny bachor; kiedy wył, matki pieściły go..., a kiedy zaczęły się koszmary i starał się walczyć ze snem, zanurzał się coraz bardziej w pozornie bezdenne głębiny owego rozkładającego się królestwa. Wierzcie mi, zapędzał się w korytarze nie odwiedzane od tak dawna, że jego stopy w sandałach zapadały się

w kurz po same kostki; odkrywał schody zrujnowane dawno temu podczas trzęsień ziemi, wypiętrzone tu i tam w poszarpane zęby szczytów, odsłaniające tu i ówdzie otchłanie strachu... wśród nocnej ciszy i pierwszych odgłosów poranka wykraczał poza historię i wchodził na teren czegoś, co wydawało się prawdziwie archeologiczną starożytnością „Niszapuru”; w almariach⁷, których drewniane drzwi rozpadały się pod delikatnym naciskiem palców, odkrywał nieprawdopodobne kształty pokrytych malowidłami naczyń ceramicznych w stylu Kotdidzi⁸; w izbach kuchennych, których istnienia nawet nikt nie podejrzewał, gapił się oczami ignoranta na rozmaite naczynia z brązu pochodzące z یشcie bajecznych czasów; w rejonach olbrzymiego pałacu, które opuszczono dawno temu z powodu awarii kanalizacji, analizował odsłoniętą przez wstrząsy sejsmiczne złożoność ceglanych systemów odwadniających, nie stosowanych od stuleci.

Pewnego razu zagubił się zupełnie i biegał jak oszalały to tu, to tam niczym jakiś podróżnik w czasie, który stracił magiczny wehikuł i ogarnia go strach, że już się nigdy nie wydobędzie z chaosu ludzkiej historii. Wreszcie stanął jak wryty, wpatrzony z przerażeniem na izbę, której zewnętrzne ściany zostały częściowo zniszczone przez szukające wody wielkie i grube korzenie drzew. Miał może dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy zetknął się z tym przejawem ekspansywności zewnętrznego świata. Musiał jedynie pokonać splekany mur, lecz zupełnie się nie spodziewał takiego prezentu, dlatego zaskoczony szokującą obietnicą, jaką mu składało sączące się przez dziurę światło poranka, wziął nogi za pas i po omacku, wiedziony strachem, wrócił do swego bezpiecznego, wygodnego pokoju. Jakiś czas później, kiedy już zdążył to i owo przemyśleć, chciał powtórzyć tę wyprawę, uzbrojony w skradziony kłębek sznurka; ale chociaż starał się bardzo, nigdy powtórnie nie odnalazł drogi do tamtego miejsca w labiryncie dzieciństwa, gdzie zamieszkał Minotaur zakazanego światła.

„Czasami natykałem się na szkielety - zapewniał sceptyczną Farah - ludzkie i zwierzęce”. Ale nawet tam, gdzie nie było kości, dawno zmarli mieszkańcy rezydencji podążali jego tropem. Tylko że na pewno nie tak, jak to sobie wyobrażacie! Nie było żadnych zawodzeń, żadnego szcęknięcia łańcuchów! - za to uczucia pozbawione ciała, dławiące opary dawnych nadziei, obaw i miłości. W końcu, doprowadzony do ostateczności, udręczony upiorną aurą przodków, obecną w najdalszych zakamarkach zrujnowanego budynku, Omar Chajjam zemścił się (wkrótce po epizodzie z pękniętą ścianą) na swym osobliwym otoczeniu. Na wspomnienie owego aktu wandalizmu przenika mnie dreszcz: uzbrojony w miotłę i jeszcze bardziej

⁷ Almaria (hindi *almari*) - szafa.

⁸ Kotdidzi, Kot-Didzi - stanowisko archeologiczne w dolinie Indusu, gdzie odkopano bezcenne zabytki kultury neolitycznej, w tym ceramikę z motywami roślinnymi.

niestosowne narzędzie, czyli siekiere, miotał się przez zakurzone przejścia, sypialnie pełne larw i rozbijał szklane szafki, przewracał pokryte zapomnieniem otomany, zamieniał w proch przeżarte przez robaki biblioteki; bezpowrotnie niszczył kryształy, malowidła, porzewiałe hełmy, cienkie niczym papier resztki bezcennych jedwabnych kobierców. „A macie! - krzyczał piskliwym głosem pośród zwłok całkowicie bezużytecznej, zmasakrowanej historii, -A macie, stare graty!” - potem zaś (upuściwszy topór winowajcę i miotłę czyścicielkę) wybuchnął absurdalnym płaczem.

Należy w tym miejscu dodać, że nawet wówczas nikt nie wierzył w opowieści chłopca o rozległych nieskończonościach domu, „Tacy już są jedynacy - zaskrzeczała Haszmat Bibi - w ich biednych głowach zawsze, ale to zawsze coś takiego się roi”. Wybuchnęli śmiechem trzej służący: „Kiedy cię słuchamy, baba⁹, gotowiśmy myśleć, że ten dom bardzo się powiększył, i na całym świecie nie może już być miejsca na nic innego!” Trzy matki, siedząc swobodnie na ulubionej huśtawce, rozłożyły skore do pieśczoł dłonie i skwitowały sprawę. „Przynajmniej ma żywą wyobraźnię” - powiedziała średnia Munki, a matka Bunni dodała tym samym tonem: - „Co ma pewien związek z jego imieniem poety”. Zaniepokojona, że może chłopiec lunatykuje, mama Ćhunki przykazała jednemu ze służących, aby rozłożył matę do spania pod drzwiami do sypialni Omara Chajjama; tylko że do tej pory chłopiec zdążył już na zawsze umieścić bardziej fantastyczne strefy „Niszapuru” poza wszelkimi granicami. Po tym jednak, jak rzucił się na kohorty historii niczym wilk (albo wilczek) na stado owiec, Omar Chajjam Śakil ograniczył się do uczęszczanych, wydeptanych, zamiecionych i odkurzonych rejonów domu.

Coś - prawdopodobnie poczucie winy - ciągnęło go do wyłożonego ciemnym drewnem, zastawionego rzędami ksiąg gabinetu dziadka, gdzie od śmierci starszego mężczyzny trzy siostry ani razu nie weszły. Tutaj odkrył, że erudycja pana Śakila była takim samym pozorem i oszustwem jak jego żyłka do interesów; otóż książki zostały oznaczone ekslibrisem niejakiego pułkownika Arthura Greenfielda, a wiele kartek nie było nawet rozciętych. Biblioteka, godna prawdziwego dżentelmena, została pewnie zakupiona *in toto* od owego nieznanego pułkownika i w domu Śakila nikt z niej nie korzystał. Teraz Omar Chajjam z ogromnym zapalem zaczął ją poznawać.

W tym miejscu muszę wyrazić uznanie dla jego autodydaktycznych talentów. Oto bowiem nim opuścił „Niszapur”, wyuczył się arabskiego i perskiego; także łaciny, francuskiego i niemieckiego; wszystko za pomocą oprawionych w skórę słowników i nie

⁹ Baba - tu: określenie dziecka, chłopca, używane przez rodziców i służbę.

używanych tekstów, świadczących o oszukańczej próżności dziadka. W jakichże to książkach nasz młodzieniec się rozczytywał! Poznał ilustrowane manuskrypty z poezją Ghaliba; tomy listów pisanych do synów przez Wielkich Mogołów; przekład Burtona *Alf laylah wa laylah*, *Podróże* Ibn Battuty i *Qissę*, czyli opowieści o legendarnym podróżniku Hatimie Tadży... tak, tak, rozumiem, że powinienem dać spokój (co Farah kazała uczynić Omarowi) z fałszywym wizerunkiem chłopca z buszu.

Ciągła wędrówka przedmiotów z pomieszczeń mieszkalnych przez windę do lombardu w regularnych odstępach wydobywała na światło dzienne coraz więcej ukrytych spraw. Owe olbrzymie izby, niegdyś wypchane po brzegi materialnym dziedzictwem po drapieźnych i zachłannych przodkach, powoli pustoszały, tak więc kiedy Omar Chajjam miał dziesięć i pół roku, było tam już wystarczająco dużo miejsca, by co chwila nie obijał się o meble. Pewnego dnia trzy matki posłały służącego do gabinetu z poleceniem usunięcia z ich życia cudownie rzeźbionego parawaniku z drewna orzechowego, na którym uwieczniono mityczny łańcuch górski Kaf¹⁰ z trzydziestoma ptakami w roli Boga. Odlot ptasiego parlamentu odsłonił przed Omarem Chajjajem niewielką półeczkę, wypełnioną tomami dzieł na temat teorii oraz praktyki hipnozy: sanskryckie mantry, kompendia wiedzy o perskich mędracach, oprawiony w skórę egzemplarz fińskiej *Kalewali*, opis hipnoegzorcyzmów ojca Gassnera od Klasztorów oraz studium na temat teorii magnetyzmu zwierzęcego samego Franza Mesmera; wreszcie też pewną liczbą tanich (i najbardziej użytecznych) poradników w rodzaju „zrób to sam”. Omar Chajjam natychmiast zaczął pochłaniać właśnie te książki, zresztą jako jedyne nie opatrzone nazwiskiem wielbiącego literaturę pułkownika; składały się one na prawdziwy spadek po dziadku i sprawiły, że na całe życie związał się z wiedzą tajemną, która posiada ogromną władzę nad dobrem i złem.

Służba miała tak samo niewiele do roboty jak on; matki stopniowo przestawały zwracać uwagę na porządek czy też sprawy kulinarne. Trio, jakie tworzyli należący do służby mężczyźni, zgodziło się zostać obiektem pierwszych eksperymentów Omara Chajjama. Ćwicząc na nich za pomocą lśniącej monety o wartości czterech annów, odbierał im świadomość, odkrywając u siebie z radością prawdziwe powołanie do tej sztuki: głosem beznamiętnym, monotonnym i spokojnym, bez najmniejszego wysiłku wprowadzał ich w trans i dzięki temu dowiedział się między innymi, że popęd seksualny, który po jego narodzinach wydawał się nieobecny u trzech sióstr, w mężczyznach wcale nie wygasł. W transie chętnie

¹⁰ Kaf - w mitologii muzułmańskiej pasmo gór otaczające stworzoną przez Boga ziemię, jej podpory z dwoma oceanami przedzielonymi jakąś barierą. Mekka jest pępkiem tego świata, stworzonym dwa tysiące lat przed wszystkim innym.

opowiadali o wzajemnych pieszczotach i błogosławili matczyną trójcę za to, że zmieniawszy całkowicie warunki ich życia, stworzyła okoliczności, by mogli przejawiać wobec siebie prawdziwe uczucia. Spełniona trójstronna miłość męskich sług stanowiła osobliwą przeciwwagę dla podobnej, choć całkowicie platonicznej miłości trzech siostr. (Niestety, Omar Chajjam dojrzewał, chłonąc gorycz, choć otaczało go tak wiele zażyłości i miłości.)

Haszmat Bibi również się zgodziła na „zejście pod powierzchnię”. Omar kazał jej wyobrazić sobie, że znajduje się na płynącym po niebie miękkim, różowym obłoku.

- Zanurzasz się - zaintonował, kiedy leżała na macie. - Chcesz się zanurzyć coraz głębiej i głębiej.

Owe eksperymenty miały pewien tragiczny skutek uboczny. Wkrótce po dwunastych urodzinach Omara trzech wzajemnie zakochani w sobie służący, rzucając na Omara oskarżycielskie spojrzenia, poinformowali trzy matki, iż Haszmat najwidoczniej życzyła sobie śmierci; bo pod sam koniec seansu mruczała podobno „...bardziej i bardziej w głąb różanej chmury”. Starsza dama, zorientowawszy się dzięki potężnemu głosowi młodego hipnotyzera, na czym mniej więcej polega niebył, ostatecznie pozbyła się żelaznej woli, którą trzymała się przy życiu przez, jak twierdziła, ponad sto dwadzieścia lat. Trzy matki przestały się kołysać na huśtawce i rozkazały Omarowi Chajjamowi skończyć z hipnozą. Do tej pory jednak świat zdążył się zmienić. Teraz muszę się odrobinę cofnąć, aby opisać tę przemianę.

W opróżnianych powoli izbach doszło także do odnalezienia wspomnianego już teleskopu. Omar Chajjam używał go do obserwowania zewnętrznego świata z górnych okien (te na parterze na stałe przysłonięto okiennicami i zaryglowano) - świata w kształcie jasnego koła, w formie księżyca, ku jego zadowoleniu. Przyglądał się walkom latawców, ogoniastych patangów, których czarne linki zanurzono w szkle, aby się stały ostre jak brzytwa; słyszał okrzyki zwycięzców - Bojojój! bojój! - niesione razem z drobinami piasku; pewnego razu zielono-biały latawiec na specjalnej, ostrej linie wpadł do rezydencji przez otwarte okno. A kiedy, tuż przed jego dwunastymi urodzinami, na okularowym księżycu pojawiła się niebywale ponętna postać Farah Zoroaster, dziewczynki wówczas czternastoletniej, lecz obdarzonej ciałem, którym poruszała jak świadoma swej zmysłowości kobieta, wtedy właśnie poczuł, że głos mu się obniża; jednocześnie poniżej pasa coś również zeszło, aby nieco zbyt wcześnie zająć miejsce docelowe w pustym dotychczas sączku. Tęsknota za zewnętrznym światem przeszła natychmiast w tępy ból w kroczu; to, co nastąpiło później, było widać nieuniknione.

Nie był wolny. Swoboda wewnątrz domu była zaledwie pseudowolnością zwierzęcia w zoo; a matki mogły uchodzić za kochające, troskliwe dozorcynie. Trzy jego matki: któż inny

zaszczepił mu przekonanie, że jest osobą z pogranicza, obserwatorem zza kulis własnego życia? Przyglądał im się tuzin lat i - owszem, trzeba to powiedzieć - nienawidził ich za wzajemną bliskość, za sposób, w jaki siedziały na skrzypiącej huśtawce, splatając ramiona, za skłonność do przechodzenia z chichotem na prywatne języki, jakimi porozumiewały się w dziewczęcych czasach, za to, jak się obejmowały albo zbliżały do siebie głowami i szeptały jeden Bóg wie o czym, albo kończyły zdania rozpoczęte przez jedną z pozostałych. Omar Chajjam, zamurowany w „Niszapurze”, został wyłączony ze społeczności ludzkiej za sprawą dziwnego postanowienia swoich matek; a matczyna jedność w trójcy zdwajała jego poczucie wykluczenia, bycia pośród przedmiotów, lecz na zewnątrz zdarzeń.

Dwanaście lat musiało przynieść jakieś żniwo. Z początku duma, która skłoniła Ćhunni, Munni i Bunni do odrzucenia Boga, pamięci o swoim ojcu i miejsca w społeczeństwie, umożliwiła im osiągnięcie standardów zachowania, które były ich niemal jedyną spuścizną po ojcu. Co rano wstawały prawie o tej samej porze, czyściły zęby eukaliptusowymi patyczkami po pięćdziesiąt razy z góry na dół i na boki, potem, identycznie odziane, oliwiły, czesały sobie nawzajem włosy i wpinały w czarne koki białe kwiaty. Zwracały się do służących i do siebie, stosując formę umiarkowanie uprzejmą. Sztywność reguł zachowania i precyzja, z jaką wydawały polecenia dotyczące gospodarstwa domowego, zdawały się legitymować ich działania, włączając w to (co bez wątplenia było ważne) starania o dziecko z nieprawego łoża. Lecz powoli, bardzo wolno zaczęły sobie odpuszczać.

W dniu wyjazdu Omara Chajjama do dużego miasta najstarsza matka wyjawiała mu pewną tajemnicę, określając zarazem datę początku okresu schyłkowego w życiu siostr.

- Nigdy nie chciałyśmy przestać karmić cię piersią - przyznała. - Zapewne zorientowałaś się do tej pory, iż nie jest to rzecz normalna, aby sześciolatek nadal wisiał przy piersi; ale ty piłeś z potowy tuzina, po roku z każdej piersi. W dniu twoich szóstych urodzin porzuciłyśmy tę największą z przyjemności i potem już nic nie było takie samo, wtedy zaczęłyśmy zapominać, o co nam właściwie chodziło.

W ciągu sześciu następnych lat, kiedy ich piersi skurczyły się i wyschły, trzy siostry nie były już tak stanowcze, a ich sylwetki straciły sprężystość, co do tej pory w znacznym stopniu wyznaczało ich urodę. Stały się bardziej pulchne, tu i tam we włosach trafiał się kołtun, przestały interesować się kuchnią, służbie zaś wszystko uchodziło bezkarnie. Podupadały w jednakowym tempie i w identycznym stylu; jednakże więzy stanowiące o ich tożsamości pozostały niezmiennie.

Mieście na uwadze jedno: siostry Śakil, poza sferą manier, nigdy nie otrzymały stosownego wykształcenia; tymczasem ich syn, jeszcze zanim przeszedł mutację, był już

wybitnym samoukiem. Swoimi naukami próbował zainteresować matki; lecz kiedy wystąpił z najbardziej eleganckimi wywodami na temat aksjomatów euklidesowych albo gdy elokwentnie wyłożył platońską wizję jaskini, z miejsca odrzuciły obce pojęcia.

-Angreskie brednie - powiedziała mama Ćhunni, a wszystkie trzy siostry wzruszyły jednocześnie ramionami.

- Kto zrozumie umysły tych zwariowanych typów? -zapytała środkowa Munni tonem przecinającym wszelką dyskusję. - Przecież oni czytają książki od lewej do prawej.

Filisterstwo matek uwydatniało poczucie odrębności Omara Chajjama, choć dopiero powstałe i jeszcze nie w pełni wyartykułowane. A to po pierwsze dlatego, że był dzieckiem utalentowanym, którego talenty nie spotykały się z uznaniem rodziców, po drugie zaś - że, jak sądził, punkt widzenia matek wstrzymywał jego rozwój. Dręczyło go wrażenie, że zagubił się w obłoku, który tu i ówdzie rozpraszał się nieco, oferując widok na nieludzko piękne skrawki nieba... niezależnie od tego, co mrucał do Haszmat Bibi, dla tego chłopca pochmurność nie była pociągająca.

Oto Omar Chajjam skończy niedługo dwanaście lat. Nadal ma nadwagę, jego organ reprodukcyjny, od niedawna pełen wigoru, wciąż ma fałd skórny, który powinien być zostać usunięty. Matki coraz bardziej tracą rozeznanie co do sensu swego życia, natomiast on przeciwnie, nagle staje się zdolny do agresji, jaka do tej pory była całkowicie obca ugodowej naturze grubasa. Proponuję (już wcześniej o tym wspominałem) trzy wyjaśnienia wspomnianego zjawiska: pierwsze to widok czternastoletniej Farah na księżycu powstałym dzięki soczewkom teleskopu; drugie to zakłopotanie związane ze zmienionym głosem, który wymykał się spod kontroli, przechodząc od skrzeków do pisków, do tego zaś jakaś bryłka skakała w gardle niczym korek; i nie wolno nam zapomnieć o trzecim, mianowicie o zmianach, które stosownie bądź niestosownie do wieku należało wiązać z wpływem biochemii dojrzewania na męską osobowość... nieświadome połączenia diabelskich mocy w swoim synu, trzy matki popełniają błąd, pytając Omara Chajjama, co chce dostać na urodziny. Zaskakuje je kwaśną miną.

- Nigdy mi tego nie dacie, więc po co pytać?

Westchnienia przerażonych matek. Sześć dłoni unosi się do trzech głów, pomagając przybrać postawę typu nie-słyszeć-nie-widzieć-nie-mówić-niczego-złego. Matka Ćhunni (dłonie na uszach):

- Jakże on coś takiego może mówić? Ten chłopiec, cóż on plecie?

Środkowa Munni, zerkając z obawą przez palce:

- Najwidoczniej ktoś zdenerwował naszego aniołka. Najmłodsza Bunni odsuwa dłonie od ust, aby nie powiedzieć niczego złego:

- Zapytajmy! Tylko zapytajmy! Czy istnieje coś, czego mogłybyśmy mu odmówić? Czyż na coś nas nie stać?

Wyrzuca to z siebie skowytem:

- Pozwólcie mi opuścić ten okropny dom - a potem w bolesnej ciszy, którą do istnienia powołały jego słowa, dodaje: - powiedzcie, jak się nazywał mój ojciec.

- Zuchwalstwo! Ależ zuchwalstwo ze strony tego smyka! - to Munni, średnia matka.

Potem siostry wciągają ją w krąg, by odbyć tajną naradę; obejmują się na wysokości talii, przybierając pozę dość nieprzyzwoitej jedności, na której widok chłopcu robi się ciężko na żołądku.

-A nie mówiłem? - Udręka w niskich, głębokich pomrukach i w falsetach. - I po co było to ode mnie wyciągać?

Lecz obecnie dostrzec można pewną zmianę. Od strony gromadki matek dobiegają gniewne sylaby, bo po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat prośby chłopca naruszyły jedność sióstr. Klóca się, a kłótnia, wiadomo, to trudne przedsięwzięcie, zwłaszcza między kobietami, które usiłują przypomnieć sobie, kim kiedyś były.

Kiedy się wyłaniają spod zgliszczy rozsadzonej tożsamości, zmuszają się do heroicznego wysiłku, aby udawać przed Omarem, i przed sobą, że nic poważnego się nie stało; ale choć wszystkie trzy obstają przy wspólnie podjętej decyzji, chłopiec orientuje się, że ta zgodność jest z trudem utrzymywaną maską.

- Życzenia twe są zrozumiałe - pierwsza odzywa się najmłodsza Bunni - i przynajmniej jedno powinno być spełnione.

Zwycięstwo go przeraża; korek w gardle podskakuje prawie do języka.

- Cococo? - pyta z obawą.

Munni przejmuje inicjatywę.

- Zamówimy tornister. Dostarczą go nam za pośrednictwem maszyny mistrza Jakuba - oświadcza z powagą. -Pójdiesz do szkoły. Nie powinieneś się zbytnio cieszyć -dodaje - bo kiedy opuścisz ten dom, ludzie będą cię ranić słowami, obrzucać cię nimi na ulicy jak sztyletami. -Munni, najbardziej zagorzała przeciwniczka jego wolności, wyostrzyła sobie język na stali porażki.

Wreszcie najstarsza matka wypowiada swoją kwestię.

- Wracaj do domu, nie wdając się z nikim w żadne bijatyki - poucza - bo w przeciwnym razie będziemy wiedziały, że pozwoliłeś na upokorzenie swej dumy i dopuściłeś do siebie

zakazane uczucie wstydu.

-To byłaby całkowita degradacja - dodaje średnia Munnii.

To słowo: wstyd. Powinienem napisać je w oryginalnej postaci, nie w tym szczególnym języku, skażonym mylnymi pojęciami i przeładowanym odpadami z nie żałowanej przeszłości swych właścicieli, nie po angielsku, bo tak zmuszony jestem pisać i na zawsze zmieniać wszystko, co zostało opisane...

„Śarm”, oto słowo, o które chodzi. Marny „wstyd” jest jego całkowicie nietrafnym przekładem. Trzy litery, .*Shìn rè mìm* (pisane, rzecz jasna, od prawej do lewej); do tego zabary, czyli znaczki wskazujące na krótkie samogłoski. Słowo niedługie, lecz zawierające encyklopedie niuansów. Wstyd nie był jedynym uczuciem, którego matki zabroniły odczuwać Omarowi. Chodziło im również o hańbę, zakłopotanie, zmieszanie, poczucie przyzwoitości, skromności, onieśmienie, wrażenie, że jest się przypisanym do określonego miejsca, oraz inne odmiany emocji, dla których w angielskim nie istnieją odpowiedniki. Nieważne, jak zdecydowanie ucieka się z jakiegoś kraju, człowiek zawsze musi dźwigać podręczny bagaż; i czyż można wątpić, że na Omara Chajjama (bowiem na nim się skoncentrujemy), któremu w dzieciństwie zabroniono odczuwać wstyd (czasownik nieprzechodni: śarmana), ów zakaz oddziaływał przez długie lata, tak, jeszcze długo po ucieczce ze strefy wpływu swoich matek?

Czytelnik: w żaden sposób.

Co jest przeciwieństwem wstydu? Co pozostanie, gdy się usunie śarm? To oczywiście: bezwstyd.

Dzięki wrodzonej dumie swych rodzicielek i osobliwych warunków życia Omarowi Chajjamowi Śakilowi w wieku lat dwunastu było całkowicie obce uczucie, któremu teraz zabraniano mu ulegać.

- Jak to się odbiera? - zapytał, a matki, dostrzegając, że jest zdezorientowany, podjęły próbę wyjaśnienia.

-Człowiekowi płoną policzki - odpowiedziała najmłodsza Bunni - ale drży mu serce.

-Kobiety mają ochotę się rozplakać i umrzeć -oświadczyła mama Ćhunni - lecz mężczyźni, cóż, ich to doprowadza do wściekłości.

- Z wyjątkiem tych przypadków - mruknęła średnia matka profetycznym tonem przekory - kiedy dzieje się całkowicie odwrotnie.

Rozdział trzech matek na osobne istoty stawał się w kolejnych latach coraz bardziej i bardziej widoczny. Potrafiły się wyklócać o niesamowite drobiazgi, na przykład o to, która

przygotuje listę zakupów do przekazania windą na zewnątrz albo gdzie będą piły poranną herbatkę miętową do ciasteczek, w salonie czy na tarasie. Mogło się zdawać, że wysyłając syna na zalane promieniami słońca areny miasta, same wystawiały się na to właśnie, czego jemu chciały oszczędzić podczas doświadczania wolności; jak gdyby w dniu, kiedy po raz pierwszy świat ujrzał Omara Chajjama, trzy siostry zostały w końcu przeszyte zakazanymi strzałami śarm. Przestały się spierać dopiero wtedy, gdy przedsięwziął swą kolejną, drugą ucieczkę; lecz właściwie już nigdy nie zjednoczyły się ponownie, póki nie zdecydowały się powtórzyć aktu macierzyństwa.

Istnieje jeszcze bardziej zdumiewająca kwestia, o której w tym miejscu wypada wspomnieć. Oto, w czym rzecz: kiedy podzieliła je kwestia urodzinowego podarunku dla Omara Chajjama, okazało się, iż nazbyt długo pozostawały nierozróżnialne, aby zachować dokładne wyobrażenie tego, jakie były poprzednio - no cóż, mówiąc wprost, w efekcie podzieliły się źle i wszystko się wymieszało. Najmłodsza, Bunni, zaczęła się zachowywać wyniośle niczym królowa, co powinno być przywilejem najstarszej z rodzeństwa, i przedwcześnie posiwała; tymczasem ważna Ćhunni stała się duchem chwiejnym, niepewnym, siostrą umiarkowania i środka; Munni natomiast zaczęła się zachowywać teatralnie, jak rozkapryszona końska mucha, co w każdym pokoleniu tradycyjnie najbardziej przystoi dziecku i niezależnie od jego wieku, prawem dziecka pozostaje. W chaosie regeneracji niewłaściwe głowy trafiły do niewłaściwych korpusów; siostry stały się psychologicznymi centaurami, syrenami, hybrydami; i oczywiście skutek tej beładnej separacji osobowości był taki, że nadal nie były rzeczywiście oddzielone; można bowiem je było zrozumieć tylko wówczas, gdy się o nich myślało jako o pewnej całości.

Któż nie chciałby uciec od takich matek? Po latach Omar Chajjam zazwyczaj wspominał swoje dzieciństwo „jak opuszczony kochanek wspomina ukochaną, która pozostaje niezmienna na wieki, niepodatna na procesy starzenia się, pozostaje wspomnieniem uwiecznionym w kręgu płomieni serca. Tylko że on wspominał z nienawiścią zamiast z miłością; i nie było płomieni, tylko lód. Tamten drugi Omar napisał wielkie dzieła z miłości; historia naszego bohatera jest bardziej uboga, bo bez wątpienia tonie w żółci.

I można by z łatwością dowieść, że już w dzieciństwie rozwinęły się u niego wyraźne skłonności mizoginiczne. Że wszystkie jego późniejsze kontakty z kobietami były w istocie aktami zemsty na wspomnieniach o matkach. Lecz na usprawiedliwienie Omara Chajjama powiadam: przez całe życie, bez względu na to, co kiedykolwiek czynił oraz kim się stał, wypełniał synowskie obowiązki i płacił długi. Właściciel lombardu, sahib Ćalak, przestał składać wizyty przy windzie; to zaś wskazuje wyraźnie na istnienie miłości, w pewnym

sensie... ale na razie Omar jeszcze nie dorósł. Oto dostarczono tornister via urządzenie mistrza Jakuba; oto tornister jest na plecach dwunastoletniego uciekinierologa; oto chłopiec wchodzi do windy i tornister rozpoczyna powrót na ziemię. Na dwunaste urodziny Omar Chajjam zamiast tortu otrzymał wolność; do tornistra zaś zeszyty w niebieskie linie, tabliczki - łupkową oraz zmywalną, drewnianą - kilka gęsich piór do uprawiania się w sinusoidalnej pisowni ojczystego języka; kawałki kredy, ołówki, drewnianą linijkę, pojemnik z przyrządami geometrycznymi, kątomierz, kompas. Do tego małe, aluminiowe pudełko służące do usypiania żab eterem. Z ekwipunkiem do zdobywania nauki na plecach Omar Chajjam opuścił matki, które w milczeniu (i nadal unisono) pokiwały mu na pożegnanie.

Omar Chajjam nigdy nie zapomniał chwili, kiedy wyłonił się z windy i stanął w pyle ziemi niczyjej otaczającej wysoką rezydencję jego dzieciństwa, która sterczała niczym parias pomiędzy dzielnicą wojskową a miastem; ani widoku komitetu powitalnego, którego jeden z członków trzymał najoryginalniejszą w świecie girlandę.

Kiedy Zinat Kabuli, żona najbardziej szanowanego w mieście handlarza towarami ze skóry, odebrała zamówienie sióstr na tornister od sługi, którego raz na dwa tygodnie wysyłała pod windę, zgodnie ze stałym zleceniem sióstr Śakil, wówczas bez zwłoki pobiegła do domu najlepszej przyjaciółki, wdowy Faridy Balloch, która mieszkała ze swoim bratem Bilalem. Tych troje ludzi - którzy nigdy nie przestali wierzyć, iż śmierć, która zaskoczyła Jakuba Ballocha na ulicy, była bezpośrednim skutkiem nawiązania przez niego kontaktu z tymi pustelnicami - doszło do wniosku, że cielesny produkt dawnego skandalu pokaże się wkrótce w jasnym świetle dnia. Zajęli stanowiska niedaleko rezydencji Śakilów i zaczęli czekać na to wydarzenie, lecz nie wcześniej, niż Zinat Kabuli wyciągnęła z pomieszczenia na tyłach swego sklepu konopny worek wypełniony starym, butwiejącym obuwiem, sandałami i kapciami, które na rynku nie mogły już dla nikogo mieć żadnej realnej wartości, zniszczone buty, które leżały, jakby czekając na laką okazję, i które połączone tworzyły najgorszą z możliwych obelg, to znaczy naszyjnik.

- Osobiście zawieszę tę bucianą girlandę - przysięgła Zinat Kabuli - na szyi dzieciaka.

Trwające tydzień oczekiwanie Faridy, Zinat i Bilala nieuchronnie musiało zwrócić na siebie uwagę innych, nic zatem dziwnego, że gdy Omar Chajjam wyskoczył z windy, towarzyszyli im rozmaici gapie, kpiarze, kocmołuchy, bezrobotni urzędnicy i praczki idące do rzeki. Miedzy nimi obecny był również miejski listonosz, Muhammad Ibadalla, z gattą na czole, trwałym sińcem, który pozwalał się domyślać, że jego nosiciel jest fanatykiem religijnym przyciskającym czoło do maty modlitewnej co najmniej pięć razy dziennie i

najprawdopodobniej jeszcze szósty raz, nieobowiązkowy. Ów Ibadalla znalazł zajęcie dzięki podejrzanym wpływom brodatego węża, który stał za nim w upale, miejscowego kapłana, sławetnego maulany Dawuda, jeżdżącego po mieście skuterem, podarunkiem od angreskich sahibów, i straszącego obywateli potępieniem. Otóż okazało się, że ów Ibadalla wściekł się z tego powodu, iż panie Śakil postanowiły nie wysyłać listu do dyrektora szkoły w Cantt za pośrednictwem poczty. W zamian włożyły pismo do koperty i przekazały je windą kwiaciarce Azrze razem z drobną opłatą. Ibadalla od pewnego czasu zalecał się do Azry, lecz ona się z niego naśmiewała: „Nie obchodzi mnie typ, który spędza tak dużo czasu, trzymając tyłek powyżej głowy”. Zatem decyzja siostr, aby powierzyć list właśnie jej, dotknęła listonosza jako osobista zniewaga, sposób na podważenie jego pozycji i kolejne świadectwo ich bezbożności - bo czyż poprzez ten niecny wybryk korespondencyjny nie sprzymierzyły się z tą dziewczką, która skrzeczącym głosem kpiła sobie z modlitwy?

- Spójrzcie - wrzasnął nagle, kiedy Omar Chajjam stanął na twardym gruncie - oto szatańskie nasienie!

Teraz wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Ibadalla, doprowadzony do furii za sprawą Azry, przemówił pierwszy, przez co ściągnął na siebie gniew patrona, maulany Dawuda, i naraził się na utratę poparcia kapłana, a w konsekwencji przyszłego awansu, dlatego też jeszcze bardziej znienawidził ród Śakilów; maulana Dawud uważał, rzecz jasna, iż to do niego należy prawo przypuszczenia pierwszego ataku na żalosny, gruby, przedwcześnie dojrzewający symbol wcielonego zła. W próbie odzyskania inicjatywy, Dawud runął na kolana u stóp Omara; bijąc czołem w piach przy czubkach butów chłopca, zawołał:

- O Boże! O Panie, pogromco grzeszników! Spuść na tę ludzką obrzydliwość strugę skwierczącego ognia!

Et cetera. To groteskowe przedstawienie wielce zirykowało trójkę, która od początku stała na czatach.

- Czyj mąż zmarł z powodu windy? - syknęła Farida Balloch do swoich przyjaciół. - Może tego rozwrzeszczanego starca? No i kto ma największe prawo się teraz odzywać?

Jej brata Bilala nie powstrzymały przemowy; ze sznurem butów w dłoni ruszył do przodu, rycząc donośnym głosem, który niemal dorównywał mocą legendarnemu głosowi jego imiennika, owego pierwszego, czarnego Bilala, muezina Proroka:

- Chłopcze! Świadectwie hańby! Uważaj się za szczęśliwca, że nie robię nic więcej! Myślisz, że nie potrafiłbym cię zgnieść jak komara?

W tle niczym ochryple echo wtórowali ulicznicy, praczki, urzędnicy: „Szatańskie nasienie! Strugo ognia! Czyj mąż zmarł? Jak komara!” Krąg ludzi zacieśniał się;

Ibadalla, maulana i trójka mścicieli zbliżali się, podczas gdy Omar stał nieruchomo jak zahipnotyzowana przez kobrę mangusta, ale wszystko wokół niego ożywało, odradzały się uśpione dwunastoletnie uprzedzenia... Bilal nie mógł już dłużej czekać, ruszył bardziej zdecydowanie w kierunku chłopca, kiedy Dawud prostował się po raz siedemnasty; girlanda z butów poszybowała w stronę chłopca; dokładnie gdy maulana wracał do pionu, aby zawyć do Boga, chude gardło znalazło się między poniżającą girlandą a celem; w następnej chwili, jak się mogli wszyscy zorientować, fatalny naszyjnik zawinął się wokół szyi kapłana.

Omar Chajjam zaczął chichotać: przecież strach może się tak objawiać. A ulicznicy zachichotali wraz z nim; nawet wdowa po Ballochu musiała wstrzymać śmiech, aż łzy napłynęły jej do oczu. W owym czasie ludzie nie przepadali za sługami bożymi tak bardzo, jak to się podobno dzieje teraz... Maulana Dawud podniósł się, a z jego oczu wзираła śmierć. Ale ponieważ nie był głupi, czym prędzej odwrócił się od olbrzyma Bilala i wyciągnął swoje szpony po Omara, którego z opresji wybawiła błogosławiona osoba torującego sobie drogę łokciami przez tłum pana Eduarda Rodriguesa, dyrektora szkoły, który został wezwany, aby odprowadzić nowego podopiecznego do klasy... Rodriguesowi towarzyszyło pewne zjawisko tak radosne, że nieco szalony Chajjam natychmiast zapomniał o niebezpieczeństwie, które było tak blisko. „Poznaj Farah - powiedział Rodrigues - jest od ciebie od dwie klasy wyżej”. Zjawisko spojrzało na Omara; potem na mężczyznę z bucianym naszyjnikiem, który w złości zupełnie zapomniał o zdjęciu tej wątpliwej ozdoby; odchyliło do tyłu głowę i wrzasnęło.

- Boże, jar¹¹ - rzuciła pod adresem Omara, wypowiadając bez żenady bluźnierstwo już w pierwszym słowie -dlaczego nie zostałeś w domu? I bez ciebie w tym mieście pełno jest głupców.

¹¹ Jar - przyjaciel.

Rozdział trzeci

Topnienie lodu

Chłodna, biała jak lodówka, wnosila się pośród agresywnie zielonych traw: szkoła w dzielnicy wojskowej. W jej ogrodach kwitły także drzewa, ponieważ angrescy sahibowie skierowali znaczną część skąpych zasobów wody do węży, z którymi ogrodnicy Canttu spacerowali wokoło całymi dniami. Było oczywiste, iż dziwaczeni, szarzy osobnicy z deszczowego świata północy nie mogliby przeżyć tam, gdzie nie rosną takie rośliny, jak trawa, bugenwille, tamaryndowce i drzewka chlebowe. Co do drzewek rodzaju ludzkiego, to w szkółce tej hodowano odmianę białą (szarą), jak również oliwkową podzieloną według wieku na grupy od trzech do siedemnastu lat. Lecz wśród ośmiolatków i starszych liczba Angrezów gwałtownie spadała, a dzieci w starszych klasach były niemal wszystkie oliwkowe. Co się działo z białoskórymi dziećmi po ich ósmych urodzinach? Umierały, rozplływały się w powietrzu, następowało u nich zwiększone wydzielanie melaniny do skóry? Nie, nie. Aby uzyskać pełną odpowiedź, trzeba by przeprowadzić szeroko zakrojone badanie starych ksiąg rachunkowych kompanii statków parowych i pamiętników dawno już zmarłych dam, w których angrescy kolonialisci zawsze wspominali o ojczystym kraju, który był w istocie ziemią niezamężnych ciotek i innych, dalszych krewnych w linii żeńskiej, dokąd posyłano dzieci, by uchronić je przed szkodliwymi wpływami orientalnego wychowania... lecz przeprowadzenie tego rodzaju badań przerasta możliwości autora, który bez zwłoki musi porzucić tego rodzaju poboczne kwestie.

Szkoła to szkoła; każdy wie, na czym polega. Omar Chajjam był grubasem, zatem dostawał to, co się grubasom w szkole należy, był przedmiotem kpin, jego kark-celem papierowych kulek zamoczonych w atramencie; przezywano go, dostał kilka lań, ot, nic specjalnego. Kiedy koledzy ze szkoły zorientowali się, że nie będzie reagował na żadne drwiny ze swojego niezwykłego pochodzenia, po prostu zostawili go w spokoju, ograniczając się do sporadycznych rymowanek. To mu znakomicie odpowiadało. Pozbawiony wstydu, przyzwyczajony do samotności, był prawie niewidzialny. Zajął pozycję na marginesie szkolnego życia i czerpał zastępczą przyjemność, obserwując aktywność wokół siebie, świętując w milczeniu wzloty i upadki tego czy tamtego władcy szkolnego podwórka albo niepowodzenia egzaminacyjne szczególnie obrzydłych kolegów z klasy - przeżywał typowe radości widza.

Pewnego razu, zupełnie przypadkowo, stał w cieniu drzew i przyglądał się, jak dwaj

starsi chłopcy zapamiętali obdarzają się pieścizkami schowani za płomieniami laski. Obserwując ich zachowanie, poczuł dziwnie przyjemną satysfakcję i postanowił poszukać innych okazji do przeżycia podobnych wrażeń. Kiedy był starszy i pozwalano mu dłużej pozostawać poza domem, nabrał biegłości w tych ponadobowiązkowych zajęciach; miasto powoli odsłaniało swe tajemnice przed jego wszechobecnymi oczami. Mimo kurzej ślepoty śledził spotkania listonosza Ibadalli z wdową po Ballochu oraz, w innym miejscu, jego schadzki z jej najlepszą przyjaciółką Zinat Kabuli; zatem sławetny przypadek, kiedy w jakimś parowie listonosz, handlarz artykułami skórzanymi i wrzaskliwy Bilal ruszyli na siebie z nożami, co skończyło się śmiercią całej trójki, nie był dla Omara żadną tajemnicą; lecz chłopiec okazał się jeszcze zbyt niedojrzały, aby zrozumieć, dlaczego Zinat i Farida, które, kiedy wszystko się wydało, miały wszelkie powody do wzajemnej nienawiści, po tym potrójnym zabójstwie jakoś się spiknęły i żyły ze sobą w niezłomnej przyjaźni i niezłomnym celibacie przez resztę swych dni.

Trzeba to przedstawić otwarcie: co Omar rozpoczął na odległość, posługując się teleskopem, teraz kontynuował z bliska. Bez obaw posłużmy się słowem „podglądacz”, skoro (w kontekście teleskopu) użyła go już Farah Zoroaster. Jeśli nazwalibyśmy Omara podglądaczem, powinniśmy także dodać, że nigdy nie został przyłapany, inaczej niż pewien zuchwały gość z Agry, którego, jak powiadają, przyłapano na podglądaniu ponad wysokim murem budowy Tadż Mahal. Jak głosi legenda, wyłupiono mu oczy; tymczasem patrzalki Omara Chajjama były szeroko otwarte przez jego voyeuryzm, który odsłonił przed nim zarówno nieskończenie bogatą i tajemniczą fakturę ludzkich losów, jak i słodko-kwaśne uroki życia za pośrednictwem innych osób.

Pod pewnym względem odniósł całkowitą porażkę. Nie trzeba chyba dodawać, iż to, co ukrywały przed nim matki w ciągu dwunastu lat, on jako uczeń odkrył w ciągu dwunastu minut, to znaczy opowieść o legendarnym przyjęciu, na którym wąsaci oficerowie zostali poddani oględzinom, następnie ocenie, potem zaś... Omar Chajjam Śakil podporządkował się matczynym poleceniom i nie angażował się w żadne potyczki na pięści, gdy ktoś próbował mu dokuczyć, nawiązując do tej historii. Jakby egzystował w jakimś moralnym raju, bo na zniewagi reagował obojętnością; lecz po jakimś czasie zaczął się uważnie przyglądać angreskim dżentelmenom, szukając znaków szczególnych, starając się znaleźć podobieństwo do siebie w ich twarzach, czekając na nagłe objawienie w bezwiednym wyrazie twarzy albo w przypadkowym geście, geście, który zdradziłby tożsamość nieznanego męskiego protoplasty. Nie odniósł sukcesu. Może jego ojciec już dawno wyjechał i mieszkał, jeśli żył, w jakimś nadmorskim bungalowie, dokąd docierały fale tęsknoty za horyzontami przebrzmiałej

wspaniałości, dotykał opuszkami palców kilku mizernych pamiątek - rogów myśliwskich z kości słoniowej, nepalskich kukri¹², fotografii z polowania na tygrysy u maharadży - które na kominkach jego schyłkowych lat przechowały zamierające echa przeszłości, niczym muszle szumiące o odległych morzach... lecz są to tylko bezowocne przypuszczenia. Ponieważ Omar nie był w stanie zlokalizować biologicznego ojca, sam sobie wybrał jednego spośród szkolnego personelu, obdarzając bezkrytyczną akceptacją pana Eduarda Rodriguesa, nauczyciela, który dopiero niedawno przybył do K, wyszedłszy w pogodnym usposobieniu z autobusu przed kilku laty, ubrany w białe szaty, w białym kapeluszu na głowie i pustą klatką na ptaki w ręku.

Dorzucę jeszcze słowo o podglądactwie Omara Chajjama: trzy matki same zaczęły wieść zastępcze życie obserwaterek, nie mogły się powstrzymać, aby w tych dniach słabnącej woli z zapałem nie wypytywać go, kiedy tylko wrócił ze szkoły, o damską modę, szczegóły miejskiego życia i plotki o nich samych; od czasu do czasu przysłaniały twarze szalami, tak więc stało się jasne, że nie mogły dłużej odgradzać się od uczucia, które wykleły... szpiegując za pośrednictwem niewiarygodnych oczu swojego syna (bo naturalnie nie mówił im wszystkiego), ich własny zastępczy voyeuryzm przyniósł taki skutek, jaki zgodnie z tradycją powinien był przynieść: to znaczy osłabił ich zasady moralne. Może właśnie dlatego odważyły się myśleć o powtórzeniu zbrodni.

Pan Eduardo Rodrigues był cienki i ostry jak ołówki z jego wspaniałej kolekcji, nikt zaś nie wiedział, ile ma lat. W zależności od kąta, pod jakim światło padało na jego twarz, mógł uchodzić za bystrookiego, zuchwałego nastolatka albo za przygnębionego człowieka, który już przeżył połowę swych dni. Niepojęty południowiec, wykreował się w miasteczku na postać bardzo zagadkową, bo kiedy przeszedł bezpośrednio z przystanku autobusowego do szkoły, tak mu się udało pokierować rozmową, że jeszcze przed nastaniem nocy dostał posadę nauczyciela. „Trzeba być niezwykłym - brzmiało jedyne wyjaśnienie, jakie przedstawiał - jeśli chce się szerzyć Słowo”.

Mieszkał w purytańskim pokoju niczym gość jednego z mniej zamożnych angreskich sahibów, któremu należało zapłacić za nocleg. Na ścianach powiesił krucyfiks i przykleił sporo tanich obrazków wyciętych z kalendarzy, przedstawiających balsamiczne wybrzeża, gdzie drzewa palmowe kołysały się na tle niemożliwie pomarańczowych zachodów słońca i wznosiła się barokowa katedra, częściowo zarośnięta pnączami, a w zatoczce kołysały się łodzie z

¹² Kukri - krótki, zakrzywiony nóż, używany głównie przez Gurkhów.

żaglami w kształcie płomieni. Omarowi Chajjamowi Śakilowi i Farah Zoroaster, jedynym uczniom, którzy kiedykolwiek wstąpili do tego przybytku, nie udało się tutaj dostrzec niczego osobistego; tak jakby Eduardo ukrywał przeszłość przed ostrymi promieniami pustynnego słońca, aby nie wyblakła. Pustka mieszkania nauczyciela była tak oślepiająca, że Omar Chajjam dopiero podczas trzeciej wizyty dostrzegł tanią klatkę, stojącą na jedynym w pokoju kredensie, klatkę, z której już dawno zaczęła schodzić pozłota i która była tak samo pusta jak w dniu pojawienia się Rodriguesa na przystanku autobusowym.

-Jak gdyby przyjechał tutaj schwytać ptaka i nie mógł, głupiec - szepnęła z pogardą Farah.

Eduardo i Omar - każdy z nich był outsiderem na swój własny sposób - może i zbliżyliby się do siebie, dostrzegłszy choćby podświadomie wzajemne podobieństwo; lecz jednocześnie działały inne siły. Owe moce można by bez trudu zebrać i umieścić pod wspólnym nagłówkiem, ale tę frazę także już przedstawiono, chodzi o „klęskę w zalotach”.

Nie umknęło uwagi miejscowych plotkarzy, że Eduardo przybył - klatka w rękę, fedora na głowie - zaledwie po dwóch miesiącach od czasu, gdy przysłano w te rejony celnika Zoroastra - minus żona, plus ośmioletnia córka. Nie trzeba było długo czekać, by handlarze mułami i żelastwem oraz wyposażeni w skutery duchowni doszli do przekonania, że poprzednia placówka owego Zoroastra znajdowała się w tej samej strefie porośniętych pnączami katedr i kokosowych plaż, których wspomnienie można było wywąchać z białego garnituru Rodriguesa i jego portugalskiego nazwiska. Przekazywano z ust do ust: „A gdzie się podziała żona celnika? Rozwiodła się, została odesłana do matki, zamordowana w szale namiętności? Spójrzcie na tę Farah, wcale do taty niepodobna, nic a nic!” Lecz te same języki musiały przyznać, że Farah Zoroaster także do nauczyciela nie była podobna ani na jotę, zatem tę uliczkę, acz niechętnie, uznano za ślepą, zwłaszcza kiedy się okazało, że Rodrigues i pan Zoroaster są w nader serdecznych stosunkach. „Dlaczego więc celnik daje się wypchnąć do roboty na taki kraniec świata?” Odpowiedź Farah była zupełnie prosta:

- Mój głupi ojciec jest typem, który zaczyna śnić, zaraz jak się obudzi. Jemu się zdaje, że pewnego dnia wrócimy tam, gdzie nigdy nie byliśmy, do jakiegoś zakichanego Ahury Mazdy¹³, a to irańskie pogranicze znajduje się najbliżej tamtego miejsca. Czy to się mieści w głowie? - zawyła. - On zgłosił się na ochotnika!

Plotka jest jak woda. Bada powierzchnie, szukając słabszych punktów, aż wybierze

¹³Ahura Mazda - bóg dobra i światła, walczy z Arymanem, bogiem zła i ciemności; jednemu i drugiemu pomagają odpowiednio dobre i złe duchy.

sobie najbardziej dogodnie miejsce do przemknienia; zatem było jedynie kwestią czasu, kiedy dobrzy ludzie z K. natrafiają na najbardziej haniebne, najbardziej skandaliczne wyjaśnienie spośród wszystkich możliwych. O Boże, dojrzały mężczyzna zakochał się w dziecku. Eduardo i Farah: sądzicie, że to się nie może zdarzyć, a tu masz, zdarza się codziennie, pomyśleć, że jeszcze przed kilku laty był ten drugi... tak, tak z pewnością było, ci chrześcijanie są wielkimi zbrodźcami, niech nas Bóg uchwata, więc on ruszył za swoją wszetecznicą na sam kraniec wszechświata, kto wie, jak taka potrafi zachęcić, bo w końcu kobieta wie, jak dać do zrozumienia mężczyźnie, czy go pragnie, czy nie pragnie, pewnie, nawet ośmiolatka, takie coś ma się we krwi.

Ani Eduardo, ani Farah nie robili nic, co mogłoby w jakimkolwiek stopniu wskazywać, iż plotki opierają się na rzeczywistych wydarzeniach. Nie ulega wątpliwości, że Eduardo nie ożenił się w okresie, kiedy Farah zmierzała ku dojrzałości; ale prawdą jest także to, że Farah, znaną skądinąd jako „Kłęska”, nazywano również „bryłą lodu” - ze względu na poniżejzerowy chłód, jaki przejawiała wobec swych licznych adoratorów, oziębłość, która się rozciągała także na jej związki z Eduardem Rodriguesem. Jasne jest, że umiejętnie zachowują pozory, nie sądzicie? W tych plotkach była zawarta triumfalna nuta -ostatecznie przecież musiały się one opierać na faktach... Omar Chajjam Śakil, mimo uwielbienia dla oglądania i słuchania, udawał, że nie docierają do niego te wszystkie historie; cóż, takie są objawy miłości. Udawał, bo i tak przeniknęły one do środka, zapadły głęboko pod skórę, dostały się do krwi i przepłynęły do serca niczym małe drzazgi; aż w końcu również siebie przekonał, że jest winny chrześcijańskiej perwersji nauczyciela Rodriguesa. Kiedy bowiem wybierasz sobie ojca, wybierasz jednocześnie swoje dziedzictwo. (Ale Sufija Zinobia musi jeszcze parę stron poczekać.)

Dotychczas zbyt wiele akapitów zajęły mi plotki; wróćmy przeto na twarde grunty: do Eduarda Rodriguesa, który przy boku otoczonej aurą plotek Farah pierwszy raz zabierał Omara Chajjama do szkoły; do faktu zaświadczonego o pozostałościach wpływów, jakie miało w miasteczku nazwisko Śakil. W ciągu kilku miesięcy Eduardo odkrył u Omara nadzwyczajną łatwość uczenia się i napisał do jego matek list, oferując w nim swoje usługi w charakterze prywatnego korepetytora, który mógłby pomóc zrealizować potencjał ich dziecka. Prawdą jest, że matki Omara zgodziły się z sugestią dyrektora szkoły i że jedynym innym prywatnym uczniem Eduarda była Farah Zoroaster, której ojciec został zwolniony z ponoszenia wszelkich opłat, ponieważ Eduardo był nauczycielem prawdziwie oddanym; i po trzecie to, że z upływem lat Omar, Eduardo i Farah stanowili w miasteczku dość powszechny widok.

To właśnie Rodrigues, obdarzony talentem wypowiedzenia słów wielkimi literami,

zasugerował Omarowi obranie kariery lekarskiej. - Aby Osiągnąć Sukces w Życiu - powiedział chłopcu, stojąc gdzieś pomiędzy pocztówkami przedstawiającymi plażę i pustą klatką - Trzeba Uchwycić Istotę Rzeczy. Tak. Zajmij się tym, co Najistotniejsze, to Przepustka... bez kogo Nie Można się Obyć? A jakże, bez gościa, który Rozdziela! To znaczy który Dozuje, Dawkuje, Diagnozuję, Przepisuje Lekarstwa. Bądź Lekarzem; oto, Kogo dostrzegam w Tobie.

(Moim zdaniem) Eduardo dopatrywał się w Omarze sporych możliwości jego prawdziwej peryferyjnej natury. Bo kimże jest przede wszystkim lekarz? Legalnym podglądaczem, obcym, intruzem, któremu pozwalamy wtykać palce, a nawet dłonie tam, gdzie innym nie pozwolilibyśmy wetknąć choćby koniuszka palca, który Kupi się otwarcie na to, co z największą skrupulatnością staramy się ukryć; kwoką czuwającą przy łóżku, outsiderem dopuszczonym do najbardziej intymnych chwil ludzkiego życia (urodziny, śmierć etc.), anonimową, pomniejszą postacią, lecz zarazem - paradoksalnie - centralną, zwłaszcza w momentach kryzysowych... tak, tak. Eduardo był przewidującym nauczycielem, bez dwóch zdań. A Omar Chajjam, który wybrał Rodriguesa na ojca, nigdy nawet nie pomyślał, aby mu się przeciwstawić. Tak się właśnie kształtują losy ludzkie.

Lecz nie tylko; również pod wpływem książek o pozaginanych rogach, odkrywanych przypadkiem w domu, i przez długo tłumione pierwsze miłości... kiedy Omar Chajjam Śakil miał szesnaście lat, został rzucony w wir trwożliwej radości, ponieważ Farah Parsyjka, Kłęska Zoroaster, zaprosiła go pewnego dnia do zwiedzenia posterunku celnego swego ojca.

„...i zemdlął, choć chwilę wcześniej jego obie stopy stały na twardym gruncie”. Dotychczas dowiedzieliśmy się już trochę o tym, do czego doszło na granicy: jak chmury opadły, a Omar Chajjam stracił przytomność, biorąc to za senny koszmar z dzieciństwa, o otchłani na krańcu świata. Możliwe, iż w chwili omdlenia przyszła mu do głowy myśl, którą urzeczywistnił później tego samego dnia.

Ale wprzód szczegóły: Jakim tonem Farah wypowiedziała zaproszenie? - Beznamiętnym, suchym: „Nie obrażę się, jeśli nie zechcesz”. Motywacja, skąd się wzięła? - Od Eduarda, który namawiał ją w sekrecie: „To tylko samotny chłopak, bądź miła. Oboje jesteście inteligentni i powinniście trzymać się razem”. (Omar Chajjam był bystrzejszy spośród tej dwójki; choć Farah oczywiście była o dwa lata starsza, zrównał się z nią pod innymi względami i obecnie dorównywał jej poziomem.) Jak szybko Omar przystał na tę propozycję? - Rach-ciach. Pstryk. Od razu albo nawet szybciej.

W weekendy podczas semestru Farah mieszkała w K. w domu pewnego mechanika,

parsa, i jego żony, z którymi ojciec dziewczyny kultywował przyjaźń wyłącznie z tego powodu. Ów mechanik, jakiś tam Dżamsed, który nie zasługuje nawet na opis, specjalnie wybranego dnia podwiózł ich do granicy dżipem, który miał właśnie w naprawie. W miarę zbliżania się do celu Farah miała coraz lepsze samopoczucie, podczas gdy Omar- coraz gorsze...

...Strach przed Krawędzią irracjonalnie w nim narastał, kiedy jechali, a on siedział za Farah w pozbawionym dachu pojeździe, gdy tymczasem jej rozpuszczone, smagane wiatrem włosy migotały przed nim niczym czarne płomienie. Tymczasem ona stawała się coraz bardziej radosna w trakcie jazdy dookoła górskiego grzbietu i przez przełęcz, gdzie przyglądały się im niewidzialne oczy podejrzliwych plemion. Farah lubiła pustkę pogranicza, nieważne, czy szczerze krzywiła się na ojca za to, że podjął się tej nudnej pracy. Zaczęła nawet śpiewać; zdradziła wtedy, że ma wdzięczny głos.

Na granicy: chmury, utrata przytomności, spryskanie twarzy wodą, oprzytomnienie, pytanie: gdzie jest? Omar Chajjam odzyskuje przytomność, by sobie uświadomić, że chmury się podniosły, dostrzec, że granica to zupełnie nieciekawe miejsce: ani tu muru czy policji, ani drutu kolczastego, ani reflektorów, nie ma szlabanów w biało-czerwone pasy, nie ma nic poza rzędem betonowych słupków co sto metrów, słupków wkopanych w twardy, jałowy grunt. Jest mały budynek posterunku celnego i brązowa od rdzy barierka na końcu linii kolejowej; na torach stoi pojedyncza zapomniana platforma, również zbrązowiała z zapomnienia.

- Pociągi już tu nie docierają - powiada Farah. - Nie pozwala na to sytuacja międzynarodowa.

Skromne uposażenie celnika zależy od natężenia ruchu. Nadchodzą towary, celnik zajmuje je w granicach rozsądku, właściciele rozumieją przyczynę, następuje porozumienie, rodzina celnika dostaje nowe ubrania. Nikt nie ma nic przeciwko tym układom; wszyscy wiedzą, jak niewiele zarabiają urzędnicy. Negocjacje są sprawiedliwie i honorowo prowadzone przez obie strony.

Jednak bardzo niewiele pozycji nadających się do oclenia przechodzi przez mały ceglany budynek będący centrum władzy pana Zoroastra. Pod zasłoną nocy członkowie plemion wędrują tam i z powrotem między krajami, przez słupki i skały. Kto wie, co dźwigają tam i z powrotem? Właśnie na tym polega tragedia Zoroastra; choć córka dostawała stypendium, miał trudności z opłaceniem jej wszechstronnego kształcenia. A tak się pocieszał: „Niedługo, całkiem niedługo, otworzą wreszcie linię kolejową...” Lecz również to przekonanie pokrywa się rdzą; celnik patrzy ponad słupkami na ojczyznę, krainę Zaratustry, i próbuje znaleźć ukojenie w jej bliskości, ostatecznie jednak na jego twarzy gości pewne napięcie... Farah Zoroaster klaszcze w dłonie i biegnie do środka i na zewnątrz, między ciągnącymi się w

nieskończoność słupkami.

- Super, nie? - woła. - Ekstra!

Omar Chajjam, aby utrzymać jej pogodny nastrój, go-dzi się, że miejsce jest rzeczywiście całkiem ekstra. Zoroaster wrusza ramionami, nie okazując goryczy, i wycofuje się do biura w towarzystwie kierowcy, wcześniej zaś ostrzega młodych ludzi, aby nie pozostawali zbyt długo w słońcu.

Może rzeczywiście trochę przesadzili i z tego właśnie powodu Omar Chajjam zdobył się na odwagę, aby wy-znać miłość: „Widziana przez mój teleskop” etc., zresztą przytaczanie jego przemowy i dość opryskliwej odpowiedzi Farah nie ma żadnego sensu. W każdym razie Omar Chajjam, odtrącony, wyrzuca z siebie żalosne pytanie: „Dlaczego? Dlaczego nie? Bo jestem gruby?” Farah odpowiada: „Mógłbyś być gruby, nie ma sprawy; ale jest w tobie coś ohydneho, wiesz o tym? Brzydkiego. Nie pytaj mnie co, bo nie wiem. Coś. Z pewnością w twojej osobowości albo coś w tym rodzaju”.

Milczenie do późnego popołudnia. Omara meandry śladem Farah między słupkami. Zauważa, że popękane kawałki lustra zostały przyczepione do wielu słupków sznurkami; kiedy Farah zbliża się do poszczególnych kawałków, widzi skorupki samej siebie odbitej w szkłe i uśmiecha się prywatnym uśmiechem. Omar Chajjam Śakil rozumie, że jego ukochana jest zbyt niezależna, zbyt skryta, aby reagować na konwencjonalne ataki; ona i jej odbicie są bliźniakami, które nie potrzebują nikogo z zewnątrz, aby czuły się dopełnione... a potem, późnym popołudniem, natchniony z powodu nadmiernej dawki słońca albo omdlenia, wpada w końcu na pomysł. Czy byłaś już kiedyś - pyta Farah Zoroaster - zahipnotyzowana? I wtedy ona, po raz pierwszy w historii, spogląda na niego z pewnym zainteresowaniem.

Później, kiedy jej macica zaczęła się powiększać; kiedy zaszokowany dyrektor szkoły wezwał Farah do swego gabinetu i oświadczył, że usuwa ją za ściągnięcie wstydu na szkołę; kiedy z domu wyrzucił ją ojciec, który nagle zorientował się, że jego pusty posterunek celny jest zbyt pełny, aby pomieścić córkę, której brzuch miał niewątpliwie związek z osobliwym, nagannym towarem, czymś w rodzaju kontrabandy; kiedy Eduardo Rodrigues zabrał ją - gdy tymczasem ona ze wszystkich sił starała się uwolnić z jego bezlitosnego uścisku - do kapelana z Canttu i pod przymusem poślubił; kiedy Eduardo, uznawszy się w ten sposób wobec wszystkich za stronę odpowiedzialną, został zwolniony z pracy za nieodpowiednie zachowanie; kiedy Farah i Eduardo wyjechali tongą na stację kolejową, co było godne odnotowania, bo prawie wcale nie mieli bagażu (mieli klatkę, wprowadzie pustą, ale złośliwcy powiadali, że Eduardo Rodrigues zamiast jednego, schwycił dwa ptaszki); kiedy zniknęli i

miasto znowu zamieniło się w spopieloną pustkę po krótkotrwałym wybuchu niegodziwego dramatu, który się rozegrał na jego ulicach... -wtedy Omar Chajjam Śakil starał się, bez powodzenia, znaleźć pocieszenie w fakcie, o którym wie każdy hipnotyzer, że jedno z pierwszych słów w procesie hipnozy, formuła wielokrotnie powtarzana, brzmi następująco: „Uczynisz wszystko, o co cię poproszę, ale nie poproszę cię o nic, czego byś nie chciał”.

Sama tego chciała, powiedział sobie. Gdzie tu wina? Pewnie, że sama musiała tego chcieć; wszyscy wiedzą, na czym polega ryzyko.

Lecz mimo reguły nieczynienia bez chęci czynienia, mimo działań Eduarda Rodriguesa, które do tego stopnia zdradzały jednocześnie zdecydowanie i rezygnację, Że Omar Chajjam niemal dał się przekonać, iż nauczyciel naprawdę jest ojcem (w końcu dlaczego by nie? kobieta, która jest chętna z jednym, na pewno będzie chętna z dwoma!), pomimo wszystko - powiadam - Omara Chajjama Śakila opętał demon i przez niego chłopiec drżał w trakcie śniadania, w nocy robiło mu się gorąco, zimno w dzień, czasem zaś na ulicy albo kiedy jechał do góry windą, zaczynał krzyczeć zupełnie bez powodu. Palce demona odrywały się od żołądka, by bez żadnego ostrzeżenia chwycić za inne wewnętrzne organy Omara, od jabłka Adama zaczynając, a na jelicie grubym (a także cienkim) kończąc, tak że cierpiał okresowo na coś w rodzaju skrętu kiszek i spędzał bezproduktywnie na nocniku wiele godzin. Nie wiadomo dlaczego, rankami nogi tak mu ciążyły, iż czasem nie był w stanie podnieść się z łóżka. Język mu wysychał i strzykało w kolanach. To z kolei wiodło nastoletnie nogi do spelunek z taną brandy. Można było usłyszeć, jak zbliżając się chwiejnym krokiem na spotkanie z wybuchem złości trzech matek, Omar powiada do rozkołysanej grupy kolegów cierpiętników: - W całym tym interesie znalazłem jeden pożytek: nareszcie rozumiem moje matki. Musiały się zamknąć, aby właśnie tego uniknąć, mówię wam, ludzie, kto by tego nie chciał zrobić? -Wymiotując rzadką żółtawą wydzieliną swego wstydu, gdy tymczasem winda zjeżdżała, przysięgł kompanom, którzy zasypiali wprost na ziemi: - Do licha, ja też. I ja muszę przed tym uciec.

Kiedy osiemnastoletni Omar Chajjam, grubszy teraz od pięćdziesięciu melonów razem wziętych, wrócił wieczorem do domu i poinformował Ćhunni, Munni i Bunni, że zdobył stypendium w najlepszym college'u medycznym Karaczi, siostry ukryły żal z powodu bliskiego rozstania, budując wokół tego uczucia potężną barierę z przedmiotów, z najbardziej wartościowych klejnotów oraz obrazów, które zniosły w pośpiechu z poszczególnych pomieszczeń, aż stos zabytkowego piękna urósł przed ich starą, ulubioną huśtawką. - Stypendium to rzecz nadzwyczaj dobra - powiedziała najmłodsza matka - ale skoro nasz chłopiec wybiera się w świat, to także my możemy mu dać pieniądze. - Co oni sobie myślą, ci

doktorzy? - zapytała Ćhunni tonem świadczącym o tym, iż jest bliska furii. - Że jesteśmy zbyt ubogie, aby zapłacić za studia? Niech idą do diabła z tą swoją dobroczynnością, bo twoja rodzina pieniędzy ma pod dostatkiem. -Starych pieniędzy - potwierdziła Munni. Ponieważ nie zdołał ich przekonać, że nagroda w postaci stypendium jest zaszczytem, z którego nie zamierza zrezygnować, Omar musiał udać się na stację kolejową z kieszeniami pełnymi banknotów pochodzących od właściciela lombardu. Wokół szyi miał girlandę, z której setka świeżo ciętych kwiatów wydzielala aromat usuwający całkowicie z pamięci odór naszyjnika z butów. Ów zapach był tak intensywny, że Omar zapomniał przekazać matkom ostatnią plotkę. Podobno Zoroaster, celnik, z powodu łapówkowej pustyni zapadł na jakąś chorobę; wystawał zupełnie nago na betonowych słupkach, podczas gdy kawałki luster kaleczyły mu nogi. Rozłożywszy szeroko ramiona, Zoroaster - nieszczęśnik pozbawiony córki -zwracał się do słońca, błagał, by zstąpiło na ziemię i oczyściło planetę jaskrawym, oślepiającym ogniem. Członkowie plemion, którzy przynieśli tę opowieść na bazar w K., wyrażali opinię, iż żarliwość „człowieka od cła” jest tak ogromna, że jego modlitwa bez wątpienia zostanie wysłuchana, dlatego warto przygotować się na koniec świata.

Ostatnią osobą, z którą Omar Chajjam rozmawiał przed ucieczką z miasta wstydu, był niejaki Ćhand Mohammad, który jakiś czas później powiedział: - Kiedy zacząłem z nim rozmawiać, ten tłusciuch nie sprawiał wrażenia specjalnie przegrzanego, ale gdy skończyłem, wyglądał dwakroć gorzej. Ćhand Mohammad był sprzedawcą lodu. Gdy Omar Chajjam, nadal całkowicie niezdolny do tego, aby otrząsnąć się z okropnego debilizmu, który trzymał go w szponach od incydentu na granicy, wtoczył swoją otyłość do wagonu pierwszej klasy, niemal natychmiast pojawił się Ćhand.

- Upalny dzień, sahib. Potrzebny lód.

Śakil, z początku zadyszany i ponury, odparł szybko:

- Znikaj stąd, innym głupcom sprzedawaj tę swoją zamrożoną wodę.

Ale Ćhand był człowiekiem upartym:

- Sahib, po południu zacznie wiać lu, jeśli nie będziesz miał przy stopach mojego lodu, upał do cna wysuszy szpik W twoich kościach.

Przekonany siłą ostatniego argumentu, Omar Chajjam nabył wąską, blaszaną puszkę, długą na cztery stopy, szeroką na osiemnaście cali, głęboką na stopę, w której leżała twarda bryła lodu, posypana trocinami i piaskiem, by przedłużyć jej żywot. Handlarz, który stękając, dźwigał ją do przedziału, zdobył się na żart.

- Takie jest życie - powiedział - jedna bryła lodu powraca do miasta, a inna wyrusza w

przeciwnym kierunku.

Omar Chajjam rozpiął sandały, postawił nagie stopy na lodzie i poczuł kojący chłód. Oddzieliwszy od reszty więcej rupii niż się należało - bo mu się poprawił humor - zapytał od niechcienia:

- Co za bzdury mi tutaj opowiadasz? W jaki sposób bryła lodu może wrócić po podróży w stanie nieroztopionym? Na pewno masz na myśli puszkę pełną wody.

- Ależ nie, sahib - handlarz lodem wyszczerzył zęby, chowając do kieszeni pieniądze - chodzi o pewną bryłę lodu, która podróżuje, dokąd chce, i wcale się przy tym nie topi.

Krew odpłynęła z tłustych policzków. Pulchne stopy ześlizgnęły się z lodu. Omar Chajjam, rozejrzawszy się strachliwie wokół, jakby sądził, że dziewczyna może się zmaterializować w każdym momencie, odezwał się tonem tak zmienionym przez furję, że sprzedawca lodu przestraszył się i cofnął o krok.

- Ona? Kiedy? Próbujesz obrazić...? - Chwycił handlarza za poszarpaną koszulę, aż biedak nie miał innego wyjścia, tylko powiedzieć wszystko, ujawnić, że tym samym pociągiem, przed kilkoma godzinami, pani Farah Rodrigues (z domu Zoroaster) powróciła bezwstydnie na scenę swej hańby i bez zwłoki udała się na posterunek celny ojca, „mimo że przecież wyrzucił ją na ulicę jak z kubła pomyje, nie do wiary, sahib”.

Kiedy Farah wróciła, nie miała przy boku ani męża, ani dziecka. Nikt nigdy nie dowiedział się, jaki los spotkał Eduarda i dziecko, więc naturalnie mogły krążyć najrozmaitsze opowieści, bo nie można ich było w żaden sposób zakwestionować. O poronieniu, aborcji, choć Rodrigues był katolikiem, o niemowlęciu pozostawionym na skale zaraz po narodzinach, o dziecku uduszonym w kołyszce, o dziecku oddanym do sierocińca względnie porzuconym na ulicy, w czasie gdy Farah i Eduardo niczym szaleni kochankowie mieli kopulować na plażach z tamtych pocztówek albo na wyspie z otoczonym zielenią domem chrześcijańskiego Boga, póki wreszcie nie mieli siebie dosyć i ona go nie porzuciła, póki on (zmęczony jej wyuzdanymi flirtami) jej nie porzucił, póki się wzajemnie nie porzucili, kogo to w końcu obchodzi, w każdym razie wróciła, przeto strzeżcie swych synów.

Farah Rodrigues była zbyt dumna, by rozmawiać z kimkolwiek w K, chyba że w sklepach zamawiała coś do jedzenia albo inny towar; dopiero na stare lata zaczęła zaglądać do pewnych spelunek, gdzie podawano alkohol; właśnie tam, po latach, zwykła wspominać Omara Chajjama, to znaczy kiedy jego nazwisko pojawiło się w gazetach. Podczas nielicznych wizyt na bazarze robiła zakupy, nie patrząc nikomu w oczy, przystając jedynie po to, aby ze szczerym uczuciem zerknąć na siebie w każdym mijanym lustrze, co upewniało mieszkańców

miasteczka, że nie żałuje niczego. Ale nawet kiedy rozeszła się wieść, że wróciła, pragnąc zaopiekować się szalonym ojcem i poprowadzić posterunek celny, uchronić ojca przed zwolnieniem przez jego angreskich zwierzchników, nawet wtedy nastawienie mieszkańców miasteczka nie złagodniało; kto wie, co oni tam broją na odludziu, mówiono, nagi ojciec i jego zepsute dziecko, najlepsze dla nich miejsce to pustynia, gdzie nikt nie musi zaglądać, prócz Boga i Diabła, oni już to wszystko dobrze wiedzą.

Tym pociągiem, ze stopami spoczywającymi znowu na topniejącym lodzie, Omar Chajjam Śakil przeniósł się w przyszłość, żywiąc przekonanie, iż zdołał ostatecznie uciec. Chłodna rozkosz płynąca z tej konstatacji i od lodu przywołała uśmiech na jego usta, mimo że powiał gorący wiatr.

Dwa lata później matki mu doniosły, że ma brata, którego nazwały Babar, nadały mu imię pierwszego władcy z dynastii Wielkich Mogołów¹⁴, który pokonał Góry Niemożliwe i podbił wszystko, co się nadawało do podbicia, gdziekolwiek udało mu się dotrzeć. Potem trzy siostry, raz jeszcze zjednoczone przez macierzyństwo, były przez wiele lat szczęśliwe i niemal nie do rozróżnienia w murach „Niszapuru”.

Kiedy Omar Chajjam przeczytał list, zagwizdał, co bardzo przypominało wyraz podziwu.

- Stare czarownice - rzucił głośno - znowu zdołały tego dokonać.

¹⁴ Babar, Babur, Baber - cesarz (1483-1530), założyciel indyjskiej dynastii Wielkich Mogołów, potomek Czyngis-chana i Timura.

II
POJEDYNEK

Rozdział czwarty

Za ekranem

Jest to powieść o Sufiji Zinobii, starszej córce generała Razy Hajdara i jego żony Bilquis, o tym, co się wydarzyło między jej ojcem i przewodniczącym Iskandrem Harappą, poprzednim premierem, obecnie już zmarłym, oraz o jej zaskakującym małżeństwie z niejakim Omarem Chajjamem Śakilem, lekarzem, grubasem i przez jakiś czas bliskim kumplem wspomnianego Isky'ego Harappy, którego szyja miała tę cudowną właściwość, że nie powstawały na niej zasinienia, nawet po szubienicznej pętli. Albo może byłoby trafniej powiedzieć - przy tym zaś jednak mniej zrozumiale - że w tej książce przewija się wątek Sufiji Zinobii.

Tak czy inaczej, jak tu poznawać jakąś osobę, nie zdobywszy wcześniej wiedzy o jej pochodzeniu? Muszę więc postępować zgodnie z określoną zasadą i wyjaśniać, jak do tego doszło, że Bilquis coraz bardziej bała się gorącego południowego wiatru zwanego lu.

Ostatniego ranka w swoim życiu ojciec Bilquis, Mahmud Kemal, znany jako Kobieta Mahmud, ubrał się jak zwykle w połyskujący dwuczęściowy garnitur, upstrzony jaskrawymi smugami czerwieni, spojrzął z aprobatą na swoje odbicie w bogato zdobionym lustrze, które zabrał z foyer swego kina z uwagi na piękną ramę pełną nagich cherubinów strzelających z łuku i dmiających w złote rogi, uściskał osiemnastoletnią córkę i obwieścił: - Widzisz zatem, moje dziewczę, ojciec twój ładnie się Ubrał, tak jak to wypada wysokiemu urzędnikowi administracji wspaniałego imperium. - A przy śniadaniu, kiedy zaczęła usłużyć przy stole łyżką khićri na jego talerz, W przypływie dobrodusznej złości zawołał: - Dlaczego podnosisz rękę, córko? Książniczka nie usługuje przy stole. - Bilquis spuściła głowę i popatrzyła z lewego ukosa, po czym ojciec krzyknął z wyrazem zachwytu: - O tak, znakomicie, Billu! Wyborne maniery, daję słowo!

Fakt to dziwny, lecz prawdziwy, że miasto bałwochwalców, w którym ta scena się rozegrała - nazwijmy je Indraprastha, Purana Kila lub choćby Delhi - było często rządzone przez ludzi (jak Mahmud) wierzących w Al-Laha, Boga. Ich dzieła zaśmiecają miasto do dzisiaj - wiekowe wieże obserwacyjne, wieże zwycięstwa oraz naturalnie wielka czerwona forteca, Al-Hambra, czerwona, co w naszej powieści ma znaczenie niebagatelne. Co więcej, wielu spośród pobożnych władców miało pochodzenie najskromniejsze z możliwych; każdy uczeń słyszał o „królach niewolników”¹⁵... w każdym razie rzecz w tym, że cała ta sprawa z

¹⁵ Okres „królów niewolników” - obejmuje lata 1206-1290 i dotyczy sułtanatu delhijskiego; kolejni władcy nie

władaniem imperium była jedynie żartem rodzinnym, ponieważ oczywiście jedyną domeną Mahmuda były imperialne filmy i zapchlona sala kina w starej dzielnicy miasta.

- O klasie sali kinowej - lubił mawiać Mahmud - można wydedukować z hałaśliwości widzów. Pójdź no do jednego z tych luksusowych pałaców w nowym mieście, przyjrzyj się pluszowym tronom i lustrom, którymi obwieszono westybulę, pooddychaj klimatyzowanym powietrzem, a zrozumiesz, dlaczego audytorium siedzi spokojnie jak cholera. Ludzi przytłacza splendor otoczenia, do tego zaś cena miejsc. Za to w imperium Mahmuda klienci robią rejwach jak wszyscy diabli, chyba że akurat lecą jakieś przebojowe kawałki. Władcami absolutnymi to my nie jesteśmy, moje dziecko, nie zapominaj o tym; zwłaszcza ostatnio, kiedy policja zwraca się przeciwko nam, nie odpowiada na wezwania i nie chce usuwać największych rozrabiaków, którzy gwizdami rozrywają ci uszy. Ale nie przejmuj się. To przede wszystkim kwestia wolności jednostek.

Zgadza się: w tym przypadku chodziło o pięciorzędne imperium. Jednakże dla Mahmuda było w tym coś znaczącego, coś w rodzaju krainy „króla niewolnika”, bo czyż nie rozpoczął kariery na „ropiejących” ulicach jak jeden z tych nic nie wartych typów, którzy popychali reklamy na wózkach, wołając: „Aktualnie wyświetlany!” albo: „Marzenia szybko się spełniają!” - i czyż nie siedział teraz w biurze kierownika z kasetką na pieniądze i kluczami? Zwróćcie uwagę: nawet żarty rodzinne niosą w sobie ryzyko, że zostaną potraktowane serio, a w naturze obojga, ojca i córki, czaił się pewien literalizm, skłonność do dosłowności i mimo wszystko brak poczucia humoru, dlatego Bilquis dojrzewiała z nie ubraną w słowa, mieniącą się pod opuszczonymi powiekami fantazją o królowej. - Mówię ci - po wyjściu ojca do pracy przemawiała do odbicia w anielskim lustrze - wprowadzę panowanie absolutne albo nic! Jeśli to będzie zależało ode mnie, ci obwiesie nie będą mogli spokojnie odejść, gwizdząc sobie i świszcząc! - W ten sposób Bilquis dokonała odkrycia swej jaźni, która była daleko bardziej imperialna niż w wypadku jej ojca imperatora. I w mroku imperium, noc po nocy, studiowała olbrzymie, mieniące się barwami iluzje o księżniczce, która tańczy na oczach hałaśliwej publiczności pod wymalowaną złotym kolorem figurą średniowiecznego jeźdźca, męża zbrojnego, który trzyma proporzec, na którym wypisano bez sensu „Excelsior”¹⁶. Iluzja karmi się iluzją, dlatego Bilquis zaczęła się obnosić z dumą właściwą władczyni ze snu, biorąc za komplementy drwiny uliczników z otaczających jej dom rynsztoków. „Tamtam-ram!” -pozdrowiali ją, kiedy żeglowała obok nich. „Miej litość, łaskawa pani, rani khansi!”

byli ze sobą spokrewnieni, a najważniejsze stanowiska w państwie należały do niewolników sułtana.

¹⁶ Excelsior (ang.) - wełna drzewna, cienkie, drewniane wióry, wykorzystywane do wyrobu płyt i jako materiał opakowaniowy.

Khansi-ki-Rani; nazywali ją królową kaszlu, to znaczy usuniętego powietrza, choroby i gorącego wiatru.

- Bądź ostrożna - ostrzegł ją ojciec - w mieście wszystko się zmienia; nawet najbardziej niewinne przydomki nieoczekiwanie nabierają nowego, mrocznego znaczenia.

Były to czasy tuż przed sławetnym przestarzałym podziałem, który dotknął stary kraj i podarował Al-Lahowi kilka ponadżeranych przez robaki części, trochę wysuszonych akrów ziemi i nieco wschodnich moczarów, których niewierni mieli ochotę się pozbyć. (Nowy kraj Al-Laha: dwa kawały ziemi oddalone od siebie o tysiąc mil. Kraj tak nieprawdopodobny, że niemal niezdolny do istnienia.) Ale nie dajmy się ponieść emocjom, wystarczy jedynie stwierdzić, że stan uczuć osiągał taki poziom, że wyjście do kina stało się aktem politycznym. Jedynowierni chodzili do tych kin, a czyściciele kamiennych bożków do owych; fani kina już się podzielili, wyprzedzając podział starej umęczonej ziemi. Kamieniowierni opanowali przemysł filmowy, to nie ulega wątpliwości, a jako wegetarianie nakręcili sławny film *Gaiwala*. Może już kiedyś o nim słyszeliście? To niezwykła historia o samotnym, zamaskowanym bohaterze, który krąży po indyjskich równinach, uwalnia stada bydła spod opieki ich właścicieli i ratuje święte, zaopatrzone w rogi i wymiona stworzenia przed zapędzeniem do rzeźni. Gromady kamiennych zapełniały kina wszędzie, gdzie tylko pokazywano ten film; reakcja jedynowiernych była natychmiastowa - pobiegli do kin, aby obejrzeć importowany niewegetariański film, w którym krowy poddano masakrze i dobrzy faceci świętowali przy stekach. Tłumy rozwścieczonych fanatyków zaatakowały kina wrogów... tak, to był czas najrozmaitszych odmian szaleństwa, ot i wszystko.

Kobieta Mahmud utracił swe imperium z powodu jednego błędu, który wyniknął z fatalnej właściwości jego charakteru, mianowicie tolerancji. - Czas wznieść się ponad cały ten idiotyzm z podziałami - poinformował pewnego ranka własne odbicie w lustrze i tego samego dnia zamówił do swojego kina dwa filmy: *Randolph Scott* i *Gaiwala* mieli na zmianę pojawiać się na jego ekranie.

Pierwszy dzień podwójnej prezentacji, czyli destrukcji Mahmuda, na zawsze zmienił znaczenie jego przydomka. Kiedyś obwiesie z ulicy nazwali go Kobieta, bo jako wdowiec musiał wobec Bilquis grać rolę matki, która umarła, gdy dziewczyna miała zaledwie dwa lata. Lecz teraz ten sympatyczny tytuł zaczął znaczyć coś bardziej niebezpiecznego, bo kiedy dzieciaki mówiły Kobieta Mahmud, myślały: „Mahmud Słabeusz”, „Mahmud Wstydlivy”, „Mahmud Głupiec”. - Kobieta - westchnął zrezygnowany do swojej córki - co za określenie! Czy istnieje kres ciężarów, które dźwigać musi ta ziemia? Czy to słowo zawsze było tak wieloznaczne i do tego stopnia nieprzyzwoite?

Oto, w jaki sposób zadziałała podwójna prezentacja: obie strony, wegetarianie i mięsożercy, zbojkotowali Imperium. Przez pięć, sześć, siedem dni projekcje odbywały się w pustej sali, w której odpadający tynk i z wolna obracające się skrzydła wentylatorów, w przerwach zaś sprzedawcy przekąsek, patrzyli na rzędy niewątpliwie rozklekotanych siedzeń i tak samo niewątpliwie pustych miejsc; tak samo było na projekcjach o trzeciej trzydziści, szóstej trzydziści i dziewiątej trzydziści, nawet specjalny poranny pokaz niedzielny nie skusił nikogo do wejścia przez wahadłowe drzwi. - Daj spokój - próbowała przekonać ojca Bilquis. - Czego ty chcesz? Tęsknisz za wózkiem z dawnych czasów czy co?

Lecz teraz jakiś obcy upór całkowicie opanował Kobiętę Mahmuda, który obwieścił, że podwójny repertuar zostanie utrzymany przez DRUGI SENSACYJNY TYDZIEŃ. Chłopcy sprzedający przekąski z wózków w okolicy jego kina gdzieś zniknęli; nikt nie chciał zachwalać ambiwalentnych towarów; żaden głos nie śmiał zapowiedzieć przez tubę: „Wszystko się może zdarzyć!” albo: „Nie zwlekaj, bo będzie za późno!”

Mahmud i Bilquis mieszkali w wysokim, wąskim domu za Imperium, czyli „bezpośrednio za ekranem”, jak powiadał Mahmud; tego popołudnia, kiedy nastąpił kres i nowy początek świata, córka władcy, która, jeśli nie liczyć służącej, była w domu sama, nagle zachłysnęła się pewnością, że jej ojciec zgodnie z chorą logiką romantyka postanowił uparcie realizować swój plan do końca, póki nie zginie. Przeraził ją odgłos w rodzaju trzepotu skrzydeł anioła, dźwięk, dla którego w przyszłości nie znajdzie właściwego wyjaśnienia, lecz który dudnił jej w uszach, aż rozboleła ją głowa; wtedy wybiegła z domu, przystanąwszy jedynie po to, by przez wzgląd na przyzwoitość okryć ramiona dupattą¹⁷; i właśnie dlatego z trudem chwytła powietrze, stanąwszy przed ciężkimi drzwiami kina, za którymi jej ponury ojciec siedział pośród pustych miejsc i oglądał pokaz, i wtedy powiał ognisty wiatr apokalipsy.

Ściany imperium jej ojca spuchły jak gorące puri¹⁸, podczas gdy ów wiatr niczym kaszel chorego olbrzyma nadpalił jej brwi (które nigdy nie odrosły) i zdarł z niej ubranie, póki nie została na ulicy naga niczym nowo narodzone niemowlę; lecz nie zauważyła swej nagości, bo przecież następował koniec świata, a jej rozognione oczy, wtórujące obcości śmiercionośnego wiatru, widziały, jak wszystko wylatuje w powietrze, siedzenia, bloczki biletów, następnie kawałki porozrywanego ciała ojca i poczerniałe strzępy przyszłości. - Samobójca! - skłęła Kobiętę Mahmuda piskliwym głosem, ochryplym po wybuchu bomby. - Sam tego chciałeś! - Biegnąc w stronę domu, dostrzegła, że tylna ściana kina wyleciała w

¹⁷ Dupattą - dość duży szal, noszony przez kobiety jako uzupełnienie stroju zwanego salwar-kamiz (długa koszula i luźne spodnie). Dupattą służy także jako nakrycie głowy i może stanowić oznakę zamożności.

¹⁸ Puri - cienkie placki pszenne smażone w oleju lub maśle, które w czasie smażenia „nadymają się”.

powietrze, a w najwyższej kondygnacji wysokiego, wąskiego budynku tkwi figurka złotego rycerza, u którego na proporczyku widnieje - wcale nie musiała czytać - dziwacznie nieznanne słowo *Excelsior*.

Nie pytajcie, kto podłożył bombę; w owym czasie takich podkładaczy było wielu, wielu było ogrodników przemocy. Może nawet chodziło o bombę jedynowiernych umieszczoną w Imperium przez jednego z bardziej fanatycznych współwyznawców Mahmuda, bo zdaje się, że zegar wybił godzinę zero podczas szczególnie sugestywnej scenki miłosnej, my zaś dobrze wiemy, co pobożni sądzą o miłości, to znaczy o jej iluzji, zwłaszcza kiedy trzeba zapłacić za wstęp, aby się jej przyjrzeć... są Przeciw. Tępią ją. Miłość deprawuje.

O nieszczęsna Bilquis. Została pod złotym rycerzem naga i bezbrowa, pogrążona w delirium ognistego wiatru; widziała swą młodość ulatującą na skrzydłach wybuchu, który nadal dudnił jej w uszach. Wszyscy emigranci pozostawiają za sobą przeszłość, choć niektórzy Usiłują spakować ją w tobołki i pudelka - jednak podczas podróży coś wycieka z drogich pamiątek i starych fotografii, w końcu nawet właściciele ich nie rozpoznają, bo taki już jest los emigrantów, że są odarci z historii, by stać nago, otoczeni pogardą ze strony obcych, na których dostrzegają drogie ubrania, brokaty kontynuacji i brwi przynależności - w każdym razie uważam, że przeszłość Bilquis opuściła ją, jeszcze nim ona sama Wyjechała z miasta; zajęła miejsce w rynsztoku, ogołocona przez samobójstwo ojca, i obserwowała, jak to się Wszystko odbywa. W późniejszych latach powracało to do niej czasem w sposób, w jaki zapomnianym krewnym zdarza się składać wizyty, lecz długo nie ufała historii, była żoną bohatera ze wspaniałą przyszłością, zatem zupełnie naturalnie odepchnęła od siebie przeszłość, jak fuka się na biednych kuzynów, gdy zjawia się pożyczycie pieniądze.

Musiała iść albo biec, póki nie zdarzył się cud i nie uniosła jej jakaś święta siła owego wiatru zniszczenia. Powróciwszy do przytomności, poczuła na skórze parcie Czerwonego kamienia; zapadał mrok i ten kamień przy jej plecach był chłodny w mrocznym, suchym upale. W pobliżu falowała gromada ludzi, tłum tak duży i natarczywy, że z początku pomyślała o jakimś niewyobrażalnym wybuchu: „Mój Boże, ci wszyscy ludzie ucierpieli od wybuchu następnej bomby!” Lecz to nie była bomba. Zrozumiała, że opiera się o bezkresną ścianę czerwonej fortecy, która dominowała nad tym starym miastem, podczas gdy żołnierze prowadzili tłum przez ziejące czernią bramy; jej stopy zaczęły się poruszać szybciej niż mózg i poniosły jaw ścisk. Chwilę później zdruzgotała ją odrodzona świadomość, że jest naga, zaczęła więc krzyżeć: - Dajcie mi odzienie! - dopóki nie zauważyła, że nikt jej nie słucha, nikt nawet nie spojrzy na ciało, wprowadzie osmalonej, ale przecież nadal pięknej dziewczyny. Mimo to ze wstydu uchwyciła się siebie, trzymała się siebie w tym rozkołysanym morzu, jakby była

brzytwą; czuła wokół szyi pozostałości muślinowej szaty. Dupatą przyzwoitości przywarła do jej ciała, przyklejona zakrzepłą krwią wielu ran i zadrapań, których istnienia Bilquis nawet nie podejrzewała. Przyciskając do intymnych miejsc swego ciała poczerniałe resztki kostiumu kobiecej godności, wstąpiła w przygasłą czerwień fortu i usłyszała łoskot zamykanej bramy.

W Delhi, jeszcze przed wielkim podziałem, władze spędzały muzułmanów -jak powiadano, dla ich własnego bezpieczeństwa - i zamykały ich w czerwonej fortecy, z dala od gniewu czyścicieli kamieni. Zamykano całe rodziny, babki, małe dzieci, niegodziwych wujów... również członków mojej rodziny. Łatwo sobie wyobrazić, że skoro moi krewni przeszli przez Czerwony Fort w równoległym wszechświecie historii, to może przeczuli fikcyjną obecność Bilquis Kemal, rannej, biegnącej nago obok nich niczym duch... albo vice versa. Tak, albo vice versa.

Fala istot ludzkich zniosła Bilquis do przestronnej, dość niskiej, prostokątnej, bogato zdobionej izby, która dawniej pełniła funkcję sali audiencyjnej władcy; w niej, pełnej gwaru niczym ech dawnych narad, przybita poniżeniem z powodu braku ubrania, Bilquis zemdłała. Wiele skromnych, godnych szacunku kobiet tego pokolenia w rodzaju takich, którym normalnie nic się nigdy nie przydarza, po których nikt się nie spodziewa, że coś im się przydarzy poza małżeństwem dziećmi śmiercią, miało do opowiedzenia tego rodzaju dziwną historię. Był to czas obfitujący w takie interesujące historie, trzeba było tylko przeżyć, by przekazać innym swoją opowieść.

Krótko przed skandalicznym zamążpójściem jej młodszej córki, Dobrej Nowiny Hajdar, Bilquis opowiedziała dziewczynie historię spotkania ze swoim mężem. - Kiedy się obudziłam - powiedziała - był dzień, a ja leżałam pod oficerskim płaszczem. Jak sądzisz, głuptasie, do kogo należał? ależ pewnie, że do niego, do twojego ojca Razy; powiem ci też, iż zobaczył, jak tam sobie leżałam w oknie, wystawiwszy na pokaz wszystkie wdzięki, rozumiesz? i jak przypuszczam, spodobało się zuchwalcowi to, co było do zobaczenia. - Dobra Nowina jęknęła „ooo!” i „ovej!”, udając, że jest zaszokowana pieprznymi kawałkami o matce, po czym Bilquis dodała wstydliwie: -Tego rodzaju spotkania nie były wówczas rzadkością. -Dobra Nowina odparła rezolutnie: - No cóż, mamó, to, że on był pod wrażeniem, nie dziwi mnie ani trochę.

Zjawiwszy się w sali audiencyjnej fortu, Raza stanął na baczność przed Bilquis, która była nadzwyczaj skromnie odziana; stuknął obcasami, zasalutował, wyszczerzył zęby. - W normalnych warunkach podczas zalotów - powiedział do swej przyszłej żony - zazwyczaj nosi się ubranie. Oczywiście jest przywilejem męża, że w końcu je usunie... lecz w naszym przypadku prawdziwa będzie procedura odwrotna. Muszę cię ubrać od stóp po głowę, abys

wyglądała jak na spłonioną pannę młodą przystało. (Dobra Nowina, pełna małżeńskich soków, westchnęła na te słowa. „Jego pierwsze słowa! Mój Boże, ależ romantycznie!”)

Jaki się wydawał w oczach odzianej w oficerski płaszcz Bilquis: „Taki wysoki! Bładolicy! Dumny jak król!” Żaden fotograf nie uwiecznił na zdjęciu ich spotkania, lecz należy to sobie tłumaczyć stanem jej umysłu. Raza Hajdar miał pięć stóp i osiem cali: żaden z niego olbrzym, sami to przyznacie. Co do koloru skóry, cóż, była z pewnością ciemniejsza niż rozmarzone oczy Bilquis chciały to dostrzec. Dumny jak król? Tak, to jest prawdopodobne. Wtedy był zaledwie kapitanem, niemniej powyższy opis możliwy jest do przyjęcia.

Cóż jeszcze można uczciwie powiedzieć o Razie Hajdarze? Miał dość energii, aby oświetlić ulicę; jego manery były zawsze nieskazitelne - kiedy został prezydentem i spotykał się z ludźmi, prezentował taką pokorę (co nie kłóciło się z dumą), iż później naprawdę niewiele osób mówiło o nim źle, a ci, którzy to jednak czynili, czuli się wtedy tak, jakby zdradzali przyjaciela; miał na czole jasne, lecz trwałe zasinienie, takie samo, jakie wcześniej dostrzegliśmy na czole pobożnego Ibadalli, listonosza z K. - owa gatta oznaczała, że Raza jest człowiekiem religijnym.

Ostatni szczegół. Ludzie opowiadali, że kapitan Hajdar nie spał przez czterysta dwadzieścia godzin, odkąd muzułmanów zapędzono do Czerwonego Fortu, co tłumaczyło ciemne worki pod oczami. Owe worki miały czernieć i powiększać się, w miarę jak rosła jego władza, wreszcie wcale nie potrzebował nakładać okularów wzorem innych ważnych figur, bo wyglądał, jakby miał już jedną parę, w dodatku nieustannie, nawet w łóżku. Przyszły generał Hajdar: Razzu, Raz-Matazz, Stary Rozpruwacz Bebechów we własnej osobie! Jakżeby Bilquis mogła się oprzeć komuś takiemu? Uległa podwójnie prędko.

Podczas pobytu w fortecy kapitan z podkrążonymi oczami odwiedzał ją regularnie, przynosząc za każdym razem jakąś część garderoby albo upiększający drobiazg. Była obsypywana bluzkami, sari, sandałami, ołówkami do rysowania utraconych brwi, biustonoszami. Wiadomo nie od dziś, że intensywne naloty bombowe wymyślono po to, aby wymusić wcześniejszą kapitulację... kiedy jej szafa wypełniła się tak bardzo, że zdjęcie wojskowego płaszcza stało się możliwe, zaczęła paradować dla niego w holu. - Skoro się już o tym zgadało - powiedziała Bilquis Dobrej Nowinie - to może właśnie wtedy wypowiedział tę uwagę na temat strojenia się. - Bo dokładnie pamiętała, jak wówczas zareagowała: spuściła oczy dokładnie tak, jak to robią arystokratki - jej talent do tego podziwiał niegdyś jej ojciec - i powiedziała ze smutkiem: - Na jakiego to męża mogę liczyć ja, kobieta bez nadziei na posag? Z pewnością na nikogo w rodzaju szczodrego kapitana, który obdarowuje nieznanym damy przedmiotami godnymi królowych.

Raza i Bilquis zareczyli się na pełnych goryczy oczach pozbawionych wszystkiego rzesz ludzkich; później strumień prezentów płynął nadal - łańcuchy, bransolety, napoje, proste, zdrowe jedzenie, henna i pierścionki. Raza urządził narzeczoną za kamiennym ażurowym przepierzeniem i postawił wartownika na straży jej terytorium. Odizolowana od szarego, wymęczonego tłumu, Bilquis marzyła o dniu zamążpójścia, uodporniona na poczucie winy dzięki staremu marzeniu o byciu królową, które towarzyszyło jej od lat. - No, no - upomniała gapiących się wygnańców - zazdrość to coś okropnego.

Przez kamienną ściankę posypały się docinki: „Hola, madam! Jak myślisz, skąd on bierze dla ciebie te wspaniałe ciuchy? Z centrum handlowego? Rzuć okiem na mokradła pod murami fortecy, policz ograbione nagie ciała wrzucane tam co noc!” Niebezpieczne słowa przenikały kamienną konstrukcję: hiena, nierządnicą, kurwa. Lecz Bilquis jedynie zaciskała zęby na to grubiaństwo i myślała: „Jakie to niestosowne, pytać mężczyznę, skąd przynosi podarunki! Jakaż pospolitość, nigdy tego nie uczynię, o nie”. Odpowiedź na szyderstwa ze strony współtowarzyszy wygnania w rzeczywistości nigdy nie została wypowiedziana, ale wypełniła jej usta, sprawiając, że ułożyły się w ciup.

Nie osądzam jej. W tamtych czasach ludzie starali się przeżyć na wszystkie możliwe sposoby.

Armię podzielono jak wszystko inne. Kapitan Hajdar powędrował na zachód do nowego, nadzartego przez mole kraju Boga. Odbyła się ceremonia ślubna, po czym Bilquis Hajdar usiadła przy boku męża w eszelonie wojskowym, kobieta odmieniona, świeżo po ślubie, uciekająca do pełnego pomyślności nowego świata.

- Dokonasz tam wielkich rzeczy, Raz! - krzychała. - Wspaniale, nie? Czeka cię sława! - Raza zaczerwienił się po same uszy w reakcji na spojrzenia (oczu błyszczących rozbawieniem) towarzyszy w tym stukającym, rozklekotanym wagonie; zarazem jednak sprawiał wrażenie zadowolonego. A proroctwo Bilquis mimo wszystko się spełniło. Ona, której życie eksplodowało, odzierając ją z historii i pozostawiając na dawnym miejscu jedynie owo mroczne marzenie o dostojności, tę iluzję tak potężną, że obecną również w sferze rzeczywistości - ona, pozbawiona korzeni Bilquis, która pragnęła stabilności, nie chciała już słyszeć o wybuchach; dostrzegła w Razie solidną jak gładź jakość, na której chciała zbudować swe życie. Raza był mężczyzną na trwale zakorzenionym w niezmiennym pojmowaniu siebie, i to uczyniło go niezwyciężonym. - Jesteś prawdziwym olbrzymem, bezwzględnie - schlebiała mu, szeptała do ucha, tak aby nie wywoływać chichotu innych oficerów jadących w tym samym wagonie - jaśniej niż aktorzy na ekranie.

Zastanawiam się, jak najlepiej opisać Bilquis. Jako kobietę, która została przypadkiem obnażona, lecz która okryła się rzeczami pewnymi; czy może jako dziewczynę, która została królową, tylko że straciła zdolność daną każdej żebraczce, to znaczy moc rodzenia synów; czy jako damę, której ojciec był Kobietą i której syn okazał się również płci żeńskiej; czy jako tę, której mężczyzna nad mężczyznami, Razzo względnie Raz-Matazz, sam był zmuszony włożyć wreszcie upokarzający czador kobiecości; albo może jako osobę w tajemniczym uścisku losu - bo czyż to nie pętla pępowinowa, w której zadusił się jej syn, nie znalazła swego echa albo bliźniaka w innym i bardziej przerażającym sznurze?... Ale oto sobie uświadamiam, że mimo wszystko muszę powrócić do punktu wyjścia, bo dla mnie jest ona, i zawsze będzie, Bilquis, która bała się wiatru.

Wyznam uczciwie: nikt nie lubi lu, tego gorącego popołudnia, kiedy dławi nawet własny oddech. Opuszczamy żaluzje, w oknach wieszamy wilgotne zasłony, usiłujemy spać. Kiedy Bilquis była starsza, wiatr budził w niej dziwne niepokoje. Nie umknęło uwagi męża oraz dzieci, jak bardzo nerwowa i skora do gniewu była popołudniami; jak zaczynała spacerować, otwierać drzwi i zamykać je z trzaskiem, póki Raza Hajdar nie zaprotestował przeciwko mieszkaniu w domu, gdzie trzeba prosić żonę o klucz, zanim człowiek będzie się mógł udać do ustępu. Ze szczupłego nadgarstka zwisało, pobrzękując, olbrzymie kółko z kluczami jej nerwicy; wzbudzała prawdziwe przerażenie swoimi posunięciami i zakaza-ta przedstawiania jakichkolwiek, nawet najbardziej trywialnych przedmiotów. Krzesła, popielniczki, doniczki zapuszczały korzenie, traciły mobilność siłą jej przerażającej woli. - Mój Hajdar lubi, kiedy wszystko jest na swoim miejscu - powtarzała, choć choroba unieruchamiania nie dolegała nikomu innemu, tylko jej. Zdarzały się dni, kiedy należało ją zamknąć niczym prawdziwego więźnia, ponieważ groziło hańbą i skandalem, gdyby ktoś z zewnątrz zobaczył ją w takim stanie; kiedy wiał lu, zaczynała pisać jak husz, ifryt¹⁹ lub podobny demon, kazała służbie przychodzić i znosić meble na wypadek, gdyby wiatr rozniósł je jak zawartość utraconego przed laty Imperium, wołała na córki (jeśli były obecne), aby trzymały się czegoś ciężkiego, czegoś trwałego, w przeciwnym razie wiatr ognisty poniesie je do nieba.

Lu jest złym wiatrem.

Gdyby to była realistyczna powieść o Pakistanie, nie pisałbym o Bilquis i wietrze; opowiadałbym o mojej najmłodszej siostrze. Która ma teraz dwadzieścia dwa lata i studiuje w Karaczi inżynierię; która już nie może siadać na swoich włosach i która (inaczej niż ja) jest obywatelką Pakistanu. Kiedy jestem w nie najgorszym nastroju, myślę o niej jako o Pakistanie,

a potem czuję miłość do tego miejsca i łatwo zapominam jego (jej) zachwyty nad coca-colą i importowanymi samochodami.

Choć znam Pakistan od dawna, nigdy bez przerwy nie mieszkałem w nim dłużej niż sześć miesięcy. Pewnego razu spędziłem tam dwa tygodnie. Pomiedzy sześcioma miesiącami a dwoma tygodniami pojawiały się okresy różnej długości. Nauczyłem się Pakistanu w plasterkach, po kawałku, w taki sam sposób, w jaki nauczyłem się mojej dojrzewającej siostry. Najpierw zobaczyłem ją w wieku zerowym (ja, czternastolatek, pochylony nad łóżeczkiem, gdy ona krzyczała prosto w moją twarz); potem jak miała lat trzy, cztery, sześć, siedem, dziesięć, czternaście, osiemnaście i dwadzieścia jeden. Zatem musiałem poznawać dziewięć najmłodszych sióstr. Czułem, że do każdego kolejnego wcielenia zbliżam się bardziej niż do poprzedniego. (To samo dotyczy kraju.)

Chyba przyznaję się do tego, że gdybym zdecydował się pisać o tamtym, musiałbym wspominać ów świat we fragmentach potłuczonego lustra, podobnie jak Farah Zoroaster widziała swoją twarz na wytyczonej słupkami granicy. Muszę się jakoś pogodzić z nieuchronnością brakujących fragmentów.

Lecz przypuśćmy, że jest to powieść realistyczna! Zastanówmy się, co jeszcze mógłbym w niej opisać. Na przykład proceder zakładania nielegalnych instalacji, podejmowany przez najbogatszych mieszkańców Obrony, ukrywania podziemnych pomp wodnych, które pompują wodę z sieci sąsiadów - najbardziej wpływowych ludzi zawsze można wskazać po intensywności zieleni ich trawników (tego rodzaju śladów nie zdradza się służbie kwatermistrzowskiej K.) Musiałbym też opisać klub „Sind” w Karaczi, gdzie w dalszym ciągu znajduje się ostrzeżenie: „Kobietom i psom nie wolno przekraczać tego progu”. Albo przeanalizować wyrafinowaną logikę programu uprzemysłowienia, który uwzględnia produkcję reaktorów jądrowych, lecz nie radzi sobie z ulepszeniem lodówki. O Boże - i podręczniki szkolne, w których napisano: „Anglia nie jest krajem rolniczym”, i nauczyciela, który pewnego razu wyciął dwie uwagi z rozprawki geograficznej mojej siostry, bo różniła się w dwóch miejscach od tekstu z tego samego podręcznika... jakże niezręcznie, drogi czytelniku, to wszystko mogłoby się ułożyć.

Materiału wziętego prosto z życia czasem nie sposób pominąć! Jak nie wspomnieć o przypadku dawnego zastępcy przewodniczącego, który zginął w Zgromadzeniu Narodowym, bo wybrani przedstawiciele rzucali w mego meblami; o cenzorze filmowym, który z każdej klatki sceny filmu *Noc generałów*, przedstawiającej wizytę generała Petera O'Toole'a w galerii sztuki, usunął obrazy nagich kobiet, tak więc oglądający byli oszołomieni surrealistycznym

¹⁹ Ifryt, afryt (arab.) - potężny zły duch z mitologii arabskiej.

spektaklem, kiedy to generał przechadza się w galerii pośród roztańczonych czerwonych kropli; o szefie telewizji, który swego czasu solennie mnie zapewnił, że wieprzowina jest jedenastoliterowym słowem; o wydaniu „Time'a” (może „Newsweeka”?), którego nigdy nie rozkolportowano, bo zawierał artykuł o rzekomym istnieniu w banku szwajcarskim konta prezydenta Ajuba Chana; bandytach grasujących na głównych drogach, których aresztowano za podejmowanie w ramach prywatnej inicjatywy tego samego, z czego rząd uczynił oficjalną politykę publiczną; ludobójstwie w Beludżystanie; nagrodach w postaci stypendium państwowego na opłacenie zagranicznych studiów dla członków fanatycznej partii Dżamab; próbach uznania sari za strój obsceniczny; dodatkowych egzekucjach - przez powieszenie - które zarządzone jedynie po to, by usprawiedliwić uśmiercenie pana Zulfikara Alego Bhutto; zagadce, dlaczego kat Bhutto zniknął, rozpląnął się w powietrzu tak samo jak wielu uliczników, których porywano codziennie w pełnym świetle dnia; antysemityzmie - ciekawym zjawisku, pod którego wpływem ludzie nie mający pojęcia o Żydach oczerniają ich wszystkich ze względu na potrzebę umacniania solidarności z krajami arabskimi, zapewniającymi ostatnio pracę pakistańskim robotnikom i bardzo potrzebną wymianę zagraniczną; o przemyśle i boomie w dziedzinie eksportu heroiny, dyktatorach wojskowych, skorumpowanych cywilach, zdemoralizowanych urzędnikach, przekupnych sędziach, gazetach, o których zawartości jedno można z pewnością powiedzieć: mianowicie że jest kłamliwa; o podziale budżetu państwa ze szczególnym uwzględnieniem zróżnicowania procentowego w odniesieniu do nakładów na obronę (dużo) i na szkolnictwo (mało)? Wyobraźcie sobie, z czym musiałbym się borykać!

Gdybym dotychczas pisał książkę o takim charakterze, na nic by się zdały zapewnienia, że pisałem ogólnie, nie o Pakistanie. Książka zostałaby zakazana, wyrzucona na śmietnik, spalona. Wszystkie wysiłki na nic! Realizm jest w stanie złamać pisarzowi serce.

Jednakże na szczęście tworzę jedynie coś w rodzaju nowoczesnej bajki, zatem wszystko jest w porządku; nikt nie musi się niepokoić ani brać nazbyt serio tego, co opowiadam. Nie trzeba podejmować żadnych drastycznych działań.

Co za ulga!

A teraz muszę przestać pisać o tym, o czym nie piszę, bo nie ma w tym nic szczególnego; każda historia, którą ktoś decyduje się przedstawić, wiąże się z jakąś odmianą cenzury, z pominięciem innych historii godnych opowiedzenia... muszę wrócić do swojej bajki, ponieważ wiele się zdarzyło, kiedy ja mówiłem zbyt dużo.

Po drodze do opowieści pomijam Omara Chajjama Śakila, bohatera bądź co bądź pobocznego, który czeka cierpliwie, póki nie przejdę do momentu, kiedy jego przyszła narzeczona, biedna Sufija Zinobia, będzie mogła pojawić się w toku narracji, głową w dół

kanalu rodnego. Nie będzie musiał czekać długo; ona już niemal jest na właściwej drodze.

Zatrzymam się tylko, aby zauważyć (ponieważ wypada, bym właśnie teraz o tym wspomniał), że w trakcie swego małżeńskiego życia Omar Chajjam musiał zaakceptować bez dyskusji dziecięcą pasję Sufiji Zinobii do przestawiania mebli. Mocno pobudzona przez te zakazane czyny, przestawiała stoły, krzesła, lampy, gdy tylko nikt nie widział, jakby bawiła się w jakąś ulubioną sekretną grę z przerażająco konsekwentną powagą. Omar Chajjam miał ochotę protestować, ale gryzł się w język, wiedząc, że cokolwiek powie, nie zda się na nic. „Mówiąc otwarcie - miał ochotę zawołać - Bóg jeden wie, co właściwie zmieniasz, przestawiając przestawione”.

Rozdział piąty

Mylny cud

Bilquis leży całkowicie rozbudzona w mroku przestronnego pokoju, ręce ma skrzyżowane na piersi. Kiedy zasypia sama, jej dłonie zazwyczaj bezwiednie znajdują drogę do tej pozycji, mimo wyraźnej dezaprobaty ze strony wszystkich powinowatych. Nic nie mogła na to poradzić, na to obejmowanie samej siebie -jakby się bała coś utracić.

Wszędzie wokół niej mającą jedynie rozmyte kontury innych łóżek, starych ćarpai²⁰ z cienkimi materacami, na których leżą inne kobiety pod pojedynczymi białymi prześcieradłami; imponująca liczba czterdziestu kobiet zgromadzonych wokół majestatycznie małej postaci matrony, która potężnie chrapie. Bilquis już wie wystarczająco dużo o tej izbie, aby zdawać sobie sprawę, że większość kobiet poruszających się niewyraźnie w ciemności śpi mniej więcej tak samo jak ona. Nawet chrapanie Bariammy może być zwodnicze. Kobiety i oczekują przybycia mężczyzn.

Obrót gałki u drzwi brzmi niczym uderzenie w werbel. Od razu noc podlega przeobrażeniu. W powietrzu pojawia się cudowna niegodziwość. Podnosi się chłodna bryza, jak gdyby wejście pierwszego mężczyzny rozproszyło intensywne, lepkie gorąco tej pory roku, sprawiając, że skrzydła wentylatorów pod sufitem zaczęły nieco wydajniej poruszać się w powietrzu o konsystencji zupy. Czterdzieści kobiet, w tym Bilquis, rusza się lekko pod prześcieradłami... wchodzi więcej mężczyzn. Idą na palcach nocnymi alejkami sypialni, tymczasem kobiety stały się bardzo spokojne, z wyjątkiem Bariammy. Matrona chrapie z większą energią niż kiedykolwiek. Jej chrapanie to syrena, sygnał oznajmiający odwołanie alarmu, dający mężczyznom konieczną zachętę.

Dziewczyna w łóżku najbliższej Bilquis, Rani Humajun, która nie jest mężatką i tej nocy nie spodziewa się żadnej wizyty, szepcze w mrok: - Oto nadchodzi czterdziestu rozbójników.

Teraz w ciemności rozchodzą się cichutkie odgłosy; sznury ćarpai ustępują nieco pod ciężarem drugiego ciała, szeleszczą ubrania, ciężiej oddychają atakujący mężczyźni. Stopniowo mrok nabiera rytmu, który staje się coraz szybszy, osiąga kulminację i opada. Następnie słychać serię kroków, odgłos poruszanej klamki i w końcu zapada cisza, teraz bowiem, kiedy uprzejmość tego wymaga, Bariamma przestaje chrapać.

Rani Humajun - której niedawno udało się złowić jedną z najbardziej atrakcyjnych partii sezonu małżeńskiego, która wkrótce opuści tę sypialnię, aby poślubić jasnoliczego,

²⁰ Ćarpai - lekkie łóżko pokryte najczęściej plecionką sznurową.

wykształconego za granicą, młodego milionera o pełnych, zmysłowych ustach, Iskandra Harappe, i która, podobnie jak Bilquis, ma osiemnaście lat - zaprzyjaźniła się z młodą żoną swego kuzyna Razy. Bilquis sprawia przyjemność, kiedy Rani (udając, że skandalizuje) spekuluje złośliwie na temat miejscowych obyczajów panujących w sypialni.

- Pomyśl - chichocze Rani, gdy obie zajmują się ucieraniem w kuchni codziennych przypraw - w tej ciemności nikt nie może wiedzieć, czy rzeczywiście przychodzi do niej mąż. Narzekałby ktoś? Powiadam ci, Billu, żonaci mężczyźni i żonate kobiety mają niezłe używanie w tym połączonym rodzinnym układzie. Daję słowo, może wujowie robią to z siostrzenicami, bracia z żonami braci; nigdy się nie dowiemy, którzy rzeczywiście są tatusiami dzieci!

Bilquis rumieni się z wdziękiem i przysłania usta Rani dłonią pachnącą kolendra.

- Przestań, kochanie, ależ masz brudne myśli!

Lecz Rani nie można powstrzymać.

- Nie, Bilquis, mówię ci, jesteś tutaj nowa, a ja dorastałam w tym miejscu i przysięgam na włosy naszej Bariammy, że cały ten układ, który ma służyć zachowaniu przyzwoitości et cetera, najzwyczajniej w świecie jest przykrywką największej orgii na świecie.

Bilquis nie zwróciła jej uwagi (bo nie byłoby to grzeczne), że maleńka, niemal karłowata Bariamma nie tylko jest bezzębna i ślepa, ale nie ma też ani jednego włosa na swej wiekowej głowie. Matrona nosiła perukę.

Gdzie się znaleźliśmy i kiedy? W wielkim domu rodzinnym w starej dzielnicy nadmorskiego miasta, które - nie mam innego wyjścia - muszę nazwać Karaczi. Raza Hajdar, sierota tak jak jego żona, zabrał ją (natychmiast po opuszczeniu wagonu kolejowego, gdy skończyła się ich ucieczka na zachód) na łono swojej rodziny w linii żeńskiej; Bariamma jest jego babką ze strony zmarłej już matki. - Musisz tutaj zostać - nakazał Bilquis - póki się sprawy nie ułożą i nie będziemy w stanie rozróżnić, co jest czym w rzeczywistości, a co tylko za takie uchodzi. W rezultacie obecnie Hajdar przebywa w tymczasowych koszarach w bazie wojskowej, podczas gdy jego świeżo poślubiona żona leży między udającymi sen powinowatymi, wiedząc, że nocą żaden mężczyzna nie złoży jej wizyty. Ależ tak, dostrzegam, że przeniosłem opowieść do drugiej bezkresnej rezydencji, którą czytelnik prawdopodobnie porównuje do odległego domu w mieście przygranicznym K.; lecz co za różnica w możliwościach! Ponieważ w tym wypadku nie jest to zamknięta na głucho forteca, tylko dom dosłownie pękający w szwach, pełen członków rodziny i służby.

- Oni nadal żyją tak, jakby mieszkali w starej wiosce -Raza ostrzegł Bilquis, nim pozostawił ją w domu, w którym wierzono, że małżeński stan nie uwalnia kobiety od hańby i

utruty honoru, rezultatu regularnego sypania z mężczyzną; właśnie dlatego Bariamma, nigdy tego nie uzgadniając, wymyśliła czterdziestu rozbójników. Oczywiście wszystkie kobiety zaprzeczały, jakoby coś „z tych rzeczy” miało miejsce, kiedy przeto zdarzały się ciąży, dochodziło do nich w sposób niejako magiczny, jakby wszelkie poczęcia były niepokalane, wszystkie narodziny dziewicze. Idea partenogenezy przyjęła się w tym domu, aby utrzymać w tajemnicy inne nieprzyjemnie cielesne pojęcia.

Bilquis, dziewczyna marząca o byciu królową, pomyślała, lecz nie powiedziała: „O Boże. Ignoranci niewiadomego pochodzenia. Zacořane typy, wiejscy idioci, ludzie bez odrobiny wyrafinowania, a ja tu między nimi tkwię”. Głośno zaś zauważyła zupełnie spokojnie: -Wiele można by rozprawiać o starych zwyczajach. - Raza po prostu skinął głową; miał jeszcze mniej nadziei.

W imperium Bariammy Bilquis, obcy przybysz, młodsza członkini rodu, naturalnie nie była traktowana jak królowa.

- Przekonasz się, że będziemy mieć synów - powiedział Raza do Bilquis. -W rodzinie mojej matki chłopcy rosną na drzewach.

Zagubiona w lesie nowych krewnych, błądząc w dżungli powinowactwa matriarchalnego domu, Bilquis zajrzała do Koranu w poszukiwaniu drzew rodzinnych i rzeczywiście tam je znalazła, w tradycyjnym miejscu, genealogiczny zagajnik araukarii, wyrysowany z tyłu świętej księgi. Odkryła, że od pokolenia Bariammy, która miała dwie siostry, cioteczne babki Razy, obie owdowiałe, do tego zaś trzech braci - landlorda, utracjusza i głupca - czyli pokolenia zrównoważonego płciowo, w całej rodzinie urodziły się jedynie dwie dziewczynki. Jedną z nich była zmarła matka Razy; drugą Rani Humajun, która nie mogła się doczekać, kiedy ucieknie z tego domu, skąd synowie nigdy nie odchodzili, dokąd importowano im żony, aby żyły i rodziły niczym w kurzej fermie. Ze strony matki Raza miał w sumie jedenastu wujów z prawego łóża i, jak przypuszczano, przynajmniej dziewięciu nieślubnych, przychówek utracjusza, skorego do flirtu ciotecznego dziadka. Nie licząc Rani, mógł wskazać na trzydziestu dwóch kuzynów urodzonych w związku małżeńskim. (Domniemane potomstwo bękarcich wujów nie doczekało się wzmianki w Koranie.) Z tego potężnego zasobu krewnych wielki odsetek przebywał w krótkim, lecz wszechwładnym cieniu Bariammy. Utracjusz i głupiec byli bezzenni, ale kiedy landlord zatrzymywał się w rezydencji, jego żona zajmowała jedno z łózek w zenanie Bariammy. W czasach, o których opowiadam, landlord oraz jego małżonka byli obecni; również ośmiu spośród jedenastu prawowitych wujów, do tego ich żony; do tego (Bilquis miała kłopoty z doliczeniem się) około dwudziestu dziewięciu kuzynów oraz

Rani Humajun. Dwadzieścia sześć żon kuzynów zapełniało podłg sypialnię, czyli razem z Bilquis czterdzieści osób, jeśli uwzględnić trzy siostry z najstarszego pokolenia.

Bilquis Hajdar kręciło się w głowie. Wpadła w pułapkę języka, który zawierał całkiem adekwatne nazwy dla każdego dającego się wyobrazić typu pokrewieństwa, tak że oszołomiony nowicjusz nie był w stanie ukryć się za takimi gatunkowymi określeniami, jak „wuj”, „kuzyn”, „ciotka”, dlatego ustawicznie był przyłapywany na absolutnej, uwłaczającej ignorancji, więc Bilquis milkła w tłumie powinowatych. Właściwie nigdy się nie odzywała prócz chwil spędzanych sam na sam z Rani albo Raza; w ten sposób zasłużyła sobie na trojaka reputację słodkiego i dziecinnego niewiniątka, popychadła oraz idiotki. Ponieważ Raza często nie pojawiał się przez wiele dni, przez co była pozbawiona opieki i pochlebstw, które inne kobiety regularnie otrzymywały od swoich mężów, osiągnęła pozycję biedactwa, a brak brwi (nawet biegłość w sztuce używania kredki w żaden sposób nie mogła tego ukryć) wcale tego nie łagodził. Przez to też obarczono ją nieco większym niż sprawiedliwy udziałem w obowiązkach domowych i tak samo nieco większym udziałem w styczności z ostrą krawędzią ciętego języka Bariammy. Ale zarazem ją podziwiano, acz odrobinę niechętnie; tak się złożyło, że rodzina miała bardzo dobre zdanie o Razie, według kobiet bowiem uchodził za człowieka prawego, który nie bije żony. Ta definicja dobroci zatrwożyła Bilquis, której nigdy nie przyszłoby do głowy, że mogłaby być bita. Poruszyła tę kwestię w rozmowie z Rani. - Och tak - odpowiedziała kuzynka jej męża - nie wyobrażasz sobie, jak oni wszyscy biją! Bach! Bach! Czasami wpływa to bardzo pozytywnie na wrażliwość. Trzeba uważać. Dobry mężczyzna może się zepsuć jak mięso, wystarczy, że nie będzie się uważać, aby go utrzymać w odpowiedniej temperaturze.

Mianowana oficjalnie biedactwem, Bilquis musiała co wieczór siadać u stóp Bariammy, podczas gdy niewidoma starsza dama wspominała rodzinne historie. Były to przerażające opowieści o rozwodach, bankructwach, suszach, fałszywych przyjaciółach, umieralności niemowląt, chorobach piersi, zabijaniu mężczyzn w sile wieku, utraconych nadziejach, przemijaniu urody, kobietach, które stały się nieprzyzwoicie grube, kontrabandzie, poetach przyjmujących opium, spragnionych dziewicach, klątwach, tyfusie, bandytach, homoseksualizmie, sterylizacji, oziębłości, gwałtach, wysokich cenach żywności, hazardzistach, pijakach, mordercach, samobójcach i Bogu. Łagodny, trochę szeleszczący recital Bariammy z repertuaru rodzinnych horrorów miał tę właściwość, że niejako rozbierał, dawał poczucie bezpieczeństwa, balsamował mumifikującymi płynami jej własnej niepodważalnej szacowności. Opowiadanie historii dowodziło zdolności rodziny do przeżywania ich, do zachowania, mimo wszelkich przeciwności losu, honoru i niezmiennych

zasad moralnych.

- Ponieważ należysz do rodziny - oświadczyła Bilquis Bariamma - musisz być wtajemniczona w nasze sprawy i opowiedzieć nam o swoich. - W ten sposób pewnego wieczoru Bilquis została zmuszona (Raza był obecny, ale nie próbował jej bronić) do opisanie ostatnich chwil Kobiety Mahmuda i swej nagości na ulicach Delhi. - Nie przejmuj się - z aprobatą powiedziała Bariamma, kiedy po swoich wyznaniach Bilquis trzęsła się ze wstydu -przecież dupatę zdołałaś na sobie zachować.

Potem Bilquis często słyszała swoją historię tam, gdzie znalazła się jedna bądź dwie osoby z rodziny, w gorącym, jaszczurczym kącie podwórza albo na dachu w ciepłe noce przy świetle gwiazd, w pokojach dzieciennych, aby przestraszyć dzieci, i nawet w buduarze wystrojonej w biżuterię, upiękzonej henną Rani w dniu jej ślubu; opowieści bowiem, zwłaszcza opowieści tego rodzaju, są klejem, który spaja klan, łączy pokolenia w sieci szeptanych sekretów. Jej historia z początku ulegała zmianom w trakcie powtarzania, lecz w końcu przybrała ostateczny kształt, aż wreszcie nikt, ani narrator, ani słuchacz, nie dopuszczał żadnego odstępstwa od świętego, usankcjonowanego tekstu. Wtedy właśnie Bilquis pojęła, że stała się w pełni członkiem rodziny; w uświęcaniu jej historii zawierała się inicjacja, pokrewieństwo, krew. - Opowiadanie historii - powiedział Raza żonie -jest u nas rodzinnym ceremoniałem.

Ale ani Raza, ani Bilquis nie mogli wiedzieć, że ich historia ledwie się zaczęła, że stanie się najbardziej soczystą i krwawą z soczystokrwawych sag i że w przyszłości zawsze będzie się rozpoczynała słowami (które zgodnie z opinią rodziny brzmiały ze wszech miar właściwie jak na początek tego rodzaju opowieści): - To było w dniu, kiedy jedyny syn przyszłego prezydenta Razy Hajdara miał przejść reinkarnację.

- Tak, tak - ozywiali się słuchacze - tę historię nam opowiedz, ta jest najlepsza.

Kiedy dwa świeżo rozdzielone narody proklamowały początek wrogości na granicy w Kaszmirze, panowała pora gorąca. Na północy w porze gorącej wojny prowadzić nie można; wszyscy - oficerowie, piechota, kucharze - ruszyli z radością, aby znaleźć schronienie w chłodzie wzgórz. „Jar, mamy szczęście. W dupę siostrójebca, no nie, przynajmniej w tym roku nie zdechnę na tym przeklętym upale”. O duchu serdecznej przyjaźni spod znaku meteorologicznej fortuny! Dżawanowie poszli na wojnę z nastawieniem urlopowiczów: niechaj się o wszystko sam diabeł troszczy. Oczywiście nie należy zapominać o śmierci; lecz organizatorzy wojny i o to się postarali. Ci, którzy padli w boju, ekspresowo przeniesli się do perfumowanych ogrodów raj, aby potem przez całą wieczność korzystać z usług czterech

przepiękny hurys, dziewic nie tkniętych ani przez człowieka, ani przez dżinna. „Którego z boskich darów - pyta Koran -nie chciałbyś przyjąć?”

Morale armii było wysokie; ale Rani Humajun wpadła w wielki gniew, bo byłoby zaprzeczeniem patriotyzmu urządzać przyjęcie weselne podczas wojny. Uroczystość została przesunięta, Rani zaś zaczęła tupać nogami. Za to Raza Hajdar z radością wskoczył do pomalowanego w barwy ochronne dżipa swej ucieczki z wrzącego szaleństwa letniego miasta i zaraz potem żona szepnęła mu do ucha, że spodziewa się wielce radosnego wydarzenia o zgoła innym charakterze. (Wziąłem przykład z Bariammy - popatrzyłem przez palce i głośno kichnąłem, kiedy Raza Hajdar odwiedził sypialnię czterdziestu kobiet i sprawił, że dokonał się ów cud.)

Raza wydał z siebie wrzask brzemienny tryumfem do tego stopnia, że wewnątrz domu Bariamma, niespokojna z powodu ślepoty, doszła do wniosku, że jej wnuk właśnie otrzymał wiadomość o jakimś świetnym zwycięstwie; kiedy więc kilka tygodni później podobna wieść rzeczywiście nadeszła, odparła najzwyczajniej w świecie: -Nie wiedzieliście? Ja o tym wiem już od miesiąca. - (A działo się to czasach, nim naród zdał sobie ostatecznie sprawę, że niemal zawsze stoi na przegranej pozycji, dlatego przywódcy państwowi, wzywając błyskotliwie do walki, wypracowali nie mniej niż tysiąc i jeden sposób na obronę honoru przed splamieniem.)

- Przybywa! - Raza ogłuszył żonę krzykiem, sprawił, że z głów służących pospadały gliniane dzbany, i przestraszył gęsi. - Co ci powiedziałem, pani? - Radośnie poprawił czapkę na głowie, zbyt mocno klepnął żonę w brzuch, złączył dłonie i zaczął nimi poruszać, jakby nurkował. - Uuuf! - zawołał. - Wum, żono! Oto przybywa! - I wrzasnął jak najdalej na północ, obiecując odnieść wspaniałe zwycięstwo na cześć nie narodzonego jeszcze syna, i wreszcie zostawił za sobą Bilquis, która, obmyta po raz pierwszy solipsystycznymi fluidami macierzyństwa, nie zauważyła łez w mężowskich oczach, łez zmieniających zwykłe czarne worki pod jego oczami w aksamitne wory, łez, które znalazły się wśród najstarszych oznak tego, że przyszły silny mąż narodu był typem nadto skorym do płaczu... na osobności do sfrustrowanej Rani Humajun szczebiotała z dumą: - Nie przejmuj się idiotyzmami wojny; ważna jest tylko ta nowina, że staram się o syna, który kiedyś poślubi twoją córkę.

Wyciąg z rodzinnej sagi o Razie i Bilquis, przedstawiony zgodnie z ustalonym układem słów, którego zmiana byłaby niewybaczalnym świętokradztwem:

„Kiedy usłyszeliśmy, że nasz Razu po mistrzowsku przeprowadził śmiały atak, który zasługiwał na jedno tylko miano: triumf, przestaliśmy wierzyć naszym uszom; już wówczas

nawet najbardziej wyczulone uszy miały tę wadę, że przyzwyczajone do słuchania radiowych biuletynów informacyjnych stawały się całkowicie niewiarygodne, bo dziwnym zrządzeniem losu wszyscy słyszeli o czymś, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w ogóle się wydarzyć nie mogło. Wówczas jednak skinęliśmy głowami, gdyż rozumieliśmy, iż mężczyzna, któremu żona ma wkrótce urodzić syna, zdolny jest do wszystkiego. Tak, za to wszystko odpowiedzialny był nie kto inny, tylko nie narodzony chłopiec - za jedyną Wiktorię w historii naszych sił zbrojnych - co legło u podstaw reputacji Razy jako człowieka niezwycięzonego, reputacji, która wkrótce sama stała się niezwycięzona, tak że nawet długie lata życia w poniżeniu nie zdołały jej zniszczyć. Raza wrócił jako bohater, zająwszy dla świętego nowego kraju górską dolinę tak wysoko położoną i tak niedostępną, że nawet kozy miały tam kłopoty ze swobodnym oddychaniem; jakież był nieustraszony, jakież potężny, wszyscy prawdziwi patrioci musieli się zachłysnąć - i nie wolno wam wierzyć w propagandowe kłamstwa, że wróg nie zadbał o obronę tego miejsca - walka była bezwzględna jak lód - i do zdobycia tej doliny wystarczyło mu zaledwie dwudziestu ludzi! Tej drużynie olbrzymów, zuchwałej gromadce pod rozkazami Starego Rozpruwacza Bebechów - kto by się oparł? Kto odważyłby się stanąć im na drodze?

Istnieją miejsca, które dla wszystkich ludzi bardzo dużo znaczą: Ansu - płakaliśmy z dumy; szlochaliśmy jak prawdziwi patrioci - wyobraźcie sobie: zajął Ansuki-Wadi! To prawda: zajęcie owej bajecznej «doliny łąz» pobudziło nas do płaczu, do takiego samego gwałtownego płaczu, do jakiego wiele lat później skłaniał nas jej zdobywca, z czego zresztą zasłynął. Ile czasu musiało upłynąć, nim stało się jasne, że nikt nie wie, co zrobić z miejscem, gdzie ślina zamara, nim spadnie na ziemię; poza Iskandrem Harappą, naturalnie, który, jako osobnik nieskłonny do wzruszeń, podążył do „Wydziału Agencji Plemiennych i sprzedał mniej więcej cały ten majdan za marne grosze, za funt kłaków, za cenę śniegu, za garść miedziaków - a kilka lat później pojawiły się tam domki dla narciarzy, organizowano przeloty czarterowe i rozwinęła się aktywność nocna Europejczyków, co doprowadzało miejscowe plemiona do utraty przytomności ze wstydu. Ale czy Raza, nasz wielki bohater, zrozumiał kiedykolwiek coś z tej wymiany zagranicznej? (W tym miejscu niezmiennie nasza narratorka uderza się otwartą dłonią w czoło.) Nie, bo jakżeby mógł, ten wielki wojskowy dumbo? Isky zawsze był bystrzejszy. Jednakże (a teraz narratorka zdobywa się na ton możliwie najbardziej tajemniczy i groźny) umiejętność ta w ostatecznym rozrachunku niewiele znaczy”.

W tym momencie muszę przerwać opowiadanie legendy. Pojedynek Razy Hajdara (awansowanego do stopnia majora za wyczyn z Ansu) z Iskandrem Harappą, mający swój początek, ale nie koniec, w Ansu, musi jeszcze jakiś czas poczekać; w tej chwili Stary

Rozpruwacz Bebechów znowu przebywa w mieście, znowu panuje pokój i niedługo ma się odbyć ceremonia ślubna, która uczyni ze śmiertelnych wrogów powinowatych, rodzinę.

Rani Humajun spogląda w dół, w lustrzanej powierzchni pierścionka obserwuje zbliżanie się pana młodego, który siedzi na złotym talerzu niesionym przez przyjaciół w turbanach. Później, po tym, jak zemdląca pod ciężarem biżuterii i ocuciła ją brzemienna Bilquis, która później sama straciła przytomność; jak kolejno każdy członek rodziny rzucił jej na kolana monetę i przyjrzała się przez welon staremu lubieżnikowi, stryjecznemu dziadkowi, który podszczypywał pośladki krewniaczek pana młodego, wiedząc, że jego siwe włosy ochronią go przed skargami; jak wreszcie uniosła zasłonę obok siebie, a jakaś dłoń uniosła jej welon, popatrzyła długo i surowo w twarz Iskandra Harappy, którego przemożny seksapil miał wiele do zawdzięczenia gładkim i miękkim dwudziestopięcioletnim policzkom, otoczonym pierścionkami długich włosów, które - wybryk natury - miały barwę czystego srebra, na czubku zaś, przeredzone, odsłaniały złocistą kopułę czaszki; pośrodku odkryła usta, także zaokrąglone, zdradzające patrycjuszowskie okrucieństwo złagodzone zmysłową pełnością, godne, pomyślała, jakiejś czarnej ślicznotki, och, na samą myśl przenikał ją grzeszny dreszcz zachwytu... później, po tym, jak pogalopowała z nim do sypialni zasobnej w zabytkowe szable, importowane francuskie gobeliny i rosyjskie powieści, po tym, jak przerażona zsunęła się z białego ogiera, którego pleć najwyraźniej przeżyła się w postawie na bacność, po tym, jak usłyszała zatraskujące się za nią drzwi jej małżeństwa, w tym drugim domu, którego wspaniałość sprawiała, iż mieszkanie Bariammy wydało się jej wiejską norą - właśnie wtedy, nasmarowana olejkiem, leżąc naga na łóżku, przed którym ten mężczyzna, uczyniwszy z niej przed chwilą dojrzałą kobietę, stał i kontemplował jej urodę, ona, Rani Harappa, wypowiedziała swą pierwszą rzeczywiście żoniną uwagę.

- Kim był ten gość - zapytała - ten gruby, pod którego ciężarem koń aż przysiadł, no, kiedy przybył twój orszak? To na pewno ów wstrętny facet, doktor czy ktoś taki, który zdaniem wszystkich w mieście ma na ciebie zgubny wpływ.

Iskander Harappa odwrócił się do niej plecami i zapalił papierosa.

- Jedno zapamiętaj sobie raz na zawsze - usłyszała - nie będziesz oceniała moich przyjaciół ani mi ich dobierała.

Rani nie zdołała powstrzymać wybuchu śmiechu, bo oczyma wyobraźni widziała dumnego konia, który nie daje rady i upada z nogami rozrzuconymi w cztery strony świata pod kolosalnym ciężarem Omara Chajjama Śakila, ale grzejąc się w rozkosznych ciepłach ostatniego miłosnego aktu, w końcu wydała z siebie uspokajające dźwięki: - Chodzi mi tylko o to, Isky, że

to pewnie jakiś bezwstydnny typ. Żeby tak dźwigać przed sobą całe to ogromne brzuszysko i w ogóle.

Trzydziestoletni Omar Chajjam, pięć lat starszy od Iskandra Harappy i ponad dziesięć od młodej żony Isky'ego, znowu pojawia się w naszej skromnej opowieści; ma znakomitą reputację jako lekarz i fatalną jako człowiek, jako degenerat, którego dość powszechnie posądza się o całkowity brak wstydu, „facet pojęcia nie ma, co znaczy to słowo”, jak gdyby jakaś istotna część jego wykształcenia została przeoczona; albo może on sam zdecydował się usunąć „wstyd” z własnego słownika, żeby wybuchowa właściwość tego słowa pośród wspomnień o minionych i terażniejszych czynach nie rozerwała go na kawałki niczym stary dzban. Rani Harappą prawidłowo zidentyfikowała wroga, a teraz z drzeniem wspomina po raz sto pierwszy, odkąd to się zdarzyło, chwilę podczas uroczystości ślubnych, kiedy goniec przyniósł Iskandrowi Harappie przekazaną telefonicznie wiadomość, że zamordowano premiera. Iskander wstał, poprosił o ciszę i przekazał informację przerażonym gościom, po czym przez pełne trzydzieści sekund utrzymywała się niezręczna cisza, którą przerwał plusk alkoholu i wrzask Omara Chajjama Śakila: - Ależ z niego drań! Jak nie żyje, to nie żyje. Dlaczego chce tutaj przyjść i zepsuć nam przyjęcie?

Wtedy wszystko miało mniejszy wymiar niż dzisiaj; nawet Raza Hajdar był tylko majorem, ale w pewnym sensie przypominał miasto - odnosił sukcesy, szybko się rozwijał, choć w jakiś głupi sposób, tak więc im więksi oboje byli, tym bardziej odstręczający się stawali. Muszę wam naświetlić stan spraw w tamtych pierwszych dniach po podziale: starzy mieszkańcy miasta, którzy przywykli do życia w krainie starszej od czasu i dlatego podlegali powolnej erozji pod wpływem ciągle odżywiających wpływów przeszłości, doznali wstrząsu, bo oto stali się niezależni, bo kazano im myśleć o sobie - tak samo jak o kraju -jako o nowej istocie.

Cóż, po prostu ich wyobraźnia tego nie ogarniała, można to zrozumieć; zatem to rzeczywiście nowi ludzie -dalecy krewni, jacyś znajomi lub całkowicie obcy - byli tymi, którzy napłynęli ze wschodu, aby się osiedlić w kraju Boga, oni panowali nad wszystkim i sprawiali, że wszystko się działo. Nowość tamtych dni wyczuwało się jako dość chwiejną; była ruchomym, pozbawionym korzeni typem przedmiotu. W całym mieście (które było wtedy stolicą) budowniczowie oszukiwali na ilości cementu w fundamentach nowych domów, ludzie - nie tylko premierzy - od czasu do czasu ginęli od kul, w rowach podrynano im gardła, bandyci stawali się miliarderni, lecz tego przecież należało się spodziewać. Historia była starą i pordzewiałą, maszyną, której nikt nie uruchamiał od tysięcy lat, i nagle wszystkim zaczęło

zależać na możliwie największej wydajności. Nikogo nie dziwiło, że dochodziło do wypadków... hm, to prawda, odzywały się nieliczne głosy, że jeśli ten kraj poświęciliśmy Bogu, przeto cóż to za Bóg, jeśli do tego dopuszcza - ale wszystkie milkły, nim pytania zostały wypowiedziane do końca, gdy ich autorzy dostawali pod stołem kopniaka w goleń, oczywiście dla ich własnego dobra, bo istnieją sprawy, o których nie można wspominać. Nie, trzeba to *zaznaczyć* wyraźniej: istnieją rzeczy, którym nie można pozwolić, aby okazały się prawdą.

W każdym razie Raza Hajdar już unaoczniał - zajmując Ansu - korzyści krzepiącego napływu imigrantów, istot, jakich dotąd nie było; ale nieważne, bo tak czy inaczej Raza nie był w stanie nic zrobić, aby jego pierworodny syn nie zadusił się w łonie matki.

Jeszcze raz (zdaniem babki ze strony jego matki) rozplakał się zbyt łatwo. Właśnie wówczas, gdy powinien był zademonstrować całkowitą kontrolę nad górną wargą, zaczął wypłakiwać oczy, w dodatku publicznie. Widziano, jak łzy toczą się po wywoskowanych bulwiastych wąsach, a czarne sińce pod oczami raz jeszcze błyszczały jak małe kałuże oleju. Za to jego żona, Bilquis, nie uroniła ani jednej łzy.

- Hej, Raz - pocieszała męża słowami schłodzonymi niewyraźną świadomością własnej rozpaczki. - Razu, głowa do góry. Dostaniemy go następnym razem.

- Stary Rozpruwacz Bebechów, palec u mojej nogi -Bariamma beształa go przed wszystkimi. - Wiecie, że wymyślił dla siebie ten przydomek i rozkazał członkom swoich oddziałów, aby tak się do niego zwracali? Czy nie lepszy byłby Stary Dziurawy Rezerwuar?

Pępowina zacisnęła się wokół szyjki dziecka i zamieniła w katowską pętlę (w niej znalazły zapowiedź inne pętle), w zapierającą dech jedwabną chustę bandyty; no i dziecko przyszło na świat nieodwracalnie upośledzone, bo było martwe, nim się urodziło. - Kto wie, dlaczego Bóg dopuszcza do czegoś takiego? - Bariamma rzuciła bez litości do wnuka. - Musimy się podporządkować, musimy. I nie roń dziecinnych łez w obecności kobiet.

Wszelako bycie nieżywym okazało się trudnością, którą chłopiec zdołał przezwyciężyć w sposób niezwykle dzielny i godny pochwały. W ciągu miesięcy lub może tylko tygodni tragicznie otrupiałe dziecko osiągnęło najlepsze wyniki w szkole i w college'u, bohatercko walczyło na wojnie, ożeniło się z najbogatszą ślicznotką w mieście i osiągnęło wysokie stanowisko w rządzie. Okazało się pewne siebie, popularne, przystojne, a fakt bycia zwłokami zdawał się nie mieć większego znaczenia, ot znaczył tyle, co lekko utykać bądź cierpieć na drobną wadę wymowy.

Oczywiście dobrze wiem, iż w rzeczywistości chłopiec ów zmarł, nim otrzymał imię. Wszystkich wspaniałych czynów dokonał wyłącznie w oderwanej od rzeczywistości

wyobraźni Razy i Bilquis, gdzie wydawały się tak realne, że oboje zaczęli się upierać, iż są dziełem zapewniającej im realność żywej istoty. Zaprzątnięci fikcyjnymi sukcesami martwo urodzonego syna, Raza i Bilquis z ochotą spotykali się w sypialni wszystkich żon i co noc w ciszy kołysali się na łożu, doszedłszy do przekonania, iż druga ciąża byłaby aktem zamiany, że Bóg (bo jak wiemy, Raza był człowiekiem pobożnym) postanowił przesłać im darmowy substytut za zniszczony towar, jaki otrzymali w pierwszej przesyłce, jak gdyby był On szefem szanującej się firmy wysyłkowej. Bariamma, która się o wszystkim dowiedziała, rozpuściła język na temat tego reinkarnacyjnego nonsensu, uświadamiając sobie, że tamtych dwoje sprowadziło z kraju bałwochwalców, który niedawno opuścili, coś w rodzaju bakterii chorobotwórczej; lecz co ciekawe, nigdy nie była dla nich sroga, gdyż rozumiała, że umysł potrafi na różne sposoby radzić sobie z żalem. Zatem trudno, musi ponosić część odpowiedzialności za to, co potem nastąpiło, nie powinna była zaniedbywać swoich obowiązków tylko dlatego, że były bolesne; przecież mogła zdyskredytować ideę ponownych narodzin, lecz ta zakorzeniła się zbyt szybko, a potem było za późno, by z tego uczynić przedmiot dyskusji.

Wiele lat później Iskander Harappą zasiadł na ławie oskarżonych sądu w procesie, w którym stawką było jego życie -jego twarz była szara niczym importowany garnitur, skrojony, kiedy Isky był dwa razy cięższy -i przy tej okazji drwił z Razy, wypominając mu reinkarnacyjną obsesję. - Dobrze pamiętam, jak temu przywódcy, który modlił się sześć razy dziennie, do tego również w publicznej telewizji - powiedział Isky głosem syreny rozstrojonym przez pobyt w areszcie - musiałem przypominać, że wiara w awatar²¹ to herezja. Oczywiście nigdy mnie nie słuchał; cóż, Raza Hajdar zazwyczaj nie słuchał przyjacielskich rad. - Przed salą sądową dało się słyszeć pomruki co śmielszych członków zdeintegrowanej grupy zwolenników Harappy: mimo wszystko generał Hajdar wychował się we wrogim kraju po drugiej stronie granicy; podobno jego prababka ze strony ojca wyznawała hinduizm, więc tamte bezbożne filozofie już dawno skaziły jego krew.

Prawdą jest, że Iskander i Rani prowokowali kłótnie z Hajdarami, lecz Bilquis nie reagowała, tylko jej zdradzające upór usta stawały się napięte jak membrana bębenka. W owym czasie Rani Harappą spodziewała się dziecka, do czego doszło błyskawicznie, a Bilquis właśnie wprowadzała w życie zasadę, by nie robić nic, co doradzała jej przyjaciółka z sypialni, dlatego niewykluczone, że właśnie to był powód trudności Bilquis z zajściem w ciążę, mimo systematycznych nocnych starań.

²¹ Awatar - wcielenie boga, w szczególności Wisznu, niezbędne dla ratowania ludzkości przed zagładą; hinduizm uznaje dziesięć tego rodzaju wcieleń.

Kiedy Rani urodziła córkę, jej niepowodzenie w wydaniu na świat potomka płci męskiej przyniosło Bilquis odrobinę pociechy, lecz nie aż tak wiele, bo jednocześnie rozpląnęło się w powietrzu inne marzenie, sen o małżeństwie ich pierwotnych dzieci. Rzecz jasna już teraz nowo narodzona panna Ardżumand Harappą była starsza niż ewentualny przyszły potomek płci męskiej Hajdarów, więc tego rodzaju partia nie wchodziła w grę. Rani miała w tym istotny udział; jej sprawność powiększyła głębokie jak studnia przygnębienie Bilquis.

Natomiast pod dachem Bariammy zaczęły krążyć drobne szyderstwa i komentarze, kierowane pod adresem tej dziwnej kobiety, która nie była w stanie dać z siebie niczego poza martwymi dziećmi; płodność w tej rodzinie była powodem do dumy. Pewnej nocy, po zmyciu brwi i odzyskaniu wyglądu przestraszonego królika, Bilquis ułożyła się do snu i z zazdrością popatrzyła na puste łóżko, które dawniej zajmowała Rani Harappą, wtedy z drugiej strony wyjątkowo złośliwa kuzynka, begam²² Dunijazad, z mrocznym jak noc sykiem wyrzuciła z siebie stek obelg: - Hańba bezpłodności, pani, nie tylko na ciebie spada. Nie wiesz, że hańba jest zbiorowa? Hańba którejkolwiek z nas ciąży nam wszystkim, przygniata plecy. Uświadom sobie dobrze, jaką krzywdę wyrządzasz rodzinie własnego męża, jak odpłacasz się tym, którzy cię przygarnęli, kiedy przybyłaś bez grosza, wygnana z tamtego bezbożnego kraju.

Bariamma wcześniej pogasiła światła - główny wyłącznik wisiał na przewodzie w zasięgu jej ręki. W mroku zenany słychać było przede wszystkim jej chrapanie. Lecz Bilquis nie leżała spokojnie w swoim łóżku; podniosła się i rzuciła na Dunijazad, która niecierpliwie na nią czekała, następnie obie, z dłońmi wczepionymi we włosy, gniotąc się kolanami w miękkie części ciała, runęły cicho na podłogę. Walka toczyła się bezgłośnie, taka była moc matriarchatu nocą; ale wiadomość obiegła izbę - choć nie głośniejszą od szmerów mroku - więc kobiety usiadły na łóżkach i przyglądały się walce. Nadeszli mężczyźni i oni także stali się milczącymi świadkami potyczki na śmierć i życie, podczas której Dunijazad straciła kilka garści bujnych włosów spod pachy, a Bilquis złamała ząb na zaciśniętych w szpony palcach przeciwniczki; wreszcie do sypialni wszedł Raza Hajdar i je rozdzielił. Właśnie w tym momencie Bariamma przestała chrapać i włączyła światło, uwalniając w nasycone światłem powietrze cały hałas, wszystkie dopingujące okrzyki, które powstrzymywała ciemność. Kiedy kobiety ruszyły, aby podeprzeć łusą, ślepą matronę poduchami, Bilquis, drżąc w ramionach męża, odmówiła dalszego mieszkania pod dachem domu, w którym ją spotwarzono. - Mężu, wiesz przecież - przyoblekła się w strzępy królewskiego dzieciństwa - że zostałam wychowana do czegoś lepszego niż to wszystko tutaj; pewnie dlatego nie mam dzieci, że nie mogę ich zrobić w tym

zoo, jak wszyscy, jak zwierzęta czy coś w tym rodzaju.

- Tak, tak, wiemy, dlaczego uważasz się za lepszą od nas - ostatnie słowo należało do Bariammy, która osiadła na poduchach z sykiem przekłutego balonu. - Razo, mój chłopcze, zatem zabierz ją stąd! - zawyła głosem szerszenia. - Ty, begam Billu, idź precz. Hańba opuści ten dom razem z tobą, a nasza droga Dunija, na którą się rzuciłaś za słowa prawdy, będzie spokojnie spała. Dalej, mohadżir! Imigrantko! Pakuj się szybko i ruszaj do rynsztoka, jaki sobie sama wybierzesz.

Wiem co nieco o imigracji. Sam emigrowałem z jednego kraju (Indii) i jestem imigrantem w dwóch (Anglii, gdzie mieszkam, i Pakistanie, do którego wbrew mojej woli przeniosła się moja rodzina). Wyznaję pewną teorię, że resentmenty, których my, imigranci, jesteśmy przyczyną, mają jakiś związek z pokonywaniem prawa ciężenia. Zdobyliśmy się na czyn, o jakim wszyscy ludzie od dawien dawna marzą, na coś, czego zazdrościmy ptakom; to znaczy - wzbiliśmy się w powietrze.

Porównuję grawitację z przynależnością. Oba zjawiska poddają się obserwacji: niby stoję twardo na ziemi, a jednak nigdy nie byłem bardziej wściekły niż wówczas, gdy pewnego dnia ojciec powiedział mi, że sprzedał w Bombaju dom, w którym spędziłem dzieciństwo. Jednakże nie rozumiemy ani jednego, ani drugiego. Wiemy, że siła grawitacji istnieje, jednakże nie znamy źródła jej pochodzenia; aby wyjaśnić, dlaczego przywiązujemy się do miejsca urodzenia, udajemy, że jesteśmy drzewami i mówimy o korzeniach. Spójrzcie pod swoje stopy. Nie dostrzeżecie poskręcanych wypustek przebijających podeszwy. Korzenie - myślę sobie czasem - są konserwatywnym mitem, zaprojektowanym, aby utrzymać nas na swoich miejscach.

Antymity grawitacji i przynależności nazywają się tak samo: migracja. *Migracja, rz., zmiana miejsca pobytu, na przykład migracje sezonowe ptaków. Ulecieć, uciec, w ten sposób szuka się wolności...* dziwna rzecz z tą grawitacją, bo choć pozostaje niepojęta, wszyscy zdają się z łatwością pojmować, na czym polega jej teoretyczne przeciwieństwo - antygravitacja. Lecz antyprzynależność nie jest akceptowana przez nowoczesną naukę... założmy, że ICI, Ciba-Geigy, Pfizer, Roche czy nawet NASA wynalazła anty grawitacyjną pigułkę. Natychmiast zbankrutowałyby linie lotnicze na całym świecie. Połykacze pigułek odrywaliby się od gruntu i unosili, póki by nie wpadli w chmury. Istniałaby potrzeba wymyślenia specjalnego wodoodpornego ubrania. Kiedy zniknęłyby skutki działania pigułki, po prostu by się spadało łagodnie na ziemię, ale w innym miejscu, a to z powodu dominujących prądów

²² Begam (pers.) - pani, królowa; zwrot grzecznościowy używany w stosunku do kobiet muzułmańskich.

powietrznych i ruchu obrotowego planety. Zindywidualizowane podróże międzynarodowe byłyby możliwe przez wytwarzanie pigułek zróżnicowanych ze względu na siłę działania i długość trwania podróży. Należałoby skonstruować pewne rodzaje kierunkowych silników wspomagających, najlepiej w formie plecaka. Masowa produkcja sprawiłaby, że na urządzenia mogłaby sobie pozwolić każda rodzina. Dostrzegacie chyba związek między ciężeniem i „korzeniami”: pigułki uczyniłyby emigrantów z nas wszystkich. Unosilibyśmy się w górę, wykorzystywali wspomaganie, aby osiągnąć właściwą szerokość geograficzną, i pozwalali ruchowi planety uczynić resztę.

Kiedy jednostki oderwą się od rodzinnej ziemi, stają się emigrantami. Kiedy to samo uczynią narody (Bangladesz), dokonuje się „secesja”. Co najlepszego można powiedzieć o migrujących ludziach i dokonujących secesji narodach? Chyba to, że są pełni nadziei. Spójrzcie na oczy tego rodzaju ludzi ze starych fotografii. Płonie w nich nadzieja mimo wyblakłych sepiowych barw zdjęcia. A co można rzec najgorszego? Że mają pustkę w bagażu. Chodzi mi o niewidzialne walizki, nie o materialne, na przykład kartonowe, nie o rozmaitość złożoną z kilku odsączonych ze znaczenia pamiątek: oderwaliśmy się nie tylko od kraju. Odsunęliśmy się od historii, od pamięci, od Czasu.

Może i ja jestem taką osobą. Może Pakistan jest tego rodzaju krajem.

Powszechnie wiadomo, że słowo „Pakistan” jest akronimem wymyślonym w Anglii przez grupę muzułmańskich intelektualistów. P, czyli Pendżab, A jak Afganistan, K jak Kaszmir, S jak Sind, do tego „tan” od Beludżystanu. (Zwróćcie uwagę, żadnej wzmianki o Wschodnim Skrzydle; Bangladesz nigdy nie został uwzględniony w nazwie, w końcu podchwycił wskazówkę i oddzielił się od secesjonistów. A teraz spróbujcie sobie wyobrazić, co taka podwójna secesja oznacza dla ludzi!)... Słowo powstało na wygnaniu, zawędrowało na Wschód, zostało przeniesione, przetransponowane i wywarło wpływ na historię: powracający migrant, osiedlający się na podzielonej ziemi, tworzący palimpsest na przeszłości. Palimpsest przysłania to, co leży pod spodem. Aby zbudować Pakistan, należało przykryć hinduską historię, zaprzeczyć, że stulecia Indii leżą tuż pod powierzchnią pakistańskiego znormalizowanego czasu. Przeszłość napisano od nowa; nie było nic więcej do zrobienia.

Kto zlecił zadanie napisania historii na nowo? Imigranci, mohadżirowie. W jakim języku? W urdu i angielskim, językach importowanych, choć jeden pokonał krótszy dystans niż drugi. Można postrzegać dalszą historię Pakistanu jako pojedynek pomiędzy dwiema warstwami czasu: świat przysłonięty na siłę przenika przez to, co zostało narzucone. Prawdziwym pragnieniem każdego artysty jest narzucenie światu własnej wizji; a Pakistan, złuszczone, rozkawałkowany palimpsest, coraz częściej w stanie wojny z samym sobą, można

opisać jako porażkę rozmarzonego umysłu. Może zostały użyte nieodpowiednie pigmenty, nietrwale, jak u Leonarda; albo może miejsce zostało nieodpowiednio wymyślone i powstał obraz pełen sprzecznych elementów: odsłaniające brzuchy sari klóciły się z wyciszonym, skromnym strojem typu salwar-kamiz²³ Sindhyjczyków, urdu z pendżabskim, teraz z przedtem - cud, który się nie udał.

Co do mnie, cóż, jak każdy emigrant jestem marzycielem. Buduję wymyślone kraje i staram się jakoś je nałożyć na te, które już istnieją. Ja również borykam się z problemami historii: co zachować, co wyrzucić na śmietnik, jak zatrzymać to, od czego pamięć chce się uwolnić, jak sobie poradzić ze zmianą. Aby powrócić do idei „korzeni”, wcześniej powinienem wspomnieć, że nie zdołałem całkowicie się od tego uwolnić. Czasami rzeczywiście widzę siebie w postaci drzewa, czasem nawet nie byle jakiego, takiego na przykład jak jesion Igdrasil²⁴, mityczne drzewo z nordyckiej legendy. Jesion Igdrasil ma trzy korzenie. Jeden sięga do źródła wiedzy Walhalli, skąd pić przychodzi Odyn. Drugi trawi wieczny ogień Muspellheimu, królestwa boga ognia Surtura. Trzeci jest stopniowo podgryzany przez okropną bestię zwaną Nidhogg. Kiedy ogień i potwór zniszczą dwa spośród trzech korzeni, jesion runie i stanie się ciemność. Zmierzch bogów: koszmarny sen drzewa o śmierci.

Powtórzę: palimpsestowy kraj z mojej opowieści nie ma własnej nazwy. Swego czasu wygnany z kraju czeski pisarz Kundera napisał: „Nazwa, nazwisko oznacza więź kontynuacji z przeszłością, ludzie bez przeszłości są ludźmi bez nazwiska”. Lecz ja mam do czynienia z przeszłością, która nie daje się zdusić, która każdego dnia toczy bój z teraźniejszością; być może jestem nadmiernie srogą, odmawiając nazwy mojej czarodziejskiej krainie.

Istnieje pewna apokryficzna opowieść o tym, że Napier²⁵ po zwycięskiej kampanii w rejonie dzisiejszego południowego Pakistanu wysłał do Anglii wstydliwą wiadomość, zawierającą jedno słowo: *Peccavi*²⁶. Mam Sindh. Odczuwam pokusę, aby nazwać mój zwierciadlany Pakistan na cześć tego dwujęzycznego (i fikcyjnego, ponieważ nigdy nie rozpowszechnionego) kalamburu. Niechaj więc będzie Peccavistan.

Działo się to w dniu, kiedy jedyny syn przyszłego generała Razy Hajdara miał przejść reinkarnację.

²³ Salwar-kamiz - strój złożony z szarawarów i tuniki-koszuli, luźnej, ściągniętej w pasie, sięgającej kolan. Strój rozpowszechniony w pñ.-zach. Indiach i pñ. Pakistanie.

²⁴ Igdrasil, Yggdrasill: „wielkie drzewo świata”, wiecznie zielony jesion podtrzymujący wszechświat.

²⁵ ** Napier, Charles James (1782-1853) - brytyjski generał, zdobywca i gubernator Sindhu.

²⁶ *** *Peccavi* (łac.) - zgrzeszyłem, co w przekładzie na angielski brzmiałoby: *I have sinned*, czyli tak samo jak: *I have Sindh*: „Mam Sindh”.

Wcześniej Bilquis wyrwała się spod antykoncepcyjnej obecności Bariammy do zwykłego mieszkania dla żonatych oficerów oraz ich żon w wydzielonych budynkach bazy wojskowej; wkrótce po ucieczce zaszła w ciążę, czyli dokładnie tak, jak zapowiadała.

- A co, nie mówiłam? - triumfowała. - Raz, on wraca, aniołek, przekonasz się. - Bilquis tłumaczyła odzyskaną płodność tym, że wreszcie podczas aktu miłosnego mogła swobodnie hałasować, „tak że ten aniołek, czekając na moment narodzin, słyszy, co się dzieje, i odpowiednio reaguje” mówiła do męża z czułością, a pobrzmiewające w jej głosie szczęście powstrzymywało go przed uwagą, że nie tylko anioły znajdują się w zasięgu jej namiętych jęków i ojojów, lecz także inni żonaci oficerowie w bazie, w tym również jego bezpośredni przełożony i kilku młodszych facetów, dlatego w kantine ustawicznie musiał znosić wcale niemałą dawkę szyderstw.

Bilquis rozpoczęła poród - ponowne narodziny były tuż-tuż - Raza Hajdar czekał na potomka, siedząc sztywno w poczekalni oddziału położniczego wojskowego szpitala. Po ośmiu godzinach, którym towarzyszyło wycie, kołysanie biodrami, pękanie naczyń krwionośnych w policzkach i rzucanie plugawymi słowami - na co się pozwala jedynie kobietom podczas porodu - nareszcie to nastąpiło, bach! I dokonał się cud życia. Córka Razy Hajdara urodziła się o drugiej piętnaście po południu, co więcej, urodziła się tak pełna życia, tak ruchliwa, jak martwy był jej starszy brat.

Kiedy owinięte w pieluchy dziecko podano Bilquis, nasza dama nie zdołała się powstrzymać, żeby nie zawołać, choć niezbyt głośno: - Mój Boże, to wszystko? Tyle ruchu i wrzasku, żeby wypchnąć tylko tę mysz?

Bohaterka naszej opowieści, mylny cud, Sufija Zinobia, była dzieckiem tak małym, że podobnego nikt nigdy nie widział. (I pozostała mała, kiedy dorosła, upodabniając się niemal do karłowatej prababki, której imię, Bariamma, Wielka Matka, zawsze było rodzajem rodzinnego żartu.)

Bilquis zwróciła zdumiewająco małe zawiniątko położnej, która zaniósła je do zatroskanego ojca. - Córka, sahib major, śliczna jak dzień, prawda? - W sali porodowej cisza wyciekła ze wszystkich porów wyczerpanej matki; w poczekalni Raza milczał również. Cisza: pradawny język klęski.

Klęski? Przecież mowa o Starym Rozpruwaczu Bebechów we własnej osobie, zdobywcy lodowca, pogromcy zmrożonych łąk i pokrytych lodowym futrem górskich owiec! Czyżby przyszły surowy ojciec narodu uległ tak szybko i łatwo? Nic z tego. Czy może wobec tego bomba położnej skłoniła go do bezwarunkowej kapitulacji? O nie, z pewnością nie. Raza wdał się w spór; słowa napływały gwałtownymi falami, niepowstrzymane jak czołgi. Ściany

szpitala zatrzęśli się i ustąpiły; na pobliskim boisku do polo konie postawały dęba i pozrzucały jeźdźców.

- Pomyłki ciągle się zdarzają! - wrzasnął Raza. - Czasem dochodzi do okropnych błędów! A jakże, kiedy na przykład urodził się mój piąty kuzyn ze strony żony...! Nie chcę słyszeć żadnych ale, kobieto, chcę się natychmiast widzieć z szefem szpitala! - I jeszcze głośniej: -Dzieci nie przychodzą na świat zupełnie czyste. - Następne słowa wystrzeliły z jego ust niczym kule z armaty: - Genitalia! Mogły! Zostać! Zakryte! - Raza ryczał coraz gwałtowniej. Położna wyprężyła się, zasalutowała; nie zapominajcie, że to wszystko działo się w szpitalu wojskowym, a Raza był starszy stopniem, zatem powiedziała tak jest, wszystko, co major sahib mówi, jest bezwzględnie możliwe. I uciekła. W powilgotniałych oczach ojca zaświtała nadzieja, podobnie w rozszerzonych źrenicach Bilquis, która oczywiście wszystko słyszała. Dla odmiany maleństwo, w którego istotę wątpiono, umilkło i zadumało się.

Szef szpitala (brygadier) wkroczył do izby poddanej niemal sejsmicznym wstrząsom, gdzie przyszły prezydent starał się wpłynąć na biologię nadludzkim wysiłkiem woli. Niestety jego słowa - ważne, ostateczne, wyższe stopniem od słów Razy - zabiły nadzieję. Martwo urodzony syn umarł znowu, nawet jego duch został zduszony przez śmiertelną mowę lekarza:

-Możliwość pomyłki jest absolutnie wykluczona. Proszę zwrócić uwagę na fakt, że dziecko zostało umyte, zanim jeszcze zawinięto je w pieluchę. Kwestia płci jest poza dyskusją. Niech mi będzie wolno złożyć gratulacje.

Lecz który ojciec zgodziłby się bez walki, by jego syn, dwakroć poczęty, został w ten sposób zgładzony? Raza chwycił za pieluchy; dokopawszy się pod spodem dziecka, pokazał na krocze.

- Bardzo proszę! Pytam pana, sir, co to jest?

- Dostrzegamy tu układ całkiem normalny, a także wcale nie nadzwyczajną postnatalną opuchliznę dziecka płci żeńskiej...

- Występ! - wrzasnął z rozpaczą Raza. - Czyż nie jest to, doktorze, absolutnie i niewątpliwie występ?

Ale brygadier zdążył już wyjść.

I w tym momencie - znowu przytaczam rodzinną legendę - kiedy rodzice musieli pogodzić się z niezmiennością płci, podporządkować się, jak nakazuje wiara, Bogu, dokładnie w tej samej chwili ekstremalnie nowa, usypiająca na rękach Razy istota zaczęła się - naprawdę! -rumienić.

O zarumieniona Sufijo Zinobio!

Możliwe, że opisany wyżej incydent został upiękuszony podczas wielokrotnego

odtworzenia w opowieściach, ale nie mniej podawać w wątpliwość wierność ustnej tradycji. W każdym razie podobno dziecko zaczerwieniło się zaraz po przyjściu na świat.

Wtedy, nawet wtedy, zbyt łatwo ulegała wstydowi.

Rozdział szósty

Sprawy honoru

Istnieje powiedzenie, że żaba, która skrzeczy w głąb studni, przestraszy się grzmiącego głosu olbrzymiej żaby, która jej odpowie.

Kiedy w Needle Valley niedaleko K. odkryto wielkie pokłady gazu, niepatriotyczne zachowanie miejscowych plemion stało się przyczyną powszechnego niepokoju. Kiedy napadnięto na grupę inżynierów dokonujących próbnych odwiertów, mierniczych oraz przysłanych do Needle naukowców, którzy mieli zaprojektować system wydobycia, i każdy członek zespołu został zgwałcony przeciętnie osiemnaście przecinek sześćdziesiąt sześć setnych razą (z czego trzynaście przecinek dziewięćdziesiąt siedem setnych przypadało na penetracje od tyłu, a tylko cztery przecinek sześćdziesiąt dziewięć w usta), zanim napastnicy poderżnęli dokładnie sto procent eksperckich gardeł, namiestnik rządowy Aladyn Gički wezwał pomoc wojskową. Dowódcą sił skierowanych do ochrony bezcennych zasobów gazu był nie kto inny, tylko Raza Hajdar, bohater wyprawy na Ansuki-Wadi i już pełny pułkownik. W zasadzie wszyscy byli zgodni co do tego wyboru: „Kto lepiej obroni cenną górską dolinę - pytał retorycznie najważniejszy ogólnokrajowy dziennik «Wojna» - jak nie zdobywca innego równie cennego klejnotu?” Natomiast Stary Rozpruwacz Bebechów udzielił takiej oto odpowiedzi reporterowi tej samej gazety na stopniach wyposażonego w klimatyzację pociągu pocztowego, jadącego na zachód: „Tych bandytów porównać można do żab w studni, szanowny panie, ale ja, jeśli Bóg pozwoli, będę olbrzymem, który tak ich przestraszy, że ze strachu narobią pod siebie”.

W tym czasie jego córka Sufija Zinobia miała piętnaście miesięcy. Ona oraz żona Bilquis towarzyszyły pułkownikowi Hajdarowi w podróży do Gór Niemożliwych. Ledwie pociąg wyruszył ze stacji, do ich przedziału zaczęły przenikać odgłosy „bezbożnej hulanki” (wyrażenie Razy). Raza zapytał ochronę o tożsamość sąsiadów. - Bardzo ważne figury, sir - padła odpowiedź -członkowie jakiegoś zarządu, do tego kilka kobiet, gwiazd z jakiejś wytwórni filmowej. - Raza Hajdar wzruszył ramionami. - W takim razie musimy znieść ten harmider, bo nie będę się zniżał do dyskusji z typkami od filmu! -Kiedy Bilquis to usłyszała, zacisnęła usta, aż odplynęła z nich krew, co wyglądało jak pewna odmiana uśmiechu, i z przejściem wbiła wzrok w ścianę, która oddzielała ją od imperium przeszłości.

Wagon należał do nowoczesnych, do tych, które miały wewnątrz korytarze łączące drzwi do poszczególnych przedziałów; kilka godzin później Bilquis wracała z toalety, kiedy z

gniazda deprawacji pełnego ludzi kina wychylił się młodzian o ustach grubych jak u Iskandra Harappy, ułożył je jak do pocałunku i cmokał, szepcząc nasycone whisky czułe słówka: - Słowo daję, brachu, możesz sobie zatrzymać ten obcy towar, moim zdaniem rodzima produkcja jest najlepsza, bez dwóch zdań. - Bilquis czuła, jak jego oczy szczypią jej piersi, lecz z jakiegoś trudnego do wyjaśnienia powodu nie wspomniała o żadnej ujmie na honorze, kiedy ponownie zajęła miejsce przy boku męża.

Honor Razy Hajdara też ucierpiał, otrzymawszy znieważający cios podczas tej podróży albo, gwoli ścisłości, na jej zakończenie, bo kiedy zajechali na stację „Cantt” w K., zastali na peronie tłum, istną szarańczę śpiewającą najpopularniejsze przeboje, rzucającą kwiaty, wymachującą chorągiewkami i sztandarami, i choć Bilquis dostrzegła, że Raza podkręca wąsa, jej ułożone do uśmiechu usta wcale się nie poruszyły, aby mu uświadomić oczywistą prawdę, że serdeczne powitanie nie zostało przygotowane dla niego, pułkownika, lecz dla hałustry z sąsiedztwa. Hajdar wyszedł z pociągu, rozłożył szeroko ramiona, z jego ust popłynął potok słów składający się na gwarancję bezpieczeństwa strategicznych pokładów gazu, kiedy został niemal stratowany przez łowców autografów i chętnych do ucałowania rąbka szat przesadnie skromnych dam z branży filmowej. (Tak był wytrącony z równowagi, iż nie zauważył krągłoustego młodziana, który pożegnał się z Bilquis lekkim ruchem palców.) Podtrzymywana przez dumę uraza wyjaśniała wiele z tego, co nastąpiło później; w absurdalnym stylu poniżonych zaczął obarczać winą za to wszystko żonę, która dzieliła z jego przeciwniczkami kinematograficzną przeszłość - po czym odnowiła się wściekłość z powodu całkowicie sknoconej reinkarnacji jego jedyne syna, przeszła przez nowo powstały pomost łączący jego żonę i fanów filmu, aż w końcu Raza zaczął podświadomie obarczać winą za swe kłopoty z progeniturą płytkich miłośników kina.

Kłopoty małżeńskie są jak woda gromadząca się na płaskim dachu w porze monsunów. Nie zdajesz sobie sprawy, że tam jest, ale ciężar staje się coraz większy i pewnego dnia cały dach z wielkim trzaskiem spada ci na głowę... zostawiwszy za plecami Sindbada Mengala o ustach jakby stworzonych do całowania, najmłodszego syna szefa korporacji filmowej, który przybył, aby pokierować branżą w tym regionie, obiecując cotygodniowe zmiany programu, powstanie nowych kin i regularne występy gwiazd oraz piosenkarzy użyczających tamtym swoich głosów, Hajdarowie odwołali się do własnego poczucia triumfu i zaczęli się przedzierać do wyjścia przez wiwatujący tłum.

W hotelu Flashmana do apartamentu dla nowożeńców, gdzie unosił się w powietrzu natarczywy zapach naftaliny, wprowadził ich jakiś słabowity tragarz, któremu towarzyszyła ostatnia z wytresowanych małp w uniformie chłopca hotelowego, a który w przystępie

rozpaczy nie potrafił się pohamować, by nie dotknąć Razy Hajdara i nie zapytać: -
Przepraszam, łaskawy panie, czy nie wie pan przypadkiem, kiedy wracają angrescy sahibowie?

A Rani Harappą?

Gdziekolwiek spojrzy, widzi ciekawskie twarze; gdziekolwiek nadstawi uszu, słyszy głosy i słownictwo tak wielobarwnie nieprzyzwoite, że farbują jej uszy kolorami tęczy. Pewnego ranka wkrótce po przybyciu do nowego domu budzi się, aby odkryć młode wieśniaczki, które szperają po szufladach z jej bielizną, które wyciągają importowane, koronkowe części garderoby, rubinowe szminki.

- A wy co tutaj robicie?

Dwie dziewczyny odwracają się nie zrażone, nie wypuszczając z rąk ubrań, kosmetyków, grzebieni.

- Och, żono Isky'ego, nie dzieje nic nadzwyczajnego, aja²⁷ Isky'ego powiedziała, że możemy sobie popatrzeć.

- Wyfroterowałyśmy podłogi i ona dostała pozwolenie.

- Ehe. Żono Isky'ego, popatrz na podłogi. Jak je wyfroterowałyśmy! Daję słowo, są gładsze niż małpie tyłki.

Rani podciera się w łóżku na łokciach; w jej głosie słychać resztki snu.

-Wynoście się! Nie wstyd wam, że tu jesteście? No dalej, bo...

Dziewczęta wachlują się, jakby pokój był pełen płomieni.

-O Boże, ale gorąco! Hej, żono Isky'ego, włóż sobie język do wody!

Rani krzyczy:

- Nie bądźcie bez... - lecz one jej przerywają.

- Nie ma co się przejmować tym wszystkim, wielce szanowna pani, bo w tym domu nadal najwięcej do powiedzenia ma aja Isky'ego. - Dziewczęta ruszają do drzwi, kołysząc obraźliwie biodrami. Przed wyjściem jeszcze przystają, aby dorzucić na pożegnanie: -A niech to, ten Isky daje żonie porządne ubrania, najlepsze, bez dwóch zdań.

- Ano prawda. Chociaż kto by się zachwycił ogonem pawia, który tańczy w środku puszczy?

-I powiedzcie -woła - powiedzcie aji, że chcę zobaczyć córkę! - krzyczy, ale dziewczęta zdążyły już zamknąć drzwi, jeszcze tylko jedna woła z drugiej strony:

- Po co zaraz zadzierać nosa, być taką wyniosłą? Dziecko przyjdzie, jak będzie gotowe.

Rani Harappą już nie płacze, już nie powiada do lustra: „To się nie może dziać

naprawdę”. Już nie wzdycha z niestosowną nostalgią za sypialnią czterdziestu rozbójników. Z córką, bez męża, była w tarapatach na skraju świata, w Mohendžo, ziemi Harappy w Sindhu, rozciągającej się od horyzontu po horyzont, dotkniętej chronicznym brakiem wody, zaludnionej przez roześmiane, pogardliwe monstra, „istne Frankensteiny”. Już sobie nie wyobraża, że Iskander nie wie, jak jest tutaj traktowana.

- Wie - mówi do lustra. Jej ukochany mąż, pan młody na złotym talerzu. - Po urodzeniu dziecka kobieta staje się luźniejsza - zwierza się zwierciadłu - a mój Isky lubi, kiedy wszystko trzyma się kupy. - Potem przykrywa dłonią usta i biegnie do drzwi, do okien, aby się upewnić, że nikt jej nie usłyszał.

Potem siedzi ubrana w salwar i kurtę z włoskiej *crêpe de Chine* na najchłodniejszej werandzie, wyszywa szal i obserwuje niewielki obłoczek kurzu na horyzoncie. Nie, Isky to być nie może, on przebywa w mieście ze swoim serdecznym kumplem Śakilem; wiedziałam, że będą kłopoty, wiedziałam w chwili, gdy go ujrzałam, tego wieprza, tę beczkę świńskiego mięsa. To pewnie jedna z tych niewielkich trąb powietrznych, które skaczą przez skąpe zarośla.

Ziemia Mohendžo jest uparta. Wypala swoich ludzi, aż stają się twardzi jak kamienie. Konie w stajniach są ze stali, bydło ma diamentowe kości. Miejscowe ptaki wydziobują grudy ziemi, pluja, budują gniazda z błota; jest tutaj niewiele drzew, z wyjątkiem małego, nawiedzonego lasu, gdzie stają dęba stalowe konie... gdy Rani wyszywa, sowa śpi, zagrzebana w ziemi. Widać jedynie koniuszek jej skrzydła.

- Gdyby ktoś mnie tutaj zamordował, wieść o tym nigdy by się nie wydostała poza granice majątku. – Rani nie ma pewności, kiedy mówi na głos. Jej myśli, swobodne, uwalniane przez samotność, ostatnio dość często bezwiednie wymykają się przez usta; jedna przeczy drugiej, bo po chwili, gdy siedzi pod ciężkim dachem werandy, przychodzi jej do głowy: - Kocham ten dom.

Werandy biegną wzdłuż wszystkich czterech ścian; długie przejście, zabezpieczone siatką przed moskitami, łączy dom z bungalowem, gdzie mieści się kuchnia. Jeden z cudów tego miejsca polega na tym, że *ćapati*²⁸ nigdy nie stygną podczas przenoszenia wyłożoną drewnem alejką do pokoju stołowego ani suflety nie opadają. Obrazy olejne i świeczniki, wysokie sufity i płaski, smołowany dach, na którym pewnego razu - nim została tu sama - przyklekła i przez świetlik chichotała o poranku do męża nadal leżącego w łóżku. Dom rodzinny Iskandra Harappy. - Przynajmniej tyle go mam, tę ziemię, miejsce, skąd pochodzi. Bilquis, jakaż ja muszę być bezwstydna, aby przystawać na tak małą cząstkę mojego męża. - A

²⁷ Aja (hind.) - tubylcza piastunka, niania, służąca.

²⁸ Ćapati (hind.) - cienkie podpłomyki bez dodatku drożdży, z nie zakwaszonej mąki, spożywane zamiast chleba.

na to Bilquis, przy telefonie w K.: - Może w twoim wypadku to jest całkiem w porządku, kochanie, ale ja na twoim miejscu nigdy bym się z tym nie pogodziła, o nie, mój panie, wprowadź Raza pilnuje pokładów gazu, lecz oszczędź mi współczucia, moja droga, bo gdy wraca do domu, może być zmęczony jak jasna cholera, ale nigdy aż tak, rozumiesz, co mam na myśli.

Właśnie teraz do Mir Village dotarł obłoczek pyłu, zatem jest to gość, a nie trąba powietrzna. Spróbowała opanować podniecenie. Osada nazywa się tak samo jak zmarły ojciec Iskandra, sir Mir Harappa, swego czasu w uznaniu zasług obdarowany przez angielskie władze tytułem szlacheckim. Ptasię łajno z jego postaci na koniu usuwa się codziennie. Kamiennym spojrzeniem jednakowo wyniośle traktuje miejscowy szpital i burdel -przykład oświeconego zamindara...

- Gość! - Klaszcze w dłonie, dzwoni.

Nic. Mijają wieki, nim aja Isky'ego, grubokoścista kobieta o miękkich, pozbawionych odgniotków dłoniach, przynosi w kubku wodę z sokiem z granatów.

- Nie ma potrzeby robić tyle hałasu, żono Isky'ego, twój mąż wie, jak przyjmować gości.

Za nią stoi stary Gulbaba, głuchy i na wpół ślepy, za nim zaś pistacjowy szlak wyznaczony rozsypanymi orzeszkami, prowadzący do opróżnionego do połowy naczynia w dłoniach starca. - O Boże, te twoje sługi, kochanie - Bilquis oferowała rozmaite poglądy z perspektywy znacznego oddalenia - wszystkie te staroświeckie typy pochodzą bodajże sprzed pięciuset lat. Wierz mi, powinnaś wysłać ich do lekarza i zafundować im bezbolesne zastrzyki. Ależ ty musisz znosić! Królową jesteś co najwyżej z nazwy. Koniecznie powinnaś coś z tym zrobić.

Buja się w fotelu na werandzie, manipuluje niespiesznie igłą, czuje, że pod naporem wpływających chwil uchodzą z niej kropla po kropli młodość i radość, wtem na podwórzu zjawiają się jeźdźcy na koniach, a w jednym z nich rozpoznaje kuzyna Iskandra, Małego Mira Harappę, właściciela majątku Daro, który zaczyna się na północy, zaraz za horyzontem. W tych stronach horyzonty pełnią funkcję płotów granicznych.

- Begam Rani - krzyczy z konia Mały Mir - nie myśl, że to moja wina. Winą obarczaj męża, bo powinnaś trzymać go krócej. Wybacz, ale ten facet to prawdziwy popapraniec, przez niego wszystko się we mnie trzęsie.

Tuzin uzbrojonych jeźdźców zeskakuje na ziemię i zaczyna plądrować dom, tymczasem Mir kręci się, ściąga wodze, podrywa konia w górę i wyrzuca z siebie usprawiedliwienia, poskramiając urozmaicany parsaniem szał, który uwalnia jego język z

wszelkich zahamowań.

- Co możesz rzec o tym dupku, madam? Kij mi w oko, bo ja go znam bardzo dobrze. Tego kutasa pedalskiego wołu. Zapytaj we wsi, kogo chcesz, niech ci opowie, jak ten jego wielki ojciec zamykał żonę i spędzał każdą noc w burdelu, jak jakaś dziwka zniknęła, gdy zaczął jej rosnać brzuch, i to na pewno nie od jedzenia, a zaraz potem lady Harappą zaczęła chodzić z dzieciakiem, chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, że nie zerznął jej nikt ani razu od dziesięciu lat. Jaki ojciec, taki syn, uważani, i przepraszam, jeśli to się komuś nie podoba. Kazirodcze bękarce nasienie padlinożercy. Czy on sobie wyobraża, że może mnie publicznie obrażać, potem zaś odejść jak gdyby nigdy nic? Kto jest starszy, ja czy ten wysysacz gówna z odbytnic martwych osłów? Kto jest większym właścicielem ziemskim, ja czy on z tymi swoimi sześcioma calami ziemi, na której nawet wszy nie są w stanie się utuczyć? Powiedz mu, kto jest królem w tych stronach. Powiedz, kogo stać na wszystko, co mu się spodoba, i że będzie się czułgał, aby ucałować moje stopy niczym gwałciciel i morderca własnej babki, i skamlał o wybaczenie. Ten skubacz wroniego dydka. Ten dzień uświadomi mu, kto tu rządzi.

Łupieżcy wycinają z pozłacanych ram obrazy, dzieła szkoły Rubensa; krzesłom Sheratona²⁹ amputują nogi. Antyczne srebra wędrują do starych sakw przy siodłach. Rozbite kryształowe karafki lądują na dywanach o tysiącu węzłów każdy. Ona, Rani, idzie z robótką w sam środek karnej orgii. Stare sługi, aja, Gulbaba, dziewczęta od podłóg, parobcy, wieśniacy z Mir Village – stoją i przyglądają się, siedzą w kucki i słuchają. Mały Mir, dumna figura na koniu, wysoka, jastrzębia odmiana pomnika w wiosce, nie milknie, póki jego ludzie nie znajdą się znowu na koniach.

- Honor mężczyzny zależy od jego kobiet - woła. - Skoro zabrał mi tamtą dziewczę, odebrał mi honor, właśnie to mu powiedz, temu małemu, zarozumiałemu smakoszowi szczyń. Opowiedz mu o żabie w studni i o tym, jak odpowiada olbrzymia żaba. Powiedz, że ma się czego obawiać i żeby uważał się za szczęściarza, bo jestem mężczyzną łagodnego usposobienia. Mógłbym odzyskać honor, gdybym pozbawił go jego honoru. Pani, mógłbym zrobić z tobą wszystko, i kto by mi się ośmielił sprzeciwić? Tutaj obowiązuje wyłącznie moje prawo, prawo Mira. Salam alejkum.

Kurz po odjeżdżających mężczyznach osiada na powierzchni nie tkniętej wody zmieszanej z sokiem, potem tonie i formuje gruby osad na dnie kubka.

- Jeszcze nie mogę mu powiedzieć - mówi Rani do Bilquis przez telefon. - Czuję się za bardzo zawstydzona.

- Och, Rani, rzeczywiście masz problemy, kochanie - wyraża współczucie Bilquis po

drugiej stronie wojskowej linii telefonicznej. - Niby czego nie wiesz? Ja na przykład tkwię tutaj, ale mimo to wiem bardzo dobrze, o czym mówi całe Karaczi. Kochanie, nie mam pojęcia, kto jeszcze nie widział, jak twój Isky i ten gruby doktor kręcą się to tu, to tam: występy tancerek kołyszących brzuchami, międzynarodowe hotele z basenami, gdzie chodzą nagie białe kobiety, jak sądzisz, dlaczego umieścił cię tam, gdzie jesteś? Alkohol, hazard, opium, kto wie, co jeszcze? Kobiety w wodoodpornych figowych listkach. Wybacz mi, kochanie, ale ktoś musi ci powiedzieć. Walki kogutów i niedźwiedzi, mangust z węzami, ten Śakil aranżuje wszystko jak alfons czy ktoś w tym rodzaju. O kobietach nie wspomnę. O baba. Pod bankietowymi stołami chwyta je za uda. Podobno obaj chodzą do dzielnicy czerwonych latarni z kamerami filmowymi. Naturalnie wiadomo, na co stać tego Śakila, że nikomu nie podają życia na tacy, chociaż może niektóre z tych kobiet z własnej woli przechodzą z rąk do rąk, okruchy z pańskiego stołu, rozumiesz, co mam na myśli. W każdym razie chodzi o to, kochanie, że twój Isky sprzątnął kuzynowi sprzed nosa najbardziej soczysty francuski kąsek, a działo się to na jakiejś poważnej imprezie kulturalnej, przykro o tym mówić, ale naprawdę widzieli wszyscy w mieście, tak więc podobno było dość zabawnie obserwować, jak Mir tam stoi, podczas gdy Isky odchodzi z tą flądą, o Boże, nie rozumiem, dlaczego po prostu nie zalewasz się łzami. Rzecz w tym, że w końcu powinnaś się dowiedzieć, kto jest przyjacielem, kto zaś plami twoje dobre imię za twoimi plecami. Szkoda, kochanie, że nie mogłaś słyszeć mnie przez telefon, jak cię bronię niczym tygryś, nie masz pojęcia, serduszko, podczas gdy ty tam siedzisz i rządzisz tymi twoimi wiekowymi Gulbabami i w ogóle.

W zdewastowanym pokoju stołowym spotyka gdaczącą ponuro aję.

- Posunął się za daleko - powiada aja. - Mój Isky, niegrzeczny chłopiec. Zawsze doprowadza swego kuzyna do wściekłości. Posunął się za daleko. Mały chuligan.

Gdziekolwiek spojrzy, widzi ciekawskie twarze; gdziekolwiek nadstawi uszu, słyszy głosy. Kiedy dzwoni do Iskandra, aby mu przekazać wiadomość, jest obserwowana, czerwieni się z upokorzenia. (Pięć dni zbierała się na odwagę.) Iskander Harappą wypowiada jedynie trzy słowa:

- Życie jest długie.

Raza Hajdar już po tygodniu wyprowadził swoich żołnierzy do Needle Valley, bo w tym czasie ich aktywność zatrwożyła mieszkańców miasteczka do tego stopnia, że minister Gićki rozkazał Razi natychmiastowy wymarsz, zanim liczba dziewic będących do dyspozycji kawalerów z K spadnie do poziomu stanowiącego zagrożenie moralnej stabilności regionu.

²⁹ Sheraton, Thomas (1751-1806) - angielski projektant mebli o prostych liniach i harmonijnych proporcjach.

Żołnierzom towarzyszyli liczni architekci, inżynierowie i robotnicy budowlani, z których wszyscy byli w stanie paniki wpływającej bardzo istotnie na wilgotność ich spodni, gdyż z uwagi na bezpieczeństwo żaden z nich nie dowiedział się o losie poprzedniej grupy, póki sam nie przybył do K., a tutaj niemal od razu na każdym rogu czekał jakiś pan-wallah³⁰, aby przedstawić własną, niezwykle wyszukaną wersję opowieści. Personel budowlany szlochał wewnątrz zamkniętych ciężarówek; stojący na straży żołnierze naśmiewali się: „Tchórze! Dzieci! Kobiety!” Raza siedział w dziupie z flagą i niczego nie słyszał. Bez przerwy wracał myślami do wydarzeń poprzedniego dnia, kiedy w hotelu odwiedził go pewien służalczy gnom, którego luźne szaty wydzielaly intensywną woń spalin silnikowych: maulana Dawud, zaawansowany wiekiem duchowny z cienką jak u kurczaka szyją, wokół której zawisła swego czasu girlanda z butów.

- Sir, wielki panie, patrzę na twoje czoło bohatera i jestem pod wrażeniem. - Gatta, siniec oddania na czole Razy, został zauważony.

- O nie, najmędrszy, to ja witam pokornie i jestem zaszczycony tą wizytą. - Raza Hajdar gotów był ciągnąć w tym stylu co najmniej jedenaście minut, dlatego poczuł się odrobinę rozczarowany, kiedy święty mąż skinął głową i powiedział energicznie:

- Zatem do rzeczy. Pan oczywiście wie o tym Gićkim. Nie można mu ufać.

-Nie?

- Absolutnie. Jest jednostką skrajnie skorumpowaną. Ale to sam odkryje pan w aktach.

- Gdybym od razu mógł się czegoś dowiedzieć o tym człowieku...

-Nie różni się wiele od reszty naszych polityków w obecnych czasach. Cóż, brak bojaźni bożej i wielkie afery przemytnicze. To nudne dla pana; armia zna wiele takich przypadków.

- Proszę mówić.

- Obce diabelstwo, sir. Ni mniej, ni więcej. Diabelskie sprawki z zagranicy.

I Gićki został oskarżony o nielegalne sprowadzanie do czystego kraju Boga lodówek, maszyn do szycia o napędzie nożnym, płyt z amerykańską muzyką popularną do odtwarzania przy 78 obrotach na minutę, ilustrowanych książek o miłości, które rozpały namiętności miejscowych dziewic, urządzeń klimatyzacyjnych do mieszkań, filtrów do kawy, gatunkowej porcelany, spódnic, niemieckich okularów przeciwsłonecznych, koncentratu coli, plastikowych zabawek, francuskich papierosów, środków antykoncepcyjnych, wolnych od podatku

³⁰ Pan-wallah (hind.) -*wallah*: potocz, osoba wykonująca specyficzny typ pracy, słowo występujące zazwyczaj w połączeniach; pan; wiele rozmaitych potraw bez dodatku mięsa, których jednym ze składników są liście drzew pan, także wielu gatunków.

samochodów, haków holowniczych, dywanów axminsterskich, karabinków powtarzalnych, grzesznych zapachów, biustonoszy, nylonowych majteczek, maszyn rolniczych, książek, ołówków zaopatrzonych w gumki i bezdętkowych opon do rowerów. Urzędnik celny na posterunku granicznym zwariował, a jego bezwstydna córka chętnie przymyka oko w zamian za stałe gratyfikacje. W rezultacie wszystkie te piekielne towary mogły napływać w pełnym świetle dnia, zwykłą drogą publiczną i znaleźć się na wszystkich bazarach, nawet w samej stolicy.

- Armii - powiedział Dawud głosem, który przeszedł w szept - nie wolno zaprzestać eliminacji plemiennej dziczy. W imię Boga, sir.

- W takim razie, sir, proszę przedstawić swój punkt widzenia.

- Sir, oto on. Modlitwa jest mieczem wiary. Czyż podobnie miecz w służbie wiary nie jest formą świętej modlitwy?

Oczy pułkownika Hajdara zaszyły mgłą. Pułkownik odwrócił się, aby popatrzeć przez okno na niezwykle spokojny dom. Z okna na górze młody chłopak kierował szkła lornetki w stronę hotelu. Raza znowu odwrócił się do maulany.

- Gićki, powiadasz.

- Tutaj jest Gićki. Ale sytuacja wszędzie wygląda mniej więcej tak samo. Cóż, politycy!

- Tak - odparł w zamyśleniu Hajdar - zgadza się, są politykami.

- Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, przeto odchodzę, korząc się przed tobą w podzięce za przywilej tego spotkania. Bóg jest wielki.

- Niechaj cię prowadzi.

Raza wyruszył na gazonośne pola, słysząc w wyobraźni treść powyższej rozmowy, oczami duszy widział w górnym oknie tamtego domu małego, samotnego chłopca z lornetką. Chłopca, który był przecież czyimś synem: kropelka wilgoci pojawiła się na policzku Starego Rozpruwacza Bebechów, ale po chwili osuszył ją wiatr.

- Wyjechał co najmniej na trzy miesiące - westchnęła Bilquis do telefonu. - Co robić? Jestem młoda, nie mogę siedzieć cały dzień jak hipopotam w błocie. Dzięki Bogu mogę chodzić do kina. - Codziennie wieczorem pozostawiała dziecko pod opieką wynajętej na miejscu aji, aby jak zwykle sięść w nowiutkim kinie o nazwie Mengal Mahal. Lecz K było małym, prowincjonalnym miastem; cudze oczy widziały wszystko, nawet nocą... ale do tego tematu powinienem wrócić przy innej okazji, bo nie mogę już dłużej unikać opowieści o mojej nieszczęsnej heroinie:

Po upływie dwóch miesięcy, od kiedy Raza Hajdar odjechał na pustkowie, aby walczyć

z dakaitami³¹ gazowego pola, Sufija Zinobia, jego jedyne dziecko, nabawiła się zapalenia opon mózgowych, które zmieniło ją w idiotkę. Ktoś słyszał, jak Bilquis, rwąc z jednakową pasją włosy i sari, wypowiedziała pewne tajemnicze zdanie. - Oto jest wyrok! - krzyczała przy łóżku córki. Doprowadzając do rozpaczyny lekarzy wojskowych i cywilnych, zwróciła się do miejscowego hakima³², który przygotował drogą miksturę wydestylowaną z korzeni kaktusa, sproszkowanej kości słoniowej i papuzich piór; specyfik uratował dziewczynce życie, ale (jak przestrzegł medyk) wywołał efekt w postaci spowolnienia jej na resztę życia, bo niefortunnym skutkiem ubocznym dawki składającej się z pierwiastków podtrzymujących życie było opóźnienie upływu czasu wewnątrz organizmu każdego, komu ją podano. Do dnia powrotu Razy na urlop Sufija Zinobia zdążyła się otrząsnąć z gorączki, ale Bilquis nabrała już przekonania, iż dostrzega w swoim dwuletnim dziecku skutki wewnętrznego opóźnienia, których nigdy nie będzie można odwrócić. - Skoro istnieje ten efekt - obawiała się - to kto wie, może pojawił się jeszcze jakiś? Kto mi powie?

W szponach winy tak potężnej, że nawet cierpienia jedyne dziecko nie wystarczały, by to wyjaśnić, winy, która - dodałbym koniecznie, gdybym miał plotkarskie zapędy - miała niejaki związek z czymś mengalskim, z wizytami w kinie i młodzieńcami o pełnych ustach, Bilquis Hajdar spędziła noc przed powrotem Razy, chodząc tam i z powrotem po apartamencie dla nowożeńców w hotelu Flashmana, i może należałoby odnotować, że jedna z jej dłoni, działając jakby niezależnie od niej, ciągle gładziła okolice wokół pępka. O czwartej nad ranem Bilquis otrzymała połączenie telefoniczne z Rani Harappą w Mohendžo i poczyniła szereg niezbyt sensownych uwag:

- Posłuchaj, Rani, to wyrok, bo co innego? Chciał mieć syna bohatera; w zamian dałam mu dziewczynę idiotkę. To prawda, wybac, nic na to nie mogę poradzić. Naprawdę, Rani: głuptaskę, kretynekę! Ma nierówno pod sufitem. Istny głąb kapuściany. Zero. Co się da? Ależ kochanie, tam nie ma nic. To ptasi mózdzek, mysz! Muszę to zaakceptować: ona jest moim wstydem.

Kiedy Raza Hajdar wrócił do K., raz jeszcze chłopiec stał w oknie wielkiego, odosobnionego domu. Jeden z miejscowych przewodników w odpowiedzi na pytanie pułkownika rzekł, że dom należy do trzech szalonych grzesznych jędz, które nigdy nie wychodzą na zewnątrz, lecz którym to bynajmniej nie przeszkadza mieć dzieci. Chłopiec w oknie był ich drugim synem - sposobem czarownic rościły sobie prawo do posiadania

³¹ Dakait (hind.) - członek uzbrojonej grabieżczej bandy.

³² Hakim - tu: lekarz stosujący medycynę arabską.

wspólnego potomstwa.

-Najciekawsze jest jednak to, sir, że w tym domu znajduje się więcej bogactwa niż w skarbcu Aleksandra Wielkiego. - Hajdar odpowiedział z nutą niedowierzania w głosie: - Ach tak. Ale jeśli paw tańczy w puszczy, kto będzie podziwiał jego ogon? - Mimo wszystko nie oderwał wzroku od chłopca w oknie, póki nie dojechał dżipem do hotelu; tam czekała na niego Bilquis z rozpuszczonymi włosami i bez namalowanych brwi, jakby była idealnym wcieleniem tragedii, i wtedy usłyszał to, czego wcześniej mu nie powiedziała, ogarnięta poczuciem wstydu. Choroba córki i wizja chłopca z uniesioną do oczu lornetką połączyły się w duszy Razy z goryczą dziewięćdziesięciodniowego pobytu na pustyni, dlatego jak burza wypadł z apartamentu nowożeńców, dysząc przy tym gniewem tak straszliwym, że ze względu na własne bezpieczeństwo musiał natychmiast znaleźć dla niego ujście. Rozkazał się zawieść do rezydencji ministra Gićkiego, położonej w dzielnicy wojskowej, i nie czekając na ceremoniały, poinformował ministra, że chociaż prace w Needle są poważnie zaawansowane, zagrożenia ze strony plemion nie da się wyeliminować nigdy, póki on, Hajdar, nie otrzyma upoważnienia do stosowania drakońskich kar: - Z bożą pomocą jakoś bronimy tego miejsca, lecz obecnie musimy dać spokój z chowaniem głowy w piasek. Sir, musi pan oddać prawo w moje ręce. Potrzebuję swobody, *carte blanche*. W pewnych momentach prawo cywilne musi ustąpić przed militarną koniecznością. Językiem dzikusów jest gwałt; ale nas prawo zobowiązuje do posługiwania się zdyskredytowanym, niewieścim językiem: jak najmniej siły. Niedobrze, sir. Nie mogę zagwarantować rezultatów. - A kiedy Gićki odparł, że w żadnym razie prawo nie będzie lekceważone przez siły zbrojne: - Nie dopuścimy do barbarzyństwa na tych wzgórzach, sir! Żadnych tortur, żadnego wieszania za palce u nóg, w każdym razie póki ja tu rządę! - po czym Raza nieparlamentarnie podniesionym głosem, który przeniknął przez drzwi i okna biura Gićkiego i przestraszył robotników pracujących na zewnątrz, ponieważ pochodził od osoby z zasady spokojnej, udzielił namiestnikowi ostrzeżenia: - Armia się dzisiaj przygląda, sahib Gićki. Oczy uczciwych żołnierzy widzą w tym kraju to, co widzą. Nie jesteśmy zadowoleni, sir, w żadnym razie. Ludzie są poruszeni. A jeśli odwrócą się od polityków, do kogo się udadzą, aby przywrócić wszystkiemu nie-skazitelność?

Wzburzony Raza Hajdar zostawił Gićkiego - mężczyznę nikłej postury, kwadratowo ostrzyżonego, o płaskiej twarzy Chińczyka - w fazie formułowania odpowiedzi i natknął się na maulanę Dawuda, czekającego na niego przy samochodzie służbowym. Żołnierz i duchowny odbyli podróż na tylnym siedzeniu, tafla szkła oddzielała ich słowa od kierowcy. Lecz wydaje się prawdopodobne, że za tą przegrodą święty język przekazał pewne nazwisko do żołnierskiego ucha: imię związane blisko z pewnym skandalem. Czy maulana Dawud

powiedział Hajdarowi o spotkaniach Bilquis z jej Sindbadem? Nie wiem. Powiadam tylko, że to się wydaje prawdopodobne. Wspaniała to zasada, że niewinny jest ten, komu się winy nie udowodni.

Tego wieczoru szef kina, Sindbad Mengal, jak zwykle wyszedł ze swojego biura w Mengal Mahal i pojawił się w ciemnym korytarzu za kinowym ekranem. Gwizdał jakieś smętne nuty, melodię o mężczyźnie, który nie może spotkać swej ukochanej, choć księżyc jest w pełni. Wprawdzie gwizdał melodię o samotności, ale ubrany był, jak to miał w zwyczaju, perfekcyjnie. Jasne europejskie ubranie - luźna koszula z naszytymi kieszeniami i drelichowe spodni - jaśniało w korytarzu, a melancholijne światło księżycy odbijało się od wypomadowanych włosów. Pewnie w ogóle nie zauważył, iż cienie w korytarzu zaczęły się do niego zbliżać; nóż, który księżyc powinien był wydobyć z mroku, najwidoczniej aż do ostatniej chwili spoczywał w pochwie. Wiemy o tym, bo Sindbad Mengal nie przestał gwizdać, póki nóż nie przebił mu wnętrzości, po czym ktoś inny zaczął gwizdać tę samą melodię, na wypadek gdyby przypadkiem jakiś człowiek przechodził i okazał się zbyt ciekawy. Kiedy nóż był w robocie, jakaś ręka przysłoniła Sindbadowi usta. W ciągu kilku najbliższych dni nieobecność Mengala w biurze została nieuchronnie dostrzeżona, lecz dopiero, gdy kilkoro kinomanów poskarżyło się na pogorszenie jakości dźwięku stereofonicznego, a inżynier sprawdził głośniki za ekranem i odkrył w nich fragmenty białej koszuli Sindbada Mengala i drelichowe spodni, jak również czarne oksfordzkie buty. Pocięta nożem odzież w dalszym ciągu zawierała odpowiednie kawałki ciała należące do szefa kina. Genitalia wycięto i wsunięto w odbyt. Głowy nie znaleziono nigdy, tak samo jak nigdy nie pociągnięto sprawcy do odpowiedzialności.

Życie nie zawsze jest długie.

Tej nocy Raza kochał się z Bilquis dość brutalnie, co wołała tłumaczyć tym, że kilka miesięcy przebywał na pustkowiu. Nigdy nie wymienili między sobą nazwiska Mengala, nawet gdy miasto kipiało od przekazywanej z ust do ust wieści o morderstwie, i wkrótce Raza wrócił do Needle Valley. Bilquis przestała chodzić do kina i chociaż w tym okresie zachowała opanowanie godne królowej, mogło się wydawać, że stoi na spękanych skalnych występach tuż nad urwiskiem, bo zaczęła miewać skłonności do zawrotów głowy. Pewnego razu dźwignęła upośledzoną córkę, bawiąc się z nią w tradycyjną zabawę w noszenie wody. Przerzuciwszy dziewczynę przez ramiona, udawała, że są to skórzane bukłaki, zanim skończyła je napełniać, przewróciła się na podłogę pod rozradowane dziecko. Wkrótce zadzwoniła do Rani Harappy, aby jej obwieścić, że jest w ciąży. Właśnie wtedy zupełnie bez powodu zaczęła jej drgać lewa powieka.

Swędzenie dłoni oznacza przyływ gotówki. Buty skrzyżowane na podłodze oznaczają podróż; buty odwrócone podeszwami do góry ostrzegają o tragedii. Nożyczki przecinające powietrze oznaczają kłótnię w rodzinie. Drgająca lewa powieka - że niedługo nadejdą złe wieści.

Najbliższy urlop - napisał Raza w liście do Bilquis - wykorzystam na podróż do Karaczi. Mam pewne obowiązki rodzinne, ale też wtedy marszałek Aurangzeb udziela audiencji. Nikt nie odrzuca zaproszenia głównodowodzącego. W twoim stanie jednakże lepiej będzie, jak odpoczniesz. Postąpiłbym bezmyślnie, gdybym prosił, byś mi towarzyszyła w tej nieprzymusowej, trudnej wyprawie.

Grzeczność może być zdradliwa; Bilquis wpadła w pajęczynę kurtuazji swojego męża. *Jak sobie życzysz* - napisała w odpowiedzi, a nie skłoniło jej do tego wyłącznie poczucie winy, lecz także coś nieprzekładalnego, prawo zobowiązujące do udawania, iż słowa Razy nie wychodzą poza zwykłe znaczenia. Prawo nazywane takalluf. Kluczem do danej społeczności są używane przez nią nieprzekładalne słowa. Takalluf jest członkiem owej nieprzeniknionej, obecnej w każdym zakątku świata sekty pojęć, które nie przekraczają lingwistycznych granic - odnosi się do pewnej postaci ograniczającej język etykiety, do silnego społecznego zakazu wyrażania tego, co ofiara rzeczywiście myśli, do odmiany przymusowej ironii, która z uwagi na swą formę skłania ku temu, aby ją przyjmować dosłownie. Kiedy takalluf staje między mężem i żoną, wtedy bądźcie ostrożni.

Raza sam pojechał do stolicy... i oto teraz, skoro pewne nieprzekładalne słowo sprawiło, że Hajdar i Harappą, uwolnieni od małżonek, byli bardzo bliscy ponownego spotkania, nadeszła pora na przeanalizowanie sytuacji, bo nasi dwaj przeciwnicy wkrótce przystąpią do walki. Obecnie przyczynie ich pierwszej kłótni służąca oliwiła włosy i plotła warkocz. Ona, Atija Aurangzeb, znana bliskim jako Pinkie, spokojnie rozmyśla o *soiree*, które zdecydowała się zaaranżować w imieniu podstarzałego męża, podupadającego marszałka Aurangzeba, Szefa Sztabu Połączonych Sił. Pinkie Aurangzeb ma trzydzieści kilka lat, jest trochę starsza od Razy i Iskandra, lecz to w ogóle nie ujmuje jej wdzięków; jak powszechnie wiadomo, dojrzałe kobiety mają swoje uroki. Wprzęgnięta w małżeństwo ze starym ramolem, Pinkie znajduje rozkosze, gdziekolwiek może.

Tymczasem dwie żony pozostają na wygnaniu, każda z córką, która powinna być chłopcem (należałoby wspomnieć o młodziutkiej Ardżumand Harappie, bowiem z pewnością więcej zostanie napisane o nieszczęsnej idiotce Sufiji Zinobii). Dotychczas przedstawiono pokrótce dwa różne podejścia do kwestii zemsty. Kiedy Iskander Harappą w celach

rozpusznych etc. spędza czas z beczką tłustej wieprzowiny o imionach i nazwisku Omar Chajjam Śakil, Raza Hajdar najprawdopodobniej dostaje się pod wpływem pewnej szarej eminencji, która szeptem ujawnia nie upiększone tajemnice na tylnych siedzeniach wojskowych limuzyn. Kina, synowie czarownic, sińce na czole, żaby, pawie - wszystko posłużyło jednemu: aby stworzyć atmosferę, w której smród honoru jest wszechobecny.

Tak jest, nadeszła pora, aby na polu walki pojawili się kombatanci.

Faktem jest, że Raza Hajdar otrzymał od Pinkie Aurangzeb cios prosto między oczy. Pożądał jej tak żarliwie, że aż rozboleł go siniec na głowie, lecz niestety, utracił marszałkową na rzecz Iskandra Harappy, właśnie tam, na przyjęciu, podczas gdy stary żołnierz spał w fotelu, zesłany na margines mieniącego się tłumu, ale nawet jako zdziecinniały, drzemiący rogacz nigdy nie rozlał choćby jednej kropli z trzymanej w dłoni szklaneczki wypełnionego po sam brzeg whisky z wodą sodową.

Właśnie przy tej brzemiennej w skutki okazji zaczął się osobliwy pojedynek, który miał trwać przynajmniej do śmierci obu protagonistów, jeśli nie dłużej. Pierwszą nagrodą była cielesność żony marszałka, lecz potem weszły w grę sprawy wyższego rzędu. Ale po kolei: ciało Pinkie prezentowało się ekscytująco w zielonym sari udrapowanym niebezpiecznie nisko na biodrach - w stylu kobiet ze Wschodniego Skrzydła, z przekłutych uszu zwisały srebrne kolczyki w kształcie półksiężyca wysadzone brylantami, z połyskującymi gwiazdami; wokół przemożnie bezbronych ramion lekki szal, którego cudowne motywy mogły być wyłącznie produktem sławnych artystek z Ansu, bo między misternymi arabeskami złotą nitką tak realistycznie zilustrowano opowieści z tysiąca i jednej nocy, że wydawało się, iż mali jeźdźcy rzeczywiście galopują wzdłuż obojczyka, a maleńkie ptaki lecą - lecą naprawdę - w dół uroczej linii kręgosłupa... nad tym ciałem warto się zatrzymać.

I zatrzymawszy się nad nim - Raza właśnie zdołał się przebić przez wiry i prądy otaczających Pinkie Aurangzeb młodych byczków oraz zazdrosnych kobiet - na wpół pijany Iskander Harappą, miejscowy playboy numer jeden, do którego zjawiskowa piękność uśmiechała się tak ciepło, że aż zamarzył obfity pot podniecenia na wywoskowanych wąsach Razy, ów niepoprawny degenerat o plugawym języku, którego wstydziłby się nawet jego kuzyn Mir, opowiadał bogini nieprzyzwoite dowcipy.

Raza Hajdar znieruchomiał, zbity z tropu, strój jego namiętności Zesztywniał od krochmalu typu takalluf... ale Isky czknał:

- Popatrzcie no, kto się tu pojawił! Niech to licho, nasz bohater, titar!

Pinkie zachichotała, kiedy Iskander przybrał profesjonalną postawę, poprawiając

niewidzialne binokle:

- Titar, madam, czego zapewne nie trzeba pani wyjaśniać, jest małym, chudym ptaszkiem migrującym, który nie nadaje się do niczego poza jednym: można sobie do niego postrzelać.

Fale śmiechu rozeszły się na zewnątrz poprzez kręgi byczków. Pinkie, unicestwiając Rażę spojrzeniem, mruknęła:

- Miło mi poznać.

A Raza odpowiedział z rujnująco niezręcznym i bombastycznym formalizmem:

- Jestem zaszczycony, pani, niechaj będzie mi wolno dodać, że w mojej ocenie i z łaski jedynego Boga nowa krew będzie podstawą tworzenia wielkości naszego nowego narodu. - Pinkie Aurangzeb zdawała się hamować śmiech.

- A niech cię, możesz mi wetknąć w usta, titar - zawołał wesoło Iskander Harappą - przecież to jest przyjęcie, na litość boską, daj sobie spokój z tą kurewską przemową.

Wściekłość Hajdara, zamaskowana dobrymi manierami, zaczęła się wydobywać na powierzchnię, lecz niestety, nie była w stanie przeciwstawić się temu wyrafinowaniu, które dopuszczało obscena i herezję, błyskotliwym śmiechem mogło unicestwić pragnienie i dumę mężczyzny.

- Kuzynie - spróbował w sposób doprawdy tragiczny -jestem tylko prostym żołnierzem.

Ale teraz gospodyni zupełnie przestała udawać, że jej nie śmieszy, owinęła się mocniej szalem, położyła dłoń na ramieniu Iskandra Harappy i powiedziała:

- Zabierz mnie do ogrodu, Isky. Klimatyzacja zbytnio tu chłodzi, za to na zewnątrz jest miło i ciepło.

- Zatem do ciepła, pronto! - krzyknął z galanterią Harappa, wciskając szklanekę w dłoń Razy. - Dla ciebie, Pinkie, wstąpiłbym w ogień piekielny, gdybyś tam potrzebowała ochrony. Mój kuzyn abstynent Raza jest nie mniej odważny - rzucił na odchodnym przez ramię - tylko że on wstępuje do piekieł nie dla dam, lecz z powodu gazu.

Tymczasem Omar Chajjam Śakil, zwiotczała himalajska postać naszego pobocznego bohatera, stojąc za linią autową, obserwował, jak Iskander Harappą wiedzie swą nagrodę w gęstszy, piźmowy mrok ogrodu.

Nie myślcie nazbyt źle o Atiji Aurangzeb. Pozostała wierna Iskandrowi Harappie nawet później, kiedy spoważaniał i już nie korzystał z jej usług, kiedy bez słowa skargi usunęła się w cień stoickiej tragedii prywatnego życia, aż po dzień śmierci, gdy podpaliwszy stary, wyszywany szal, przebiła sobie serce dziewięciocalowym nożem kuchennym. A Isky, on także

był jej wierny na swój sposób. Od czasu, kiedy została jego kochanką, w ogóle przestał sypiać z Rani, zabezpieczając się przed tym, że nie będzie już miała więcej dzieci i że on sam będzie ostatni w swojej linii. Pomysł ten, jak oznajmił Omarowi Chajjamowi Śakilowi, miał pewne zalety.

(W tym miejscu należy wyjaśnić sprawę córek, które powinny być synami. Sufija Zinobia była „mylnym cudem”, bo jej ojciec nie pragnął córki, tylko chłopca; ale ów problem w żaden sposób nie dotyczył Ardżumand Harappy. Ardżumand, sławna „dziewica Żelazne Majtki”, nie cierpiała kobiecej płci z powodów całkowicie pozarodzicielskich. „Ciało kobiety - powiedziała ojcu w dniu, kiedy stała się kobietą całkowicie dojrzałą - nie daje jej nic poza dziećmi, kłopotami i wstydem”.)

Iskander wyłonił się z ogrodu, kiedy Raza przygotowywał się do odejścia, i podjął próbę przywrócenia pokoju. Zachowując poprawność godną Razy, powiedział: -Drogi przyjacielu, zanim wrócisz do Needle, musisz zajrzeć do Mohendzo; Rani by się bardzo ucieszyła. Biedna dziewczyna, szkoda, że nie bawi jej miejskie życie... i nalegam, abyś koniecznie zabrał tam swoją Billu.

Niech damy utną sobie pogawędkę, podczas gdy my spędzimy cały dzień, strzelając do małych ptaszków, o których dzisiaj wspominałem. Co na to powiesz?

Takalluf skłonił Rażę Hajdara, by odpowiedział:

- Dziękuję, zgoda.

W przeddzień wydania na niego wyroku śmierci, zezwolono Iskandrowi Harappie na jednogodzinową rozmowę telefoniczną z córką. Ostatnie słowa, którymi zwrócił się do niej, były zaprawione goryczą beznadziejnej nostalgii za tamtymi minionymi czasami: „Ardżumand, moja kochana, powinienem był stanąć do walki z tym bawolim wypierdkiem, Hajdarem, kiedy przytwierdził się do ziemi. Nie załatwiłem tej sprawy do końca; to była moja największa pomyłka”.

Nawet w okresie playboyskim Iskander od czasu do czasu odczuwał wyrzuty sumienia z powodu uwięzienia żony. W takich chwilach zabierał kilku kumpli, pakował ich do półciężarówki i wiódł radosny konwój do swojego majątku na prowincji. Co znamienne, Pinkie Aurangzeb była nieobecna; a Rani stawała się królową dnia.

Kiedy Raza Hajdar przyjął zaproszenie Isky'ego do odwiedzenia Mohendzo, obaj panowie pojechali razem, za nimi zaś toczyła się kawalkada pięciu innych pojazdów z ładunkiem whisky, gwiazdami filmowymi, synami nababów tekstylnych, europejskimi dyplomatami, syfonami z wodą sodową i żonami. Bilquis, Sufija Zinobia oraz aja spotkały się

na prywatnej stacji kolejowej, którą kiedyś wybudował Mir Harappą przy głównej linii ze stolicy do K. I przez jeden dzień nic złego się nie stało.

Po śmierci Isky'ego Harappy Rani i Ardżumand trzymano przez kilka lat pod kluczem w Mohendzo i aby wypełnić ciszę, matka opowiedziała córce o szalach. -Zaczęłam je wyszywać, nim się dowiedziałam, że dzielę męża z kobietą Małego Mira, choć w końcu okazało się, iż nie chodziło o tę, lecz o całkiem inną osobę. - W tym czasie Ardżumand Harappą dojrzała do momentu, gdy w ogóle nie chciała słuchać niczego złego o ojcu. Warknęła w odpowiedzi: - Na Allaha, matko, nic, tylko ciągle nalatujesz na Przewodniczącego. Jeżeli cię nie kochał, to z pewnością czymś sobie na to zasłużyłaś. - Rani Harappą wzruszyła ramionami. - Przewodniczący Iskander Harappą, twój ojciec, którego zawsze kochałam - odparła - był mistrzem świata w bezwstydzie, międzynarodowym łotrem i bękartem numer jeden. Rozumiesz, córko, pamiętam tamte dni, pamiętam Rażę Hajdara, kiedy jeszcze nie był diabłem z rogami i ogonem, a także Isky'ego, zanim stał się święty.

Początek fatalnemu zdarzeniu, do którego doszło wtedy w Mohendzo, gdy przebywali tam Hajdarowie, dał pewien tłuszcioch, i to z całą pewnością po wypiciu nadmiernej ilości alkoholu. Scenka rozegrała się drugiego dnia wizyty na tej samej werandzie, na którą z robótką wyszła Rani Harappą, kiedy ludzie Małego Mira plądrowali dom i dokonali najazdu, którego skutki były nadal widoczne w pustych ramach po obrazach z fragmentami płócien w rogach, w porozdzieranych skórzanych obiciach sof i wylażącej na wierzch wyściółce, w sztukach z różnych kompletów na stole i wulgarnych hasłach w holu, przebijających przez kolejne warstwy farby. Częściowa dewastacja Mohendzo dawała gościom wrażenie celebrowania uroczystości pośród zniszczenia i sprawiała, że spodziewali się oni kolejnych kłopotów, tak że radosny śmiech filmowej gwiazdeczki Zehry brzmiał nieco histerycznie i wszyscy mężczyźni pili zbyt szybko. Przez cały czas Rani Harappą siedziała w fotelu na biegunach i pracowała nad swoim szalem, pozostawiając zarządzanie Mohendzo aji, która nadskakiwała Iskandrowi, jak gdyby miał trzy latka albo był bożkiem, albo jedno i drugie. I proszę bardzo, w końcu pojawiły się kłopoty, a skoro przeznaczeniem Omara Chajjama Śakila było wpływanie - z pozycji peryferyjnych - na ważne wydarzenia, których centralnymi postaciami byli ludzie tworzący zbiorowo jego życie, to właśnie on powiedział w języku zanadto swobodnym po neurotycznym picciu tego wieczoru, że pani Bilquis Hajdarowa ma szczęście, bo Iskander wyświadczył jej przysługę, sprzątając Pinkie Aurangzeb Razie sprzed nosa. - Gdyby zabrakło tam Isky'ego, może begam naszego bohatera musiałaby się pocieszać dziećmi, bo nie byłoby mężczyzny, który by się położył przy jej boku. - Śakil mówił zbyt głośno, gdyż chciał zwrócić na siebie

uwagę gwiazdki filmowej Zehry, którą jednak bardziej interesowały pełne uwielbienia spojrzenia niejakiego Akbara Dżunedzo, znanego hazardzisty i producenta filmowego; kiedy Zehra odeszła bez słowa usprawiedliwienia, Śakil odwrócił się i ujrzał stojącą z szeroko otwartymi oczami Bilquis, która właśnie wyszła na werandę, odprowadziwszy córkę do łóżka, i po której chyba zbyt szybko było widać ciążę... zatem kto wie, czy nie to właśnie stanowiło podstawę jej stanowiska, czy też może próbowała akurat przenieść brzemień winy na barki męża, którego wiarygodność była teraz również przedmiotem plotek? W każdym razie oto, co się stało: moment później goście zorientowali się, że słowa Omara Chajjama Śakila usłyszała i zrozumiała dama, która z rumieńcem na twarzy stała w mroku werandy; zapadła cisza i odrętwienie redukujące przyjęcie do sceny strachu i w tę ciszę Bilquis Hajdar wykrzyczała imię swojego męża.

Nie wolno zapominać, że była kobietą, do której dupatą kobiecej czci przywierała nawet wtedy, kiedy reszta ubrania została zdarta z jej ciała; nie należała do kobiet puszczających mimo uszu publiczne zniewagi. Raza Hajdar i Iskander Harappą bez słowa mierzyli się spojrzeniami, tymczasem Bilquis wycelowała długim paznokciem palca wskazującego w serce Omara Chajjama Śakila.

-Słyszałeś tego mężczyznę, mężu? Posłuchaj, jaki wstyd na mnie ściąga.

Cisza, milczenie jak chmura, która zasnuła horyzont! Nawet sowy wstrzymały się z pohukiwaniem.

Raza Hajdar stanął na baczność, ponieważ kiedy raz ifryt honoru zostanie wyrwany ze snu, nie odejdzie, póki się nie nasyci.

- Iskandrze, nie będę walczył w twoim domu - oświadczył Raza. Potem uczynił rzecz dziwną i zarazem szaloną. Opuścił marszowym krokiem werandę, wszedł do stajni, wrócił z drewnianym kołkiem, drewnianym młotkiem i kawałkiem solidnego, grubego sznura. Wbił kołek w twardą jak skała ziemię; następnie pułkownik Hajdar, przyszły prezydent, przywiązał się do niego za kostkę i odrzucił drewniany młotek.

- Tum jest - zawołał - niechże ten, kto plami mój honor wyjdzie i odnajdzie mnie. -I stał tam przez całą noc; a to dlatego, że Omar Chajjam Śakil czym prędzej skrył się we wnętrzu budynku, gdzie zemdlał od nadmiaru alkoholu i ze strachu.

Hajdar niczym byk krążył po okręgu o promieniu utworzonym przez naprężony sznur łączący kostkę z kołkiem. Noc zgęstniała; zażenowani goście odpłynęli do łóżek. Ale Isky Harappą stał na werandzie, wiedząc, że chociaż wygląd był autorstwa tłuszciocha, rzeczywisty konflikt dotyczy jego samego oraz pułkownika. Gwiazdka filmowa Zehra po drodze do łóżka, które, pozwolę sobie w sposób niewybaczalnie frywolny zasugerować, było już zajęte - zatem

nie wspomnę już w ogóle nic na ten temat - zdobyła się na ostrzeżenie. -Tylko niech ci nie głupiego nie przyjdzie do głowy, Isky, kochanie, słyszysz? Nie waż się tam iść. On jest żołnierzem, sam zobacz, wygląda jak czołg, zabije cię na pewno. Pozwól mu ochłonać, dobrze? - Rani Harappą nie udzieliła mężowi żadnej rady. („No bo widzisz, Ardżumand - powiedziała po latach córce - przypominam sobie twój tatę w sytuacji, kiedy okazał się zbyt strachliwy, by przyjąć lekarstwo jak na mężczyznę przystało”.)

Oto, jak to się skończyło: fatalnie, inaczej nie mogło. Tuż przed świtem. Ano Raza nie spał całą noc, obracając się w kręgu własnej dumy, oczy mu poczerwieniały ze złości i udręki, a poczerwieniałe oczy nie widzą ostro -poza tym światła nie było zbyt wiele - no i kto by zwracał uwagę na służbę? - cóż, chciałem przez to powiedzieć, że stary Gilbaba obudził się wcześniej, wziął mosiężny dzban i ruszył przez podwórze, aby dokonać ablucji przed porannymi modłami; ujrzawszy przywiązanego do kołka pułkownika Hajdara, Podpełznął do niego od tyłu, pragnąc zapytać: „Sir, cóż pan robi, czy nie byłoby lepiej, gdyby...?” Starzy słudzy mogą sobie na wiele pozwolić, co należy do przywilejów wieku. Lecz Raza, w półśnie, usłyszał tylko kroki, głos, poczuł klepięcie w plecy; odwrócił się i jednym straszliwym ciosem powalił Gulbabę niczym suchą gałąź. Siła ciosu coś uwolniła wewnątrz starszego mężczyzny; nazwijmy to życiem, bo nim minął miesiąc, stary Gul zmarł z wyrazem zmieszania na twarzy, niczym człowiek, który wie, że zgubił coś bardzo ważnego, tylko nie może sobie przypomnieć co.

W konsekwencji owego morderczego ciosu Bilquis złagodniała, wyłoniła się z cienia domu, aby przekonać Rażę do opuszczenia posterunku. - Biedna dziewczynka; Raza, nie każ jej na to patrzeć. - Kiedy Raza wrócił na werandę, Iskander Harappą, rozespany, nie ogolony, rozłożył ramiona, a Raza, z niemałym wdziękiem objął Isky'ego, przycisnął ramię do ramienia, pozwolił, by, jak to mówią, doszło do zwarcia.

Gdy następnego dnia Rani Harappą wyszła ze swego buduaru, by pożegnać się z mężem, Iskander zbladł na widok szala, który owinęła sobie wokół ramion, ukończonego szala, wyszytego tak misternie, jakby uczyniły to artystki z Ansu, dzieła sztuki, w którym pomiędzy drobnymi arabeskami powstały ilustracje do opowieści tysiąca i jednej nocy, wykonane z takim artyzmem, iż mogło się zdawać, że jeźdźcy rzeczywiście galopują po obojczyku, podczas gdy maleńkie ptaki fruują wzdłuż łagodnej wypukłości kręgosłupa. - Żegnaj, Iskandrze - powiedziała do niego - i nie zapominaj, że miłość niektórych kobiet wcale nie jest ślepa.

No cóż, „przyjaźń” nie jest dobrym słowem na określenie tego, co łączyło Rażę z Iskandrem, ale jeszcze długo po incydencie z kołkiem posługiwali się nim obaj. Czasem doprawdy trudno dobrać odpowiednie słowo.

Zawsze chciała być królową, teraz jednak, gdy Raza Hajdar wreszcie jest kimś w rodzaju księcia, owa ambicja nabrała w jej ustach posmaku goryczy. Urodziło się drugie dziecko, niby o sześć tygodni za wcześnie, ale Raza nie wypowiedział choćby słowa podejrzania. Druga córka. Tym razem nie narzekał, mówił tylko, że to jest całkiem właściwe: pierwszy powinien być chłopiec, druga - dziewczynka, tak aby nikt nie musiał winić nowego dziecka za błąd starszej siostry. Dziewczynka otrzymała imię Nawid, to znaczy Dobra Nowina, i jest dzieckiem pod każdym względem doskonałym. Za to podczas tych narodzin coś się stało matce. Coś wewnątrz pękło i zgodnie z opinią lekarską nie może mieć ona więcej dzieci. Raza Hajdar nigdy nie będzie miał syna. Jeden raz wspomniał o chłopcu z lornetką w oknie domu czarownic, ale ten temat także został zamknięty. Raza odchodzi od Bilquis korytarzami umysłu, zamykając za sobą drzwi. Sindbad Mengal, Mohendzo, miłość -wszystkie te drzwi są zamknięte. Bilquis sypia sama, także wszystkie dawne strachy mają ją w swojej mocy. Właśnie w tych dniach zaczyna się bać gorącego popołudniowego wiatru, który dmucha gwałtownie z przeszłości.

Ogłoszono stan wojenny. Raza aresztował ministra Gić-kiego i sam został wyznaczony zarządcą regionu. Przeprowadził się do ministerialnej rezydencji z żoną i dziećmi, pozwalając, aby do wspomnień przeszedł ów splekany hotel, w którym ostatnia wytresowana małpa miała w zwyczaju przechadzać się leniwie pośród umierających palm w sali jadalnej, podczas gdy starzejący się muzycy rzępolili na swoich butwiejących skrzypcach dla publiczności złożonej przeważnie z pustych stołów. Ostatnio Bilquis rzadko widuje Rażę, który ma wiele pracy - budowa rurociągu gazowego przebiega pomyślnie i teraz, kiedy Gićki został usunięty z drogi, zainaugurowano program przykładowego traktowania członków aresztowanych plemion. Obawia się, że ciała powieszonych mężczyzn nastawią obywateli K. przeciwko jej mężowi, ale nie mówi mu o tym. Raza prezentuje twardą linię, a wszystkich potrzebnych rad udziela mu maulana Dawud.

Kiedy ostatnim razem odwiedziłem Pakistan, ktoś mi opowiedział dowcip: Bóg zstąpił do Pakistanu, aby przyjrzeć się, jak to się wszystko układa. Zapytał generała Ajuba Chana, dlaczego w tym miejscu panuje taki bałagan. Ajub odrzekł: „To przez tych nic nie wartych, skorumpowanych cywilów, sir. Pozbądź się ich, a resztę pozostaw mnie”. Wówczas Bóg wyeliminował polityków. Po jakimś czasie powrócił; sprawy układały się jeszcze gorzej niż poprzednio. Tym razem poprosił o wyjaśnienie Jahję Chana. Jahja winą za kłopoty obarczył Ajuba, jego synów oraz popleczników. „Uczyń, co jest niezbędne - wznioś błaganie Jahja - oczyść to miejsce, spraw, aby wszystko było jak należy”. Wtedy Bóg piorunami usunął Ajuba. Podczas trzeciej wizyty zastał prawdziwą katastrofę, zatem zgodził się z Zulfikarem Alim

Bhutto, że musi powrócić demokracja. Zamienił Jahję w karalucha i wsunął go pod dywan; lecz kilka lat później zauważył, że sytuacja nadal jest dość okropna. Udał się do generała Zii i zaferował swą najwyższą potęgę - pod jednym warunkiem. „Czego tylko zażadasz, Boże - odparł generał - powiedz tylko, o co chodzi”. Wtedy Bóg rzekł: „Odpowiedz mi na jedno pytanie, a Bhutto będzie się przed tobą płaszczył jak ćapati”. Zia powiedział: „Pytaj”. Wtedy Bóg szepnął mu do ucha: „Widzisz, tyle robię dla tego kraju, ale jednego nie rozumiem: dlaczego ludzie nie kochają mnie choć odrobinę więcej?”

Zdaje się, że prezydent Pakistanu zdołał udzielić Bogu jakiejś satysfakcjonującej odpowiedzi. Zastanawiam się jakiej.

III

HAŃBA, DOBRA NOWINA I DZIEWICA

Rozdział siódmy

Rumieniec

Nie tak dawno temu w londyńskim East Endzie Pakistańczyk zamordował swoje jedyne dziecko, córkę, ponieważ kochając się z białym chłopcem, ściągnęła na rodzinę tak wielką hańbę, iż tylko krew córki mogła ją zmyć. Tragedię powiększał fakt, że ojciec bez wątpienia darzył zaszlachtowane dziecko ogromną miłością, oraz to, iż jego przyjaciele i krewni (wszyscy „Azjaci”, że użyję tego kłopotliwego jak na dzisiejsze trudne czasy terminu) nie spieszyli się z potępieniem działań nieszczęsnego ojca. Z żalem powiedzieli mikrofonom radiowym i kamerom telewizyjnym, że rozumieją punkt widzenia mężczyzny i że są po jego stronie, choć, jak się okazało, dziewczyna w rzeczywistości nigdy nie poszła ze swoim chłopcem na całość. Owa historia przeraziła mnie, przeraziła w sposób dość zrozumiały. Ostatnio sam zostałem ojcem i dlatego dopiero od niedawna byłem w stanie ocenić, jak potężnej potrzeba siły, aby skłonić człowieka do skierowania noża przeciwko swemu ciału i krwi. Lecz jeszcze bardziej się przeraziłem, gdy sobie uświadomiłem, tak jak udzielający wywiadu przyjaciele etc., że ja również rozumiem zabójcę. Wiadomość nie wydała mi się obca. My, którzy dorastaliśmy karmieni honorem i wstydem, w dalszym ciągu trzymamy się tego, co musi się wydawać nie do pomyślenia ludziom żyjącym w cieniu śmierci Boga i tragedii - tamci mężczyźni poświęcą bezlitośnie najdroższe uczucia na ołtarzach swej dumy. (I nie tylko mężczyźni. Od tamtego czasu słyszałem już o przypadku, kiedy to kobieta popełniła identyczną zbrodnię z identycznych powodów.) Pomiedzy wstydem i bezwstydem przebiega oś, wokół której się obracamy; warunki meteorologiczne przy obu biegunach należą do najskrajniejszych, najsurowszych. Bezwstyd, wstyd - oto korzenie gwałtu.

Moja Sufija Zinobia wyrosła z martwego ciała tamtej zamordowanej dziewczyny, chociaż (nie obawiajcie się) Raza Hajdar jej nie zarżnie. Kiedy zapragnąłem napisać o wstydzie, prześladowało mnie widmo tamtego martwego ciała z gardłem przeciętym jak u kurczaka uśmierconego zgodnie ze świętym rytuałem halal³³, ciała leżącego na zebrze, rzuconego na czarno-białe, biało-czarne pasy - nad którymi mrugało światełko Belishy³⁴, pomarańczowe, nie-pomarańczowe, pomarańczowe. Pomyślałem o tej zbrodni jako popełnionej właśnie tam, publicznie, zgodnie z rytuałem, na oczach zza szyb. I nie otworzyły

³³ Halal (arab.) - „zgodny z prawem”, ubój dokonany stosownie do przepisów islamskiego prawa albo mięso uzyskane z takiego uboju.

³⁴ Sygnalizator Belishy - migające bursztynowe światło sygnalizujące przejście dla pieszych - nazwa pochodzi od nazwiska brytyjskiego ministra transportu.

się w proteście żadne usta. Na jaki rodzaj pomocy liczyli policjanci, pukając do drzwi? Czego mogli się dowiedzieć, patrząc na tę czy tamtą nieprzeniknioną „azjatycką” twarz? Zdaje się, że nawet cierpiący na bezsenność, gdy stali przy oknach, zamykali powieki i nic nie widzieli. Ojciec zaś oczyścił swe imię krwią i cierpieniem.

Posunąłem się nawet tak daleko, że nadałem martwej dziewczynie imię i nazwisko - Anahita Muhammad, znana jako Anna. W mojej wyobraźni mówiła ze wschodnio-londyńskim akcentem, ale nosiła niebiesko-brązowo-różowe džinsy z powodu pewnej atawistycznej niechęci do pokazywania nóg. Na pewno rozumiałaby język rodziców używany w domu, ale sama uparcie odmawiałaby wypowiedzenia w nim słów. Anna Muhammad: pełna energii, bez wątpienia atrakcyjna, nieco zbyt zuchwała szesnastolatka. Dla niej Mekka to sala balowa, wirujące srebrzyste kule, dyskotekowe światła, młodość. Tańczyła pod moimi powiekami, zmieniała charakter za każdym razem, kiedy ją ujrzałem: raz była niewiniątkiem, drugim razem dziwką, trzecim i czwartym - kimś jeszcze innym. Lecz w końcu udało się jej uciec, stała się jakimś duchem, aja pojąłem, że aby pisać o niej, o wstydzie, powinienem wrócić na Wschód, pozwolić idei odetchnąć w najlepszym dla niej klimacie. Anna, deportowana, przywrócona krajowi, którego nigdy nie widziała, dostała zapalenia opon mózgowych i stała się idiotką.

Dlaczego jej to zrobiłem? A może rzezone zapalenie było kłamstwem, wytworem wyobraźni Bilquis Hajdar, który miał ukryć szkody powstałe od powtarzających się ciosów w głowę; nienawiść jest w stanie przekształcić mylny cud w przypadek beznadziejny. Opowieść o dawce leku, jaką przygotował hakim, również nie brzmi zbyt przekonująco. Jakże trudno poznać prawdę, zwłaszcza gdy ktoś musi postrzegać świat w plasterkach; zdjęcia zrobione w przelocie ukrywają tyle samo, ile ukazują.

W każdej opowieści obecny jest duch historii, które mogłyby się wydarzyć. I¹ książkę nawiedza duch Anny Muhammad; teraz już nigdy o niej nie napiszę. Inne fantomy są tu także, wcześniejsze i obecne ekto plazmatyczne obrazy powiązane w jakiś sposób ze wstydem i gwałtem. Owe duchy, jak Anna, zamieszkiwały w krainie całkowicie nieduchowej, w żadnym tam spektralnym „Peccavistanie”, lecz w prawdziwym Londynie. Wspomnę o dwóch; o dziewczynie, którą napadła późną nocą w wagonie metra grupa nastolatków. Dziewczyna to znowu Azjatka, chłopcy są przypuszczalnie biali. Później, wspominając pobicie, nie czuje się zagniewana, tylko zawstydzona. Nie chce rozmawiać o tym, co się stało, oficjalnie się nie skarży, ma nadzieję, że o zdarzeniu nikt się nie dowie - to typowa reakcja, dziewczyna zaś nie jest jedną jedyną, ale wieloma dziewczynami w jednej. Oglądając dymiące miasta na telewizyjnym ekranie, dostrzegam grupki młodych ludzi biegających po ulicach - wstyd płonie na ich czołach, podpala sklepy - policyjne tarcze, samochody. Przypominają mi o mojej

anonimowej dziewczynie. Wystarczy upokarzać ludzi dostatecznie długo, a obudzi się w nich furia. Potem przyglądają się zniszczeniom, jakie spowodował ich gniew, i wyglądają na zdumionych, zmieszanych, niedorośliwych. Myśmy zrobili coś takiego? My? Przecież jesteśmy tylko zwykłymi ludźmi, miłymi, nie wiemy, jak mogliśmy... potem powoli ogarnia ich duma, duma z siły, bo nauczyli się odpłacać. Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby tego rodzaju furia stała się udziałem tamtej dziewczyny z metra - gdyby pobiła białe dzieciaki, doprowadziła do granic życia, połamała im ręce nogi nosy kostki, nie wiedząc nawet, skąd się wzięła u niej ta gwałtowność, nie rozumiejąc, skąd ona, przecież bardzo drobna, zaczerpnęła tak straszliwą siłę. A oni, co oni by zrobili? Jak powiedzieć policji, że zostali pobici przez dziewczynę, słabą kobietkę, podczas gdy ich była cała gromada? Jak spojrzeć kolegom w oczy? Raduje mnie ta idea - ponętny, jedwabisty jest ten gwałt, naprawdę.

Tej drugiej dziewczynie nigdy nie nadałem imienia. Ale ona także jest teraz w Sufiji Zinobii, zresztą rozpoznacie ją sami, kiedy się ujawni.

Ostatni z upiorów obecny w mojej heroinie jest mężczyzną, chłopcem z wycinków prasowych. Może czytaliście o nim albo przynajmniej o jego prototypie - znaleziono go na parkingu, płonął, jego skóra stała w ogniu. Spalił się na śmierć, a eksperci, którzy dokonali oględzin ciała i miejsca wypadku, musieli zaakceptować to, co wydawało się niemożliwe: chłopiec zapalił się sam z siebie, nie oblawszy się wcześniej benzyną ani nie stosując zewnętrznego ognia. Jesteśmy energią, jesteśmy ogniem, jesteśmy światłem. Znalazłszy klucz, dostąpiwszy wtajemniczenia, chłopiec zaczął się palić.

Dosyć. Minęło dziesięć lat w mojej opowieści, aja tymczasem widywałem duchy. Muszę jednak dorzucić jeszcze słowo na tamten temat - kiedy pierwszy raz zasiadłem, aby pomyśleć o Anahicie Muhammad, przypomniałem sobie ostatnie zdanie z *Procesu* Franza Kafki, zdanie, w którym Józef K ginie od ciosu nożem. Moja Anna, niczym Józef Kafki, zginęła od noża. Inaczej Sufija Zinobia Hajdar; lecz to zdanie, ów upiorny epigramat, unosi się nadal nad jej historią: *Jak pies! - powiedział; jakby chodziło mu o to, że umrze, a wstyd go przeżyje.*

Do czasu powrotu Hajdarów z K. stolica rozrosła się, Karaczi pogrubiło, tak że ludzie, którzy byli tu od samego początku, już nie rozpoznawali w tej otyłej, babsztylowatej metropolii szczupłej, dziewczęcej sylwetki miasta swej młodości. Wielkie mięsiste fałdy bezustannej ekspansji pochłonęły prastare słone mokradła i wszędzie wzdłuż piaszczystych cypli pojawiły się, niczym wybroczyny, krzykliwie pomalowane domy bogaczy. Ulice roiły się od pociemniałych twarzy młodych mężczyzn, których malowana dama znęciła swym pretensjonalnym wdziękiem po to tylko, aby odkryli, że nie mogą sobie na nią pozwolić; coś

purytańskiego i dzikiego osiadło na ich czołach i trwoga brała, gdy w upale ktoś się dostał w sieć ich rozczarowań. Noc sprzyjała szmuglerom, którzy jeździli w stronę wybrzeża motorowymi riksami; i naturalnie władza należała do wojska.

Raza Hajdar opuścił pociąg, który przywiózł go z zachodu, w oparach pogłosek. To było krótko po zniknięciu poprzedniego ministra Aladyna Gićkiego, którego ostatecznie zwolniono z aresztu, bo nie istniały przeciwko niemu żadne niepodważalne dowody. Przez kilka tygodni żył sobie spokojnie z żoną i psem, aż pewnego dnia wyszedł na spacer ze swoim owczarkiem niemieckim i już nigdy nie wrócił, chociaż ostatnie słowa, które wypowiedział do begam Gićki, brzmiały następująco: „Powiedz kucharzowi, żeby na obiad zrobił jeszcze z tuzin pulpetów. Głodny jestem jak wilk”. Pulpety, od pierwszego do dwunastego, parowały przygotowane na talerzu, ale niestety coś musiało zepsuć Gićkiemu apetyt, wcale ich bowiem nie zjadł. Możliwe, że nie był w stanie zapanować nad odczuciem głodu i zamiast pulpetów pożarł owczarka, gdyż nie odnaleziono również psa ni choćby kłaka czy ogona. O tajemniczym zniknięciu Gićkiego ciągle wspomniano w rozmowach i przy okazji wymieniano nazwisko Hajdara; powodem mogło być to, iż wzajemna nienawiść Gićkiego oraz pobożnego maulany Dawuda była powszechnie znana, podobnie jak nigdy nie była sekretem zażyłość łącząca Dawuda z Hajdarem. Dziwne opowieści napływały z K. do Karaczi i krążyły w klimatyzowanym miejskim powietrzu.

W wersji oficjalnej okres panowania Hajdara na zachodzie uchodził za przykład skończonego sukcesu, kariery będącej ustawicznym pochodem w górę. Wytepiono dakoityzm, meczety były pełne, organy państwowe oczyszczono z gićkizmu, czyli choroby korupcji, a separatyzm poległ na miejscu. Stary Rozpruwacz Bebechów był teraz brygadierem... lecz, jak uwielbiał powiadać Iskander Harappa do Omara Chajjama Śakila, gdy obaj byli pod dobrą datą: „Wetknij mi, gdzie ci się podoba, jar..., przecież wszyscy wiedzą, że te dzikusy wściekają się, bo Hajdar wieszka za jaja niewinnych ludzi”. Wspominano też o małżeńskich kłopotach Hajdara. Nawet na wygnaniu do Rani Harappy dochodziły pogłoski o waśniach, o małej idiotce, którą matka nazywała „swoją hańbą” i traktowała jak pomiotło, o wewnętrznej ranie, odpowiedzialnej za brak syna i prowadzącej Bilquis ciemnymi korytarzami do załamania nerwowego; lecz ona, Rani, nie wiedziała, jak rozmawiać z Bilquis o tych sprawach i dlatego słuchawka telefonu leżała spokojnie na widelkach.

Niektórych spraw w ogóle nie poruszano. Nikt nie wspominał o krągłoustym chłopcu, czyli Sindbadzie Mengalu, nikt nie spekulował na temat pochodzenia młodszej Hajdarówny... Brygadiera Rażę Hajdara przewieziono bezpośrednio ze stacji w zacisze prezydenckiego gabinetu, marszałka polnego Muhammada A., gdzie, jak podawały niektóre źródła, został

serdecznie uściskany i na znak przyjaźni uszczypnięty w policzek, natomiast inni wspominali, że podmuch gniewu wydobywający się przez dziurkę od klucza z tamtego pokoju był tak gorący, że Raza Hajdar, stojąc na baczność przed rozwścieczonym prezydentem, musiał się fatalnie poparzyć. Pewne jest to, że z owego spotkania wyszedł jako minister edukacji, informacji i turystyki, podczas gdy ktoś inny wspiał się na platformę pociągu zmierzającego na zachód, aby objąć stanowisko gubernatora w K. Raza Hajdar nawet nie mrugnął powieką.

Podobnie nie zajmowano się przymierzem Razy i maulany Dawuda; świątobliwy mąż towarzyszył Hajdarowi do Karaczi i ledwie się zainstalował w oficjalnej rezydencji nowego ministra, od razu dał się poznać jako wyjątkowo wrzaskliwy przeciwnik spożywania krewetek i krabów o niebieskawych spodach, czyli stworzeń padlinożernych, tak samo nieczystych jak każda jedna świnia i ze zrozumiałych względów niedostępnych w odległym K., natomiast licznych i popularnych w stolicy położonej nad morzem. Maulana czuł się szczególnie dotknięty, odkrywszy, że uzbrojone monstra głębin są bez żadnego kłopotu dostępne na targowiskach, i zdołał uzyskać poparcie miejscowych duchownych, którzy nie wiedzieli zupełnie, jak mu się przeciwstawić. Rybacy z miasta zauważyli, iż sprzedaż skorupiaków zaczęła alarmująco spadać, dlatego musieli bardziej niż kiedykolwiek polegać na dochodzie pochodzącym z kontrabandy. Nielegalne trunki i papierosy zastąpiły kraby w ładowniach wielu dungiji³⁵. Jednakże żadne trunki i papierosy nie przedostały się do rezydencji Hajdara. Dawud organizował niespodziewane naloty na pomieszczenia służby, aby się upewnić, że nad wszystkim panuje Bóg. - Nawet miasto tonącej ohydy - zapewnił Rażę Hajdara - można oczyścić dzięki Wszechmogącemu.

Trzy lata po powrocie Razy Hajdara do K. stało się jasne, że jego szczęśliwa gwiazda powoli gaśnie, bo pogłoski z tego miasta (o Mengalu, Gićkim, wieszanych za jaja członkach plemion) nigdy całkowicie nie wygasły; kiedy więc stolicę przeniesiono z Karaczi na północ, w czyste górskie powietrze, i usytuowano w ohydnych, specjalnie do tego przygotowanych budynkach, Raza Hajdar pozostał na wybrzeżu. Ministerstwo Edukacji, Informacji i Turystyki powędrowało na północ razem z resztą administracji; lecz Raza Hajdar (cóż, wyłóżmy sprawę bez ogródek) został wyrzucony z pracy. Nakazano mu powrót do wojskowych obowiązków i powierzono zajęcie bez perspektyw, mianowicie dowodzenia Akademią Wojskową. Mógł zatrzymać dom, ale maulana powiedział: - Co z tego, że nadal masz marmurowe ściany? Zrobili z ciebie kraba w muszli z marmuru. Jesteś na-pak - nieczysty.

Skoczyliśmy zbyt daleko w przyszłość: nadeszła pora, by wysnuć ostateczne wnioski z

³⁵ Dungija - jednomasztowy statek z trójkątnym żaglem, o rozszerzonej i nadbudowanej rufie, używany od czasów starożytnych w Indiach.

naszych uwag na temat pogłosek i skorupiaków. Sufija Zinobia, idiotka, rumieni się.

Jak sędzę, wszystko to zrobiłem dla niej, aby ją uczynić czystą. Nie potrafiłem wymyślić innego sposobu stworzenia czystości w czymś, co już w samym założeniu jest krainą czystości..., a idioci są z definicji niewinni. Nazbyt to romantyczne, eksploatować w taki sposób umysłową ułomność? Być może; za późno na tego rodzaju wątpliwości. Sufija Zinobia dojrzała; wprawdzie umysł miała wolniejszy niż ciało, ale dzięki tej powolności pozostała dla mnie w jakiś sposób nieskazitelna (pak) pośród brudów świata. Wyobraźcie sobie, jak dorastając, pieści kamyk w dłoni i nie jest w stanie powiedzieć, dlaczego dobroć zdaje się zawierać w tym gładkim, płaskim kamieniu; jak promienieje radością, kiedy słyszy słowa wyrażające miłość, mimo że niemal zawsze są skierowane do kogoś innego... Bilquis przelała wszystkie swoje uczucia na młodszą córkę Nawid. Dobra Nowina - przydomek przywarł do niej jak do twarzy kwaśna mina na wietrze - nurzała się w nich, w monsunie miłości, podczas gdy Sufija Zinobia, brzemień swych rodziców, wstyd matki, pozostała sucha niczym pustynia. Jak deszcz padały na nią utyskiwania, obelgi, nawet dzikie ciosy zniecierpliwienia; lecz tego rodzaju deszcz nie dostarcza wilgoci; dusza dziewczyny sparciała z braku serdeczności, choć potrafiła, gdy otaczała ją miłość, płonąć radością.

A do tego wszystkiego Sufija łatwo się rumieniła. Przypomnijcie sobie, jak zaczerwieniła się przy narodzinach. Dziesięć lat później te rumieńce, ognie płonące na jej twarzy, w dalszym ciągu wprawiały w zakłopotanie jej rodziców. Wydawało się, że niepokojące zarzenie Sufiji Zinobii przybrało na sile podczas pustynnych lat w K. Kiedy Hajdarowie złożyli obowiązkową kurtuazyjną wizytę Bariammie i jej plemieniu, wiekowa dama pochyliła się, aby pocałować dziewczętą, i przeraziła się, kiedy odkryła, że lekko sparzyła sobie usta, bo nagle do policzków Sufiji Zinobii napłynęło gorąco; oparzenie było na tyle dolegliwe, że trzeba było przez cały tydzień dwa razy dziennie stosować specjalną maść na usta. Fatalne działanie mechanizmów termostatycznych dziecka obudziło w jego matce coś, co wydawało się kontrolowanym gniewem. - Ten tuman - krzyknęła Bilquis w obecności rozbawionej begam Dunijad i reszty - nawet na nią spojrzeć nie wolno! Co to ma znaczyć? Wystarczy, że ktoś zerknie w jej stronę, wypowie dwa słowa, a ona zaraz się rumieni, robi się czerwona jak chili! Daję słowo. Jakie normalne dziecko rozgrzewa się do czerwoności, rozgrzewa do tego stopnia, że jego ubrania zaczynają pachnieć spalenizną? Ale co można zrobić, zepsuła się jakoś i kropka, my zaś musimy znosić to z uśmiechem. - W zenitalnych promieniach pustkowia rozczarowanie Hajdarów do starszej córki utrwaliło się jako coś tak bezlitosnego jak słońce, co wysmaża cienie.

Wspomniana dolegliwość okazywała się czasem bardzo realna. Panna Śahbanu, parsyjska aja, którą Bilquis zatrudniła po powrocie do Karaczi, skarżyła się, że kiedy pierwszego dnia kąpała Sufiję Zinobię, poparzyła sobie dłonie wodą bliską stanu wrzenia z powodu czerwonego płomienia zażenowania, który rozszedł się od cebulek włosów upośledzonej dziewczyny po koniuszki zakrzywionych palców u jej stóp.

Mówiąc wprost, Sufija Zinobia rumieniła się w sposób żywiłowy, ilekroć ktoś dostrzegał jej obecność na tym świecie. Ale czerwieniła się również za ten świat.

Niech no mi będzie wolno wyrazić pewną hipotezę: zapalenie opon mózgowych, dzięki któremu Sufija Zinobia posiadała nadprzyrodzoną wrażliwość na krążące w eterze sprawy, umożliwiło jej wchłanianie niczym gąbka mnóstwa nie odczuwanych uczuć.

Jak sądzicie, gdzie one się podziewają? - mam na myśli emocje, które powinny były być przedmiotem doświadczenia, lecz nim nie są, takie jak żal z powodu nazbyt surowego słowa, poczucie winy z racji popełnionego przestępstwa, poczucie przyzwoitości, zażenowanie, wstyd? Proszę, wyobraźcie sobie wstyd jako płyn, powiedzmy słodką, psującą zęby lemoniadę w pojemnikach z ulicznego automatu. Przyciśnij odpowiedni guzik i z głośnym plum kubek opadnie pod syczącym strumieniem cieczy. Jak przycisnąć guzik? Nic prostszego. Skłamię, prześpij się z białym chłopcem, przyjdź na świat z niewłaściwą płcią. Wypływają na zewnątrz spienione emocje i już masz swoją porcję..., ale jakże wielu ludzi nie przestrzega tych prostych instrukcji! Czyny bezwstydnego są na porządku dziennym: kłamstwa, nazbyt swobodne obyczaje, brak szacunku dla starszych, brak czci dla flagi narodowej, nie takie głosowanie podczas wyborów, obżarstwo, seks cudzołożny, powieści autobiograficzne, karciane oszustwa, maltretowanie kobiet, niepowodzenia egzaminacyjne, przemyt, rozbicie bramki w kluczowym momencie międzynarodowych rozgrywek w krykocie - i ludzie dopuszczają się ich bez-wstydnie. Cóż więc dzieje się z tym całym nie odczuwanym wstydem? Z nie dopita zawartością kubków? Pomyślcie jeszcze raz o ulicznych dystrybutorach. Guzik został wciśnięty, ale potem unosi się bezwstydną dłoń i niecierpliwie zabiera kubek! Osobnik naciskający guzik nie pije tego, co sprowokował; płynny wstyd powiększa pienne bajoro na tej ziemi.

Obracamy się jednak wokół pewnej abstrakcji, wokół absolutnie eterycznej maszyny dystrybucyjnej; identycznie poza materią, w eterze, rozchodzi się nie odczuwany wstyd świata. Stąd, przypuszczam, jest on odsysany przez nielicznych nieszczęśliwców, strażników nieznanego, osobników o duszach niczym wiadra, do których zgarniają wszystko, co zostało rozlane, tego rodzaju wiadra przechowujemy w specjalnych szafkach. Niewiele o nich myślimy, choć przecież oczyszczają nasze brudne wody.

A zatem Sufija idiotka spłonęła rumieńcem. Matka powiedziała do obecnych krewnych: - Ona to robi, bo chce zwrócić na siebie uwagę. Och, nie macie pojęcia, jak to jest, co za kłopot, co za rozpacz, i to za jakie grzechy? Za żadne. Bogu niech będą dzięki za Dobrą Nowinę. - Głupia czy niegłupia, Sufija Zinobia czerwieniła się żywiolowo, ilekroć matka z ukosa spjrzała na ojca - komunikując w ten sposób zgromadzonym członkom rodziny, że między tą parą coś się rozgrywa. Tak. Idioci wyczuwają tego rodzaju rzeczy, ot i wszystko.

Rumienić się to tyle, co powoli płonąć. Istnieje ponadto inny aspekt sprawy, otóż jest to zjawisko o charakterze psychosomatycznym. Cytuję: *Nagle zamknięcie połączeń żylnno-tętnicznych twarzy sprawia, że naczynia włosowate napełniają się krwią, wywołując specyficzny, intensywny kolor. Ludzie, którzy nie wierzą w zjawiska psychosomatyczne ani w to, że umysł głównymi wiązkami nerwowymi bezpośrednio wpływa na ciało, niechaj pomyślą o rumieńcu, który u ludzi wrażliwych pojawia się już choćby na samo wspomnienie żenujących okoliczności z ich udziałem - trudno o bardziej wyrazisty przykład oddziaływania umysłu na materię.*

Jak autorzy powyższych słów, nasz bohater, Omar Chajjam Śakil, jest lekarzem, w dodatku przejawiającym szczególne zainteresowanie właśnie wpływem umysłu na materię, na przykład zachowaniami przebiegającymi w hipnozie; samookaleczeniami, dokonywanymi w transie przez fanatycznych szyitów, których Iskander Harappa nazywa z pogardą pluskwami; zjawiskiem rumieńca. Zatem już niedługo dojdzie do spotkania Sufiji Zinobii i Omara Chajjama, pacjentki i doktora, w przyszłości męża i żony. Tak się stać musi; nic zatem dziwnego, że zobowiązany jestem opowiedzieć ni mniej, ni więcej, tylko historię miłości.

Opis tego, co się wydarzyło w tamtym roku, w czterdziestym roku życia Iskandra Harappy i Razy Hajdara, należy chyba zacząć od momentu, kiedy Iskander dowiedział się, iż jego kuzyn Mały Mir wkradł się w łaski prezydenta A. i wkrótce miał awansować na wysokie stanowisko. Gdy owa informacja do niego dotarła, natychmiast wyskoczył z łóżka, za to Pinkie Aurangzeb, właścicielka łóżka i źródło informacji, nawet nie drgnęła, choć przecież wiedziała, że dotknął ją jakiś kryzys i że jej obnażone - wyskakując z łóżka, Iskander ściągnął prześcieradło - czterdziestotrzyletnie ciało nie jaśnieje jak dawniej blaskiem, który niepokoił mężczyzn i nie pozwalał im skoncentrować się na tym, co ich gryzło. - To tak jakby nasrać na grób mojej matki - zawołał Harappa - najpierw ministrem zostaje Hajdar, a teraz ten. Życie nie wygląda różowo, kiedy człowiek dźwiga czwarty krzyżyk.

Sprawy zaczynają wyglądać coraz mniej różowo - myślała Pinkie Aurangzeb, leżąc i wypalając kolejno jedenaście papierosów, podczas gdy Iskander długimi krokami spacerował

po pokoju, owinięty w prześcieradło. Podpalała dwunastego, kiedy Isky bezwiednie pozwolił prześcieradłu opaść. Potem przyglądała się, jak odziany w nagość rozkwitłej młodości rozwiązuje więzy z terażniejszością i zwraca się ku przyszłości. Pinkie była wdową; stary marszałek Aurangzeb wreszcie kopnął w kalendarz i obecnie jej *soirées* straciły na znaczeniu, a plotki z miasta docierały do niej z opóźnieniem. - Starożytni Grecy - powiedział Iskander ni z tego, ni z owego, sprawiając, że niespodziewanie rozsypała popiół z koniuszka papierosa - nie odnotowywali podczas igrzysk olimpijskich imion biegaczy, którzy przybiegli na metę na drugim miejscu. - Następnie ubrał się szybko, ale -jak na dandysa przystało - ze zwykłą dbałością o szczegóły, co zresztą zawsze uwielbiała, i odszedł od niej na dobre; tamto zdanie było jedynym wyjaśnieniem, jakie kiedykolwiek uzyskała. Ale w latach swego odosobnienia sama zdołała je wypracować, wiedziała bowiem, że Historia czekała na Iskandra Harappę, aby dostrzec Ją, a mężczyzna, którego Historia dostrzeże, jest następnie z kochanką związany i nie uwolni się od niej już nigdy. Historia to dobór naturalny. Zmutowane wersje przeszłości walczą o dominację; dojrzewają nowe gatunki faktów, natomiast przedpotopowe prawdy idą pod ścianę, zakrywa się im oczy, pozwala wypalić ostatniego papierosa. Przetrwać udaje się tylko najsilniejszym mutacjom. Słabe, anonimowe, pokonane, pozostawiają niewiele świadectw: polne znaki, głowy siekier, ludowe opowieści, potłuczone dzbany; kopce nagrobne - gasnące wspomnienia młodzieńczego piękna. Historia uwielbia jedynie tych, którzy nad nią panują - tu zachodzi relacja wzajemnej zależności. Brak w niej miejsca na jakąś tam Pinkie; albo, zdaniem Isky'ego, na takich osobników jak Omar Chajjam Śakil.

Odrodzeni Aleksandrzy, kandydaci na mistrzów olimpijskich, muszą się podporządkować najbardziej surowym z treningowych procedur. Isky Harappa, opuściwszy Pinkie Aurangzeb, obiecał sobie wyrzec się wszystkiego, co mogłoby osłabić jego ducha. Córka Ardżumand miała na zawsze zapamiętać, że właśnie wówczas zrezygnował z amerykańskiego pokera, *chemin de fer*³⁶, prywatnych spotkań przy ruletce, gry na wyścigach, francuskich potraw, opium i pigułek nasennych; przestał na bankietach szukać pod obciążonymi srebrną zastawą stołami niespokojnych kostek i przychylnych kolan towarzyskich ślicznotek; wówczas przestał odwiedzać dziwki, którym z upodobaniem kręcił filmy ośmiomilimetrową kamerą marki Polaroid Bolex, podczas gdy one, pojedynczo albo w trójkę na nim lub Omarze Chajjamie, odprawiały pachnące piżmem, usypiające obrzędy. „Taki był początek owej legendarnej kariery politycznej, która w kulminacji przekroczy granice śmierci. Te pierwsze triumfy, zwycięstwa nad samym sobą, z konieczności miały mniejszy kaliber. Isky wykorzenił ze swego oficjalnego miejskiego słownictwa encyklopedyczny zestaw

zgniłozielonych prowincjonalnych wulgaryzmów, powiedzeń, którymi był w stanie wytrącić ludziom z dłoni szklance z kryształu wraz z zawartością i rozbić je, zanim doleciały do podłogi. (Lecz podczas kampanii po wsiach pozwolił, aby powietrze ponownie przesycił smród obscenów, bo przecież zdawał sobie sprawę z przysparzającej głosów mocy brudów.) Pohamował na zawsze naturalny wysokotonowy chichot niewiarygodnego playboya i zastąpił go dźwięcznym, rubasznym śmiechem, wydobywającym się z piersi męża stanu. W miejskim domu przestał flirtować z żeńską służbą.

Czy którykolwiek mężczyzna uczynił kiedyś więcej dla własnego narodu? Bo ten zrezygnował z obecności na walkach kogutów, niedźwiedzich zapasach, pojedynkach węży z mangustami; ponadto z tańców disco i przypadających raz w miesiącu spotkań z szefem cenzury filmowej, kiedy to miał okazję obejrzyć najbardziej soczyste kawałki wycięte przed premierą z zagranicznych filmów.

Postanowił też uznać za straconego Omara Chajjama Śakila. - Kiedy ten degenerat przyjdzie do mnie w odwiedzinach - poinstruował dozorcę - po prostu rzuć odpadkami z kuchni w jego tłusty zadek i przyjrzyj się, jak facet odskakuje. - Następnie udał się do biało-żółtej rokokowej sypialni w chłodnym sercu swej rezydencji położonej w obrębie Obrony, zbrojonego, betonowego gmachu z kamiennym licem, który przypominał radiogramofon Telefunkena, i zagłębił się w myślach.

Co jednak dziwne, Omar Chajjam przez długi czas ani nie odwiedził starego przyjaciela, ani też do niego nie zadzwonił. Minęło czterdzieści dni, nim doktor dowiedział się o zmianach, jakie się dokonały w jego świecie wolnym od trosk i wstydu...

Kto przesiaduje u stóp ojca, podczas gdy Pinkie Aurangzeb starzeje się w jakimś pustym domu? Trzynastoletnia Ardżumand Harappa, która, sądząc z wyrazu twarzy, jest ogromnie zadowolona; siedzi po turecku na marmurowej podłodze rokokowej sypialni, obserwując, jak Isky kończy właśnie proces odmiany; Ardżumand, która jeszcze nie nabyła przydomka („dziewica Żelazne Majtki”) na większą część życia. Dziewczyna zawsze zdawała sobie sprawę, bo była nad wiek rozwinięta, że w jej ojcu tkwi, dojrzewa i czeka drugi mężczyzna, teraz zaś, nareszcie, wyskakuje na powierzchnię, podczas gdy stary Iskander, niechciany, osuwa się z szelestem na podłogę - pozostaje wężowa powłoka na twardym karo słonecznego światła. Ależ rozkosz czerpie z tej przemiany, z posiadania ojca na miarę swoich zasług!

- Ja tego dokonałam - powiada do Iskandra - pragnęłam tego tak strasznie, że w końcu musiałyś zrozumieć.

³⁶ *Chemin de fer* (fr.) - gra karciana podobna do bakarata.

Harappa uśmiecha się do córki, dotyka jej włosów.

- To się czasem zdarza.

- I koniec z wujkiem Omarem - dodaje Ardżumand. - Dobrze jest pozbyć się zbędnego balastu.

Ardżumand Harappa, dziewczica Żelazne Majtki, zawsze wybierać będzie skrajności. Już teraz, w wieku trzynastu lat, ma prawdziwy talent do nienawidzenia, ale także do uwielbiania. A nie cierpi Śakila, tłustej małpy, która dotychczas siedziała na ramieniu jej ojca, utrzymując go w dole, w samym szlamie; nie znosi własnej matki, Rani, w jej Mohendźo ziemnych sów, symboli klęski. Ardżumand przekonała ojca, aby pozwolił jej mieszkać i chodzić do szkoły w mieście; ojca darzy uwielbieniem graniczącym z bałwochwalstwem. Obecnie, kiedy ów kult zyskał przedmiot godny siebie, Ardżumand nie potrafi opanować radości.

- Dokonasz wszystkiego, czego tylko zapragniesz! - woła. - Poczekaj, przekonasz się!

Postać nieobecnego Omara Chajjama Śakila ciągnie za sobą cienie przeszłości. Iskander, leżący na wznak w biało-żółtym łóżku i zatopiony w szaleńczych myślach, stwierdza naraz zupełnie klarownie:

- To świat mężczyzn, Ardżumand. Kiedy dorośniesz, wzniesiesz się ponad swą płęć. Dla kobiety nie ma w nim miejsca.

Ponura nostalgia tego zdania wyraża ostatnie tchnienia miłości Iskandra do Pinkie Aurangzeb, z kolei córka bierze te słowa do siebie, a kiedy jej piersi zaczną się wyraźnie powiększać, owinie je ciasno lnianymi bandażami tak mocno, że poczerwienieje z bólu. Z radością będzie toczyła walkę z własnym organizmem, zacznie odnosić powolne, tymczasowe zwycięstwa nad miękkim, godnym pogardy ciałem... zostawmy ich, ojca i córkę - ona już buduje w swym sercu ów aleksandryjski boski mit o Harappie, który rozpowszechni dopiero po jego śmierci, z kolei on, obradując z innymi nad nowymi czasami czystości, wymyśla strategię triumfu, zauroczenia czasów.

Gdzież się podziewa Omar Chajjam Śakil? Co się stało z naszym marginalnym bohaterem? On także się postarzał; podobnie jak Pinkie, znacznie już przekroczył czterdziestkę. Upływ czasu okazał się dla niego łaskawy, srebrząc mu włosy i kozią bródkę. Przypomnijmy, że w swoim czasie był błyskotliwym studentem. Otóż owa studencka bystrość pozostaje nie przygaszona; może i jest lubieżnikiem oraz hulaką, ale również znakomitością w najlepszym miejskim szpitalu oraz immunologiem o niemałej światowej sławie. Od momentu, kiedy ostatnio czegoś się o nim dowiedzieliśmy, uczestniczył w amerykańskich seminariach, publikował artykuły na temat wpływu zjawisk psychosomatycznych na funkcjonowanie układu

odpornościowego organizmu, słowem stał się ważnym facetem. Nadal jest gruby i brzydki, ale wyróżnia się elegancją stroju; niektóre modele ubrań Isky'ego pochodziły od niego; Omar Chajjam nosi szarości; szare garnitury, kapelusze, krawaty, szare zamszowe buty, szare jedwabne majtki, jak gdyby milczenie barwy tonowało efekt jaskrawości przypisany jego fizjonomii. Nosi prezent od przyjaciela, od Iskandra - laskę ze srebrną rączką i ukrytym sztyletem, pochodzącą z doliny Ansu, dwanaście cali polerowanej stali schowanej w misternie rzeźbionym drewnie orzechowym.

Sypia zaledwie po dwie i pół godziny na dobę, ale koszmar o zbliżaniu się do krańca świata w dalszym ciągu od czasu do czasu go niepokoi. Czasami pojawia się, kiedy Omar nie śpi, bo ludzie cierpiący na brak snu mają jednak kłopoty z kontrolowaniem poruszania się między światem jawy i światem snu. Zjawiska przemykają się między nie strzeżonymi słupkami granicznymi, unikając kontroli celnej... w takich sytuacjach dokuczają mu okropne zawroty głowy, jakby się znalazł na szczycie spękanej góry, a potem podparł laską z ukrytym wewnątrz sztyletem, aby nie upaść. Trzeba koniecznie dodać, że sukces zawodowy i przyjaźń z Iskandrem Harappa w istotny sposób zredukowały częstotliwość występowania tych zawrotów, pomagały mu pewniej utrzymywać się na twardym gruncie. Oczywiście zachwiania równowagi sporadycznie występowały, by przypomnieć mu, jak blisko krawędzi się znajduje i zawsze będzie znajdował.

Ale gdzież on się podział? Dlaczego nie telefonuje, nie składa wizyt, nie daje się uderzyć w siedzenie? Odnalazłem go w K., w forticznym domu swoich matek, i od razu wiedziałem, że stało się jakieś nieszczęście, bo przecież nic innego nie mogło zwabić Omara Chajjama w to miejsce. Nie odwiedzał „Niszapuru” od dnia, kiedy wyjechał z nogami na ożywczej bryle lodu; zamiast niego nadchodziły czeki. Pieniądze rekompensowały jego nieobecność... choć istnieją także inne koszty. Poza tym nie każda ucieczka jest ostateczna. Jego dobrowolne odcięcie się od przeszłości miesza się z równie dobrowolną bezsennością - łączny skutek polega na wygładzeniu poczucia moralnego, przekształceniu Omara w rodzaj etycznego zombi, tak że ten sam osobisty akt dystansowania się pomaga mu jednocześnie w przestrzeganiu dawnego polecenia matek, słowem, facet nie odczuwa wstydu.

Zachowuje hipnotyzujące spojrzenie, głos o hipnotyzującej barwie. Przez wiele lat Iskander Harappa towarzyszył tym oczom, temu głosowi do hotelu Intercontinental i pozwalał im pracować na swoją korzyść. Niespotykana ohyda Omara Chajjama w połączeniu z oczami i głosem, czyniła go atrakcyjnym dla pewnego rodzaju kobiet. Godziły się, gdy w ramach flirtu oferował hipnozę, niewysłowioną obietnicę dostępu do tajemnicy Wschodu; zabierał je do hotelowego apartamentu i poddawał wpływom. Uwolnione - co prawda, to prawda -z dość

skąpych zakazów, dostarczały Isky'emu i Omarowi szczerze opłacanego seksu. Śakil bronił swego postępowania: - Nie sposób przekonać podmiot, aby zrobił coś, czego zrobić nie chce. - Z kolei Iskander Harappa nigdy o wymówki nie dbał... to także część tego, co Isky - o czym Omar Chajjam jeszcze nie wiedział - porzucił. Przez wzgląd na Historię.

Omar Chajjam jest w „Niszapurze”, bo jego brat Ba-bar nie żyje. Brat, którego nigdy nie widział, martwy przed ukończeniem dwudziestego trzeciego roku życia; jedyne, co po nim pozostało, to paczka przybrudzonych notatników, które Omar Chajjam zabierze ze sobą, kiedy po czterdziestu dniach żałoby powróci do Karaczi. Brat zredukowany do postrzępionych, nabazgranych słów. Babara zastrzelono, a rozkaz do wystrzału dał... ale nie, najpierw notatniki:

Kiedy dostarczono jego ciało z pachnących korupcją i kozami Gór Niemożliwych, znalezione w kieszeniach notatniki oddano rodzinie, ale niestety brakowało w nich wielu kartek. W tych postrzępionych resztkach zniszczonych brutalnie woluminów dało się zidentyfikować serię poematów miłosnych adresowanych do pewnej sławnej piosenkarki nagrywającej playbacki, której on, Babar Śakil najprawdopodobniej nigdy nie widział. Pomędzy nieregularnymi metrycznie wyrazami abstrakcyjnej miłości w postaci hymnów do uduchowionego głosu i swobodnymi wersami ujawniającymi zmysłowość o charakterze wyraźnie pornograficznym, obecny tu był opis wcześniejszego przebywania w piekle, opis udręk z powodu bycia młodszym bratem Omara Chajjama.

Cień starszego brata straszyl w każdym kącie „Niszapuru”. Trzy wspólne matki, które żyły obecnie z pieniędzy doktora i nie prowadziły interesów z właścicielem lombardu, powodowane wdzięcznością, przed laty postanowiły w sekrecie, że uczynią dzieciństwo Babara „podróżą” po niezmienniej świątyni o ścianach przesiąkniętych uznaniem dla wspianalego, nieobecnego starszego syna. A ponieważ Omar Chajjam był znacznie od Babara starszy i już dawno temu uciekł z prowincjonalnej szarości, gdzie na ulicach pijani robotnicy, pracujący na co dzień przy wydobyciu gazu, bez szczególnego powodu wdawali się w burdy z pracownikami kopalni węgla, boksytu, onyksu, miedzi i chromu i gdzie ponad szczytami dachów popękana kopuła Hotelu Flashmana dominowała coraz żalobniej - młodszy syn, Babar, miał wrażenie, że jakiś drugi ojciec czasem niepokoi go i porzuca; w tym domu kobiet dotkniętych atrofią z powodu przemijania uczcił swe dwudzieste urodziny, wynosząc świadectwa egzaminacyjne, złote medale, wycinki z gazet, stare podręczniki, stosy listów, kije do krykieta -słowem pamiątki po sławnym bracie - na zaciemiony, pozbawiony światła centralny dziedziniec i pod to wszystko zdążył podłożyć ogień, nim trzy matki zdołały go powstrzymać. Odwróciwszy się plecami do haniebnego widowiska z udziałem starych jędz

rozgarniających gorące popioły i sięgających do szerniałych rogów fotografii oraz medalionów, które ogień przemienił ze złotych w ołowiane, Babar zjechał windą i wyruszył na ulicę K., a ponieważ nie był pewny jutra, rocznicowe myśli opieszale krążyły po jego głowie. Spacerował bez celu, martwiąc się niewielkim zasobem możliwości, kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi.

Z początku wziął je za dygotanie własnego ciała, ale uderzenie w policzek drobiną czegoś ostrego starło z oczu kandydata na poetę mgły zaabsorbowania sobą. To deszcz szkła, pomyślał zdziwiony, mrugając szybko, w pobliżu alejek bazaru złodziei, dokąd bezwiednie zanosły go nogi, alejek między małymi prowizorycznymi stoiskami, z których zjawisko zinterpretowane przez niego jako wewnętrzne drżenie utworzyło coś w rodzaju grochu z kapustą: melony rozprysły się przy jego stopach, pantofelki z ostrymi czubkami spadły z drżącej półki, szlachetne kamienie, brokaty, naczynia ceramiczne i grzebienie bez ładu i składu zleciały na alejki zasłane szklanym kurzem. Stał ogłupiały w szklanej ulewie z popękanych szyb, nie będąc w stanie otrząsnąć się z wrażenia, że to on przeniósł w otoczenie swój prywatny zgiełk, i opierając się chorobliwemu impulsowi, aby zatrzymać kogoś, kogokolwiek, wśród dreptającego bezładnie tłumu kieszonkowców, sprzedawców, kupujących i przeprosić za kłopoty, jakie sprawił.

To trzęsienie ziemi - zapisał Babar Śakil w swoim notatniku - coś wewnątrz mnie obluzowało. Niby wstrząs bez większego znaczenia, ale może jednocześnie ustawił coś na właściwym miejscu.

Kiedy świat stał się znowu spokojny, Babar skierował kroki do spelunki z tanią brandy, stąpając ostrożnie między kawałkami szkła i przy akompaniamencie ostrych jak szkło zawodzeń właściciela; a kiedy wszedł do środka (co zapisano w notatniku), kątem lewego oka dostrzegł uskrzydłonego, jaśniejącego złotym blaskiem mężczyznę, patrzącego na niego ze szczytu któregoś z dachów; lecz gdy Babar zadarł do góry głowę, anioła już nie było. Później, kiedy przebywał w górach z partyzantami rekrutującymi się spośród plemion o tendencjach separatystycznych, usłyszał opowieści o aniołach, trzęsieniach ziemi i podziemnym raj; pewność, że złoci aniołowie są po ich stronie, dawała partyzantom niezachwianą wiarę w słuszność ich sprawy i sprawiała, że chętnie oddawali za nią życie. *Separatyzm* - napisał Babar - to wiara, iż jest się wystarczająco dobrym, by wymknąć się mocom piekieł.

Babar Śakil spędził urodziny, upijając się w tamtej speluncie rozbitych butelek; kilkakrotnie wyciągnął z ust długie odłamki szkła, tak że przed końcem popołudnia miał na podbródku krwawe ślady; ale alkohol dezynfekował ranki i minimalizował ryzyko zakażenia tężcem. W lokalu z brandy: członkowie plemion, kurwa z bielmem na oczach, wędrowni

żartownisie z bębenkami i piszczałkami. W miarę jak upływała noc, żarty stawały się coraz głośniejsze, a mieszanina humoru z gorzałą okazała się koktajlem, po którym Babar dostał takiego olbrzymiego kaca, że właściwie już nigdy się z niego nie otrząsnął.

Ależ żarty! Hi, hi, cokolwiek powiesz, człowieku, zawsze ktoś weźmie to za grubiaństwo.”- Posłuchaj, jar, wiesz chyba, że w trakcie obrzędu obrzezania ten, kto tego dokonuje, wypowiada święte słowa? - A jakże, wiem. - W takim razie co takiego powiedział, kiedy dokonywał rytuału na Starym Rozpruwaczu Bebechów? -Nie wiem, a co, co? - Jedno słowo, jar, jedno słowo, więcej nie zdążył, bo potem wyrzucono go z domu! - Boże, musiało to być coś bardzo złego, no dalej, powiedz. - Otóż rzekł: Uuu!

Babar Śakil w niebezpiecznym woalu brandy. Komedia wnika do jego krwiobiegu, wywołuje permanentną mutację. - Hej, wiesz pan, co mówi się o nas, plemionach? Że niby za mało mamy patriotyzmu i za duży pociąg do seksu, no i pewnie, wszystko to prawda, chcesz wiedzieć dlaczego? - Tak. - No to weźmy patriotyzm. Po pierwsze, rząd zabiera nasz ryż dla oddziałów wojskowych, więc powinniśmy być dumni, no nie, a my tylko narzekamy, że nic nie zostało dla nas. Po drugie, rząd wydobywa nasze minerały i gospodarka kręci się coraz lepiej, za to my tylko utyskujemy, że nikt tutaj nie widzi gotówki. Po trzecie, gaz z Needle przynosi obecnie sześć procent dochodu narodowego, mimo to my nadal nie jesteśmy szczęśliwi i ciągle narzekamy, że w tych stronach w domach nie ma gazu. Sam musisz przyznać, że nasi ludzie nie mają najdrobniejszych podstaw, by wykazywać mniej patriotyzmu. Na szczęście rząd nadal nas kocha, kocha tak bardzo, że uczynił nasz popęd seksualny najważniejszą cechą narodową. - Jak to? - Ano łatwo to pojąć: ten rząd jest szczęśliwy, że może nas ruchać teraz i po wsze czasy. - O, to dobre, jar, bardzo dobre.

Następnego dnia Babar wyszedł z domu przed świtem, przystał do partyzantów i jego rodzina już nigdy nie zobaczyła go żywego. Z przepaścistych komód „Niszapuru” wyjął starą strzelbę, magazynki do kompletu, kilka książek i jeden ze studenckich medali Omara Chajjama, który pod wpływem ognia znowu się stał surowym metalem - z pewnością chodziło mu o to, by sobie stale przypominać o przyczynach własnego separatyzmu, o źródłach nienawiści, która była dość silna, żeby spowodować trzęsienie ziemi. W swojej kryjówce w Górach Niemożliwych Babar hodował brodę, studiował skomplikowaną strukturę górskich klanów, pisał poezje, odpoczywał pomiędzy wypadami na posterunki wojskowe, linie kolejowe i zbiorniki wody, wreszcie, z uwagi na wymogi owej niestałej egzystencji, był w stanie opisać w notatnikach względne zalety kopulacji z owcami i kozami. Byli tacy partyzanci, którzy doceniali bierność owiec; natomiast inni nie potrafili się oprzeć większej żywości kóz. Wielu towarzyszy Babara nie znało umiaru do tego stopnia, że zadurzali się w czteronożnych

kochankach, i chociaż ścigano ich wszystkich, często narażali życie na bazarach w K, aby nabyć podarunki dla ukochanych; dużym popytem cieszyły się zgrzebla do futer, wstążki oraz dzwoneczki dla cudownych kózek, które nigdy nie raczyły wyrazić swej wdzięczności. Duch Babara (jeżeli nie ciało) wznosił się ponad tego rodzaju sprawy; młodszy Śakil napełniał własny zbiornik niewyczerpanych namiętności nad myślowym wizerunkiem popularnej piosenkarki, co do której przymiotów pozostawał w nieświadomości po ostatni dzień swego życia, bo jedynie słyszał jej głos ze zniszczonego radia tranzystorowego.

Partyzanci nadali Babarowi przezwisko, z którego był nadzwyczaj dumny: nazywali go Imperatorem na pamiątkę innego Babara, który uzurpował sobie prawo do tronu, zdobył te góry z armią w łachmanach i w końcu zapoczątkował ową sławną dynastię monarchów o nazwie nadal używanej jako zaszczytny tytuł nadawany potentatom filmowym. Babar, Mogoł Gór Niemożliwych... na dwa dni przed wyjazdem Razy Hajdara z K. wypad poprowadzony po raz ostatni osobiście przez samego dowódcę stał się przyczyną wystrzelenia pocisku, który dosięgnął i powalił Babara.

Szkoda słów, bo młodzieniec i tak spędzał zbyt wiele czasu z aniołami; wysoko w zmiennych, zdradliwych górach przyglądał się im, ich złotym torsom, połączanym skrzydłom. Archaniołowie latali ponad jego głową, gdy na poszarpanym występie skalnym pełnił straż. Tak, być może sam anioł Dżibril krążył nad nim spokojnie niczym złoty helikopter, podczas gdy on gwałcił owcę. Zanim zginął, partyzanci zauważyli, że skóra ich brodatego kamrata zaczęła błyszczeć złotym światłem; na jego ramionach pojawiły się małe załączki skrzydeł. Tego rodzaju transformacja nie dziwiła nikogo spośród mieszkańców Gór Niemożliwych. - Nie będziesz tutaj zbyt długo - oświadczyli Babarowi z nutą zawiści w głosie. - Władco, odchodzisz; koniec z wełnistym pieprzeniem. - Do chwili śmierci Babar na pewno był już bliski zakończenia procesu anielenia, gdyż właśnie wtedy oddział partyzancki zaatakował pozornie rozbity pociąg towarowy i wpadł w pułapkę zastawioną przez Rażę Hajdara; choć osiemnaście pocisków przeszło ciało Babara - które jako świecące na żółto przez ubranie, stanowiło łatwy cel - bez trudu zrzucił skórę i poszybował, świecący i uskrzydłony, w wieczność gór, tam gdzie wzbila się wielka chmura serafinów, świat zatrzęsł się, ryknął i gdzie przy muzyce niebiańskich piszczałek, siedmostrunnych sarandów i trójstrunnych dumbirów wstąpił w elizejską pierś ziemi. Kiedy zniesiono z gór jego ciało, ludzie zaczęli opowiadać, że stało się lekkie niczym zrzuciona węzowa skóra, jaką pozostawiają za sobą kobry oraz playboye, gdy przechodzą przemianę; i odszedł, odszedł na zawsze, głupiec.

Oczywiście jego śmierć nie została opisana w żadnym notatniku; odbyła się w przyprowadzonych cierpieniem wyobraźniach trzech jego matek, zgodnie z tym, co powiedziały

Omarowi, rekonstruuując historię przeobrażenia ich syna w anioła: - Mamy prawo przedstawiać jego śmierć jako dobrą, śmierć, z którą mogą żyć żywi. - Pod ciężarem tragedii Ćhunni, Munni oraz Bunni zaczęły się kurczyć, przemieniać w fasady, istoty w tym samym stopniu bezcielesne jak zwłoki ich syna. (W końcu jednak jakoś do siebie doszły.)

Ciało syna wróciło do nich kilka tygodni po tym, jak przeszło przez nie osiemnaście pocisków. Otrzymały też list na urzędowym papierze. *Tylko pamięć o szacunku, jakim się niegdyś cieszyło nazwisko Waszej rodziny, chroni Was przed konsekwencjami wielkiej hańby syna. Jesteśmy bowiem zdania, iż na rodziny tych gangsterów spada znaczna część odpowiedzialności.* List został podpisany przez byłego gubernatora, samego Rażę Hajdara; ten ostatni do tej pory musiał się już dowiedzieć, iż przyczynił się do śmierci chłopca, którego widział przed wielu laty, gdy tamten obserwował go przez lornetkę z górnych okien odosobnionej rezydencji położonej między dzielnicą Cantt a bazarem.

Ze współczucia dla Omara Chajjama Śakila - powiedzmy w skrócie: aby oszczędzić mu rumieńców - nie opiszę sceny przy bramie miejskiego domu Harappy, do której doszło w momencie, gdy doktor pojawił się nareszcie w taksówce, trzymając w dłoni notatniki swego brata. Do tej chwili dość się wytarzał w brudzie; wystarczy stwierdzić, że pod lodowatym ciężarem odrzucenia ze strony Iskandra Omar Chajjam cierpiał na tak okrutne zawroty głowy, że zwymiotował na tylnym siedzeniu samochodu. (Przez delikatność również nad tym rozciągam zasłonę milczenia.) Raz jeszcze inni nie pozostali bierni i ukształtowali historię jego życia; dlatego wszystko - lot Babara, pociski Hajdara, awans Mira Harappy i w rezultacie przemiana Iskandra - złożyło się na to, że nasz bohater dostał kopniaka w swoje prywatne zęby. Później, w jego własnym domu (dotychczas jeszcze nie odwiedziliśmy rezydencji Śakila, mianowicie pozbawionego wdzięku apartamentu w jednej ze starszych dzielnic mieszkalnych - czterech pokoi godnych uwagi ze względu na całkowity brak wszystkiego poza najbardziej niezbędnymi meblami, jakby Śakil w czasach dorosłości buntował się przeciwko przedziwnej rupieciami domu swoich matek i wybrał nagościenny ascetyzm przybranego ojca, znikniętego nauczyciela, złączonego z kłatką na ptaki, Eduarda Rodriguesa; ojciec, wiadomo, jednocześnie przestrzega i pociąga), do którego, cuchnący, doszedł pieszo, bo zmusił go do tego rozwścieczony taksówkarz; do łóżka poszedł zziębnięty, w głowie nadal mu się kręciło; stos postrzępionych woluminów położył na stoliku nocnym i zapadając w sen, powiedział jeszcze: - Babar, życie jest długie.

Następnego dnia wrócił do pracy, a kolejnego zaczął się zakochiwać.

Była sobie pewnego razu parcela położona bardzo atrakcyjnie w centrum pierwszej fazy

rozwoju Towarzystwa Budowlanego Oficerów Służby Obrony Kraju, na prawo stała rezydencja ministra edukacji, informacji i turystyki, imponująca budowla, której ściany zostały obłożone zielonym, czerwono żyłkowanym marmurem, po lewej zaś - dom wdowy po zmarłym szefie sztabu połączonych sił, marszałku Aurangzeb. Mimo położenia i znakomitego sąsiedztwa parcela pozostała pusta; nie wybrano stąd ziemi pod fundamenty, nie ustawiono szalunków, aby wznieść ściany ze zbrojonego betonu. Tragicznie dla właściciela parcela leżała w małym zagłębieniu; kiedy zatem zdarzyły się choćby dwa dni ulewnego deszczu - z czego cieszyło się całe miasto - wody zalewały pusty plac i tworzyły błotniste jezioro. Niezwykle zjawisko powstawania na dwa dni w roku jeziora, które pod wpływem słońca bardzo szybko parowało, pozostawiając cienką warstwę mierzwy, czyli naniesionych przez wodę odpadków i fekaliów, wystarczyło, żeby zniechęcić wszystkich potencjalnych inwestorów, chociaż parcela, jak stwierdzono wyżej, była cudownie usytuowana. Na szczycie najbliższego wzgórza miał domek nie kto inny, tylko Aga Chan, a starszy syn prezydenta, marszałek polny Muhammad A., też mieszkał całkiem niedaleko. To właśnie na tym nieszczęsnym kawałku ziemi Pinkie Aurangzeb postanowiła hodować indyki.

Pozostawiona samej sobie dokładnie tak samo przez żywego kochanka, jak i przez martwego męża, wdowa po marszałku postanowiła rozkręcić interes. Będąc pod wrażeniem sukcesu fermy kurczaków, prowadzonej przez państwowe przedsiębiorstwo lotnicze na obrzeżach lotniska, gdzie ogolony drób trzymano w klatkach, Pinkie postanowiła zająć się większymi ptakami. Oficerowie z towarzystwa budowlanego w żaden sposób nie byli w stanie oprzeć się wdziękom pani Aurangzeb (może i przygasły, ale doprawdy dla urzędników tego, co pozostało, było zdecydowanie zbyt wiele) i przymykali oczy na gulgoczący drób, który został wpuszczony na ogrodzoną, ale pustą parcelę. Bilquis Hajdar potraktowała pojawienie się indyków jako osobistą zniewagę. Znerwicowana kobieta, o której mówiono, że z powodu małżeńskich problemów przeżywa coraz większy stres, zaczęła wyglądać przez okna i ubliżać hałaśliwym ptakom. -Sio! Zamknijcie się, głupie ptaszyska! Widział kto, żeby indyki taki harmider robiły pod domem samego ministra! Zobaczycie, jeszcze wam poderżnę szyje!

Kiedy Bilquis zwróciła się do męża, aby zrobił coś z wiecznie gulgoczącymi ptakami, niszczącymi resztki spokoju, jakie jej jeszcze pozostały, Raza Hajdar odpowiedział bez emocji: - *Zważyć* należy, że jest ona wdową po naszym wielkim marszałku, żono. - Minister edukacji, informacji i turystyki czuł się zmęczony pod koniec ciężkiego dnia pracy, w ciągu którego zatwierdził posunięcia, mające zalegalizować państwowe piractwo dotyczące zachodnich podręczników naukowych, osobiście nadzorował zniszczenie jednej z małych przenośnych pras, na której nielegalnie wydrukowano antypaństwowe materiały propagandowe, znalezione

w suterenie pewnego absolwenta angielskiej szkoły artystycznej, zepsutego do cna przez obce idee, w końcu zaś dyskutował z największymi sprzedawcami sztuki w mieście o narastającym problemie kradzieży antyków z wykopalisk archeologicznych, przy tym zaś - można by dodać - wypowiadał się o sprawie, przejawiając tak ogromną wrażliwość, iż handlarze, rozpoznawszy jego postawę, poczuli się w obowiązku podarować mu małą kamienną głowę z Taxili, pochodzącą z czasów wyprawy Aleksandra Wielkiego na północ. Ujmując to w skrócie, Raza Hajdar nie był w nastroju do indyków.

Bilquis nie zapomniała, co przed laty na werandzie w Mohendžo pewien tłuszcioch napomknął o jej mężu i pani Aurangzeb; pamiętała moment, gdy jej mąż przez wzgląd na nią skłonny był przytwierdzić się do ziemi; na dokładkę w trzydziestym drugim roku życia stawała się coraz bardziej piskliwa. Był to rok, w którym lu dmuchał bardziej gwałtownie niż kiedykolwiek przedtem, a liczba przypadków gorączki i szaleństw zwiększyła się o czterysta dwadzieścia procent... Bilquis chwyciła się pod boki i w obecności obu córek krzyknęła na Rażę: -Ojej, nie do wiary, ależ mam dzisiaj wspaniały dzień! Oto teraz poniżacie mnie za pośrednictwem ptactwa. -Starsza córka, przypadek psychiczny, zaczęła się rumienić, bo bez żadnych wątpliwości gulgotące indyki rzeczywiście oznaczały jeszcze jedno zwycięstwo Pinkie Aurangzeb nad żonami innych mężczyzn: ostatnie tego rodzaju zwycięstwo w okolicznościach, kiedy zwycięzca pozostaje w całkowitej nieświadomości.

I razu pewnego była sobie niedorozwinięta córka, której przez dwanaście lat dawano do zrozumienia, że ucieleśnia wstyd swojej matki. *Tak*, teraz muszę przejść do ciebie, Sufijo Zinobio, właścicielko dziecinnej kołyski z gumowanym podkładem w tej ministerialnej rezydencji o marmurowych ścianach, gdzie w górnej sypialni przez okna dobiega do ciebie gulgotanie indyków, podczas gdy przy toaletce z żyłkowanego marmuru twoja siostra wrzeszczy na aję, że ta ciągnie ją za włosy.

Dwunastoletnia Sufija Zinobia nabrała niezbyt atrakcyjnej skłonności wyrywania sobie włosów z głowy. Kiedy aja, parsyjka o imieniu Śahbanu, myła jej ciemnobrązowe loki, dziewczyna zwykle kopała i krzyczała; aja, chcąc nie chcąc, musiała się poddać, nim splukała resztki mydła. Ciągłe działania detergentów o zapachu drzewa sandałowego sprawiło, że włosy Sufiji Zinobii okropnie się porozdwajały; dziewczyna zwykła siedzieć w dużej kołysce, którą zbudowali dla niej rodzice (i którą zabrali z K., tak samo jak gumowane podkłady i powiększone dziecinne kołderki), i dzielić każdy zniszczony włos na dwoje aż po samą cebulkę. Robiła to z powagą, systematycznie, jakby zadawała sobie rytualne rany niczym jakaś „pluskwa” Iskandra Harappy, czyli szyicki derwisz w trakcie rytualnej procesji dziesiątego

dnia miesiąca muharram³⁷. Gdy oddawała się temu zajęciu, jej oczy świeciły przygaszonym blaskiem odległych lodów albo ognia, pochodzącym z warstw położonych głęboko pod zazwyczaj matową powierzchnią; chmura porozdzieranych włosów sterczała wokół jej twarzy i tworzyła w słońcu rodzaj aureoli zniszczenia.

Nazajutrz po wybuchu złości Bilquis Hajdar w związku ze sprawą indyków Sufija Zinobia siedziała w łóżku i rwała włosy; tymczasem Dobra Nowina, dziewczyna o twarzy tak zwyczajnej jak ćapati, postanowiła udowodnić, że jej wspaniała, gruba grzywa jest wystarczająco długa, by mogła na niej usiąść. Odchyliwszy do tyłu głowę, zawołała do bladej Śahbanu:

- Pociągnij! Najmocniej jak tylko możesz! Na co czekasz, głupia? Szarp!

Aja, kobieta o głęboko osadzonych oczach, przy tym krucha, starała się wepchnąć koniuszki włosów pod kościste siedzenie Dobrej Nowiny. W oczach dziewczyny stały łyzy bólu.

-Uroda kobiety - jęknęła Dobra Nowina - wyrasta z czubka jej głowy. Doskonałe wiadomo, że mężczyźni szaleją za błyszczącymi włosami, które można wsunąć pod tyłek.

Śahbanu cicho i bez wyrazu stwierdziła:

- To na nic, bibi³⁸, nie idzie.

Dobra Nowina, odpędziwszy pięściami aję, skierowała gniew przeciwko siostrze.

- Ty kreaturo. Spójrz na siebie. Kto by cię chciał poślubić z tymi włosami, choćbyś nawet miała rozum? Rzepo, buraku ćwikłowy. Angreska rzodkiewo. Zrozum, jaki sprawiasz mi kłopot tym rozdzieraniem. Starsza siostra pierwsza powinna wyjść za mąż, ale kto po nią przyjdzie? Słowo daję, moja tragedio, przecież o tym wiesz. Kobieto, chodź, pociągnij znowu, tym razem nie udawaj, że nie sięgną, i nie przejmuj się tą idiotką, zostaw, niech się czerwieni, niech się moczy. Ona nie rozumie, bo co mogłoby zrozumieć takie zero.

Śahbanu, wruszyła ramionami, nieczuła na ciosy Nawid Hajdar:

- Nie powinnaś tak brzydko mówić o swojej siostrze, bibi, bo któregoś dnia język ci poczernieje i odpadnie.

Dwie siostry przebywają w pokoju, gdy zrywa się gorący wiatr. Okiennice są zamknięte przed podmuchami, a za murem ogrodu indyki szaleją w gwałtownych porywach wichury. Kiedy rośnie furia lu, dom się pogrąża we śnie. Śahbanu spoczywa na macie obok dzieciennego łóżka Sufiji Zinobii; Dobra Nowina, wyczerpana wyciąganiem włosów, leży na wznak w łóżku

³⁷ Muharram - pierwszy miesiąc kalendarza islamskiego.

³⁸ Bibi (pers.) - pani, dama, żona.

dziesięćlatki.

Dwie śpiące siostry; w stanie odprężenia twarz młodszej zdradzała swoją brzydotę - bez charakterystycznego wyrazu determinacji nie mogła wyglądać atrakcyjnie; tymczasem twarz głuptaski traciła we śnie dobrotliwie tępy wyraz, a surowy klasycyzm jej rysów ucieszyłby oczy każdego. Jaka różnica! Sufija Zinobia, żenująco drobna (za wszelką cenę powinniśmy unikać porównywania jej do orientalnej miniaturowej figurki), i Dobra Nowina, wysmukła, wydłużona. Sufija i Nawid, hańba i dobra nowina - jedna powolna i cicha, druga szybka i hałaśliwa. Dobra Nowina bez żenady patrzyła na starszych od siebie; Sufija odwracała oczy. Ale to Nawid Hajdar była małym aniołkiem swej matki, wszystko jej uchodziło na sucho. Załóżmy - zdarzało się później myśleć Omarowi Chajjamowi - że ten małżeński skandal przydarzył się Sufiji Zinobii! Zdarliby z niej skórę i posłali ją dhoobi³⁹.

Posłuchajcie: moglibyście całą siostrzaną miłość Dobrej Nowiny Hajdar włożyć do koperty i pocztą lotniczą za jedną rupię wysłać w dowolne miejsce na świecie, tyle? ważyło to uczucie... gdzie przebywałem ja? Och, oczywiście, wiał gorący wiatr, jego zawodzenie było gardzielą połykającą wszystkie inne dźwięki, suchą zawieruchą, najgorszym lu w pamięci żyjących, uwalniającym demony, znajdującym drogę przez okiennice, żeby dręczyć Bilquis niemożliwymi do zniesienia duchami przeszłości, tak że chociaż biedaczka trzymała głowę pod poduszką, nadal widziała przed oczami figurkę jeźdźca z proporcem, na którym płonęło przerażające, tajemnicze słowo „Excelsior”. Ponad głosy zawieruchy nie wybijało się nawet gulgotanie indyków, kiedy świat się schronił, przycupnął; wtem rozgrzane palce wiatru przedostały się do sypialni, w której spały dwie siostry, i jedna z nich zaczęła się poruszać.

Łatwo obarczać winą za kłopoty wiatr. Może ów morowy podmuch miał z tym coś wspólnego - może kiedy dotarł do Sufiji Zinobii, ona zarumieniła się pod jego straszliwą dłonią, spłonęła i może dlatego wstała z oczami białymi jak mleko, a następnie wyszła z pokoju - lecz wolałbym wierzyć, że wiatr był zjawiskiem jedynie ubocznym i przypadkowym, pretekstem; że to, co się wydarzyło, wydarzyło się, bo dwanaście lat poniżenia i braku miłości zniszczy nawet idiotkę, ponieważ zawsze istnieje pewien punkt, w którym coś pęka, nawet gdy trudno z całą pewnością orzec, co przepełniło czarę goryczy - czyżby to były małżeńskie niepokoje Dobrej Nowiny? Albo spokój Razy w obliczu wrzeszczącej Bilquis? Nie sposób rozstrzygnąć.

Z pewnością lunatykowała, bo kiedy ją znaleźli, wyglądała na wypoczętą, jakby przebudziła się ze zdrowego, głębokiego snu. Kiedy wiatr ucichł i dom obudził się z burzliwej, popołudniowej drzemki, Śahbanu od razu dostrzegła pustą kołyskę i podniosła alarm. Później

nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego dziewczyna uciekła, w jaki sposób zdołała przejść we śnie przez cały dom między rządowymi meblami i obok strażników. Śahbanu będzie uparcie powtarzała, że to musiał być nie byle jaki wiatr, co uspił żołnierzy przy bramie i stał się przyczyną somnambulicznego cudu, dzięki któremu Sufija Zinobia przeszła przez dom, ogród i nad murem wyposażona w moc zarażania każdego, kogo mijała, „wietrznym transem”. Lecz moim zdaniem źródłem tej mocy, sprawcą cudu, była sama Sufija Zinobia; jeszcze nieraz wydarzy się coś takiego, czego nie będzie można wytłumaczyć działaniem wiatru...

Znaleźli ją wkrótce po odejściu lu, pogrążoną we śnie w promieniach bezlitośnie prażącego słońca na indyckim placu wdowy Aurangzeb, maleńką figurkę pochrapującą cicho między korpusami ptaków. Tak, wszystkie były martwe, dwieście osiemnaście indyków samotności Pinkie, ludzie zaś byli do tego stopnia wstrząśnięci, że przez cały dzień nawet nie pomyśleli o sprzątnięciu korpusów; pozostawili martwe ptaki, by gniły w upale i zmierzchovej ponurości wieczoru, pod gorącymi jak lód gwiazdami, dwieście osiemnaście sztuk, które już nigdy nie miały się znaleźć w piecach i na stołach. Sufija Zinobia poukręcała im łebki, by następnie gołymi dłońmi powyciągać przez szyje ich wnętrzności. Śahbanu, która pierwsza odnalazła dziewczynkę, nie śmiała się zbliżyć; potem zjawili się Raza i Bilquis, następnie już wszyscy -siostra, służba, sąsiedzi - stali i gapili się na okrwawioną dziewczynę i stworzenia z jelitami zamiast głów. Pinkie Aurangzeb patrzyła pustym wzrokiem na skutki rzezi i czuła się porażona bezsensowną nienawiścią widoczną w oczach Bilquis; obie kobiety zachowały milczenie, każda w szponach innego przerażenia, zatem to Raza Hajdar - spojrzenie jego otoczonych czarną obwódką, szklistych oczu utkwiło w córce o zakrwawionych ustach -pierwszy się odezwał, głosem, w którym pobrzmiwało echo podziwu i obrzydzenia. - Żeby tak gołymi rękami - wykrztusił nowy minister - skąd to dziecko wzięło tyle siły?

Ledwie stalowe obręcze ciszy zostały rozerwane, aja Śahbanu zaczęła głośno zawodzić: „Ulu-ulu-ulu!”, wydając z siebie bełkotliwy lament o takim natężeniu, że Sufija Zinobia otrząsnęła się ze śmiertelnego snu; otworzyła wodnistomleczne oczy i obejrzawszy obraz zniszczenia wokół siebie, zemdląca, powtarzając zachowanie matki z tamtego odległego dnia, kiedy Bilquis zorientowała się, że jest naga w tłumie i ze wstydu straciła przytomność.

Jakie moce poruszyły uśpiony umysł trzylatka w dwunastoletnim ciele, by nakazał całkowitą zagładę upierzonych indyckich dam i indyckich dżentelmenów? Pozostają spekulacje - czy może Sufija Zinobia próbowała, jak jej dobra siostra, uwolnić matkę od gulgoczącej zarazy? Czy może złość, wściekłość połączona z dumą, wszystko, co Raza Hajdar powinien był odczuwać, lecz nie odczuwał, godząc się oszczędzić Pinkie, znalazła w zamian

³⁹ Dhobi (hind.) - praczka bądź pracz.

drogę do jego córki? Wszak pewne wydaje się to, że Sufija Zinobia, jakże długo żyjąca z ciężarem bycia mylnym cudem, ucieleśnieniem rodzinnej hańby, odkryła w labiryntach swej podświadomości ukrytą ścieżkę, która połączyła śaram z gwałtem; i że wróciwszy do przytomności, zdumiała się, jak pozostali, rozmiarami tego, co się tu rozpętało.

Bestia wewnątrz pięknej. Sprzeczne elementy bajkowej opowieści złączyły się w jednej postaci... Tym razem Bilquis nie zemdląca. Zakłopotanie z powodu czynu córki, przenikliwy ziąb tego ostatniego wstydu nadał jej zachowaniu sztywność zmarzliny. - Uspokój się - rozkazała gulgoczącej aji - idź no i przynieś nożyczki. - Póki aja nie wypełniła jej tajemniczego polecenia, Bilquis nie pozwoliła nikomu dotknąć dziewczyny; krążyła wokół niej, prezentując postawę tak groźną, że nawet Raza Hajdar nie śmiał się zbliżyć. Podczas gdy Śahbanu szukała nożyczek, Bilquis przemawiała łagodnie, cicho, tak że tylko kilka słów dopłynęło na wietrze do widzów: męża, wdowy, młodszej córki, sług, anonimowych przechodniów: - ...Rwij włosy... prawo pierworództwa... kobiecą dumę... loczki jak u ślicznotki... na nic... rozwiązała.... szalona - potem już były nożyczki i nadal nikt nie śmiał interweniować, tymczasem Bilquis chwytając garściami zdziczałe włosy córki i strzygła, strzygła, strzygła. W końcu wstała i odwróciła się, ciężko chwytając powietrze, poruszając bezwiednie nożyczkami. Głowa Sufiji Zinobii wyglądała jak pole kukurydziane po pożarze; przedstawiała obraz nędzy i rozpacz, szerniałe ściernisko, katastroficzne spustoszenie za sprawą matczyne go gniewu. Raza Hajdar podniósł córkę delikatnie -w wyniku bezgranicznego zmieszania - i zaniósł ją pod dach, byle z dala od nożyczek, które cięły powietrze w nieposłusznej dłoni Bilquis.

Wiadomo, nożyczki tnące powietrze oznaczają rodzinne kłopoty.

- Och, mamó - Dobra Nowina zachichotała niepewnie - co ty zrobiłaś? Ona wygląda jak...

- Zawsze pragnęliśmy chłopca - odparła Bilquis - ale tylko Bóg wie, jak to wszystko ma być.

Mimo że potrzęsały nią Śahbanu i Dobra Nowina -pierwsza raczej bojaźliwie, druga nawet dość brutalnie -Sufija Zinobia nie wyszła z omdlenia. Po południu następnego dnia gorączka wewnątrz niej jeszcze się podniosła, gorący rumieniec rozprzestrzenił od czubka głowy po stopy. Krucha z wyglądu parsyjska aja, której głęboko osadzone oczy sprawiały, że zdawała się mieć czterdzieści cztery lata, gdy tymczasem, jak się okazało, miała ich zaledwie dziewiętnaście, ani na chwilę nie opuściła swego miejsca przy dużej kołysce poza momentami, kiedy szła po świeży zimny kompres na czoło Sufiji Zinobii. - Wy, parsowie - powiedziała do Śahbanu Dobra Nowina - zdaje się, macie jakąś słabość do chorych psychicznie. To chyba

wszystko, co potrafisz robić. - Bilquis nie przejawiała żadnego zainteresowania stosowaniem kompresów. Siedziała we własnym pokoju z nożyczkami, które sprawiały wrażenie przyklejonych do jej palców, i strzygła puste powietrze. - Wietrzna gorączka - Şahbanu wreszcie określiła dotychczas anonimowe objawy podopiecznej, które sprawiały, iż płonęła przyszyżona głowa; ale ta głowa na drugi dzień ostygła, dziewczyna odtworzyła oczy i już mogło się wydawać, że wyzdrowiała. Jednakże nazajutrz rano Şahbanu zauważyła, że coś straszego dzieje się z drobnym ciałem dziewczynki. Zaczęły się na nim pojawiać duże, plamiste wybroczyny - czerwone i purpurowe - z małymi, twardymi czubkami pośrodku; między palcami u stóp wystąpiły czyraki, a na plecach osobliwe bąblowate, pomarańczowe grudy. Sufija Zinobia obficie się śliniła; strumienie śliny wyciekały jej z ust. Pod pachami powstały okropne czarne gule. A wszystko to wyglądało tak, jakby mroczna moc, która zrodziła się wewnątrz tej małej postaci, zwróciła się do wewnątrz; porzuciła indyki i zaatakowała samą dziewczynę; jak gdyby Sufija Zinobia sama wybrała formę skończenia ze sobą, niczym jej dziadek Kobieta Mahmud, który siedział w pustym kinie i czekał, aby zapłacić za pomysł z podwójną prezentacją, albo żołnierz, który wpada na własny bagnet. Zaraza hańby - w tym sformułowaniu pragnę zamknąć nie odczuty wstyd ludzi z jej otoczenia, na przykład ten, którego nie odczuł Raza Hajdar po zastrzeleniu Babara Şakila - jak również trwały wstyd z powodu własnego istnienia i z powodu wyszarpanych włosów - zaraza, jak stwierdziłem, rozwijała się szybko w owym iście tragicznym stworzeniu, którego podstawową cechą była przesadna wrażliwość na bakcylię poniżenia. Zabrano ją do szpitala z przyszyżonym dowodem nienawiści matki do jej głowy, gdy ropa dosłownie tryskała z ran, wyciekała bez żadnej kontroli.

Święty, któż to taki? Święty to osoba, która cierpi za nas?

Tej nocy, kiedy to się wydarzyło, dręczyły Omara Chajjama Şakila - choć jak zwykle spał krótko - bardzo wyraźne sny o przeszłości, w których rolę pierwszego planu odgrywała odziana w biel postać skompromitowanego nauczyciela Eduarda Rodriguesa. We śnie Omar Chajjam Şakil znowu był chłopcem. Starał się biegać za Eduardem wszędzie, do toalety, do łóżka, przekonany, że jeśli zdąży za nauczycielem, będzie w stanie wskoczyć w jego powłokę i nareszcie zaznać szczęścia; lecz Eduardo ciągle się od niego opędzał fedorą, klaskał i pokazywał, żeby wrywał, poszedł sobie, zniknął. Doktor dał się zwieść i dopiero wiele lat później nareszcie do niego dotarło, że owe sny proroczo ostrzegały go przed niebezpieczeństwami lokowania uczuć w nieletnich kobietach oraz podążania za nimi na sam

kraniec świata, gdzie nieuchronnie następowało odrzucenie, którego podmuch porywał człowieka i wyrzucał go w przestrzeń wielkiej wygwieżdzonej nicości, poza przyciąganie i sens. Przypomniawszy sobie koniec snu, w którym Eduardo, teraz w szacie szerniałej, postrzępionej i ponadpalanej, zdawał się odlatywać od niego, unosić się nad skłębioną chmurą ognia, z jedną ręką uniesioną nad głową jakby w geście pożegnania... ojciec - to ostrzeżenie, ale to również powab, precedens, któremu nie sposób się oprzeć, dlatego w momencie, kiedy Omar Chajjam rozszyfrował znaczenie swych snów, okazało się, że jest za późno, by skorzystać z zawartych w nich rad, bo już dał się porwać przeznaczeniu, czyli Sufiji Zinobii Hajdar, dwunastoletniej dziewczynce z umysłem trzylatka, córce mężczyzny, który zabił jego brata.

Nie macie pojęcia, jak bardzo jestem przygnębiony zachowaniem Omara Chajjama Śakila. Zapytam przeto po raz drugi: jakiego typu jest bohaterem? Ostatnio zetknęliśmy się z nim, kiedy tracił świadomy kontakt z rzeczywistością, cuchnął wymiocinami i poprzysięgał zemstę; z kolei teraz szalał za córką Hajdarów. W jaki sposób ująć tego rodzaju charakter? Czy domagać się spójności to zbyt wiele? Oskarżam tego tak zwanego bohatera o przyprawianie mnie o najokropniejszy ból głowy.

Z całą pewnością (powolutku, żadnych nagłych posunięć, proszę) był w stanie wzburzenia umysłowego. Martwy brat, odrzucenie przez najlepszego przyjaciela - to okoliczności łagodzące. Należy je uwzględnić. Nie od rzeczy byłoby wziąć pod uwagę i to, że zawroty głowy, które dopadły go w taksówce, wróciły po kilku dniach, aby jeszcze bardziej wytrącić go z równowagi. Krucha bo krucha, ale istnieje podstawa do obrony.

Teraz krok po kroku. Budzi się o świcie w pustce swego żywota, samotny w objęciach bezsenności. Myje się, ubiera, idzie do pracy; i dokonuje odkrycia, że wypełniając obowiązki, jest w stanie jakoś tam funkcjonować; udaje mu się powstrzymać nawet zawroty głowy.

W jakiej dziedzinie jest ekspertem? To wiemy - zajmuje się immunologią. Dlatego nie sposób winić go, że przyjął do szpitala córkę Hajdarów; przechodząc kryzys immunologiczny, Sufija Zinobia trafia do najlepszego specjalisty w kraju.

Teraz ostrożnie. Unikajmy hałasu. Dla immunologa szukającego ukojenia dzięki wyzywającej, absorbującej pracy, Sufija Zinobia może uchodzić za wybawienie. Po przekazaniu możliwie jak największej liczby obowiązków innym Omar Chajjam poświęca niemal cały swój czas przypadkowi głuptaski, dziewczynie mającej mechanizm obronny, który prowadzi wojnę przeciwko dokładnie temu samemu ciału, którego miał bronić. Jego oddanie jest najzupełniej szczerze (obrona nie daje za wygraną) - przez kilka tygodni zajmuje się wyłącznie poznawaniem stanu dziewczyny z punktu widzenia medycznego, później zaś w

rozprawie *Przypadek panny H.* przedstawi nowe, istotne dowody, które właśnie odkrył, świadczące o wpływaniu umysłu „poprzez główne połączenia nerwowe” na funkcjonowanie ciała. W medycznych kręgach ów przypadek stanie się sławny; doktor i pacjent na zawsze połączą się w historii nauki. Czy to sprawia, że inne, bardziej osobiste więzy są przyjemniejsze? Pójdźmy jeden krok w przód:

Dochodzi do przekonania, że Sufija Zinobia pragnie własnego zniszczenia. Na tym polega znaczenie przypadku: unaocznia, że nawet chory umysł jest w stanie dowodzić makrofagami i leukocytami; nawet ograniczona inteligencja może poprowadzić rewolucję pałacową, samobójczą rebelię janczarów ludzkiego ciała przeciwko własnemu zamkowi.

Całkowity rozstrój systemu immunologicznego - zanotował Omar Chajjam po pierwszym badaniu pacjentki - *najokropniejsza rebelia, z jaką się kiedykolwiek zetknąłem.*

A teraz przez chwilę zachowajmy się możliwie najdelikatniej. (Mam więcej zarzutów, lecz one mogą poczekać.) Później, bez względu na to, jak usilnie będzie się koncentrował, by wydobyć każdy najdrobniejszy szczegół z zatrutych studni pamięci, nie ustali chwili, w której zawodowa ekscytacja przeszła w tragiczną miłość. Nie utrzymuje wcale, że Sufija Zinobia jakoś go zachęciła; w danych okolicznościach byłby to rzecz jasna absurd. Ale w pewnym momencie, może podczas jednego z nocnych czuwań przy łóżku, kiedy chodzi o prześledzenie skutków działania przepisanych medykamentów, mających znieść objawy choroby, czuwań, w których towarzyszy mu aja Śahbanu, ubrana w sterylny czepek, fartuch, rękawice i maskę, absolutnie nie godząc się na to, aby pozostawić dziewczynę sam na sam z lekarzem mężczyzną - tak jest, może podczas tych nocy, nonsensownie kontrolowanych przez przyzwoitkę, albo też później, kiedy stało się jasne, że zatriumfował, bo owa pretoriańska rewolta została powstrzymana, bunt zduszony dzięki farmaceutycznym najemnikom, a ohydne wykwity choroby Sufiji Zinobii zniknęły z jej ciała i zwykły rumieniec powrócił na jej policzki - stało się to w którymś momencie tego ciągu zdarzeń. Omar Chajjam zakochuje się głupio i nieodwracalnie.

Ależ to nieracjonalne, upomina sam siebie, lecz jego emocje w sposób całkowicie pozanaukowy nic sobie z tego nie robią. Okazuje się, że w jej obecności zachowuje się nieporadnie, natomiast w snach podąża za nią na kraniec świata, tymczasem żalose pozostałości Eduarda Rodriguesa nie bez smutku przyglądają się z nieba jego obsesji. Sam bierze pod uwagę okoliczności łagodzące, powiada do siebie, że w warunkach psychicznego zagrożenia padł ofiarą zaburzeń mentalnych, ale jest zbyt zawstydzony, aby choć pomyśleć o zasięgnięciu porady... nie, do licha! Ból głowy, bólem głowy, ale przecież nie pozwolę, aby wywinął się tak łatwo. Oskarżam go o to, że jest wstrętny tak w środku, jak i na zewnątrz, to

Bestia - czego Farah Zoroaster dowiedziała się już przed laty. Oskarżam go o odgrywanie Boga lub przynajmniej Pigmaliona, o przeświadczenie, że dysponuje prawem własności do niewinnej istoty, której uratował życie. Oskarżam tę beczkę wieprzowiny o wymyślenie, że jedyną szansą zdobycia pięknej żony będzie poślubienie tumana, poświęcenie żoninej inteligencji na rzecz urody ciała.

Omar Chajjam utrzymuje, że jego obsesja na punkcie Sufiji Zinobii wyleczyła go zawrotów głowy. Bzdura! Oszustwo! Oskarżam ów czarny charakter o bezwstydną społeczną wspinaczkę (kiedy to robił, nigdy nie tracił równowagi!) - odrzucony przez jedną z wielkich postaci dziejów, pragnie przywiązać się do innej gwiazdy. Nie ma skrupułów do tego stopnia, do tego stopnia jest bezwstydnym, że będzie się zalecał do córki, aby zdobyć jej ojca. Ojca, którego rozkaz sprawił, że osiemnaście pocisków przeszło ciało Babara Śakila.

Ale przecież słyszeliśmy, jak mamrotał: „Babar, życie jest długie”. Och, wcale mnie to nie zwiodło. Podejrzewacie spisek mściciela? Że niby Omar Chajjam, poślubiając dziecko, które do żadnego ślubu się nie nadawało, przez lata może pozostawać blisko Hajdara - w okresie jego prezydentury, a także później - zwlekać, bo zemsta cierpliwa jest, i czekać na najwłaściwszy moment? Brednie! Pudło! Owe bezsensowne (bez wątplenia przesiąknięte oparami whisky) słowa mdlejącego wieloryba nie są niczym innym jak gasnącym, głuchym echem ulubionej groźby Iskandra Harappy, dawnego patrona naszego bohatera, współuczestnika rozpusty i kompana. Naturalnie nie wypowiedział ich serio; Omar Chajjam nie zalicza się do typów czerpiących satysfakcję z zemsty. Czy w ogóle czuł coś do brata, którego wcale nie znał? Wątpię; jego trzy matki, jak się przekonamy, wątpiły. Nie, tej możliwości nie można brać poważnie. Zemsta? Brrr! Mmm! Faj! Gdyby Omar Chajjam rozmyślał o zgonie brata, to chyba mniej więcej w taki sposób: „Głupiec, terrorysta, gangster! Czego się spodziewał?”

Mam wreszcie ostatni, najbardziej pogrążający zarzut. Ludzie, którzy wyrzekają się przeszłości, po jakimś czasie nie są w stanie myśleć o niej w kategoriach rzeczywistości realnej. Wchłonięty przez to wielkie, kurewskie miasto, raz jeszcze zostawiwszy za sobą kraniec świata, czyli K., Omar Chajjam Śakil zdaje się traktować miejsce swego pochodzenia niczym zły sen, fantazję, przywidzenie. Miasto i pogranicze stanowią dwa odrębne światy, które do siebie nie przystają; wybrawszy Karaczi, Śakil odrzuca to drugie. Pogranicze staje się dla niego rzeczą ulotną, niematerialną, usuniętym naskórkiem. Już nie wpływa na niego nic, co się tam dzieje, nie działają tamta logika i tamte wymogi. Jest bezdomny, to znaczy jest na wskroś człowiekiem dużego miasta. Metropolia to obóz uchodźców.

A niech to licho! Mam już go szczerze dość; i tej jego parszywej miłości.

Bardzo dobrze; kontynuujmy. Kiedy mi dokuczał ostry i pulsujący ból głowy, zgubiłem kolejne siedem lat tej opowieści. Siedem lat, pora więc, by wziąć udział w ślubach. Jakże ten czas leci.

Nie przepadam za ułożonymi małżeństwami. Istnieją pewne błędy, za których popełnienie nie powinno się obarczać biednych rodziców ani nawet nie powinna istnieć taka możliwość.

Rozdział ósmy

Piękna i Bestia

- Wyobraź sobie, że masz w tyłku rybę, na przykład węgorza, która pluje ci tam do środka - powiedziała Bilquis - a nie będę musiała ci mówić, co się dzieje z kobietą podczas nocy poślubnej. - Jej córka, Dobra Nowina, przyjęła ten żart i wzory z henny na swych łaskotliwych stopach z powagą kogoś, kto skrywa jakąś straszliwą tajemnicę. Miała siedemnaście lat i następnego dnia powinien się odbyć jej ślub. Gromada kobiet z rodziny Bariammy zebrała się, aby ją przygotować; gdy Bilquis malowała ją henną, wokół stały ożywione krewne z olejkami do skóry, szczotkami, czernidłem, srebrzystą emalią, żelazkami. Zmumifikowana Bariamma nadzorowała wszystko na ślepo z czegoś w rodzaju podwyższenia, gdzie na jej cześć rozłożono perski dywanik z Szirazu; poduchy chroniły ją przed upadkiem na podłogę, kiedy chichotała z przerażająco niespójnych opisów życia małżeńskiego, którymi matrony raczyły Dobrą Nowinę. -Pomyśl o gorącym, ociekającym tłuszczem kebabie - zasugerowała begam Dunijazad, w której oczach błyszczało wspomnienie starych kłótni. Za to dziewczice oferowały obrazki znacznie bardziej optymistyczne. - To tak jakby siedzieć na rakiemie, która cię niesie w stronę Księżyca - wymyśliła jedna z dziewcząt i w zamian otrzymała ostrą reprymendę od Bariammy za bluźnierstwo, albowiem zasady wiary nie pozostawiały wątpliwości, iż wyprawy na Księżyc są niemożliwe. Kobiety podśpiewywały, ubliżając narzeczonemu Dobrej Nowiny, młodemu Harunowi, najstarszemu synowi Małego Mira Harappy. -Twarz jak pomidor! Pomidorowa skóra! Chód słoniowy! W majtkach maleńki owoc figowy. - Ale gdy Dobra Nowina przemówiła tego wieczoru po raz pierwszy i zarazem ostatni, potem już jakoś nikomu nie przyszło do głowy, by odezwać się choćby słowem. - Kochana mamó - powiedziała stanowczo Nawid w ciszy oznaczającej zgorznienie - nie wyjdę za tego głupiego pomidora, nie wyjdę na pewno.

Harun Harappa jako dwudziestosześcioletni młodzieniec zdążył już przywyknąć do złej sławy, bo w ciągu roku, który spędził na angielskim uniwersytecie, opublikował w studenckiej gazetce artykuł z opisem prywatnych lochów ogromnego majątku Daro, gdzie jego ojciec przetrzymywał ludzi bez przerwy przez długie lata. Wspomnił też o karnej ekspedycji Mira Harappy na dom kuzyna Iskandra oraz o zagranicznym koncie bankowym (podał numer), na które ojciec przekazywał znaczne ilości publicznych pieniędzy. Artykuł przedrukowano w „Newsweeku”, dlatego ojczyste władze przechwyciły całą przesyłkę z wywrotowym

wydaniem i doprowadziły do usunięcia odpowiednich stron ze wszystkich egzemplarzy; mimo to treść artykułu weszła do publicznego obiegu informacji. Gdy Harun Harappa został wydalony ze szkoły z końcem tamtego roku, a powodem było przede wszystkim to, iż po trzech semestrach studiów ekonomicznych nie udało mu się opanować podstawowych pojęć, takich jak podaż i popyt, powszechnie zaczęto się dopatrywać przyczyny napisania artykułu w szczerzej i zupełnie niewinnej głupocie, chęci, rzecz to pewna, zaimponowania obcokrajowcom sprytem i znaczeniem swojej rodziny. Wszyscy wiedzieli też, że okres uniwersytecki Harun spędził niemal wyłącznie na grach w londyńskich klubach i uciechach w domach publicznych. Krążyły opowieści, iż kiedy tamtego lata wszedł do sali egzaminacyjnej, nie usiadł nawet, zerknął na arkusz z zestawem pytań, wzruszył ramionami i oświadczył pogodnie: - Nie, nic tu po mnie - po czym bez dalszej zwłoki odmaszerował do swego coupe marki Mercedes Benz. - Obawiam się, że chłopak jest głupcem - oświadczył Mały Mir prezydentowi A. - i chyba nie ma potrzeby przedsięwziąć wobec niego żadnych środków. Wróci do domu i już się nigdzie stąd nie ruszy.

Mały Mir podjął próbę przekonania władz college'u, aby zatrzymały młodzieńca. Duży srebrny pojemnik pełen cygar trafił jako upominek do pokoju nauczycielskiego. Jednakże grono college'u nie dało wiary, że człowiek tak czcigodny jak Mir Harappa zdecydowałby się na próbę przekupstwa; nauczyciele prezent przyjęli, a syna Mira natychmiast wyrzucili. Harun Harappa wrócił do domu z mnóstwem rakiet do squasha, adresów arabskich księżniczek, z karafkami pełnymi whisky, ubraniami szytymi na miarę, jedwabnymi koszulami i fotografiami erotycznymi, lecz bez żadnego zachodniego dyplomu.

Jednakże wywrotowy artykuł z „Newsweeka” nie zrodził się z głupoty Haruna. Był produktem głębokiej i wiecznej nienawiści, jaką syn czuł do ojca, uczucia, które przetrwa nawet okropną śmierć Mira Harappy. Mały Mir był niezwykle despotycznym rodzicem, lecz ów fakt sam w sobie nie był niczym niezwykłym; nie wykluczał z góry miłości ani szacunku, gdyby nie sprawa pewnego psa. W posiadłości Daro na dziesiąte urodziny Harun otrzymał od ojca w podarunku dużą, przybraną zieloną wstążką paczkę, z której dobiegało stłumione szczekanie. Harun był skrytym, lubiącym samotność jedynakiem i bynajmniej nie marzył o długowłosym szczeniaku owczarka szkockiego, który wyskoczył z pudełka; chłopiec podziękował ojcu ponuro i niegrzecznie, co wielce Małego Mira zirytowało. W ciągu następnych kilku dni stało się jasne, że Harun zamierza pozostawić opiekę na psem wyłącznie służbie; wtedy Mir wielce nieroztropnie uparł się i w złości wydał polecenia, aby nikt nie dotknął psa nawet palcem. - To cholerne psisko należy do ciebie - powiedział chłopcu Mir. Ale Harun był równie uparty jak jego ojciec - nawet nie nazwał szczeniaka - dlatego w najgorszy

upał po słońcem Daro szczeniak sam musiał znaleźć sobie coś do jedzenia i picia, zaraził się parchem, dostał nosówki i osobliwych zielonych plam na języku, szalał z powodu długiej sierści i w końcu zdechł przed frontowym wejściem do domu, wydając z siebie żalosne piski i wydalając od tyłu grubą, żółtą kaszę. - Pogrzeb go - rozkazał Mir Harunowi, ale chłopiec jedynie zacisnął zęby i odszedł, a ulegający powolnej destrukcji korpus bezimiennego psiaka odzwierciedlał narastanie odrazy chłopca do ojca, który już na zawsze skojarzył się w jego umyśle z odorem gnijącego psa.

Po tym zdarzeniu Mir Harappa zrozumiał błąd i bardzo się starał odzyskać synowską miłość. Był wdowcem (matka Haruna umarła przy porodzie), dlatego chłopiec był dla niego bardzo ważny. Chłopak został obrzydliwie rozpuszczony, bo choć nigdy nie poprosił choćby o nowy podkoszulek, spadał na niego deszcz prezentów, w tym komplet do krykieta z dwiema bramkami, dwanaście kompletów ochraniaczy, dwadzieścia dwie białe flanelowe koszule i tyleż par spodni, jedenaście raket o zróżnicowanej wadze oraz tyle czerwonych piłeczek, że starczyłoby mu do końca życia. Dostał nawet białe stroje sędziów i książeczki wyników, ale krykieta go nie interesował i szczodry podarunek niszczał nie używany w jakimś zapomnianym zakamarku Daro, razem ze sprzętem do polo, kołkami do namiotu, importowanymi gramofonami i kamerą filmową, projektorem oraz ekranem. Kiedy Harun skończył dwanaście lat, nauczył się jeździć konno i potem można go było spotkać zapatrzonego tęsknie w stronę horyzontu, za którym leżał majątek stryja Iskandra. Ilekroć Harun dowiadywał się, że Isky odwiedza dom rodzinny, jechał co koń wyskoczy, żeby usiąść u stóp mężczyzny, który, jak wierzył, według reguł sprawiedliwości powinien być jego ojcem. Kiedy Harun wyraził pragnienie przeniesienia się do Karaczi, ojciec nie zaprotestował; dorastał w tym pączkującym mieście, a jego zauroczenie stryjem pączkowało również - zaczął się posługiwać tym samym niewybrednym językiem, lak samo się stroić i wyrażać podziw dla kultury europejskiej. Właśnie dlatego młodzieniec nalegał, aby wysiać go na studia za granicę, i dlatego w Londynie dzielił swój czas między dziwki i hazard. Po powrocie nic się nie zmieniło; tak się do tego wszystkiego przyzwyczaił, że nie potrafił przestać, nawet gdy uwielbiany przez niego stryj wyrzekł się postępowania niegodnego męża stanu; w mieście krążyła plotka, że „mały Isky” zajął się tym, co odrzucił duży. Mir Harappa nadal płacił rachunki za szokujące zachowanie jedynego potomka, mając ciągle nadzieję na odzyskanie jego miłości; bez skutku. W stanie odurzenia Harun zaczynał zbyt dużo mówić, oczywiście w niezbyt dyskretnym towarzystwie. Po pijanemu głosił rewolucyjne poglądy polityczne, które podczas jego pobytu za granicą były na fali wśród europejskich studentów. Potępiał rządy wojskowych i władzę oligarchii z entuzjastyczną gadatliwością kogoś, kto brzydzi się każdego wypowiedzanego słowa, lecz ma

nadzieję, że dzięki nim zrani jeszcze bardziej znienawidzonego ojca. Kiedy posunął się do tego, że wspominał o możliwości masowej produkcji koktajli Mołotowa, nikt z jego kumpli nie potraktował go poważnie, bo zważyć trzeba, że doszło do tego podczas przyjęcia na plaży, a on dosiadał okrakiem olbrzymiego, płaczącego żółwia, który wyczołgał się, by złożyć w piasku swe jałowe jaja; ale znajdujący się wśród zebranych informator rządowy sporządził raport, natomiast prezydent A., którego rządy stały się cokolwiek niepewne, wpadł w gniew tak straszliwy, iż Mały Mir musiał paść przed nim na twarz i prosić o łaskę dla swego krnąbrnego syna. Incydent ten doprowadziłby z konieczności do konfrontacji Mira z Harunem, czego ten pierwszy bardzo się obawiał, na szczęście kłopotu zaoszczędził mu kuzyn Iskander, który także słyszał co nieco o ostatnich wyczynach młodziana. Harun, wezwany do budynku kojarzącego się z odbiornikiem radiowym, przestępował z nogi na nogę, taksowany wyraźnie pogardliwym wzrokiem Ardżumand Harappy, podczas gdy jej ojciec mówił łagodnym, acz nieubłaganym tonem. Iskander Harappa od pewnego czasu zaczął się ubierać w zielone stroje Pierre'a Cardina, stylizowane na mundury chińskiej Czerwonej Gwardii, i nic w tym nie było dziwnego, skoro minister spraw zagranicznych w rządzie prezydenta A. zyskał rozgłos jako architekt traktatu o przyjaźni z przewodniczącym Mao. Zdjęcie Isky'ego w objęciach z wielkim Tse-tungiem wisiało na ścianie pokoju, w którym stryj informował bratanka:

- Twoje postępowanie jest dla mnie kłopotliwe. Czas, byś się ustatkował. Myślę o ożenku.

Ardżumand Harappa gapiała się na Haruna z wściekłością i zmusiła go wzrokiem, aby zgodził się na żądanie Iskandra.

- Tylko z kim? - zapytał bez przekonania, lecz Isky machnął lekceważącą ręką.

- Z jakąś przyzwoitą dziewczyną - rzekł. - Jest z czego wybierać.

Uświadomiwszy sobie, że rozmowa dobiega końca, odwrócił się do odejścia.

Iskander zawołał za nim:

- A jeśli interesuje cię polityka, to lepiej przestań ujeżdżać żółwie i zacznij pracować dla mnie.

Proces przeobrażenia się Iskandra Harappy w najpotężniejszą z nowych sił na scenie politycznej już w tym czasie należał do przeszłości. Isky zaprojektował swą karierę w sposób wyrachowany i błyskotliwy, do czego zdaniem Ardżumand zawsze był zdolny. Koncentrując się na atrakcyjnym świecie spraw międzynarodowych, napisał serię artykułów zawierających analizę oczekiwań jego kraju wobec wielkich potęg, świata islamskiego oraz reszty Azji, następnie zaś przedsięwziął wyczerpujący program wystąpień, których argumentacji nie sposób było oprzeć. Gdy jego koncepcje „socjalizmu islamskiego” oraz przymierza z

Chinami zyskały tak szerokie publiczne poparcie, że zaczął prowadzić niezwykle skuteczną państwową politykę zagraniczną, nie będąc nawet członkiem gabinetu, prezydent A. nie miał innego wyjścia i musiał powołać go w skład ścisłego rządu. Takie przymioty, jak nadzwyczajny urok osobisty, umiejętność sprawiania, że szare, poduchowate żony liderów świata czuły się jak Greta Garbo, oraz talent oracyjny uczyniły go natychmiast prawdziwą gwiazdą. -Najbardziej cieszy mnie to - powiedział do córki - że teraz, gdy mamy zgodę na wybudowanie drogi do Chin przez Karakorum, mogę sobie poużywać i domagać się zorganizowania robót publicznych. - Odpowiednim ministrem był Mały Mir Harappa, którego stara przyjaźń z prezydentem okazała się słabsza niż pozycja społeczna Iskandra. - Nareszcie - powiedział Iskander do Ardżumand, tryskając radosną satysfakcją - mam w garści tego bękarta.

Kiedy reżim A. zaczął tracić na popularności, Iskander Harappa podał się do dymisji i utworzył Front Ludowy, partię polityczną, którą finansował dzięki bezgranicznej zamożności i na której czele stanął jako pierwszy. - Jak na byłego ministra spraw zagranicznych -rzekł kwaśno Mały Mir do prezydenta - pański protegowany zdaje się zanadto koncentrować na froncie wewnętrznym. - Prezydent wzruszył ramionami. - Wie, co robi - stwierdził marszałek polny A. - niestety.

Pogłoski o korupcji w rządzie dostarczyły odpowiedniego paliwa; ale kampania Isky'ego na rzecz powrotu demokracji była chyba i tak nie do powstrzymania. Objężdżał wsie i obiecywał każdemu chłopu akr ziemi oraz nową studnię. Aresztowano go; potężne demonstracje zapewniły mu uwolnienie. Wołał w regionalnych dialektach o rozdrapywaniu kraju przez tłuste kocury i drobne ptactwo, a taka była moc jego języka albo krawieckich talentów monsieur Cardina, że wszyscy zdawali się w ogóle nie pamiętać o ziemiańskich korzeniach Isky'ego ani o wyjątkowo tęgim kawałku Sindu... Iskander Harappa zaproponował Harunowi pracę polityka w jego macierzystym okręgu. -Masz antykorupcyjne listy uwierzytelniające - rzekł młodzieńcowi. - Powiedz im o artykule w „Newsweeku”. - Harun Harappa, mając w perspektywie wyjątkową okazję oczernienia ojca na rodzimym gruncie, zaakceptował propozycję bez namysłu.

A jakże, abba⁴⁰, pomyślał z radością, życie jest długie.

Dwa dni po wykładzie z rewolucji, jaki Harun wygłosił dla składającej jaja żółwicy, w Mohendzo Rani Harappa podniosła słuchawkę telefonu, aby usłyszeć głos tak stłumiony, tak zniekształcony słowami przeprosin i zmieszaniem, że minęło kilka chwil, nim rozpoznała

Małego Mira, z którym nie miała żadnego kontaktu, od kiedy splądrował jej dom, chociaż jego syn Harun regularnie bywał u niej gościem. - Niech to lichy, Rani - przyznał w końcu Mały Mir z głębin gęstej chmury poniżenia - potrzebuję pomocy.

W wieku czterdziestu lat Rani Harappa nareszcie pokonała wszechmocną aję, a to dzięki bardzo prostej metodzie - zwyczajnie ją przeżyła. Dni, kiedy chichoczące bez sensu wiejskie dzieciaki biegały między jej bielizną, dawno już odeszły w przeszłość; dzięki niezmaconemu spokojowi, z jakim wyszywała szal za szalem na werandzie domu, stała się wreszcie prawdziwą panią Mohendžo, bo zdołała przekonać mieszkańców osady, iż komponuje gobelin swego przeznaczenia i że gdyby tylko chciała, mogłaby zepsuć im życie, decydując się na wszycie jakiegoś złego losu w magiczny pas materiału. Zdobywszy szacunek, Rani była dziwnie zadowolona ze swego życia, utrzymywała z mężem serdeczne stosunki, mimo długich okresów jego nieobecności przy jej boku i w jej łóżku. Znała szczegóły zakończenia romansu z Pinkie i wiedziała w sekretnych zakamarkach swej duszy, że mężczyzna idący szlakiem politycznej kariery wcześniej czy później musi poprosić żonę, aby stanęła obok niego na podium; mając pewność, że przyszłość zwróci jej męża bez żadnych zabiegów z jej strony, odkryła bez zdziwienia, iż jej miłość do niego wcale nie wygasła, lecz stała się kwestią spokoju i siły. Na tym polegała wielka różnica między nią a Bilquis Hajdar - obie kobiety miały mężów, którzy oddalili się od nich w enigmatyczne pałace swego przeznaczenia, ale gdy Bilquis stała się ekscentryczna, żeby nie powiedzieć szalona, Rani cechował rozsądek, który uczynił z niej osobę silną, później zaś także niebezpieczną.

Kiedy zadzwonił Mały Mir, Rani spoglądała w stronę wsi, gdzie o zmierzchu białe konkubiny grały w kometkę. W tamtym czasie wielu mieszkańców wsi wyemigrowało na Zachód do pracy, ci zaś, którzy wrócili, przywieźli ze sobą białe kobiety, dla których perspektywa życia na wsi jako żony numer dwa zdawała się mieć niewyczerpany erotyczny urok. Żony numer jeden traktowały te białe dziewczęta jak laleczki albo maskotki, natomiast mężowie, którym nie udało się przywieźć żadnej gudiji, białej laleczki, byli głośno łajani. Wioska białych laleczek stała się sławna w okolicy. Chłopi w promieniu wielu mil ściągali, aby popatrzeć, jak dziewczęta w swych prostych, czystych bielach chichoczą i popiskują, skacząc za lotkami i pokazując przy tym koronkowe majteczki. Żony numer jeden kibicowały odpowiednim numerom drugim, odczuwając dumę z ich zwycięstw niczym z sukcesów własnych dzieci i pocieszając je w wypadku porażki. Rani Harappa czerpała taką przyjemność z przyglądania się laleczkom podczas gry, że nie słuchała uważnie, co Mir miał do powiedzenia.

⁴⁰ Abba (hind.) - ojciec.

- Wetknij mi, gdzie chcesz, Rani - zawołał w końcu ze złością sponiewieranej dumy - zapomnij, co nas dzieli. Ta sprawa jest zbyt poważna. Potrzebuję żony.

- Rozumiem.

- Na Allaha, Rani, nie utrudniaj, na miłość boską. Nie dla mnie. Myślisz, że o co ja proszę? Dla Haruna. To jedyny sposób.

Desperacja sprawiająca, że Mały Mir się jękał - bo tak bardzo potrzebował dobrej kobiety, aby móc ułożyć życie krnąbrnego syna - przełamała początkową niechęć, jaką mogłaby czuć Rani, która odrzekła na to od razu:

- Dobra Nowina.

- Co, już? - zapytał Mały Mir, który opacznie ją zrozumiał. - Wy, kobiety, nie traciecie czasu!

Oto, jak doszło do małżeństwa: Rani wspomniała o Na-wid Hajdar, sądząc, że małżeństwo w rodzinie dobrze podziela na Bilquis. W tym czasie łączność telefoniczna między dwiema kobietami nie była już sposobem, w jaki Rani dowiadywała się o tym, co się dzieje w mieście, nie była pretekstem dla Bilquis do poplotkowania i wywyższania się, podczas gdy Rani pokornie wychwytywała z wypowiedzi przyjaciółki okruchy życia, jakie jej oferowano. Obecnie to Rani była silna, a Bilquis, której stare królewskie marzenia popadły w ruinę, odkąd Raza został wyrzucony z rządu, była tą, która potrzebowała wsparcia i która znalazła w niezmiennej solidności Rani Harappy siłę wspierającą, gdy coraz trudniej radziła sobie z chaosem codzienności. Tego jej właśnie potrzeba - pomyślała z satysfakcją Rani - posagu, namiotów, ciast; jest czym sobie zaprzętać głowę. A ta ich córka nie może się doczekać, kiedy wreszcie złapie męża.

Nim Mały Mir przystał na tę partię, poradził się prezydenta. Ostatnio rodzina Hajdarów miała nadzwyczajnego pecha: stare opowieści z K. nie wychodziły z obiegu i nie dało się utrzymać prasy z daleka od incydentu z martwymi indykami. Lecz teraz w górskim chłodzie nowej, położonej na północy stolicy, prezydent zaczął odczuwać przenikliwie wiatry braku popularności i zgodził się na ten ślub, bo - postanowił - nadeszła pora, by jak ciepły pled bądź szal znowu przyciągnąć do siebie starego bohatera z Ansu. - Nie widzę problemu - rzekł A. do Małego Mira - składam gratulacje szczęśliwej parze.

Mir Harappa odwiedził Rani w Mohendžo, aby omówić szczegóły. Trzymał się sztywno z powodu zmieszania i przez cały czas wydawał się upokorzony.

- Czegóż to ojciec nie zrobi dla syna! - wypalił do Rani, która siedziała na werandzie, pracując nad odwiecznym szalem swej samotności. - Kiedy mój chłopak sam zostanie tatą, wtedy będzie wiedział, co czuje tata. Mam nadzieję, że ta twoja Dobra Nowina jest płodną

dziewczyną.

- Dobry siew zapewnia dobre żniwo - odparła spokojnie Rani. - Bardzo proszę, napij się herbaty.

Raza Hajdar nie wzbraniał się przed zaręczynami. W tamtych latach, kiedy do jego obowiązków należało jedynie nadzorowanie naboru i szkolenia rekrutów, kiedy fakt własnej degradacji docierał do niego każdego dnia, pomnożony, zreplikowany w niezgrabnych postaciach młodzieńców, którzy nie mieli pojęcia, którym końcem bagnetu można zrobić krzywdę, obserwował karierę Iskandra Harappy z ledwie hamowaną zawiścią. Nadejście czas - przepowiadał sobie - gdy będzie musiał prosić tego faceta o kolejną gwiazdkę. W niespokojnym klimacie braku stabilizacji w rządzie Raza Hajdar zastanawiał się, w jaki sposób zapewnić sobie skok, czy przystąpić do wyborów z poparciem Frontu Ludowego, czy może pozostawić resztki reputacji do dyspozycji rządu w nadziei na preferencje. Oferta Haruna Harappy zostania zięciem stwarzała mu szansę realizacji zamierzeń na oba sposoby. Planowany związek zadowoliłby prezydenta, to było oczywiste. Ale Raza wiedział ponadto o nienawiści Haruna do własnego ojca, co silnie uzależniało młodzieńca od Isky'ego Harappy, który miał go w garści. Każda noga w innym obozie - pomyślał Raza - oto rozwiązanie.

Możliwe, że Raza przyjął z zadowoleniem możliwość uwolnienia się od Dobrej Nowiny, ponieważ w miarę jak dziewczyna dorastała, na jej twarzy coraz bardziej uwidaczniało się coś jakby wyraz pełnoustej beztroski nieżyjącego Sindbada Mengala. Usta Haruna również były grube i szerokie jako część rodzinnego dziedzictwa. -Dwa grubouste typy - Raza Hajdar powiedział żonie tonem bardziej jowialnym niż zwykle, kiedy się do niej zwracał - wprost dla siebie stworzone, nie? Dzieci będą wyglądały jak ryby. - Bilquis odparła: - Nic nie szkodzi.

Jak może dojść do małżeństwa: rozumiem, że z jakiegoś powodu nie wspomniałem jeszcze o zapatrywaniach młodych ludzi. Otóż wymieniono fotografie. Harun Harappa zabrał brązową kopertę do domu stryja i otworzył ją obecności Iskandra i Ardżumand, w życiu bowiem zdarzają się chwile, kiedy młodzi ludzie zwracają się do swoich rodzin o wsparcie. Monochromatyczne zdjęcie zostało artystycznie podretuszowane, tak aby Dobra Nowina miała skórę różową jak bibuła i oczy zielone jak atrament.

- Można dostrzec, w jaki sposób wydłużył jej warkocz -zauważyła Ardżumand.

- Pozwól chłopakowi podjąć własną decyzję - upomniął ją Iskander, ale dwudziestoletnia Ardżumand nabrała jakiejś dziwnej niechęci do wizerunku. - Szara jak mysz - obwieściła - i wcale nie ma tak jasnej skóry.

- Musi być kimś - stwierdził Harun - i nic jej nie brakuje.

Ardzumand krzyknęła:

- Skąd to wiesz? Masz w głowie oczy czy piłeczki pingpongowe? - W tym momencie Iskander rozkazał córce być cicho i polecił służącej przynieść ciasto oraz sok cytrusowy. Harun w dalszym ciągu gapił się na zdjęcie przedstawiające Nawid Hajdar, a ponieważ nic, nawet pędzel gorliwego fotografa nie był w stanie zamaskować niezaspokojonego pragnienia dziewczyny bycia piękną, jej narzeczony szybko uległ żelaznej woli jej celuloidowych oczu i zaczął myśleć o niej jako o najśliczniejszej pannie młodej na ziemi. Ta iluzja, która w całości była produktem wyobraźni Dobrej Nowiny, wynikiem oddziaływania umysłu na materię, przeżyłaby wszystko, nawet skandal w trakcie wesela; lecz nie dane jej było przeżyć śmierci Iskandra Harappa.

- Co za dziewczyna! - powiedział Harun Harappa, na co Ardzumand zareagowała demonstracyjnym opuszczeniem pokoju.

Jeśli zaś chodzi o Dobrą Nowinę:

- Nie muszę patrzeć na jakąś tam idiotyczną fotografię - rzekła do Bilquis. - Jest sławny, jest bogaty, będzie moim mężem, jak się tylko uwiniemy.

- Ma złą reputację - stwierdziła Bilquis tak, jak to uczynić winna matka, dając córce szansę wycofania się - i jest zły dla swojego taty.

- Już ja go naprawię - odparła Dobra Nowina. Później, będąc sam na sam z Şahbanu, gdy aja szczotkowała jej włosy, Dobra Nowina dorzuciła kilka myśli.

- Hej ty, z oczami na dnie studni - powiedziała - wiesz może, czym małżeństwo jest dla kobiety?

- Jestem dziewicą - odrzekła Şahbanu.

- Małżeństwo to władza - powiedziała Nawid Hajdar. - Wolność. Przestajesz być czyjaś córką i w zamian stajesz się matką, ek dum, fiut fiut, pronto. Kto będzie wtedy mógł cię pouczać, co masz robić? I co ty sobie w ogóle myślisz? - Naraz przysła jej do głowy okropna myśl. - Uważasz, że ja nie jestem dziewicą? Zamknij swój plugawy pysk, bo wystarczy jedno moje słowo, a znajdziesz się na ulicy.

- Przecież nie powiedziałam więcej niż ty, bibi.

- A ja ci powiadam, jak wspaniale być z dala od tego domu. Harunie Harappo, daję słowo. Wspaniale, jar, wspaniale.

- Jesteśmy nowoczesnymi ludźmi - rzekła Bilquis do córki. - Skoro już się zgodziłaś, wypada teraz poznać chłopca. To będzie małżeństwo z miłości.

Panna Ardzumand Harappa, dziewica Żelazne Majtki, odrzuciła tak wielu fatygantów, że chociaż miała zaledwie dwadzieścia lat, miejscowe swatki zaczęły o niej myśleć jako o starej

pannie. Strumień propozycji nie był całkowicie ani nawet przede wszystkim rezultatem jej nadzwyczajnej atrakcyjności jako jedyne dziecko przewodniczącego Iskandra Harappy; swe prawdziwe źródło miał w owej niezwyklej, prowokującej urodzie, która urągała jej umysłowi, lecz to ostatecznie może jej się tylko zdawało. Muszę dodać, że nie ma najmniejszej wątpliwości, która spośród wszystkich pięknych kobiet dzierżyła palmę pierwszeństwa w tym kraju pełnym niezwyklej ślicznotek. Pomimo obwiązanych piersi oraz - nadal - ich jabłuszkowego rozmiaru, była nią Ardżumand.

Nienawidząc własnej płci, Ardżumand poważnie zniekształcała swój wygląd. Strzygła krótko włosy, nie używała kosmetyków ani perfum, nosiła stare koszule ojca, najbardziej workowate spodnie, jakie mogła znaleźć, chodziła ociężale i garbiła się. Ale im bardziej się starała, tym bardziej jej kwitnące ciało jaśniało spod przebrania... Krótkie włosy błyszczały, nie upiększana twarz przybierała nieskończenie zmysłowy wyraz, nad czym Ardżumand w żaden sposób nie potrafiła zapanować i w zasadzie niczego w tym kierunku nie robiła, a im bardziej się garbiła, tym bardziej rosła i stawała się powabna. Jako szesnastolatka została specjalistką w sztukach samoobrony. Iskander Harappa nigdy nie próbował izolować jej od mężczyzn. Towarzyszyła mu w podróżach służbowych, a na wielu przyjęciach odbywających się w placówkach dyplomatycznych zdarzyło się, że ten czy ów starszy ambasador biegł do toalety, trzymając się za krocze po tym, jak dobrze wymierzony cios kolanem odpowiedział na jego rękoczyn. Nim skończyła osiemnaście lat, tłum najbardziej pożądanym kawalerów w mieście przy bramie do domu Harappów zgęstniał do tego stopnia, że zaczął utrudniać ruch uliczny, wtedy na prośbę Ardżumand wysłano ją do katolickiego college'u z internatem dla dziewcząt w Lahaur, gdzie antymęskie reguły były tak surowe, iż nawet ojciec nie mógł się z nią widywać inaczej, jak tylko ustalonego dnia w starym zaniedbanym ogrodzie przywiedłych róż i łysiejących trawników. Lecz nie znalazła spokoju w tym więzieniu zaludnionym wyłącznie przez kobiety, którymi pogardzała ze względu na płeć; dziewczęta zadurzały się w niej tak samo mocno jak chłopcy, a uczennice ostatniego roku zwykły chwycić ją za pupę, kiedy je tylko mijała. Jedna z beznadziejnie zakochanych dziewiętnastolatek, starając się zwrócić na siebie uwagę Żelaznych Majtek, udała, że lunatykuje i wpadła do pustego basenu, po czym została zabrana do szpitala z licznymi obrażeniami czaszki. Inna oszalała z miłości dziewczyna przeskoczyła ogrodzenie college'u i poszła posiedzieć przy kawiarnianym stoliku w Hiramandi, słynnej dzielnicy czerwonych latarni, postanowiwszy zostać dziwką, skoro nie mogła zdobyć serca Ardżumand. Zrozpaczoną dziewczynę porwali z kawiarni miejscowi alfonsi, którzy zmusili jej ojca, nababę tekstylnego, aby zapłacił okup w wysokości stu tysięcy rupii za jej bezpieczny powrót. Nigdy nie wyszła za mąż, bo chociaż alfonsi zarzekali się, że oni także

mają swój honor, nikt nie uwierzył, iż pozostała nietknięta, natomiast szefowa internatu, gorliwa katoliczka, po lekarskim badaniu kategorycznie odmówiła przyznania, że biedaczka mogła utracić dziewictwo w jej aseptycznym obejściu. Ardżumand Harappa napisała do ojca i poprosiła, aby zabrał ją z college'u. *Nic nie pomogło* - oświadczyła w liście. *Powinnam była wiedzieć, że dziewczęta okażą się gorsze od chłopców.*

Powrót z Londynu Haruna Harappy wywołał prawdziwą wojnę domową w dziewicy Żelazne Majtki. Jego uderzające podobieństwo do fotograficznych wizerunków jej dwudziestosześcioletniego ojca rozstroiło Ardżumand, a jego zamiłowanie do dziwek, hazardu i innych form rozpusty ostatecznie przekonało ją, że reinkarnacja nie jest po prostu szalonym pomysłem importowanym przez Hajdarów z kraju bałwochwalców. Usiłowała zdużyć myśl, że pod niemoralną powłoką kryje się drugi wspaniały mężczyzna, prawie dorównujący jej ojcu, który dzięki jej pomocy zdoła odkryć swą prawdziwą naturę, tak jak przewodniczący... nawet szeptem w zaciszu własnego pokoju nie wypowiadała tego rodzaju opinii, w obecności Haruna zaś zachowywała się wyniośle i zarazem protekcyjnie, co szybko przekonało go, iż nie ma sensu próbować tam, gdzie tak wielu poniosło porażkę. Nie był niewrażliwy na jej zgubną urodę, lecz reputacja dziewicy Żelazne Majtki w połączeniu z przerażającym i zawsze pogardliwym spojrzeniem wystarczyła, by chciał się wynieść dokądkolwiek, byle dalej; potem oczarowało go zdjęcie z wizerunkiem Nawid Hajdar, ale wówczas było już za późno, aby Ardżumand mogła zmienić swe podejście. Harun Harappa był jedynym mężczyzną prócz jej ojca, którego Ardżumand pokochała, i nieprzyjemnie było patrzeć na wściekłość, jaką przejawiała po jego zaręczynach. Lecz Iskander był wówczas zajęty i w ogóle nie zwrócił uwagi na wojnę toczącą się w duszy własnego dziecka.

- Do licha - powiedziała Ardżumand do lustra, bezwiednie powielając dawny zwyczaj swej matki osamotnionej w Mohendzo - życie to gówno.

Pewnego razu wyjaśnił mi jeden z Wielkich Żyjących Poetów - my, posługujący się prozą pismacy musimy u poetów szukać mądrości i właśnie dlatego książka ta jest ich pełna; wystąpił tu mój przyjaciel, z którego wytrząsano poezję, gdy wisiał głową w dół, i Babar Śakil, który chciał być poetą, i chyba Omar Chajjam, który wprawdzie został nazwany jak jeden z poetów, ale sam nigdy nim nie był - że klasyczna bajka *Piękna i Bestia* jest po prostu opowieścią o ułożonym małżeństwie.

- Pewien kupiec nie ma szczęścia, więc obiecuje wydać córkę za bogatego, ale samotnego ziemianina, sahiba Bestię, w zamian za bogate wiano - rzekomo wielką skrzynię

brył złota. Bibi Piękna z obowiązku wychodzi za zamindara⁴¹, ratuje majątek ojca, ale rzecz jasna mąż, człowiek dla niej całkowicie obcy, wydaje się jej z początku straszny wręcz potworny. W końcu jednak jej posłuszna miłość, przemienia go w księcia.

- Czy chodzi o to - zaryzykowałem - że facet dziedziczy tytuł?

Wielki Żyjący Poeta spojrzał wyrozumiale i odrzucił do tyłu długie do ramion, srebrzyste włosy.

- To burżuazyjna uwaga - upomniał mnie. - Nie, oczywiście transformacja nie mogłaby się dokonać ani w jego pozycji społecznej, ani w jego realnej, doczesnej jaźni, tylko w sposobie, w jaki ona go postrzegała. Spróbuj sobie wyobrazić, jak się do siebie zbliżają, zbliżają do środka od przeciwstawnych biegunów, mianowicie Piękności i Bestiowości, i wreszcie, szczęśliwie, zostają najzwyczajniejszymi w świecie Panem Mężem i Panią Żoną.

Wielki Żyjący Poeta był bardzo dobrze znany ze swych radykalnych poglądów i poplątanej złożoności pozamałżeńskiego życia miłosnego, więc pomyślałem, że sprawię mu przyjemność, komentując chytrze:

- Dlaczego tak to już jest w tych bajkach, że ślub daje się na zakończenie? W dodatku zawsze jakiś taki bardzo szczęśliwy?

Ale zamiast spojrzeć porozumiewawczo albo zarechotać, jak to między mężczyznami, na co miałem nadzieję (cóż, byłem bardzo młody), Wielki Żyjący Poeta przybrał ponurą minę.

- To typowo męskie pytanie - odparł - kobieta nie dostrzegłaby żadnego problemu. Morał tej bajki jest jasny. Kobieta musi się postarać jak najlepiej dostosować do tego, co jej los przyniesie; bo gdy nie pokocha Męża, wtedy on umrze, zginie Bestia, a Kobieta zostanie wdową, to znaczy mniej niż córką, mniej niż żoną, bez wartości. - Spokojnie wysączył szkocką.

- Acogdy, acogdy - wyjąkałem - to znaczy, wuju, acogdy dziewczyna rzeczywiście nie może znieść wybranego dla niej męża?

Poeta, który wcześniej zaczął mruzczyć pod nosem perskie wiersze, zmarszczył czoło, jakby się rozczarował.

- Za bardzo uległeś zachodnim wpływom - rzekł. - Powinieneś spędzić trochę czasu, może z siedem lat, niezbyt długo, w otoczeniu ludzi żyjących na wsi. Wtedy zrozumiałbyś, że to jest całkowicie wschodnia opowieść i przestałbyś głupio acogdybać.

Wielki Poeta niestety już nie żyje, zatem nie mogę zapytać go, acogdyby historia o Dobrej Nowinie Hajdar okazała się prawdziwa; nie mogę też liczyć na dobrodziejstwo jego

⁴¹ Zamindar (pers.) -właściciel ziemski, obszarnik.

radę w sprawie bardziej drażliwej: acogdy, acogdy Bestia w jakiś sposób przyczaiła się wewnątrz Pięknej Bibi? Acogdyby piękna sama była bestią? Sądzę jednak, że mógłby mnie posądzić o pomieszanie materii:

- Jak nam ukazał to pan Stevenson w książce *Dziwna historia dra Jekylla i Mr. Hyde'a*, tego rodzaju połączenia świętego z potwornym są do przyjęcia w przypadku mężczyzn; a jakże! taką już mamy naturę. Z kolei cała istota Kobiety sprzeciwia się tego rodzaju możliwości.

Czytelnik może już odgadł z moich ostatnich acogdy-bów, że mam do opisanie dwa małżeństwa i że drugim z nich, oczekującym na peryferiach pierwszego, jest od dawna zapowiadane nikah⁴² Sufiji Zinobii Hajdar i Omara Chajjama Śakila.

Ostatecznie Omar Chajjam zebrał się na odwagę, aby poprosić o rękę Sufiji Zinobii, gdy się dowiedział o zaręczynach jej młodszej siostry. Kiedy przybył na miejsce - godny szacunku, srebrzystowłosy pięćdziesięciolatek - do jej marmurowego domu i wyłożył swą nadzwyczajną prośbę, nieprawdopodobnie stary i zgrzybiały świątobliwy maulana Dawud wydał z siebie krzyk, który skłonił Rażę Hajdara do rozejrzenia się za demonami. - Ty pomocię wszetecznych jędz - rzucił Dawud pod adresem Śakila - znam cię od dnia, kiedy zstąpiłeś na ziemię w maszynie niegodziwości swych matek. Żeby wypowiadać plugawe sugestie w domu oblubieńców Boga! Obyś się smażył w piekle tysiąc razy dłużej niż trwa ludzkie życie. - Bilquis zareagowała na wybuch gniewu maulany Dawuda perwersyjnym uporem. W tamtych dniach nadal miała skłonność do gwałtownego zamykania drzwi, do obrony siebie przed atakami popołudniowego wiatru; światło raziło ją w oczy trochę zbyt mocno. Ale zaręczyny Dobrej Nowiny wskazały jej nowy cel, na co zresztą liczyła Rani; zatem z arogancją bliską tamtej sprzed lat powiedziała do Omara Chajjama: - Rozumiemy, że zostałeś zmuszony do osobistego złożenia swej oferty, gdyż brak w mieście członków twojej rodziny. Niestosowność tę wybaczymy, ale propozycję rozważyć musimy na osobności. Decyzję prześlemy w sposób powszechnie przyjęty. - Raza Hajdar, osłupiały tym objawieniem się dawnej Bilquis, nie potrafił wyrazić sprzeciwu, póki Śakil nie odszedł; Omar Chajjam wstał, nałożył szary kapelusz na szare włosy i wtedy zdradził go nagły rumieniec pod bledością skóry. -Oto rumieniec - zaskrzeczał maulana Dawud, wyciągnąwszy do góry palec uzbrojony w ostry paznokiec -który jest tylko wybiegiem, lego rodzaju osoby nie mają żadnego wstydu.

Kiedy Sufija Zinobia otrząsnęła się z immunologicznej zapaści, która nastąpiła po indyjskiej masakrze, Raza Hajdar odkrył, że już nie patrzy na nią przez woal rozczarowania jej płcią. Pamięć o delikatności, z jaką wyniósł ją ze sceny somnambulicznego gwałtu, nie

opuszczała go, podobnie jak świadomość, że gdy była chora, ustawicznie nawiedzały go uczucia, które można by opisać jako wynikające z ojcowskiej miłości. Słowem Hajdar zmienił opinię o swoim opóźnionym dziecku i zaczął się z nią bawić, odczuwać dumę z jej drobnych postępów. Razem z ają Śahbanu ten wielki bohater udawał w zabawie lokomotywę albo parowiec, albo żurawia, podnosił dziewczynkę i podrzucał ją w powietrze, jak gdyby rzeczywiście była małym dzieckiem, którego umysł z konieczności musiała zachowywać. Nowym stylem postępowania wprowadził w zakłopotanie Bilquis, której uczucia nadal koncentrowały się na młodszej dziewczynie... w każdym razie stan Sufiji Zinobii poprawił się. Podrosła dwa i pół cala, przybrała odrobinę na wadze, a jej rozwój psychiczny osiągnął pułap dziecka sześciopółrocznego. Skończyła dziewiętnaście lat i wobec ostatnio kochającego ojca zaczęła przejawiać dziecięcą odmianę tego samego poświęcenia, jakie Ardżumand Harappa miała dla swego ojca przewodniczącego.

- Tacy są mężczyźni - powiedziała Bilquis do Rani przez telefon - nie można na nich polegać.

Co do Omara Chajjama: złożony układ jego motywów Jużemy omówili. Ten człowiek poświęcił siedem lat, aby w sposób zupełnie nieudany wyleczyć się z obsesji, która wyzwoliła go od powracających zawrotów głowy; w ciągu tych lat walki starał się regularnie badać Sufię Zinobię i wkradł się w łaski jej ojca dzięki wdzięczności, jaką ten odczuwał za uratowanie córce życia. Tylko że propozycja małżeństwa była czymś zgoła innym, zatem gdy bezpiecznie wyszedł z domu, Raza Hajdar zaczął ubierać wątpliwości w słowa.

- Facet jest tłuszczochem - dowodził Raza. - Do tego paskudnym. Poza tym nie wolno nam zapominać o jego rozpustnej przeszłości.

- O rozpustnym życiu wiedzionym przez dziecko rozpustnych ludzi - dorzucił Dawud - i o bracie zastrzelonym z powodów politycznych.

Za to Bilquis słowem nie wspomniała o scenie z pijanym Śakilem w Mohendzo. Powiedziała natomiast:

- A gdzie my znajdziemy lepszą partię dla tej dziewczyny?

W tym momencie Raza pojął, że jego żona tak samo chętnie uwolniłaby się od kłopotliwego dziecka, jak on ujrzał plecy jej ukochanej Dobrej Nowiny. Świadomość, że istnieje pewna symetria, pewien rodzaj uczciwej wymiany, osłabiła jego zdecydowanie, dlatego Bilquis odkryła w jego głosie brak pewności, gdy zapytał:

- No tak, chodzi przecież o upośledzone dziecko: czy w ogóle wypada szukać dla niej męża? Czy nie powinniśmy sami ponosić za nią odpowiedzialności, żono? Po co takiej

⁴² Nikah (arab.) - zaślubiny

dziewczynie małżeństwo?

- Teraz to ona nie jest aż tak bardzo głupia - argumentowała Bilquis - potrafi się ubrać, podejść do nocnika i już nie moczy pościeli.

- Na miłość boską! - zawołał Raza. - Czy to automatycznie oznacza, że nadaje się na żonę?

- Oślizgłe plugastwo - wykrzyknął Dawud - wysłannik szatana. Przybył tu ze swoją propozycją, aby podzielić ten święty dom.

- Poprawiła słownictwo - dodała Bilquis - siada z Śahbanu i pokazuje dhobi, co ma uprać. Potrafi liczyć ubrania i operować pieniędzmi.

- Ale jest dzieckiem - powiedział z rezygnacją Raza. Bilquis stawiała się silniejsza, kiedy on słabł.

- W ciele kobiety - odparła - nie widać dziecka. Kobieta nie musi być ostoją mądrości. Wielu uważa, że mądrość nie jest kobiecie do niczego w małżeństwie potrzebna. Sufija lubi chodzić do kuchni i pomagać khansamie w pracy. Na bazarze umie odróżnić dobre warzywa od złych. Sam chwaliłeś jej ćatni⁴³. Orientuje się, kiedy służące źle wyczyszczą meble. Nosi biustonosz i pod wszystkimi innymi względami stała się dojrzałą kobietą. I nawet się nie rumieni.

To była prawda. Alarmujące rumieńce Sufiji Zinobii, wszystko na to wskazywało, stały się kwestią przeszłości; nie powtórzył się też przypadek z krwawym gwałtem na indykach. Jak gdyby dziewczyna poddała się oczyszczeniu poprzez pojedynczą, trawiącą wszystko eksplozję wstydu.

- Może - powiedział wolno Raza Hajdar - zbyt się martwię.

- Poza tym on jest lekarzem, ten mężczyzna - stwierdziła Bilquis jakby na zakończenie.
- Uratował jej życie. Czy moglibyśmy ją komuś powierzyć z większą gwarancją bezpieczeństwa? Powiadam: nie. Ta propozycja spadła nam z nieba.

- Zakryjcie uszy - wrzasnął Dawud - tobań, tobań! Na szczęście Bóg jest wielki, wielki w swej wielkości, i może wybaczy wam to bluźnierstwo.

Raza Hajdar wyglądał na starego i smutnego.

- Musimy odesłać ją z Śahbanu - zastrzegł. - Ślub ma być spokojny. Zbyt wielkie ćulabalu mogłoby ją przestraszyć.

- Pozwólcie, że skończę z Dobrą Nowiną - powiedziała z radością Bilquis - a będziemy mieli ślub tak spokojny, że tylko ptaki na nim zaśpiewają.

Maulana Dawud wycofał się ze sceny swej porażki.

- I proszę, dziewczęta wyjdą za mąż w nieodpowiedniej kolejności - powiedział na odchodnym. - Nie może zakończyć się dobrze to, co się zaczęło od naszyjnika z butów.

W dniu rozgrywek w polo pomiędzy drużynami armii oraz policji Bilquis obudziła Dobrą Nowinę bardzo wcześnie. Mecz miał się rozpocząć dopiero po piątej po południu, ale Bilquis powiedziała: - Jedenaście godzin pindrzenia się przed spotkaniem z przyszłym narzeczonym to jak złożyć pieniądze w banku. - Do czasu, gdy matka i córka przybyły na boisko do polo, Dobra Nowina wyglądała tak znakomicie, że ludzie musieli sobie pomyśleć, iż to jakaś panna młoda opuściła uroczystość weselną i przyszła obejrzeć mecz. Harun Harappa spotkał je niedaleko małego stolika, przy którym w otoczeniu mikrofonów siedział sprawozdawca, i zaprowadził je do zarezerwowanych przez siebie krzesełek; strój Dobrej Nowiny tak bardzo przykuwał uwagę, że Harun miał lepsze wyobrażenie o jej biżuterii niż o losach gry. Równie często tego popołudnia odchodził i powracał z papierowymi tackami z samosą⁴⁴, dżalebi⁴⁵ i filiżankami bąbelkującej coli, balansujących na jego przedramionach. Podczas jego nieobecności Bilquis przyglądała się córce niczym jastrzęb, aby się upewnić, że dziewczyna nie próbuje żarcików, usiłując złowić spojrzenia innych chłopców; ale kiedy Harun wracał, Dobra Nowina w trudnym do pojęcia skupieniu obserwowała grę. Gwiazdą pierwszej wielkości w drużynie policji okazał się pewien kapitan, niejaki Talwar Ulhaq, a w owym czasie braku popularności armii pokonanie tego popołudnia wrogiej drużyny polo uczyniło z niego bohatera narodowego, zwłaszcza że kapitan odpowiadał wszelkim wymaganiom, jakie się stawia bohaterom - był wysoki, pewny siebie, nosił wąsy i na szyi miał maleńką bliznę, która wyglądała jak po ukąszeniu miłosnym. Ów kapitan Talwar miał być przyczyną skandalu weselnego, praprzyczyny - można tego przekonująco dowodzić - całej przyszłości.

Tego dnia z niezręcznej, pełnej zająknięć rozmowy z narzeczonym Dobra Nowina wywnioskowała ze zdumieniem, że jej przyszły mąż nie ma żadnych ambicji ani żadnego pragnienia. Do tego wcale mu się nie spieszyło, aby mieć dzieci. Pewność siebie, z jaką Nawid swego czasu stwierdziła: „Już ja go naprawię”, ulotniła się w obliczu fizycznej obecności tego mdłego jak budyń młodzieńca, zapewne dlatego nieuchronnie jej wzrok przykuła wysoka, podskakująca radośnie, mitologiczna postać Talwara Ulhaq na wirującym koniu. I może tak samo nieuchronne było to, że jej nadzwyczaj szykowny strój ściągnął uwagę młodego kapitana

⁴³ Ćatni - przystawka z mocno doprawionych świeżych owoców i warzyw.

⁴⁴ Samosa - rodzaj pierożków z różnym nadzieniem.

⁴⁵ Dżalebi - smakołyk z mąki pszennej, ciecierzycy i słodkiego syropu, z wyglądu podobny do obwarzanka.

policji, który cieszył się zasłużoną sławą najbardziej utytułowanego ogiera w mieście - zatem niewykluczone, że wina za całą sprawę spoczywa na Bilquis, bo za bardzo wystroiła córkę - w każdym razie Bilquis, mimo wyjątkowej czujności, przegapiła moment, kiedy spotkały się oczy tych młodych ludzi. Dobra Nowina i Talwar popatrzyli na siebie przez pył, podkowy i kije do polo i w tym momencie dziewczyna poczuła, że jakiś ból przeszywa ją na wskroś. Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, zmieniła drżący jęk, który wyrwał się z jej ust, w gwałtowne kichnięcie oraz kaszel, a jej podstępowi towarzyszyło zamieszanie na boisku do polo, gdzie koń kapitana Talwara nieoczekiwanie zarżał i zrzucił jeźdźca w pełne niebezpieczeństw kłębowisko podków i kijków. - Po prostu cały zeszywniałem - powiedział później Talwar do Nawid - i koń całkiem stracił do mnie cierpliwość.

Wkrótce mecz dobiegł końca i Dobra Nowina wróciła do domu razem z Bilquis, przekonana, że nigdy nie wyjdzie za Haruna Harappę, nie, nawet za milion lat. Tej nocy usłyszała odgłos kamyków uderzających w okno jej sypialni, powiązała prześcieradła i zeskoczyła wprost w ramiona gwiazdy polo, która policyjnym samochodem zawiozła ją do letniego domku nad Zatoką Rybaków. Kiedy skończyli się kochać, zadała najskromniejsze w swoim życiu pytanie. - Wcale tak wspaniale nie wyglądam - rzekła - dlaczego więc ja? - Talwar Ulhaq usiadł w łóżku i wyglądał poważnie jak pierwszy lepszy uczeń. - To z racji pożądlivosti twojej macicy - oświadczył. - Jesteś apetytem, a ja żarciem. Teraz zorientowała się, iż Talwar ma o sobie dość wysokie mniemanie i zaczęła się zastanawiać, czy nie ugryzła więcej, niż była w stanie przeżuć.

Okazało się, że ów Talwar Ulhaq od dnia narodzin miał dar jasnowidzenia, talent, który bardzo mu się przydawał w wykonywaniu policyjnych obowiązków; otóż potrafił przewidzieć, gdzie zostaną popełnione przestępstwa, zanim zdecydowali o tym sami przestępcy, dlatego w protokołach z aresztowania nie popełniał żadnych błędów. Przewidział u Nawid Hajdar dzieci, które zawsze były jego największym marzeniem, mnóstwo dzieci, które pozwoliłyby mu puszyć się z dumy, podczas gdy jej trudno byłoby się pozbierać pod wpływem ich budzącej grozę liczby. Ta wizja skłoniła go, by ochoczo przystąpił do realizacji skrajnie niebezpiecznej sekwencji działań, co obecnie było nie do uniknięcia, ponieważ, jak wiedział, córka Razy Hajdara była zaręczona z ulubionym bratankiem przewodniczącego Iskandra Harappy, zaproszenia na ślub zostały już rozesłane i zgodnie ze wszystkimi normalnymi standardami jego sytuacja była wręcz beznadziejna. - Nie ma rzeczy niemożliwych - powiedział do Nawid, ubrał się i wyszedł na zewnątrz w słonawą noc, aby znaleźć jakiegoś żółwia olbrzyma do ujeżdżenia. Nawid pojawiła się nieco później, gdy on pokrzykiwał radośnie ze skorupy płaczącego żółwia, a kiedy radowała się jego prostą rozkoszą, nadeszli rybacy i uśmiechnęli się

do nich. Nawid Hajdar nigdy się nie dowiedziała, czy było to częścią planu Talwara, czy z grzbietu płaczącego żółwia dał sygnał rybakom ani czy odwiedził zatokę, by zawczasu wszystko przygotować, bo potem stało się rzeczą powszechnie wiadomą, że rybacy oraz siły policyjne są wielkimi sprzymierzeńcami, działającymi wspólnie w celach przemytniczych... jednakże Talwar nigdy się nie przyznał do odpowiedzialności za to, co się stało.

A to się stało, że przywódca rybaków, patriarcha o uczciwej, przyjaznej twarzy, w której komplet białych zębów błyszczał nieprawdopodobnie w świetle księżyca, poinformował parę bardzo uprzejmie, iż on oraz jego kumple postanowili zastosować szantaż. - Takie bezbożne postęпки - powiedział ze smutkiem stary rybak - nie są dobre dla spokoju naszej duszy. Należy się nam jakaś rekompensata, jakaś pociecha.

Talwar Ulhaq zapłacił bez słowa sprzeciwu i zawiózł Dobrą Nowinę do domu. Pomógł jej wspiąć się niezauważenie po związanych prześcieradłach. - Nie chcę cię więcej widzieć - powiedział na pożegnanie - póki nie zerwiesz zaręczyn i nie pozwolisz, by stało się to, co się stać musi.

Z drugiego widzenia dowiedział się, że dziewczyna zastosuje się do jego prośby, więc pojechał do domu, aby się przygotować do małżeństwa i na burzę, która z pewnością miała się rozpętać.

Dobra Nowina (pozwólcie, że przypomnę) była ukochaną córeczką mamusi. Obawa o utratę pozycji kłóciła się w jej duszy z równym i przeciwnym co do znaku przecuciem, że rybacy nie zaprzestaną szantażu; obłąkańcza miłość do Talwara Ulhaqa zmagiała się z obowiązkiem wobec chłopca, którego wybrali jej rodzice; utrata dziewictwa doprowadzała ją do szaleństwa z rozpacz. Lecz milczała aż po ostatni wieczór przed ślubem. Talwar Ulhaq powiedział jej później, że z powodu jej bierności zbliżył się do granic szaleństwa i że postanowił pojawić się na uroczystości, aby bez względu na konsekwencje zastrzelić Haruna Harappę, gdyby Nawid zdecydowała się doprowadzić do wykonania umowy. Ale o jedenastej Dobra Nowina powiedziała matce: - Nie chcę poślubić tego głupiego kartofla - po czym rozpętało się piekło, bo nikt nawet nie podejrzewał, że miłość może stanąć na przeszkodzie realizacji kontraktu.

O radości kuzynek w obliczu nie dającego się ukryć skandalu! O krokodyle łyzy i nieszczerze bicie się w piersi! O radosne ukoronowanie begam Dunijazad, która tańczy nad zwłokami honoru Bilquis! Żmijowe oferty nadziei: Kto wie, porozmawiaj z nią, wiele dziewcząt wpada w panikę w przeddzień ślubu, tak, opamięta się, tylko spróbuj, pora być stanowczym, pora być delikatnym, objij ją nieco, przytul serdecznie, o Boże, to okropne, jak

teraz odwołasz zaproszonych gości?

A kiedy wychodzi na jaw, że dziewczyny nie sposób skłonić do zmiany decyzji, kiedy ujawnia się przewyborna okropność tego wszystkiego, kiedy Dobra Nowina przyznaje, że istnieje Ktoś Inny - wtedy Bariamma porusza się na swych poduchach i w pokoju zapada cisza, by wszyscy mogli wysłuchać jej osądu. - To jest twój błąd jako matki - poświstuje Bariamma - zatem teraz należy wezwać ojca. Idź i przyprowadź mojego Razę, biegnij po niego.

Dwie scenki. W pokoju panny młodej Nawid Hajdar siedzi nieruchomo, widać jej upór, tymczasem wokół wszystkie kobiety zastygły z rozkoszy w żywe posągi, kobiety z grzebieniami, szczotkami, srebrzystą emalią, antymonem, wpatrzone w Nawid, przyczynę nieszczęścia, ze skamieniałą radością. Usta Bariammy są jedynym ruchomym elementem całej scenki. Opuszczają je słowa uświęcone wiekiem staruszki: rozpustnica, wszetecznicą, dziwka. A w sypialni Razy Bilquis przywiera do nóg męża, gdy on usiłuje włożyć majtki.

Raza Hajdar przebudził się do katastrofy ze snu, w którym widział siebie stojącego na placu paradnym swej kłęski przed szpalerem rekrutów, z których wszyscy byli jego wiernymi replikami z tą różnicą, że cechował ich brak odpowiednich umiejętności, otóż nie potrafili maszerować, równać w lewo ani czyścić do połysku klamry u pasa. Wykrzykiwał swą rozpacz pod adresem tych cieni jego własnej nieporadności, a wściekłość ze snu określiła nastrój, w jakim się obudził. W pierwszej reakcji na wiadomość, którą Bilquis zdołała jakoś precyzyjnie przez odporne usta, uznał, że nie ma innego wyjścia, tylko zabić dziewczynę. - Ależ wstyd - powiedział - żeby takie spustoszenie uczynić w planach rodziców. - Postanowił strzelić jej w głowę na oczach członków rodziny. Bilquis przywarła do jego ud, ześlizgnęła się, gdy zrobił krok, a gdy ją wywlekał z sypialni, wpiła się paznokciami w kostki. Zimny pot spłynął jej z czoła razem z namalowanymi brwiami. Nie było wprawdzie wzmianki o upiorze Sindbada Mengala, ale, ho, ho, miał się on tutaj całkiem dobrze. Z wojskowym pistoletem w dłoni Raza Hajdar wpadł do pokoju Dobrej Nowiny; powitały go krzyki kobiet.

Cóż, nie jest to jednak opowieść o mojej Annie M. Raza, uniósłszy pistolet, nie był w stanie się nim posłużyć. - Wyrzućcie ją na ulicę - powiedział i opuścił pokój.

W tym momencie prowadzone są nocne negocjacje. Raza w swojej kwaterze gapi się na pistolet, którym się nie posłużył. Przybywają delegacje; on pozostaje nieugięty. Wtedy Bilquis wysłała Śahbanu, która wyciera sen z oczu otoczonych czarną obwódką, prawie takich samych jak u Razy; otrzymała polecenie, aby jakoś usprawiedliwić przypadek Dobrej Nowiny. - Lubię cię, bo jesteś dobra dla Sufiji Zinobii. Może cię wysłucha, skoro nie chce wysłuchać mnie. -

Bilquis podupada z minuty na minutę, musi błagać służące. Przyszłość Dobrej Nowiny spoczywa w rękach Śahbanu - Dobrej Nowiny, która kopała, ubliżała, biła. - Pójdę, begam sahib - powiada Śahbanu. Aja i ojciec konferują za zamkniętymi drzwiami. - Proszę mi wybaczyć, sir, że to powiem, ale proszę nie dokładać hańby do hańby.

O trzeciej nad ranem Raza Hajdar lituje się. Do ślubu dojdzie, dziewczyna musi mieć męża, nieważne jakiego. Tym samym uwolnią się od niej i spowodują mniej zamieszania niż gdyby ją zwyczajnie wyrzucili z domu. - Dziwka posiadająca dom - Raza skłania Bilquis do obwieszczenia - jest lepsza niż w dziwka w rynsztoku. - Nawid podaje matce nazwisko - nie bez dumy ogłasza wszystkim i każdemu z osobna: - To musi być kapitan Talwar Ulhaq. Nikt inny.

Dzwonią telefony. Wytracony ze snu Mir Harappa dowiaduje się o zmianie planu. - Niech szlag trafi tę waszą bękartą rodzinę. Wetknij mi, gdzie chcesz, jeżeli nie odpłacę za to pięknym za nadobne. - Iskander Harappa przyjmuje wieść spokojnie, przekazuje ją Ardżumand, która w koszuli nocnej stoi przy aparacie. Coś migocze w jej oczach.

Iskander zawiadamia Haruna.

1 jeszcze jeden telefon, do kapitana policji, który nie zmrużył oka, który jak Raza spędził część nocy, bawiąc się pistoletem.

- Nie powiem, co o tobie myślę - wrzeszczy Raza Hajdar do słuchawki - ale jutro przywlecż tutaj swój tyłek i zabierz ode mnie tę niedobrą kobietę. Nie dostaniesz ani jednej pajsy⁴⁶ posagu i potem trzymaj się ode mnie z daleka.

- Mhm, poślubić waszą córkę to dla mnie zaszczyt - odpowiada uprzejmie Talwar.

A w domu Hajdarów kobiety, które nie dowierzają swojemu szczęściu, jeszcze raz przystępują do przygotowań do tego wielkiego dnia. Nawid Hajdar idzie do łóżka i z niewinnym wyrazem twarzy zapada w głęboki sen. Kiedy odpoczywa, ciemna henna na jej stopach zmienia się w pomarańczową.

- Hańba i skandal w rodzinie - powiada rankiem Śahbanu do Sufiji Zinobii. - Bibi, nie masz pojęcia, co straciłaś.

Tej samej nocy wydarzyło się coś jeszcze. Ludzie gromadzili się pod osłoną nocy w kampusie uniwersyteckim i w mieście na bazarach. Nim zeszła rosa, stało się jasne, że upadnie rząd. Tamtego ranka ludzie opanowali ulice i aby wyrazić swoje niezadowolenie, podkładali ogień pod samochody, autobusy szkolne, ciężarówki wojskowe oraz biblioteki takich instytucji, jak British Council i United States Information Service. Marszałek polny A. rozkazał oddziałom wojskowym wyjść na ulice i przywrócić spokój. O jedenastej odwiedził go generał

znany powszechnie jako „Kudłaty Pies”, prawdopodobnie sojusznik Iskandra Harappy. Generał Kudłaty Pies poinformował bliskiego szaleństwa prezydenta, że wojsko zdecydowanie odmawia strzelania do cywilów, żołnierze zaś szybciej zastrzelą oficerów niż swoich krajan. To oświadczenie przekonało prezydenta A., że jego czasy się skończyły. Mniej więcej w porze lunchu generał Kudłaty, który umieścił A. w areszcie domowym, pojawił się w najnowszym programie telewizyjnym, by obwieścić, iż jedynym celem przejęcia przez niego władzy jest przywrócenie demokracji; wybory miały się odbyć w ciągu osiemnastu miesięcy. Ludzie spędzili popołudnie na radosnym świętowaniu; datsuny, taksówki, budynki Alliance Française i Goethe Institut okazały się paliwem dla ich rozognionego szczęścia.

Mir Harappa dowiedział się o bezkrwawym zamachu prezydenta Psa w ciągu ośmiu minut po rezygnacji marszałka A. Ten drugi poważniejszy cios w prestiż całkowicie osłabił jego ducha walki. Pozostawiwszy list z rezygnacją na biurku, uciekł do majątku Daro, nie troszcząc się o rozwój wypadków. Odciał się tam od świata w nastroju takiego przygnębienia, że służba słyszała, jak mamrotał, iż jego dni są policzone. - Stały się już dwie rzeczy - powtarzał - ale trzecia ma się jeszcze wydarzyć.

Iskander i Ardżumand oraz Harun spędzili dzień w Karaczi. Iskander bez przerwy rozmawiał przez telefon, tymczasem Ardżumand tak wzburzyły nowiny, że zapomniała o współczuciu dla Haruna w związku z odwołaniem jego ślubu. - Przestań robić rybę - powiedziała - rozpoczęła się przyszłość. - Rani Harappa przybyła pociągiem z Mohendzo, spodziewając się spędzić beztroskie chwile na celebrowaniu nikah Dobrej Nowiny, ale na stacji dowiedziała się od szofera Isky'ego, Dżokio, że świat się zmienił. Pojechała więc do domu w mieście, gdzie Iskander uściskał ją serdecznie i oświadczył: -Dobrze, że przyjechałaś. Teraz musimy stanąć wspólnie przed ludźmi; nadszedł nasz czas. - Rani natychmiast zapomniała o uroczystościach weselnych i od razu zaczęła wyglądać - w wieku czterdziestu lat - tak młodo jak jej jedyna córka. Wiedziała, ucieszyła się w myślach; Stary dobry Kudłaty Pies.

Był to dzień tak ekscytujący, że doniesienia o wypadkach w domu Hajdarów zeszyły całkowicie na drugi plan, podczas gdy żadnego innego dnia tego skandalu absolutnie nie dałoby się ukryć. Kapitan Talwar Ulhaq stawiał się na ślub w pojedynkę; postanowił jednak nie wtajemniczać ani przyjaciół, ani członków rodziny we wstydlive okoliczności towarzyszące ceremonii. Musiał się przebijać ulicami rozgrzanymi od płonących samochodów policyjnym dżipem, który miłosiernie uniknął opieki tłumów, i został przyjęty przez Rażę Hajdara z lodowatą poprawnością tudzież pogardą.

- Moją najszczerzą intencją - powiedział do Razy Talwar - jest zostać takim zięciem,

⁴⁶ Pajsa - setna część rupii.

jakiego mógłbyś sobie życzyć, i może po pewnym czasie powtórnie rozważysz postanowienie usunięcia córki ze swojego życia.

Na tę odważną przemowę Raza udzielił najkrótszej z możliwych odpowiedzi.

- Nie dbam o graczy w polo - rzekł.

Ci goście, którzy zdołali dotrzeć do rezydencji Hajda-rów mimo panującej na ulicach chaotycznej euforii, na wszelki wypadek włożyli najstarsze, najbardziej zniszczone ubrania; nie mieli na sobie żadnej biżuterii. Ubrali się w te nieświęteczne łachy, aby nie ściągać na siebie uwagi ludzi, którzy zazwyczaj tolerowali bogaczy, ale może właśnie teraz postanowiliby z radości dorzucić miejską elitę do kolekcji płonących symboli. Fatalny stan gości był jedną z najdziwniejszych cech owego dnia dziwów; Dobra Nowina Hajdar - naoliwiona, wysmarowana henną, obwieszona biżuterią - wyglądała w tym zgromadzeniu wystraszonych celebretów bardziej nie na miejscu niż wtedy, kiedy się pojawiła na meczu polo nieubłaganego przeznaczenia. - Jakby ślub się odbywał w pałacu pełnym żebraków - szepnęła do Talwara, który siedział obok na małym podium poniżej połyskujących zwierciadełek namiotu, otoczony girlandą kwiatów. Ciasta i delikatesy matczynej dumy Bilquis spoczywały nietknięte na przykrytych białymi obrusami stołach w cudacznej atmosferze tych zwichniętych, przerażających czasów.

Dlaczego goście nie tknęli jedzenia? Wprawdzie wyprowadziły ich z równowagi niebezpieczeństwa na ulicach, ale zupełnie pogubili się dopiero teraz, gdy dotarła do nich informacja, którą przekazano im na kawałkach papieru z odręczną erratą, efekt kilkugodzinnej pracy Bilquis: podczas gdy panną młodą zgodnie z oczekiwaniami będzie Dobra Nowina Hajdar, w ostatniej chwili doszło do zmiany partnera. Na *skutek niemożliwych do przewidzenia okoliczności* - widniało na małych białych karteczkach poniżenia - *roli męża podejmie się kapitan policji Talwar Ulhaq*. Bilquis musiała przepisać tę linijkę pięćset pięćdziesiąt pięć razy, a każda następna inskrypcja wbijała szpony wstydu coraz głębiej w jej serce, zatem zanim przybyli goście i służba rozdała skrawki papieru z erratą, Bilquis Zesztywniała ze wstydu, jakby ktoś wbił ją na pal. Kiedy wstrząs po przewrocie zniknął z twarzy gości na rzecz świadomości rozmiarów katastrofy, jaka dotknęła Haj darów, Raza także cały zdrętwiał, znieczulony publiczną niełaską. Obecność Himalajów nietkniętego jedzenia wzbudziła dreszcze wstydu w duszy aji Śahbanu, która stała przy Sufiji Zinobii w stanie skrajnego przygnębienia, aż zupełnie zapomniała pozdrowić Omara Chajjama Śakila. Doktor także się dowlókl na zgromadzenie milionerów przebranych za ogrodników; myśli tak bardzo zaprzętało mu mnóstwo wieloznaczności dotyczących jego zaręczyn z półgłówkiem własnych obsesji, że zupełnie nie dostrzegł, iż wstąpił w miraż z przeszłości, upiorne odbicie legendarnego przyjęcia

wydanego przez trzy siostry Śakil w ich starym domu w K. Nie przeczytaną karteczkę z erratą trzymał w zaciśniętej pulchnej dłoni, póki z opóźnieniem nie dotarło do niego znaczenie nietkniętego jedzenia.

Nie była to dokładna replika tamtego odległego w czasie przyjęcia. Wprawdzie nic nie zjedzono, ale mimo wszystko ślub się odbył. Czy kiedykolwiek tak się zdarzyło, że w trakcie nikah nikt z nikim nie flirtował, że wynajęci muzykanci byli tak przytłoczeni okolicznościami, by nie zagrać choćby jednej nuty? W każdym razie na pewno nie odbyło się zbyt wiele uroczystości ślubnych, podczas których pan młody niemal zginął na swym podwyższeniu z rąk nowej szwagierki.

Mój Boże, tak. Z przykrością muszę wam donieść, że (pieczętując, jak to bywa, całkowitą klęskę) somnambuliczny demon wstydu, który wstąpił w Sufiję Zinobię tamtego dnia, kiedy poukręcała indykom łby, pojawił się znowu pod połyskującą samianą hańby.

Szkliste oczy stały się nieprzezrocyste i bardziej mleczne. Do nadwrażliwej duszy napłynęła obfitość wstydu z owego udręczonego namiotu. Pod skórą pojawił się ogień; Sufija zaczęła cała płonąć złocistym płomieniem, który przygasił róż na jej policzkach i farbę na palcach rąk oraz nóg... Omar Chajjam Śakil dostrzegł, co się dzieje, lecz niestety za późno, nim krzyknął: - Uważajcie! - w stronę członków osłupiałego zgromadzenia, demon pognał Sufiję Zinobię w tłum i zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, dziewczyna chwyciła kapitana Talwara Ulhaqa za głowę i zaczęła wykręcać, wykręcać tak mocno, że mężczyzna krzyknął z całych sił, bo jego kark był bliski pęknięcia niczym suchy badył.

Dobra Nowina złapała siostrę za włosy i pociągnęła z całej siły, czując, jak palący żar nadprzyrodzonej namiętności parzy jej palce, wtedy Omar Chajjam, Śahbanu, Raza Hajdar i nawet Bilquis połączyli siły, podczas gdy goście w całkowitym milczeniu popadali w coraz głębsze odrętwienie, przerażeni tym ostatnim objawieniem tego nieprawdopodobnego dnia. Połączone wysiłki piątki zdesperowanych ludzi doprowadziły do oderwania dłoni Sufiji Zinobii, zanim Talwar Ulhaq stracił głowę jak wcześniej indyki; wówczas jednak dziewczyna zatopiła zęby w jego szyi, dodając drugą ranę dla zrównoważenia owej sławnej skazy po ugryzieniu miłosnym, i sprawiła, że krew trysnęła na zgromadzenie, tak że wszyscy członkowie rodziny i liczni zakamuflowani goście zaczęli przypominać pracowników rzeźni. Talwar kwiczał jak świnia, a kiedy ostatecznie odciągnięto od niego Sufiję Zinobię, między jej zębami pozostał kęs jego skóry i mięsa. Później, kiedy doszedł do siebie, już nigdy nie był w stanie odwrócić głowy w lewo. Sufija Zinobia Hajdar, wcielenie rodzinnego wstydu, i, po raz kolejny, jego główna przyczyna, padła bezwładnie w ramiona narzeczonego, natomiast Omar Chajjam tak napastniczkę, jak i ofiarę natychmiast zabrał do szpitala, gdzie Talwar Ulhaq pozostawał w

krytycznym stanie przez sto jeden godzin, tymczasem Sufija Zinobia musiała przejść długi proces wyprowadzania jej z samoistnego transu przez zastosowanie hipnozy, wymagającej od Omara Chajjama znacznie więcej umiejętności niż kiedykolwiek wcześniej. Dobra Nowina Hajdar spędziła całą noc poślubną, szlochając rozdzierająco na ramieniu matki w szpitalnej poczekalni. - Ten potwór - wykrztusiła żałośnie - powinnaś kazać ją utopić zaraz po narodzinach.

Krótkie zestawienie skutków ślubnego skandalu: sztywny kark Talwara Ulhaqa i koniec jego kariery gwiazdy polo; narodziny ducha pojednania i przebaczenia w sercu Razy Hajdara, który nie był w stanie odrzucić człowieka, który omal nie zginął z rąk jego własnej córki, w rezultacie Talwar i Dobra Nowina mimo wszystko nie zostali wyrzuceni poza łono tej przeklętej rodziny; również przyspieszona dezintegracja Bilquis Hajdar, której załamania nie sposób było dłużej ukrywać, choć w następnych latach żona Razy znaczyła niewiele więcej niż szept albo pogłoska, bo mąż trzymał ją z dala od ludzi, w czymś w rodzaju aresztu domowego.

Co jeszcze? Kiedy stało się jasne, iż Front Ludowy Iskandra Harappy wypadnie w wyborach wprost znakomicie, Raza złożył Isky'emu wizytę. Bilquis została w domu z rozpuszczonymi włosami, zlorzcząc niebiosom, ponieważ jej mąż, jej Raza, poszedł korzyć się przed tym krągłoustym pyszałkiem, który zawsze miał wszystko, czego chciał. Hajdar próbował się zmusić do przeprosin za fiasko ze ślubem, ale Iskander powiedział wesoło: - Na miłość boską, Raza, Harun może się sam o siebie zatroszczyć, a co do twojego Talwara Ulhaqa, jestem pod wrażeniem przewrotu, jakiego ten facet dokonał. Powiadam, to jest człowiek dla mnie! - Wkrótce po tym spotkaniu, kiedy odeszło w przeszłość szaleństwo wyborów i prezydent Kudłaty Pies powrócił do prywatnego życia, premier Iskander Harappa uczynił Talwara Ulhaqa najmłodszym szefem policji w historii kraju, a ponadto awansował Rażę Hajdara do stopnia generała i oddał mu pod komendę armię. Hajdarowie i Harappowie przeprowadzili się na północ do nowej stolicy położonej na wzgórzach; Isky powiedział do Rani: - Od tej chwili Raza nie ma innego wyjścia, musi być moim człowiekiem. Z tyloma skandalami, które go przygniatają, wie, że musiałby mieć wiele szczęścia, żeby beze mnie utrzymać posadę.

Harun Harappa, z sercem złamanym przez Dobrą Nowinę, rzucił się w wir partyjnej pracy, którą dał mu Iskander, i stał się ważną postacią we Froncie Ludowym; kiedy pewnego dnia Ardżumand wyznała mu miłość, odparł jej otwarcie: - Nic nie mogę poradzić. Postanowiłem, że nigdy się nie ożenię. - Odrzucenie dziewicy Żelazne Majtki przez porzuconego narzeczonego Dobrej Nowiny wywołało w tej strasznej młodej kobiecie

nienawiść do wszystkich Hajdarów, której się już do samego końca nie pozbędzie; zebrała więc całą miłość, którą zamierzała obdarować Haruna, i w zamian niczym wotum ofiarne przelała ją na ojca. Przewodniczący i córka, Iskander i Ardżumand. Bywają chwile - myślała Rani -kiedy ona wydaje się jego żoną bardziej niż ja. Jeszcze jedno nie wyartykułowane napięcie w obozie Harappy dotyczyło Haruna Harappy i Talwara Ulhaqa, którzy zostali zmuszeni do wspólnej pracy, co robili przez wiele lat, i ani razu nie poczuli potrzeby, by wymienić bezpośrednio choćby słowo.

Cichy ślub Omara Chajjama Śakila i Sufiji Zinobii odbył się bez dalszych incydentów. Ale co z Sufija Zinobia? Na razie niechże mi będzie wolno stwierdzić tyle tylko, że to, co się w niej znowu przebudziło, nie usnęło na dobre. Transformacja z panny Hajdar w panią Śakil nie będzie (jak się przekonamy) jej ostatnią trwałą przemianą...

Z Iskandrem, Rani, Ardżumand, Harunem, Raza, Bilquis, Dawudem, Nawid, Talwarem, Śahbanu, Sufija Zinobia i Omarem Chajjamem także nasza opowieść przenosi się na północ, do nowej stolicy i pradawnych gór, i wchodzi w fazę szczytowania.

Pewnego razu były sobie dwie rodziny; nawet śmierć nie była w stanie rozdzielić ich losów. Zanim zacząłem, sądziłem, że to, co mam w rękach, jest przesadnie męską historią, sagą o rywalizacji seksualnej, ambicji, władzy, protekcji, zdradzie, śmierci, zemście. Ale kobiety zdają się przejmować tę rolę, wychodzą z marginesu opowieści, żądają uwzględniania ich własnych tragedii, historii i komedii, zmuszając mnie do prowadzenia narracji w całej sinusoidalnej złożoności, aby ujrzeć mą „męską” intrygę poddaną refrakcji w tych, że tak się wyrażę, pryzmatach jej odwrotnej, „żeńskiej” strony. Przychodzi mi do głowy, że kobiety wiedzą dokładnie, do czego są zdolne - że ich historie wyjaśniają, a nawet wchodzą w skład męskich losów. Represja jest ubiorem bez szwów; społeczność, której normy społeczne i seksualne powodują, iż kobiety uginają się pod bezwzględny ciężarem stosowności i honoru, wytwarza także represje innych typów. I vice versa: dyktatorzy są zawsze - albo przynajmniej publicznie, na użytek innych ludzi - purytańscy. W końcu okazuje się, że moje „męskie” i „żeńskie” intrygi są mimo wszystko jedną opowieścią.

Rzecz jasna istnieją na pewno kobiety, których nie przytłacza żaden system, nieważne jak uciążliwy. O Pakistanie powiada się, i jak sądzę słusznie, że żyjące w nim kobiety wywierają głębsze wrażenie niż mężczyźni... niemniej ich łańcuchy nie są fikcyjne. Istnieją. I ciążą coraz bardziej.

Jeśli kontrolujesz jedną sprawę, kontrolujesz także sprawy poboczne.

W końcu jednak dostajesz tym wszystkim prosto w twarz.

IV
W PIĘTNASTY WIEK

Rozdział dziewiąty

Aleksander Wielki

Iskander Harappa stoi na pierwszym planie, palcem celuje w przyszłość, za nim wstaje świt. Nad jego profilem patrycjusza wije się przesianie. NOWY CZŁOWIEK NA NOWY WIEK Piętnasty wiek (według kalendarza hidżry) wyłania się zza horyzontu, wyciągając długie palce promieni ku porannemu niebu. W tropikach słońce wschodzi szybko. Na palcu Isky'ego połyskuje pierścień władzy, echo słońca... plakat jest wszędzie, widnieje na ścianach meczetów, cmentarzy, domów publicznych - plami umysły: Isky czarnoksiężnik, wyczarowuje słońce z mrocznych głębin morza.

Co się rodzi? Rodzi się legenda. Isky Harappa wschodzi, zachodzi, podnosi się, upada; Isky skazany na śmierć, szok dla świata, oprawca tonie w telegramach, ale wychodzi spod nich, strząsa je z ramion, beznamiętny kat, zrozpaczony i przestraszony. Potem Isky martwy i pochowany; przy grobie męczennika ślepcy odzyskują wzrok. A na pustyni kwitnie tysiąc kwiatów. Sześć lat władzy, dwa lata więzienia, wieczność pod ziemią... słońce również szybko zachodzi. Stańcie w piasku na plaży i popatrzcie, jak nurkuje do morza.

Przewodniczący Iskander Harappa, nawet martwy, bez Pierre'a Cardina i historii, nadal rzuca cień. Jego głos cichym pomrukiem rozbrzmiewa w tajnych uszach wrogów, melodyjny, uporczywy monolog draży ich umysły jak robak. Serdeczny palec wskazuje coś zza grobu, pierścień migocze blaskiem oskarżeń. Iskander nawiedza żywych; piękny, złoty głos, głos z promykami poranka szepcze, nie milknie, nie daje się powstrzymać. Ardżumand jest tego pewna. Potem, kiedy plakaty zostaną zdarte w następstwie pewnego stryczka, który owinąłszy się wokół niego jak pępowina wokół dziecka, nabrał takiego szacunku, że nie pozostawił żadnego śladu na szyi; kiedy Ardżumand ponownie zamkną w splądrowanym Mohendzo wraz z matką, która wygląda jak babka i która nie przyjmie do wiadomości świętości zmarłego męża - wtedy córka zajmie się wspomnianiem, skoncentruje się na szczegółach, wmówi sobie, że nadejdzie czas przywrócenia Iskandra historii. Żywot legendy zależy od jej starań. Ardżumand przechadza się po bezlitośnie zdewastowanych ścieżkach, czyta tanie romanse, jada tyle co ptaszek i przyjmuje środki przeczyszczające, wypróżnia się ze wszystkiego, aby przygotować miejsce na wspomnienia. Wypełnią ją cała, jej trzewia, płuca, nozdrza; Ardżumand jest epitafium dla swego ojca i wie.

Zatem od początku. Wybory, które przyniosły Iskandrowi władzę, nie były (trzeba to przyznać) tak uczciwe, jak można by sądzić, czytając moje wcześniejsze słowa. Jakżeby mogły

być uczciwe w kraju złożonym z dwóch Skrzydeł oddalonych od siebie o tysiąc mil, w owym fantastycznym terytorialnym ptaku, dwóch Skrzydłach bez korpusu po obu stronach wrogiej ziemi, nie połączonych niczym prócz Boga... Ardżumand dobrze pamięta tamten pierwszy dzień, grzmiące tłumy przed lokalami wyborczymi. O ludu, który nazbyt długo żyłeś pod rządami wojskowych i zapomniałeś o najprostszych zasadach demokracji! Wielka liczba kobiet i mężczyzn uległa falom zamętu, niezdolna do namierzenia urn ani nawet kart, i nie oddała głosów. Inni, sprawniejsi, eksperci od pływania w owych oceanach, wyrazili swoje preferencje po dwanaście albo trzynaście razy. Pracownicy Frontu Ludowego, niezbyt biegli w ogólnej znajomości dobrych obyczajów wyborczych, czynili heroiczne próby, aby uratować ten dzień. Do tych niewielu okręgów wyborczych, w których wyniki okazały się sprzeczne z wzorcem wyborczym obowiązującym w Zachodnim Skrzydle, przybyły nocą grupy entuzjastycznie nastawionych towarzyszy, którzy pomogli komisarzom dokonać powtórnego obliczenia. W ten sposób wyjaśniło się doprawdy wiele spraw. Na zewnątrz punktów wyborczych, którym zdarzyło się pobłądzić, zebrały się duże gromady demokratów, trzymających wysoko nad głowami płonące żagwie w nadziei rzucenia nowego światła na wynik. Światła jutrzenki paliły się na ulicach, podczas gdy tłumy skandowały głośno, rytmicznie, dopingując komisarzy wyborczych do pracy. Rankiem woła ludu była już wyrażona - przewodniczący Isky zdobył potężną, absolutną większość miejsc przypadających na Zachodnie Skrzydło w nowym Zgromadzeniu Narodowym. *Twarde prawo* - wspomina Ardżumand - *ale mimo wszystko prawo.*

Prawdziwe kłopoty zaczęły się daleko we Wschodnim Skrzydle, tym gnijącym mokradle. Przez kogo zaludnionym? Przez dzikusów, okrutników mnożących się bez żadnego opamiętania, przez króliki leśne niezdatne do niczego poza uprawą juty i ryżu, wzajemnego wyrzynania się i hodowania zdrajców na własnych poletkach ryżowych! Perfidii Wschodu dowiodło niepowodzenie Frontu Ludowego w zdobyciu choćby jednego mandatu, podczas gdy hołota z Ligi Ludowej, regionalnej partii burżuazyjnych malkontentów dowodzonych przez dobrze znanego, nieporadnego szejka Bismillaha, odniosła imponujące zwycięstwo, zdobywając więcej miejsc w Zgromadzeniu niż Harappa na Zachodzie. *Daj ludziom demokrację i przyjrzyj się, co z nią robią.* Zachód w stanie szoku, trzepocze jedno Skrzydło, przeraża wyobrażenie o oddaniu rządów partii cuchnących bagnem aborygenów, ludzi niskich i ciemnoskórych, posługujących się niemożliwym do naśladowania językiem zniekształcanych samogłosek i połykanych spółgłosek; może nie całkiem obcych, ale bez wątpienia nie stąd. Prezydent Kudłaty Pies z żalem wysłał potężną armię, aby przywrócić pojęcie równowagi na Wschodzie.

Ardżumand nie rozmyśla wiele o wojnie, która się później toczyła, konstatuje jedynie, że bałwochwalcza nacja zamieszkująca terytorium między Skrzydłami bez reszty poparła wschodnich bękartów, stosując zasadę „dziel i rządź”. Przerazająca wojna. Pogańskie materiały wybuchowe spadły na zachodnie rafinerie ropy, lotniska, domy bogobojnych cywilów. Ostateczna porażka wojsk Zachodniego Skrzydła, która doprowadziła do rekonstytucji Wschodniego Skrzydła jako autonomicznego (*można się uśmieć*) narodu i międzynarodowego niedorajdy, była dziełem outsiderów - pracy i cholernych Jankesów. Przewodniczący odwiedził Stany Zjednoczone i dał tym eunuchom ostrą reprimendę: „Nie zniszczycie nas, póki ja żyję”. Wypadł ze Zgromadzenia Ogólnego ONZ przystojny, niepohamowany, wielki. „Mój naród mnie słyszy! Dlaczego miałbym pozostać w tym haremie transwestyckich dziwki?” I wrócił do domu, aby chwycić w swoje dłonie wodze rządu w pozostałości z kraju Boga. Szejk Bismillah, architekt podziału, został szefem ludzi z dżungli. Oczywiście wpęzli mu potem do pałacu i zastrzelili go wraz z członkami rodziny, porobili z ich ciał prawdziwe sita. Czego się spodziewać po tego rodzaju typkach?

Katastrofa: w trakcie wojny radiowe biuletyny informacyjne co godzinę opisywały wspaniałe triumfy zachodnich oddziałów na Wschodzie. Ostatniego dnia o jedenastej przez radio doniesiono o ostatnim i najbardziej spektakularnym spośród tych wojskowych wyczynów; w południe zaś społeczeństwo dowiedziało się o niemożliwym - o bezwarunkowej kapitulacji, poniżeniu, klęsce. Wiadomość sparaliżowała ruch na ulicach miasta. Naród nie zjadł lunchu. Choć panował upał, na wsi bydło nie dostało karmy, a uprawy wody. Przewodniczący Iskander Harappa, obejmując urząd premiera, trafnie zidentyfikował reakcję narodu na wstrząsającą kapitulację jako po prostu wściekłość na pożywcze hańby. Jakież to nieszczęście przydarzyło się armii tak niespodziewanie? Jak mogło dojść do tak nagłego i całkowitego odwrócenia tendencji, że w ciągu zaledwie sześćdziesięciu minut wspaniałe zwycięstwo przemieniło się w klęskę? - Odpowiedzialność za tę fatalną godzinę - obwieścił Iskander - spoczywa, bo tak być musi, na samej górze. - Po tej przemowie w ciągu kwadransa policjanci, a także psy otoczyli dom eskprezydenta Kudłatego. Umieszczono go w areszcie i osądzono za przestępstwa wojenne; ale wtedy Przewodniczący raz jeszcze dostosował się do nastroju ludzi przybitych klęską, spragnionych pojednania, mających dość rozpamiętywania hańby i zaoferował Kudłatemu łaskę w zamian za zgodę na areszt domowy. - Jesteś brudną bielizną - powiedział Iskander do niezdarnego starszego mężczyzny - ale na twoje szczęście ludzie wcale nie chcą widzieć, jak cię piorą na jakimś kamieniu.

Pewnym ludziom był nie w smak ów akt łaski. Szkoda na nich słów, bo przecież w każdym narodzie zawsze się znajdują jacyś nihiliści. Otóż członkowie tych kręgów podkreślali,

że największe korzyści z wojny domowej, która rozdarła kraj na dwoje, wyciągnął Iskander Harappa; krążyły pogłoski, iż sam przyczynił się do ostatecznego wyniku całej tej smutnej sprawy. „Kudłaty Pies - szeptali w swych ciemnych norach - zawsze był ulubieńcem Harappy, jadł Isky'emu z ręki”. Tego rodzaju negatywistyczne elementy tworzą paskudną stronę ludzkiego życia. Przewodniczący odnosił się do nich podejrzliwie. Podczas zgromadzenia, w którym wzięło udział ponad dwa miliony ludzi, Iskander Harappa rozpiął koszulę. - Co mam do ukrycia? - zawołał. - Niektórzy powiadają, że osiągnąłem korzyści; ale utraciłem całą połowę ukochanego kraju. Niech no mi ktoś powie, czy to jest korzyść? Czy to jest zysk? Czy to jest szczęście? Ludu mój, serce twoje krwawi; spójrz jednak, moje serce krwawi nie mniej niż twoje. - Iskander Harappa zdarł z siebie koszulę i rozerwał ją na pół; obnażył bezwłosy tors przed wiwatującym, płaczącym tłumem. (Młody Richard Burton zrobił to samo w filmie *Aleksander Wielki*. Żołnierze kochali Aleksandra, bo pokazał im swoje wojenne rany.)

Niektórzy ludzie są tak wielcy, że doprowadzić się do upadku mogą jedynie sami. Pokonana armia potrzebowała nowego przywódcy; Isky przyspieszył przeniesienie zdyskredytowanych starych sił w stan spoczynku i przekazał dowództwo Razie Hajdarowi. „Będzie moim człowiekiem. A ze skompromitowanym dowódcą armia nie może się stać zbyt silna”. Ten pojedynczy błąd, jak się okazało, zrujnował najzdolniejszego męża stanu, jaki kiedykolwiek rządził tym pechowym, tragicznie doświadczonym krajem, zwłaszcza gdy chodziło o polityków.

Nigdy mu nie wybaczyli, że umiał budzić miłość. Ardżumand w Mohendzo ma mnóstwo wspomnień, pozwala pamięci przekształcać zachowane fragmenty przeszłości w szczerze złoto mitu. Podczas kampanii wyborczej powszechnie zdarzało się, że podchodziły do niego kobiety i w obecności jego żony oraz córki wyznawały mu miłość. Po wsiach stare babki wchodziły na drzewa, a kiedy przechodził, wołały: „Och, gdybym była trzydzieści lat młodsza!” Całując jego stopy, mężczyźni nie czuli wstydu. Dlaczego go kochali? Jestem nadzieją - powiedział Iskander córce..., a miłość jest emocją, którą rozpoznaje się w innych. Ludzie dostrzegali miłość w Iskym, był jej pełny po brzegi, wylewała się z niego i oczyszczała ich. Skąd pochodziła? Ardżumand wie; tak samo jak jej matka. To był przeciwny nurt. Isky zbudował coś w rodzaju zapory między tą rzeką a jej miejscem przeznaczenia. Między sobą a Pinkie Aurangzeb.

Z początku Ardżumand wynajęła fotografów, aby potajemnie robili Pinkie zdjęcia: Pinkie na bazarze z oskubanymi kurczakami, Pinkie w ogrodzie podparta na kiju, Pinkie nago pod prysznicem niczym długi wysuszony daktyl. Zostawiła fotografie do obejrzenia Przewodniczącemu. - Na Allaha, ma pięćdziesiąt lat, ale wygląda na sto albo przynajmniej

siedemdziesiąt, co z niej zostało? - Na zdjęciach twarz wydawała się opuchnięta, nogi - pokryte żyłakami, w nieładzie były siwe, cienkie włosy. - Przestań pokazywać mi te zdjęcia - krzyknął Iskander na córkę (trudno o tym zapomnieć, bo niemal stracił przez nią cierpliwość) - nie sądzisz, że dobrze wiem, co jej zrobiłem?

Jeśli dotyka cię wielki człowiek, zbyt szybko się starzejesz, zbyt intensywnie żyjesz, jesteś skonana. Iskander Harappa posiadał moc przyspieszania procesów życiowych wszystkich kobiet, z którymi się w życiu zetknął. Pięćdziesięcioletnia Pinkie już dawno miała za sobą historię z indykami, a nawet wspomnienie o własnej urodzie. Rani także cierpiała, ale nie tak okropnie, bo dawniej widywała się z nim rzadziej. Miała oczywiście nadzieję; ale kiedy się zorientowała, że jej zadanie polega na staniu przy jego boku na podwyższeniu, że jej czas minął i nic tego nie zmieni, wtedy bez sprzeciwu wróciła do Mohendźo, zostając raz jeszcze panią pawii, kogutów, konkubin grających w kometkę i pustych łóżek, nie tyle konkretną osobą, ile raczej pewnym aspektem majątku, nieszkodliwym, znanym duchem tego miejsca, popękanym i pokrytym pajęczyną jak starzejący się dom. Również Ardżumand zawsze wyprzedzała czas - zbyt wcześnie dojrzała, przedwcześnie się rozwinęła, była przenikliwa jak igły. - Twoja miłość, to dla nas zbyt wiele - powiedziała Przewodniczącemu - wszyscy umrzemy przed tobą. Ty się nami karmisz.

Lecz jak się okazało, przeżyli go wszyscy. Jego miłość o silnym przeciwnym nurcie (bo już nigdy nie ujrzał Pinkie, nie podniósł słuchawki telefonu ani nie napisał listu, jej imię nie przeszło mu przez gardło; zobaczył zdjęcia, a potem już nic) chlapała na ludzi, póki pewnego dnia Hajdar nie odciął źródelka.

Tryskała też na Ardżumand; jej to wystarczyło, było więcej niż dosyć. Przeprowadziła się z ojcem do rezydencji premiera w nowej stolicy na północy, Rani słała do niej listy, sugerując różnych kandydatów do małżeństwa, czasem załączając zdjęcia, ale Ardżumand odsyłała matce całą tę korespondencję podartą na strzępy. Po kilku latach rozdierania na pół potencjalnych mężów dziewica Żelazne Majtki pokonała nadzieje Rani i od tej pory wolno jej było podążać własną drogą. Miała dwadzieścia trzy lata, kiedy Isky został premierem, wyglądała starzej, a choć w dalszym ciągu była bardzo piękna, upływ czasu podkopał jej perspektywę i w końcu zapas konkurentów się wyczerpał. Ardżumand i Harun nie wymienili więcej ani jednego słowa. *Mnie przedarta na pół już bardzo dawno temu.*

Ardżumand Harappa zdobyła kwalifikacje w zakresie prawa, aktywnie uczestniczyła w zielonej rewolucji, usuwała zamindarów z pałaców, otwierała lochy, urządzała naloty na domy gwiazd filmowych i rozcinała ich materace długim nożem o podwójnym ostrzu, wybuchała śmiechem, kiedy brudne pieniądze wysypywały się spomiędzy sprężyn. W sądzie oskarżała

wrogów państwa z pełną zajadłości troską o szczegóły, która wzbogaciła jej przydomek o nowe, mniej ordynarne znaczenie; pewnego razu, kiedy przybyła do swojego mieszkania, stwierdziła, że jakiś żartowniś włamał się nocą i na środku pokoju zostawił prezent, wyraz szyderstwa: dolną część zabytkowej i zardzewiałej zbroi, parę satyrycznych metalowych nóg ustawionych na dywanie w pozycji na baczność - pięty razem; wokół pustej talii starannie umieścił zamykany na kłódkę metalowy pas - Ardżumand Harappa, dziewczica Żelazne Majtki. Tamtej nocy płakała. Siedziała na podłodze w gabinecie ojca, opierając głowę na ojcowskim kolanie.

- Nienawidzą mnie.

Iskander chwycił ją i potrząsnął, aż zdumienie osuszyło jej łzy.

- Kto cię nienawidzi? - zapytał. - Tylko mi powiedz. Twój wrogowie są moimi, a moi są wrogami ludu. Nie ma się czego wstydzić, jeśli nienawidzą cię te bękarty.

Wtedy zrozumiała, w jaki sposób miłość rodzi nienawiść.

- Ja buduję ten kraj - powiedział spokojnie Iskander - tworzę go tak samo, jak się tworzy małżeństwo. Potrzeba do tego siły i troski. Szkoda czasu na łzy, jeśli chcesz pomóc.

Wytarła oczy i uśmiechnęła się.

- Poliginia, oto, co ci odpowiada - po przyjacielsku uderzyła go pięścią w nogę - w głębi serca jesteś staromodnym, zacofanym typem! Zależy ci po prostu na małżeństwach i konkubinatach. Nowoczesny człowiek, też coś.

- Panie Harappa - pyta dziennikarz angreskiej telewizji -wielu komentatorów zgodnie powtarza, bo pogląd to szeroko rozpowszechniony, otóż niektóre kręgi utrzymują, pańscy przeciwnicy podkreślają, co by pan powiedział na sugestię, że zgodnie z pewnymi standardami, stosownie do niektórych punktów widzenia, niejako w pewnym aspekcie pański styl rządzenia można chyba opisać jako będący, oczywiście do pewnego stopnia...

- Widzę, że teraz wywiady ze mną przeprowadzać będą dzieci - wtrąca kilka słów Isky.

Dziennikarz zaczyna się pocić. Kamera robi cięcie, ale Ardżumand pamięta.

- ...arystokratyczny - kończy dziennikarz - despotyczny, nietolerancyjni skłonny do represji.

Iskander Harappa uśmiecha się, rozpira w fotelu Ludwika XV, bierze łyk ruhafzy z kryształowego kieliszka.

- Równie dobrze można powiedzieć, że nie jest mi łatwo znosić głupców. Lecz, jak widać, jakoś ich znoszę.

W Mohendźo Ardżumand znowu odtwarza kasety wideo ojca. Odtwarza je w pokoju, gdzie zostały nagrane, przygniata ją ta rozmowa, to elektroniczne zmartwychwstanie za

pośrednictwem pilota. Tak, znosił ich. Jego imię zapisało się w historii literami z płynnego złota; dlaczego miałyby się godzić na mosiądz? Tak, tak, są tutaj na taśmie, można ufać zachodnim dziennikarzom, ci przefiltrują zbiorniki sukcesów i później pojawią się z garściami szumowin. Tortuował mnie, wyją, wyrzucił, zamknął w więzieniu, uciekłem, aby uratować życie. Dobra telewizja: sprawia, że nasi przywódcy wyglądają jak prymitywni, szaleni ludzie, nawet jeśli wykształcili się za granicą i noszą znakomite ubrania. Tak, malkontenci. Tylko oni ich obchodzą.

Nie lubił sporów. Musieli robić, co im kazał, i to natychmiast, szast-prast, albo zmiatać. Było dokładnie tak, jak być powinno. Wystarczy popatrzeć, z kim musiał pracować - dotyczy to nawet ministrów. Z kameleonami, gniazdowijcami, zdrajcami, pochlebcami, mnóstwem podobnych typów. Nie ufał żadnemu z nich, dlatego utworzył Federalną Służbę Bezpieczeństwa, na której czele stanął Talwar Ulhaq. „Informacja jest światłem” - powiedział przewodniczący Iskander Harappa.

Dzięki darowi jasnowidzenia Talwar Ulhaq zebrał wyczerpujące dossier obejmujące przekupstwa, konspiracje, unikanie podatków, niebezpieczne rozmowy na uroczystych obiadach, sekty studenckie, homoseksualizm, źródła zdrady. Talent jasnowidza umożliwił mu aresztowanie zdrajcy jeszcze przed popełnieniem aktu zdrady i w ten sposób uratowanie ludziom życia. Negatywistyczne elementy atakowały FSB i być może zdołałyby wyłączyć wielkie oczyszczające światło, przeto bardzo dobrze, że znalazły się w więzieniu, bo dla malkontentów nie istnieje lepsze miejsce. Okres odrodzenia narodu to nie czas dla tego rodzaju typów. - Jako naród charakteryzuje nas pozytywny duch samozniszczenia - oświadczył Iskander pewnego razu Ardżumand - rozszarpujemy siebie, pożeramy nasze dzieci, ściągamy w dół każdego, kto tylko podskoczy. Mimo wszystko twierdzą, że przeżyjemy.

- Nikt nie może mnie obalić - powiada duch Isky'ego do elektronicznego cienia angreskiego dziennikarza - ani tłuste kocury, ani Amerykanie, ani nawet ty. Kim jestem? Wcieleniem miłości ludu.

Masy kontra klasy, stare przeciwieństwo. Kto go kochał? Lud, który w żadnym razie nie jest tylko romantyczną abstrakcją, wie, kto jest wrażliwy, bystry, kto mu najlepiej służy. Kto go kochał? Pinkie Aurangzeb, Rani Harappa, Ardżumand, Talwar, Harun. Ależ różnice między członkami tego kwintetu! Między żoną i kochanką, matką i córką, odrzuconą Ardżumand i odrzuconym Harunem, odrzuconym Harunem i uzurpatorem Talwarem... być może, rozmyśla Ardżumand, jego upadek to nasza wina. Przez nasze podzielone szeregi przedarły się oddziały jego porażki.

Oni. Tłuste kocury, przemytnicy, kaznodzieje. Ludzie miasta, którzy zachowali pamięć o jego beztroskiej młodości i nie potrafili znieść myśli, że wielki człowiek wyskoczył z tamtego rozwiązłego kokonu. Szefowie fabryk, którzy mniejszą wagę przywiązywali do utrzymania swoich robotników niż do stanu importowanych krosien, a których on, Przewodniczący, zmusił do zaakceptowania niemożliwego, to znaczy łączenia się pracowników w związki zawodowe. Lichwiarze, oszuści, banki. Amerykański ambasador.

Ambasadorzy: przez sześć lat miał do czynienia z dziewięcioma. Do tego z pięcioma angielskimi szefami misji oraz trzema rosyjskimi. Ardżumand i Iskander często się zakładali, jak długo przybysz wytrzyma; następnie Isky, szczęśliwy jak chłopiec, który dostał nową zabawkę, na przykład kijek i kółko, przystępował do robienia im z życia piekła. Tygodniami czekali na audiencje, odmawiał im pozwoleń na polowanie, przerywał w środku zdania. Zapraszał ich na bankiety, przy czym rosyjskiemu ambasadorowi serwowano zupę z ptasiego gniazda i kaczkę po pekińsku, natomiast amerykański dostawał barszcz i bliny. Nie flirtował z ich żonami. W obecności brytyjskiego ambasadora udawał wieśniaka prosto z prowincji i posługiwał się tylko jakimś wulgarnym regionalnym dialektem; w przypadku Stanów Zjednoczonych przyjmował taktykę zgoła odmienną i zwracał się do ich przedstawicieli kwiecistą francuszczyzną. Ambasadom nieustannie dawały się we znaki przerwy w dostawie prądu. Isky często otwierał przesyłki dyplomatyczne i osobiście dodawał szokujące uwagi do raportów ambasadorów; właśnie dlatego pewien rosyjski dyplomata został kiedyś wezwany do kraju, gdzie poproszono go o wyjaśnienie niezwykłych teorii na temat ojcostwa czołowych postaci Biura Politycznego; nigdy nie wrócił. W Stanach na kolumnie amerykańskiego dziennikarza Jacka Andersona znalazł się przemycony dokument, w którym amerykański delegat na dwór Iskandra najwyraźniej niedwuznacznie przyznawał, że od dawna czuje pociąg seksualny do sekretarza stanu Kissingera. I był to koniec tego ambasadora. - Musiało minąć trochę czasu, zanim dostali się w moje tryby - przyznawał Iskander w rozmowie z Ardżumand - ale kiedy już do tego doszło, ci faceci nigdy już nie zaznawali snu.

Kazał pozakładać dwustronne pluskwy w ich telefonach, potem sowieckiego ambasadora prześladowały nieustannie nagrania *Hail to the Chief*, natomiast Amerykanin wysłuchiwał myśli przewodniczącego Mao. Prze-szmuglował mnóstwo pięknych młodzieńców do łóżka ambasadora Wielkiej Brytanii, w znacznej mierze ku konsternacji, żeby nie powiedzieć zadowoleniu jego żony, która następnie z reguły udawała się do sypialni bardzo wcześnie, ot, na wszelki wypadek. Usuwał attache kulturalnych i od rolnictwa. Wzywał ambasadorów o trzeciej nad ranem i wydzierał się na nich do rana, oskarżając o knowania z fanatykami religijnymi i nielojalnymi nababami tekstylnymi. Odcinał kanalizację i cenzurował

nadchodzącą do nich pocztę, pozbawiając Anglików zaprenumerowanych egzemplarzy przeglądu wyścigów konnych, Rosjan „Playboya”, Amerykanów zaś wszystkiego poza tym ostatnim. Ostatni z dziewięciu Amerykanów przetrwał tylko osiem tygodni, po czym biedak umarł na atak serca dwa dni przed przewrotem, który doprowadził do detronizacji Isky'ego i zakończenia gry. Jeżeli utrzymam się długo - rozmyślał Przewodniczący - to może uda mi się zniszczyć całą międzynarodową sieć dyplomatyczną, byle starczyło mi energii.

W piętnastym stuleciu doszedł do władzy wielki człowiek. Tak jest, wydawał się wszechmocny, potrafił sobie żartować z emisariuszy prawdziwych potęg, spójrzcie *na mnie*, dawał do zrozumienia, *nie możecie mnie złapać*. Nieśmiertelny, niewrażliwy na ciosy Harappa. Ludzie czuli się dumni... dziesiąty amerykański ambasador przybył już po aresztowaniu Iskandra; na jego twarzy malował się wyraz zbawiennej ulgi. Kiedy przedstawiał Razię Hajdarowi listy uwierzytelniające, mruknął cicho:

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale mam nadzieję, że brakuje panu poczucia humoru poprzednika.

- Kwestia stabilności narodu - oparł Hajdar - to nie temat do żartów.

Gdy pewnego razu Ardżumand odwiedziła ojca w jego więziennej norze, Iskander, pokaleczony, wychudzony, chory na dyzenterię, zmusił się do uśmiechu. - len dziesiąty bękart wydaje się skończonym dupkiem - powiedział z żalem. - Szkoda, że nie udało mi się przekroczyć dziesiątki.

W piętnaste stulecie... lecz ten wiek, wbrew plakatom, nie rozpoczął się rokiem jego awansu. To ostatnie wydarzyło się dopiero później. Ale tak silny był pęd Iskandra, że przełom wieków, rzeczywiste przejście tysiąca trzystu w tysiąc czterysta, kiedy wreszcie do niego doszło, sprawiało wrażenie czegoś w rodzaju antyszczytowania. *Jego wielkość pokonała sam Czas*. NOWY CZŁOWIEK NA NOWE STULECIE... tak, wskazał drogę, na długo przed Czasem. Ale Czas potraktował go nieuczciwie, oblewając pomyjami. Zemsta Czasu: powieszono go do wyschnięcia.

Powiesili go w środku nocy, potem odcięli, zawinęli w płótno i przekazali Talwarowi Ulhaqowi, który go umieścił w samolocie i przetransportował do Mohendzo, gdzie pod strażą czekały dwie kobiety. Kiedy wydobyto ciało, załoga fokkera „Przyjaźń” nie chciała opuścić maszyny. Samolot czekał na Talwara na początku pasa startowego, roztaczając wokół siebie nerwową mgiełkę, jakby nie mógł znieść pozostawania w tym miejscu ani chwili dłużej, niż było to absolutnie potrzebne. Rani i Ardżumand przewieziono do Sikandry, owej granicznej strefy Mohendzo, gdzie zawsze grzebano Harappów. I ujrzały pośród marmurowych parasoli

grobowców głęboką dziurę. Talwar Ulhaq stał na baczność obok owiniętego w biel ciała. Rani Harappa, teraz siwa niczym zjawa Pinkie Aurangzeb, nie płakała.

- Zatem to on - powiedziała. Talwar skinął sztywno głową. - Pokaż mi twarz męża.

- Powinnaś sobie tego oszczędzić - odparł Talwar. - Powieszono go.

- Milcz - rzuciła Rani. - Odsuń prześcieradło.

- Bardzo żałuję - skłonił się ponownie Talwar Ulhaq -ale mam rozkazy.

- Jakie rozkazy? - Rani nie podniosła głosu. - Kto może mi zabronić?

Lecz Talwar powtórzył:

- Szczerze żałuję - i opuścił oczy zdrajcy. Talwar i Raza, policjant i żołnierz: ludzie Isky'ego.

- W takim razie coś się stało z ciałem - powiedziała Rani, na co Talwar Zesztywniał.

- Twój mąż nie żyje - warknął - to co się może teraz dzieć z jego ciałem?

- W takim razie pozwól mi go pocałować przez płótno - szepnęła Rani i pochyliła się nad owiniętą postacią.

Talwar nie próbował jej powstrzymać, póki nie uświadomił sobie, do czego zmierza, ale wtedy już wydarła dużą dziurę, a w niej z otwartymi szeroko oczami ukazała się szara twarz Iskandra.

- Nawet ich nie zamknąłeś - po raz pierwszy odezwała się Ardżumand. Jej matka zamilkła, intensywnie wpatrzona w mięsiste usta, w srebrzyste włosy, póki jej nie odciągnięto...

- No dalej - rzekła Rani - pogrzebicie świadectwo waszej hańby. Ja już je zobaczyłam.

Kiedy grzebano Iskandra, słońce wyskoczyło nad horyzont.

- Wisielcowi - powiedziała w zamyśleniu Rani Harappa, jadąc z powrotem samochodem - oczy wychodzą z orbit. Twarz mu sinieje. Język wychodzi na wierzch.

- Na miłość boską, mamo!

- Dochodzi do wypróżnienia, ale to mogli wyczyścić. Wyczułam jakieś środki dezynfekcyjne.

- Nie chcę tego słuchać.

- Może także twarz, mają ludzi do usuwania takich rzeczy, do wycinania języka, aby usta się zamknęły. Może wynajęli artystę od makijażu.

Ardżumand Harappa zasłoniła uszy.

- Pozostaje jedno. Na szyi powieszzonego mężczyzny pozostaje ślad. Szyja Iskandra jest czysta.

- To odrażające - stwierdziła Ardżumand. - Będę wymiotować.

- Nie rozumiesz! - krzyknęła na nią Rani Harappa. - Jeśli nie pozostał ślad po sznurze, to

dlatego, że Isky był martwy już wcześniej. Nie rozumiesz tego, głupia? Powiesili trupa.

Dłonie Ardżumand opadły na uda.

- O Boże. - Szyja wolna od śladu - brak karty wizytowej śmierci. Tknięta brakiem sensu, Ardżumand wykrzyknęła: - Dlaczego mówisz z takim przekonaniem, mamó? Co ty wiesz o wisielcach i w ogóle?!

- Zapomniałaś, że widziałam Małego Mira - powiedziała łagodnie Rani.

Tamtego dnia Rani Harappa po raz pierwszy spróbowała zadzwonić do starej przyjaciółki Bilquis Hajdar.

- Przykro mi - usłyszała - begam Hajdar nie może podejść.

W takim razie to prawda - pomyślała Rani. Biedna Bilquis. Ją także odizolował.

Rani i Ardżumand przebywały w areszcie domowym sześć lat, dwa lata przed egzekucją Iskandra Harappy i cztery po niej. W tym czasie w ogóle nie udało im się zbliżyć, ponieważ obie miały całkowicie odmienne, nie przystające do siebie wspomnienia. Tylko jedno je łączyło - żadna nie płakała po śmierci Iskandra. Oczy miały suche z powodu istnienia w Mohendzo niewielkiego łańcucha górskiego wojskowych brezentowych namiotów, który powstał jakby po trzęsieniu ziemi na tym samym dziedzińcu, gdzie swego czasu Raza Hajdar przykuł się do ziemi. Mieszkały na zagarniętej ziemi, na terytorium okupowanym i były zdecydowane nie pozwolić najeźdźcom ujrzeć swych łez. Z początku starał się je do tego nakłonić główny strażnik więzienny, niejaki kapitan Idżazz, młodzieniec krągły jak beczka, ze szczeciniastym językiem na głowie i meszkiem na górnej wardze, który uparcie nie zmieniał się w wąsy.

- Bóg dobrze wie, jakie jesteście, wy, kobiety - wzruszył ramionami. - Nadziane suki. Wasz facet nie żyje, a wy nie chcecie nawet zapłakać nad jego grobem.

Rani Harappa nie dała się sprowokować.

- To racja - odparła. - Bóg wie. I wie wszystko o młodzieńcach w mundurach. Mosiężne guziki niczego przed nim nie ukryją.

W ciągu tych lat, gdy czuły na sobie podejrzliwe spojrzenia żołnierzy, w chłodnej bryzie osamotnienia córki, Rani Harappa nadal wyszywała wełniane szale.

- Areszt domowy niewiele zmienia - stwierdziła na samym początku w obecności kapitana Idżazza - przynajmniej w mojej sytuacji. Oznacza jedynie, że wokół jest kilka nowych twarzy i od czasu do czasu mam z kim zamienić parę słów.

- Nie wyobrażaj sobie, że jestem waszym przyjacielem - zawołał Idżazz, pot błyszczał na porośniętej meszkiem wardze. - Skoro już zabiliśmy tamten bękarci pomiot, to niedługo

skonfiskujemy dom. Całe złoto i srebro, wszystkie nieprzyzwoite malowidła z zagranicy, na których widać nagie kobiety i ni to mężczyzn, ni to konie. Muszę iść.

- Zaczynjcie od obrazów w mojej sypialni - poradziła mu Rani. - Są warte najwięcej. I dajcie znać, jeśli będziecie potrzebowali pomocy w odróżnieniu prawdziwego srebra od przedmiotów jedynie posrebrzanych.

Kiedy kapitan Idżazz przybył do Mohendźo, nie miał jeszcze dziewiętnastu lat. Wobec chaosu sprzecznych dążeń młodości ustawicznie przerzucał się od pyszałkowatości wyrosłej na pożywcze zażenowania - bo został wysłany do pilnowania tych tak sławnych kobiet - do wstydlivej nieporadności, rezultatu młodego wieku. Kiedy Rani Harappa zaoferowała mu pomoc przy plądrowaniu Mohendźo, krzemień wstydu rozżarzył hubkę dumy i wtedy kapitan nakazał swoim ludziom, aby przed frontową werandą ułożyli stos z wartościowych przedmiotów. Siedziała tam z neutralnym, spokojnym wyrazem twarzy i pracowała nad szalem. Babar Śakil w swojej krótkiej młodości spalił kiedyś zbiór reliktyw; kapitan Idżazz, który nigdy nie słyszał o chłopcu, który został aniołem, rozpałił ów ogień w Mohendźo, ognisko niepokojące, bo przywołujące przeszłość. Przez cały dzień płomieni Rani Harappa kierowała dziełem zniszczenia, dopilnowując, aby pierwszorzędnny wybór mebli i najbardziej wyrafinowane dzieła sztuki znalazły się w ogniu.

Dwa dni później Idżazz przyszedł do Rani, która jak zwykle siedziała w swoim fotelu na biegunach, i przeprosił oschle za czyn, jakiego się w sposób niepohamowany dopuścił.

- Ależ był to całkiem niezły pomysł - odparła. - Mnie i tak nie bardzo się podobały te starocie, ale Isky byłby się wściekł, gdybym próbowała je wyrzucić.

Po ogniowym splądrowaniu Mohendźo Idżazz zaczął traktować Rani Harappę z szacunkiem, a przed upływem sześciu lat nie myślał o niej inaczej jak o matce, ponieważ dorósł na jej oczach. Pozbawiony normalnego życia i koszarowego towarzystwa, Idżazz zaczął się zwierzać Rani, przekazywać jej wszystkie w połowie ukształtowane marzenia o kobietach i małej farmie na północy.

Taki już mój los - pomyślała Rani - że ludzie pomyłkowo biorą mnie za swoją matkę. Pamiętała, że pod koniec nawet Iskander popełniał ten błąd. Kiedy ostatni raz odwiedził Mohendźo, pokłonił się i ucałował jej stopy.

Każda z dwóch kobiet na swój sposób zemściła się na swoim prześladowcy. Rani sprawiła, że pokochał ją i zarazem zniechęcił siebie; ale Ardżumand zaczęła robić coś, czego do tej pory nigdy w życiu nie robiła, to znaczy stroić się, nie zatem dziwnego, że wyglądała zabójczo. Dziewica Żelazne Majtki kołysała biodrami, podrygiwała pośladkami, strzelała oczami w stronę wszystkich żołnierzy, lecz przede wszystkim w kierunku brzoskwiniowej

twarży kapitana Idżazza. Wynik jej zachowania okazał się dramatyczny. Pod brezentem Mini Himalajów dochodziło do bójek, wybijano sobie nawzajem zęby, żołnierze nożami zadawali towarzyszom rany cięte. Sam Idżazz wył wewnątrz w szponach żądy tak gwałtownej, że gotów był eksplodować niczym balon pełen barwionej wody. Pewnego popołudnia, kiedy jej matka spała, zaskoczył Ardżumand, zostali sam na sam.

- Nie myśl, że nie wiem, do czego jesteście zdolne - ostrzegł ją - wy, bogate dziwki. Uważasz, że możesz wszystko. W mojej rodzinnej wiosce dziewczyna zostałaby ukamienowana, gdyby zachowywała się tak jak ty, no, za wulgarność, wiesz, o co mi chodzi.

- W takim razie ukamienujcie mnie. Proszę bardzo, jeśli starczy wam odwagi - odparła Ardżumand.

Miesiąc później Idżazz przemówił do niej znowu.

- Moi ludzie chcą cię zgwałcić! - wrzasnął bezradnie. - Dostrzegam to w ich twarzach. Dlaczego miałbym ich powstrzymywać? Powiniennem na to pozwolić; sama ściągasz tę hańbę na swoją głowę.

- Ależ pozwól im przyjść, proszę bardzo - odparła Ardżumand. - Ale ty musisz być pierwszy.

- Ladacznicą - wyzwał ją - nie wiesz, że jesteś w naszej mocy? Wszystkich guzik obchodzi, co się z wami stanie.

- Wiem - powiedziała.

Pod koniec domowego aresztu, kiedy Ardżumand kazała uwięzić kapitana Idżazza i męczyć go powoli, póki nie skona, miał dwadzieścia cztery lata; ale jego włosy, tak jak zmarłego Iskandra Harappy, stały się przedwcześnie białe jak śnieg. Gdy go zabrali do izby tortur, nim zaczął krzyżeć, wypowiedział jeszcze dwa słowa: „Co nowego?”

Przez sześć lat Rani Harappa kołysała się w fotelu na werandzie i wyszyła osiemnaście szali, wykonała najwyborniejsze ze swoich robótek; ale zamiast chwalić się nimi przed Ardżumand albo żołnierzami, składała sztukę po sztuce w metalowym kufrze z kulkami naftaliny i zamykała je na zamek. Klucz do kufra był jedynym, jaki wolno jej było zatrzymać. Kapitan Idżazz trzymał pozostałe na wielkim kółku u swojego paska, co przypominało Rani o Bilquis Hajdar, która czuła się zmuszona do zamykania drzwi pod wpływem popołudniowego wiatru. *Biedna Bilquis*. Rani tęskniła za rozmowami telefonicznymi, które kiedyś odbywały. Czyny mężczyzn przerwały to połączenie między kobietami, ową odżywczą pepowinę, którą w różnych czasach przepływały słowa wsparcia raz w jedną, innym razem w drugą stronę, zgodnie z jej niewidocznym pulsowaniem.

Nic się nie da zrobić. Rani pracowała flegmatycznie nad swoimi doskonałymi szalami. Z początku kapitan *Idżazz* próbował odmówić jej igieł i nici, ale dosyć szybko, posługując się orężem wstydu, skłoniła go, by tego nie robił. - Chyba nie myślisz, że zamierzam się ponakłuwać z twojego powodu, chłopcze - powiedziała mu. - A może co innego przyszło ci do głowy? Że powieszę się, zacisnę sobie na szyi pętlę z włóczki? - Niezwykły spokój żony Iskandra (to się wydarzyło, kiedy jeszcze żył) odmienił tego dnia wszystko. *Idżazz* zgodził się nawet sprowadzić z magazynów wojskowych kłębki wełny o określonych przez nią kolorach i grubości; wtedy znowu przystąpiła do pracy, do tkania szali, owych miękkich pól, a potem uprawiać na nich żywe i magiczne twory czarodziejskiej sztuki.

Osiemnaście szali zamkniętych w kufrze: również Rani uwieczniała wspomnienia. Harappa męczennik, półbóg, żył nadal w myślach swej córki; tylko że dwa zestawy wspomnień nigdy do siebie nie pasują, nawet jeśli dotyczą tego samego... Rani nigdy nie pokazywała swojej pracy, dopiero po latach wysłała kufer *Ardżumand* jako podarunek. Nikt nawet nie spojrzał nad jej ramieniem, kiedy pracowała. Ani żołnierzy, ani córki nie interesowało to, czym się zajmuje pani Harappa, aby jakoś wypełnić wolny czas.

Epitafium z wełny. Osiemnaście szali wspomnień. Każdy artysta ma prawo zatytułować swoje dzieło; nim Rani wysłała kufer potężnej od niedawna córce, do środka włożyła kartkę. Na kartce umieściła wybrany tytuł: *Bezwstyd Iskandra Wielkiego*. Dodała do tego zdumiewający podpis: *Rani Humajun*. Nazwisko wydobyte spomiędzy kulek na mole przeszłości.

Co przedstawiały szale?

Zamknięte w kufrze, opowiadały o sprawach nie wypowiedzianych, o których nikt nie chciał słuchać. Szal kometkowy, o cytrynowozielonym tle - w delikatnym obrysie z zachodzących na siebie rakiet, lotek i obszytych falbanką majteczek leżał rozebrany nasz wielki człowiek, wszędzie zaś dookoła płały konkubiny o różowej cerze; sportowe ubrania spływały lekko z ich ciał; jakże wyśmienicie uchwycono falowanie materiału na wietrze; jak subtelnie oddano grę światła i cienia!; kobiety zdawały się wyswobadzać z ciasnoty białych koszul, biustonoszy, tenisówek, zrzucały je, tymczasem Isky, wyciągnięty leniwie na lewym boku, podparty na łokciu, przyjmował ich starania, *tak, moja córko, wiem, zrobiłaś z niego świętego, przelknęłaś gładko wszystko, co ci podsunął, upór, papieski celibat, ale nie był w stanie wytrwać w tym zbyt długo, ten człowiek hołdujący rozkoszy, choć pozornie oddany obowiązkom, ten arystokrata, który egzekwował prawa senioralne, żaden mężczyzna nie ukrywał lepiej swych grzechów, ale ja o nich wiedziałam, przede mną nie krył niczego, wiedziałam, jak białe dziewczęta we wsi pączkują i rozkwitają, wiedziałam o małych, lecz*

regularnych datkach, które im posyłał, dzieciom Harappy nie wolno głodować, potem, kiedy upadł, przychodziły do mnie. Szal o policzkowaniu - Iskander unoszący dłoń ponad tysiąc razy, na ministrów, ambasadorów, kłótliwych kapłanów, fabrykantów, sługi, przyjaciół, mogło się zdawać, że znalazły się tu wszystkie te uderzenia, nie uwierzysz, ile razy uczynił to, Ardżumand, nie tobie, ciebie by nie ruszył, ale tylko się przyjrzyj trwałym rumieńcom na policzkach współczesnych mu ludzi, jego dłoń je zostawiła. Szal o kopaniu - z Iskandrem kopiącym tyłki, prowokującym ich właścicieli do uczuć innych niż miłość. Szal o @posykiwaniu - Iskander siedział w gabinecie swej chwały, przedstawionym z niezwykłą dbałością o szczegóły, tak że niemal się wyczuwało zapach tej przerażającej izby z charakterystycznymi betonowymi łukami, oprawionymi w ramy jego Myśłami, piórami Mont Blanc sterczącymi w stojaczkach niczym czarne turnie i białymi na nich gwiazdkami, które zostawiła igła skrupulatnej artystki; to sala cieni i potęgi, tutaj żaden cień nie przysłał pustki, oczy błyszczały w każdej strefie mroku, drgały czerwone języki, szepty rozchodziły się srebrną przędzą po materiale: Iskander i jego szpiedzy, największy pająk w samym środku sieci słuchaczy i szeptaczy, srebrne nici pajęczyny rozchodziły się promieniście od jego twarzy, srebrna nić Rani wyraziła pajęczy terror tamtych dni, gdy mężczyźni okłamywali synów, a rozłuszczonym kobietom wystarczyło mruknąć do wiatru, żeby ściągnąć srogą zemstę na swoich kochanków, nigdy nie czułaś tego okropnego niepokoju, Ardżumand, rozmyślaj, o czym to on może wiedzieć. Szal poświęcony torturom - wyszyła na nim cuchnącą przemoc panującą w jego więzieniach, więźniów z przepaskami na oczach, przywiązanych do krzeseł, oprawcy oblewali ich wodą z wiader, a to podgrzaną do temperatury wrzenia (unosila się para z przędzy), a to zimną jak lód, póki ciałom ofiar się nie pomieszało i zimna woda nie wywołała palących oparzeń na skórze - pręgi z czerwonej włóczki na powierzchni szala wystąpiły niczym oparzeliny. I biały szal, wyszyty bielą na bieli tak, by jego tajemnice mogły odkryć tylko najbardziej uważne, bystre oczy -ukazuje policjantów, bo Isky dał im nowe mundury, białe od stóp po czubek głowy: białe hełmy ze srebrnymi bolcami, białe skórzane pokrowce na broń, białe wysokie buty; policjantów prowadzących dyskoteki, gdzie wódka lała się zupełnie swobodnie, białe butelki z białymi naklejkami, białe proszki wdychane z białych grzbietów rękawiczek, przymykał oczy, rozumiał, chciał, żeby policja była silna, armia zaś słaba, biel, córko, oślepiła go. I szal o przysięganiu; usta Iskandra szerokie jak Otchłań, przysięgę reprezentowały plugawe stworzenia, który wypełzały z jego ust, cynobrowe karaluchy, rdzawe jaszczurki, turkusowe pijawki, brunatnożółte skorpiony, pająki w kolorze indygo, szczury albinosy, ponieważ tego także nigdy nie zaprzestał, jakże wybiórcze, Ardżumand, były twoje uszy. I szal o międzynarodowej hańbie - Isky warujący przy chińskich stopach w kolorze pierwiosnka; Isky

konspirujący z Pahlawim, Isky w objęciach papy Amina; Iskander eschatologiczny, kierujący bombą atomową; Harappa i Kudłaty Pies niczym okrutni chłopcy podczas rozcinania szyi szmaragdowego kurczaka i wrywania piór, jednego po drugim, z jego wschodniego skrzydła. I szale wyborcze -jeden z okazji dnia głosowania, kiedy rozpoczęły się rządy Isky'ego, jeden z okazji dnia jego upadku, szale pełne postaci, zdumiewająco wiernych wizerunków członków Frontu, figurek łamiących pieczęci, upychających głosy do urn, miażdżących głowy, figurek podchodzących rozkołysanym krokiem do głosujących chłopów, aby sprawdzić, jak głosują, figurki wymachujące kijami, dźwigające karabiny, figurki podpalaczy, członków band; na szalu o drugiej elekcji było trzy razy więcej postaci niż na pierwszym, ale choć całą powierzchnię zapełniał tłum, żadna twarz nie była anonimowa, każda maleńka istota miała imię - był to akt oskarżenia na największą do wyobrażenia skalę, *i oczywiście w końcu by odniósł zwycięstwo, córko, bez wątpienia, poważne zwycięstwo, ale on chciał znacznie więcej, jedynie unicestwienie było wystarczająco dobre dla jego oponentów, chciał ich rozgnieść jak butem rozgniata się karaluchy, tak, unicestwienie, nareszcie i to mu przyszło do głowy, nie myśl, że nie był zdziwiony, zdążył zapomnieć, iż jest tylko człowiekiem..* Szal alegoryczny - Iskander i Śmierć Demokracji, jego ręce wokół jej szyi, zaciśnięte na krtani, oczy jej wyszły z orbit, twarz zsiniała, wyszedł język, sfajdała się w piżamę, haczykowatymi dłońmi próbowała chwycić powietrze, a Iskander, zamknąwszy oczy, ścisnął i ścisnął, nie przestawał, tymczasem w tle stali generałowie; cud talentu mistrzyni igły sprawił, że scena morderstwa odbijała się w okularach, które wszyscy nosili, wszyscy poza generałem z wyraźnymi czarnymi obwódkami wokół oczu i łzami na policzkach, nieco dalej inne postacie wyglądały nad umundurowanymi ramionami, przez epolety, pod pachami, to krótko ostrzyżeni Amerykanie i Rosjanie w luźnych garniturach, a nawet sam wielki Tse-tung, wszyscy oni tylko patrzyli, nawet palcem nie musieli ruszać, *nie ma potrzeby patrzeć za twojego ojca, Ardżumand, nie ma potrzeby doszukiwać się spiskowców, on sam wykonał za nich zadanie, nawet nie musieli psuć powietrza, jestem nadzieją, zwykł mawiać, i był nią, ale niestety zrzucił ten płaszcz i zamienił się w kogoś innego,* w Iskandra mordercę możliwości, uwiecznionego w materiale, na którym ona, artystka, przestawiła ofiarę jako dziewczynę młodą, małą, kruchą, wewnętrznie wyniszczoną - za model posłużył jej pamięciowy wizerunek niewinnej idiotki, dziecka, Sufiji Zinobii Hajdar (obecnie Śakil) - charczącą i spurpurowiałą w zaciśniętej pięści Iskandra. I szal autobiograficzny - portret artystki jako starej jędzy, autoportret Rani przedstawionej jako istota powstała z tego samego budulca co dom - z drewna, cegieł, blachy; jej ciało przeszło w materię Mohendżo, była ziemią, szczelinami, pajakami; tę scenę zasnęła delikatna mgiełka zapomnienia. Ten szal był czternasty, natomiast piętnasty dotyczył piętnastego stulecia, okazał się owym słynnym

plakatem odtworzonym igłą i nitką, Iskander pokazuje przyszłość, tylko że na horyzoncie nie ma nic, żadnych palców poranka, tylko bezkresne fale nocy. Kolejny szal przedstawiał Pinkie w scenie samobójstwa. Ostatnie dwa były najgorsze - szal o piekle, które, jak się zorientował Omar Chajjam Śakil już jako dziecko, znajdowało się na zachodzie kraju w sąsiedztwie K., gdzie całkowicie niepostrzeżenie w ślad za secesją Wschodu zrodził się ruch separatystów; nastąpiło rozmnożenie owieczkojebców, ale wyrznął ich do nogi, wszystko było tam szkarłatne, tylko szkarłatne i jeszcze raz szkarłatne, to, co uczynił, by nie było już więcej secesji, w imię hasła „nigdy więcej Wschodniego Skrzydła”, ciała leżały porozrzucane to tu, to tam na powierzchni szala: mężczyźni pozbawieni genitaliów, porąbane nogi, wnętrzności na miejscu twarzy, słowem obcy legion trupów zacierający wspomnienie o rządach Razy Hajdara, w retrospektywie nadający tamtemu okresowi pewien aspekt łagodności i tolerancji, *ponieważ z nikim porównać się go nie da, córko, tego zwykłego człowieka, twojego mistrza ludzkiego podejścia, straciłam rachubę zwłok na moim szalu, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto tysięcy trupów, kto wie, brak szkarłatnej nici na tej ziemi, aby przedstawić krew, ludzi powieszonych głową w dół i psy przy ich wnętrznościach, ludzi o drugich ustach rozchylonych w bezradnym uśmiechu dziur po pociskach, ludzi zjednoczonych w robaczym świecie z szala życia i śmierci.* Ostatni szal, a na nim Mały Mir Harappa, Mały Mir pogrzebany pod jakimś pnem, ale oczywiście podniósł się, aby pochwycić swego kuzyna w urojony uścisk, wciągając Iskandra Harappę do piekła... osiemnasty szal i arcydzieło, panoramiczny krajobraz, twarda ziemia jej wygnania rozciągająca się na powierzchni materiału; od Mohendzo po Daro, wieśniacy dźwigali wiadra na nosidłach, konie biegały swobodnie, kobiety uprawiały ziemię, światła poranka rozpalone w cudzie różowo-niebieskiego haftu - Daro budziło się po nocy, a przy stopniach od strony wielkiej werandy kołysało się w porannej bryzie coś długiego i ciężkiego: pojedyncza śmierć po rzezi z siedemnastego szala, Mały Mir Harappa powieszony za szyję pod wystającym dachem rodzinnego domu, martwy w pierwszych miesiącach rządów Przewodniczącego; niewidzące oczy wpatrzone ciągle w to samo miejsce, gdzie pewnego razu zwłokom niekochanego psa pozwolono zgnić, tak jest, Rani przedstawiła jego ciało z dokładnością, która zapierała oddech w piersiach, nie zapominając o niczym, ani o wypatroszonych jelitach, ani o rozcięciu od pachą, przez które usunięto serce, ani o odciętym języku, o niczym; przy zwłokach stał wieśniak, nad nim zaś widniała wyszyta czarną nitką uwaga: Wygląda to tak - rzekł mężczyzna - jakby obrabowano ciało. Niby jakiś dom”.

To naturalnie z powodu rzekomego współuczestnictwa w zamordowaniu Małego Mira Harappy przyszło Iskandrowi walczyć o swoje życie. Oskarżony o popełnienie zbrodni został

syn martwego mężczyzny, Harun. Jednakże tego ostatniego sądzono *in absentia* po ucieczce z kraju, jak przypuszczano, choć niewykluczone, iż Harun zwyczajnie zniknął, zapadł się pod ziemię.

Żaden z morderców nie znalazł się na osiemnastym szalu Rani... lecz kiedy wszystkie osiemnaście szali rozłożono i z podziwem obejrzano, nadeszła pora odwrócić się od Harappów, Rani i Ardżumand, odizolowanych w owym domu, którego rozkład osiągnął taki stan, że krwistoczerwona woda wypływała z pordzewiałych kranów. Pora cofnąć wskazówki zegara, Iskander wstaje z grobu, ale jednocześnie usuwa się w cień opowieści. Kiedy Harappowie podnosili się i upadali, inni ludzie wiedli swoje życie.

Rozdział dziesiąty

Kobieta w woalu

Żyła sobie niegdyś młoda kobieta, Sufija Zinobia, znana też jako „Hańba”. Była drobnej budowy, miała słabość do nasion sosny, a kiedy szła, jej ramiona i nogi poruszały się w sposób wielce nieskoordynowany. Mimo ruchowej nieporadności, nie ściągnęłaby na siebie uwagi osoby postronnej jako istota szczególnie anormalna, bo w ciągu pierwszych dwudziestu jeden lat życia nabyła typowy zespół fizycznych cech - w tym małą, surową twarz - który sprawiał, że zdawała się wyglądać niezwykle dojrzałe, jeśli zapomnieć o tym, iż osiągnęła rozwój umysłowy mniej więcej siedmiolatka. Miała nawet męża, Omara Chajjama Śakila, i nigdy nie narzekała, że rodzice wybrali dla niej mężczyznę, który był od niej starszy o pełne trzydzieści jeden lat, to znaczy starszy od jej ojca. Mimo pozorów wspomniana Sufija Zinobia w istocie okazała się jedną z tych nadprzyrodzonych istot, tych aniołów mścicieli, niszczycieli, wilkołaków albo wampirów, o których chętnie czytamy w powieściach, wdychając z wdzięcznością lub choćby z odrobiną zadowolenia, gdy napędzają nam strachu, bo tak naprawdę nie wierzymy, że są czymś więcej niż tylko abstrakcjami, wytworami czyjejs wyobraźni; wiemy przecież (lecz o tym nie mówimy), że już tylko prawdopodobieństwo ich istnienia podważałoby zasady, według których żyjemy, procesy, dzięki którym rozumiemy funkcjonowanie świata.

Wewnątrz Sufiji Zinobii czaiła się Bestia. Mieliśmy okazję zaobserwować co nieco z okresu dojrzewania tego okropnego potwora; widzieliśmy, jak nasyciwszy się pewnymi emocjami, od czasu do czasu brała dziewczynę w posiadanie. W dwóch przypadkach Sufija ciężko zachorowała, otarta się o śmierć; najprawdopodobniej obie choroby, zapalenie mózgu i niewydolność systemu immunologicznego, oznaczały dążenie jej powszedniego wcielenia, mianowicie sufijozinobiości, do pokonania Bestii, choćby to się miało stać kosztem jej własnego życia. Ale Bestia nie została zniszczona. Może po jej napaści na szwagra ktoś powinien się domyślić, że jeśli zachowało się w Sufiji coś innego niż tylko jej potworo-wata cząstka, to coś stopniowo traciło zdolność opierania się krwiożerczej istocie z jej wnętrza. Ale kiedy szept Omara Chajjama zdołał w końcu wyrwać dziewczynę z transu, obudziła się w doskonałym stanie, ożywiona, odprężona i prawdopodobnie całkowicie nieświadoma, iż nieodwołalnie przerwała Talwarowi karierę zawodnika polo. Bestia znowu zapadła w odętywanie, ale kraty jej klatki zostały wyważone. Jednak wszyscy odetchnęli z ulgą. - Biedaczka, tak się zdenerwowała, że to prawie przywiodło ją do szaleństwa - stwierdziła aja

Śahbanu w rozmowie z Omarem Chajjamem - na szczęście teraz jest z nią wszystko w porządku, niech Bogu będą dzięki.

Raza Hajdar wezwał Śakila do siebie i zaproponował możliwość honorowego wycofania się z zobowiązań dotyczących małżeństwa. Słyszając to, wiekowy, acz wielce świętobliwy maulana Dawud, który był przy tym obecny, ani myślał milczeć. Jego początkowy sprzeciw wobec tego związku rozplynął się w zamglonych labiryntach matuzalowego wieku. Starzec jęknął jak zdradziecki pocisk. - Ta diablica i ten potomek diabolic niechaj razem rozpętują piekło gdzieś w innym miejscu! - wrzasnął. Omar Chajjam odparł z godnością: - Sir, jestem człowiekiem nauki; do diabła z taką mową o diabłach. Nie oddalę ukochanej dlatego, że zachorowała, przeciwnie, muszę się postarać, aby jej stan się polepszył. I nic innego nie robię.

Obecnie jestem nie mniej rozczarowany swym bohaterem niż wcześniej; nie zaliczam się do typów cierpiących na obsesje i trudno mi zrozumieć jego przypadek.

Muszę jednak przyznać, że jego miłość do upośledzonej dziewczyny zaczyna się wydawać jakby szczerą... w żadnym razie nie niweczy mego krytycyzmu wobec tego człowieka. Istoty ludzkie mają szczególny dar przekonywania o autentyczności i szlachetności pewnych aspektów własnej osobowości, które są w istocie rzeczy tylko praktyczne, fałszywe i pierwotne. W każdym razie Omar Chajjam zmierzał do zawarcia małżeństwa.

Bilquis Hajdar, która niemal postradała zmysły na skutek wydarzeń, jakie miały miejsce w dniu ślubu Dobrej Nowiny, okazała się niezdolna do wejścia w atmosferę drugiego małżeństwa. Kiedy Sufija Zinobia opuściła szpital, matka nie chciała z nią rozmawiać; dopiero w przeddzień ślubu przyszła do izby, gdzie Śahbanu oliwiła dziewczynę i układała jej włosy; przemówiła tak beznamytnie, tak ociężale, iż każde słowo zdawało się mieć odpowiedni ciężar, jakby musiała je wyciągać z bezdennej studni obowiązku. - Musisz sobie wyobrazić, że jesteś oceanem - powiedziała Sufiji Zinobii. - Niech ci się zdaje, że on, ten mężczyzna, jest morskim stworem, bo tacy właśnie są mężczyźni, żyją, aby się w tobie zatopić, w sekretnych falach twego ciała. Niedbale wodziła wzrokiem po jej twarzy. Sufija Zinobia skrzywiła się, usłyszawszy niezrozumiałe matczyne abstrakcje, i odparła głosem upartej siedmioletniej dziewczynki, który był zarazem niesamowicie zamaskowanym głosem utajonego potwora: - Nie cierpię ryb.

Jakiemu impulsowi ulegają istoty ludzkie w obliczu nocy, niebezpieczeństwa, nieznanego? Aby uciekać; odwrócić wzrok i zmykać; udawać, że zagrożenie nie zbliża się ku nim w siedmiomilowych butach. Poddać się żelaznej woli ignorowania, dzięki której usuwamy ze świadomości wszystko, czego sumienie nie jest w stanie znieść. Nie ma potrzeby

przywoływać obrazu ostrygi, aby nadać owemu impulsowi symboliczną formę; ludzkość jest bardziej uparcie ślepa niż jakiegokolwiek nielatające ptaki.

Na nikah Sufiji Zinobii (wydarzenie całkowicie prywatne; nie było gości ani namiotów; nie pojawiły się trzy matki z K., tak samo jak Dawud; zostali tylko Hajdarowie, prawnicy i Śakil) Raza Hajdar zmusił Omara Chajjama, by ten zgodził się na umieszczenie w kontrakcie ślubnym specjalnej klauzuli, na której mocy nie wolno mu było zabrać panny młodej z domu rodziców bez ich uprzedniej zgody. - Ojciec - wyjaśnił Raza - nie może się obyć bez najdroższych mieszkańców swego serca - przez co należy chyba rozumieć, iż jego nowa miłość do Sufiji rozgorzała silniej niż kiedykolwiek wcześniej i że oślepiony blaskiem tego płomienia, nie dostrzegał prawdy o niej. W następnych latach przekonywał siebie, że zamknięcie żony, otoczenie jej ścianami i zamkniętymi okiennicami, może ustrzec rodzinę przed szkodliwym dziedzictwem krwi, przed szkodliwymi namiętnościami i cierpieniami (bo jeśli dusza Sufiji Zinobii znosiła udreki, to przecież także dlatego, że Sufija Zinobia była dzieckiem szalonej kobiety - co stanowi jakieś tam wyjaśnienie).

Omar Chajjam także niczego nie dostrzegł. Poślubił córkę Hajdara, będąc w stanie naukowego zaślepienia. Sufija Zinobia uśmiechnęła się i zjadła talerz laddu przybranych srebrzystą folią. Aja Śahbanu kręciła się wokół niej niczym matka.

Powtarzam: w cywilizowanym społeczeństwie nie ma miejsca na potwory. Jeśli takie stworzenia krążą po ziemi, czynią to na jej najodleglejszych krańcach, należą do peryferii zgodnie z regułami niedowierzania... ale raz na jakiś czas ni z tego, ni z owego coś się dzieje nie tak. Wewnątrz fortyfikacji stosowności i dobrych manier przychodzi na świat Bestia, „mylny cud”. Na tym polegało zagrożenie ze strony Sufiji Zinobii; że nie pojawiła się na jaszczurzym albo diabelskim pustkowiu, tylko w centrum szanowanego świata. W rezultacie ów świat olbrzymim wysiłkiem woli starał się zignorować jej realność, uniknąć doprowadzenia sprawy do momentu, w którym ona, awatar chaosu, stanie się problemem wymagającym rozwiązania, usunięcia - bowiem jej usunięcie obnażyłoby to, co za nic w świecie nie powinno być ujawnione, mianowicie nieprawdopodobny fakt, że barbarzyństwo jest w stanie wyrosnąć na uprawnej ziemi, że okrucieństwo może leżeć ukryte pod starannie wyprasowaną koszulą przyzwoitości. Że Sufija Zinobia była, jak powiedziała jej matka, wcieleniem ich hańby. Zrozumienie dziewczyny oznaczałoby rozbicie poczucia tożsamości tych ludzi na drobne kawałeczki, jakby było zrobione z kryształu; oczywiście oni by tego nie uczynili i rzeczywiście nie uczynili przez lata. Im bardziej potężna stawała się Bestia, tym bardziej starano się nie dostrzegać jej prawdziwej istoty... Sufija Zinobia przeżyła większość członków swojej rodziny. Tych, którzy umarli za nią.

Dosyć snów o porażkach, dosyć ćwiczeń na placu z rekrutami; Raza Hajdar otrzymał awans od Iskandra Harappy, a Omar Chajjam Śakil zgodził się przeprowadzić na północ razem ze wszystkimi. Doskonała opinia w świecie lekarskim i odnowione wpływy Hajdara zapewniły Omarowi posadę głównego konsultanta w szpitalu Mount Hira w nowej stolicy i wkrótce byli już w drodze z pledami, aja, ze wszystkim; wzbili się nad północny płaskowyż położony między dwiema wielkimi rzekami, czyli nad Potwar, w przyszłości scenę szeregu poważnych wypadków, tysiąc siedemset stóp nad poziomem morza.

Cienka warstwa ziemi powyżej chropawych budyniowych skał... lecz mimo cienkości tej warstwy rosły tu niebywałe ilości deszczolubnych upraw; był to obszar zdumiewającej płodności, dlatego powstało tu zupełnie nowe miasto niczym blizna na biodrze starego miasta. Islamabad (można by rzec) z żebra Rawalpindi.

Maulana Dawud, śliniący się starzec, spoglądając w dół z nieba i patrząc na płaskowyż Potwar z połyskującymi w oddali miasteczkami, tak się uradował, że uderzył głową w okno kabiny. - Arafat - wrzasnął na cały głos, budząc niepokój stewardesy - przybывamy do Arafatu! -i ani Raza, jego przyjaciel, ani Bilquis, jego wróg, nie mieli serca wyprowadzić go z błędu, bo jeśli starzec uwierzył, iż wkrótce wylądują na świętej ziemi Arafatu niedaleko Mekki Szarif⁴⁷, no to cóż, to też była odmiana zaślepienia, fantazja wybaczalna u starców.

Generał Raza Hajdar otrzymał w spadku po swoim poprzedniku ponure siedem stóp szefa sztabu, mianowicie majora Śudżę, a ponadto armię pozbawioną odwagi po klęsce w byłym Wschodnim Skrzydle, niezdolną do wygrania niczego, może poza meczem piłki nożnej. Rozumiejąc intymny związek między sportem a wojną, nowy dowódca armii sam siebie zobowiązał do obecności na wszystkich możliwych zawodach, w których brali udział jego chłopcy, spodziewając się, że do mobilizacji drużyny wystarczy sama jego obecność. Właśnie dlatego w ciągu pierwszych miesięcy dowodzenia Raza Hajdar był świadkiem serii najpoważniejszych upokorzeń w annałach armijnego sportu, począwszy od legendarnej potyczki między służbami w krykieta, w której 11. armia zaprzepaściła wszystkie dziesięć obron, nie zdobywając nawet jednego punktu po uderzeniu rakieta. Przeciwnicy z sił powietrznych urządzili im straszną powtórkę, bo tamta wojna była głównie porażką sił lądowych, zatem lotnicy właściwie nie zaznali niesławy. Ostatecznie zespół krykieciarzy przegrał rozgrywkę o całą jedną obronę i o 420 przebiegnięć; byłoby 419, gdyby nie to, że jedno z przebiegnięć w drugiej kolejce nigdy nie zostało ukończone, bo jeden z graczy w

połowie dystansu jakby stracił serce do walki, zatrzymał się, podrapał się w głowę, rozejrzył w roztargnieniu i nawet nie zauważył, kiedy został wyeliminowany... Hajdar był również świadkiem meczu hokejowego, w którym chłopcy z marynarki zdobyli czterdzieści goli w osiemdziesiąt minut, podczas gdy żołnierze wojsk lądowych gapili się ponuro na ich zakrzywione kije jakby to były strzelby, tak jak tamci okrażeni na Wschodzie; z kolei na nowo otwartym basenie na własne oczy ujrzał podwójną tragedię, otóż jeden ze skoczków, oczywiście reprezentant armii, wolał się utopić, niż wypłynąć na powierzchnię wód swojej hańby, podczas gdy drugi wplątał się w znacznie poważniejszą kabałę, bowiem wybił się z wysokiej kładki i wylądował na brzuchu, co zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu, eksplodował niczym balon z farbą, a przez to zmusił władze do osuszenia basenu i uprzątnięcia wnętrza. Później w biurze generała pojawiła się żałobna postać majora Śudzi, który zasugerował, prosząc o wybaczenie, że może będzie lepiej, jeśli sahib dowódca będzie się trzymał z daleka od takich wydarzeń, ponieważ jego obecność intensyfikuje wstyd dzawanów i maksymalnie pogarsza sprawę.

- Ty pistoletowy synu - wrzasnął Raza - jak to się stało, że cała armia zmieniła się nagle w gromadę wstydliwych kobiet?!

- Wojna, sir - odparł Śudża głosem z niezwykle głębokiej studni opuszczenia; właściwie już pogrzebał widoki na karierę - i proszę o wybaczenie, generale, ale pan nie był wplątany w tamten numer.

Teraz Raza zrozumiał, że jego oddziały łączyło wspólne upokorzenie i domyślił się w końcu, dlaczego w kantine oficerskiej żaden z jego kolegów oficerów nigdy nie zaproponował mu do picia nic z bąbelkami. Sądziłem, że chodzi o zazdrość - upomniał siebie i powiedział do Śudzi, który w postawie na baczność czekał na degradację za obrazę, jakiej się dopuścił:

- W porządku, majorze; jakie proponuje pan rozwiązanie?

Pytanie zaskoczyło Śudżę i skłoniło go do szczerości.

- Czy wolno mi mówić otwarcie, sir? Hajdar skinął głową:

- Jak mężczyzna z mężczyzną w cztery oczy.

- W takim razie proszę o wybaczenie, sir, ale powrót do rządów wojskowych. Przewrót. Hajdar zdziwił się.

- Czy w tym mieście ludzie zawsze będą dopuszczać się zdrady?

W jednej chwili jeszcze bardziej pociemniały chmury wokół szefa sztabu.

- Sahib generał zapytał, a ja tylko odpowiadam. Młodzi oficerowie są niespokojni, sir, to wojskowe miasto, armia służy władzy, sir, a wszyscy wiedzą, jacy są ci politykierzy, nic

⁴⁷ Mekka Szarif- święta Mekka.

dobrego, sir, nic jak należy, oficerowie pamiętają czasy, kiedy mieli respekt, teraz jednak są bardzo przygnębieni, sir, może im się zdawać, że ostatnio wszyscy mogą nami pomiatać. Proszę o wybaczenie, sir.

- Idź do diabła z tym swoim przewrotem - rzucił groźnie Hajdar - takie czasy teraz nastąpiły, że pół tuzina byłych kochanek Harappy byłoby w stanie rozbić w puch całą armię.

- Tak jest, sir - powiedział Śudża i, zdumiewające, żałośnie się rozplakał.

Generał Hajdar przypomniał sobie, że młody gigant miał niewiele ponad osiemnaście lat; i wtedy jego własne, ustawicznie używane kanaliki łzowe zaczęły go piec ze współczucia, więc rzekł szybko:

- Na miłość boską, człowieku. Nikt cię nie postawi przed sądem wojennym. Po prostu odpowiednio ustaw priorytety. Najpierw wygrajmy kilka rozgrywek polo, a potem pomyślimy o opanowaniu kraju.

- Bardzo dobrze, sir. - Śudża uspokoił się. - Przekażę stanowisko pana generała drużynie polo, sir.

- Co za życie - powiedział głośno Raza Hajdar, kiedy został sam. - Im wyżej podskoczysz, tym gęstszy chlapie na ciebie szlam. To szczęście dla kraju, rozmyślał, że Stary Rozpruwacz Bebechów przywykł do stania na własnych nogach.

Odbudowanie morale armii, stwierdzić to trzeba, było ukoronowaniem kariery Razy Hajdara - osobiście uważam, że zajęcie to trudniejsze niż wszystko, czego się podejmował jako prezydent. Jak tego dokonał? Ano przepadł w zapasach.

Nazajutrz po rozmowie z majorem Śudża polecił mu dobrać przeciwników, głównie spośród zwyczajnych żołnierzy, ale także spośród reprezentacji oficerów.

- Uwielbiam zapasy - skłamał - i nadeszła pora, abym zobaczył, z jakiego tworzywa są nasi armijni pehelwanie.

Generał Raza Hajdar bił się ze stu jedenastoma żołnierzami i uległ w walce z nimi wszystkimi. Fakt, że w ogóle nie starał się wygrać, koncentrował uwagę na znacznie trudniejszej sprawie - mianowicie na przegrywaniu z przeciwnikami, którzy zapomnieli, iż można wygrać; na przegrywaniu przy jednoczesnym sprawianiu wrażenia, iż walczy się o zwycięstwo ze wszystkich swoich sił.

- Widać wyraźnie, ile dobrego się przez to dzieje - powiedział Omarowi Chajjamowi Śakilowi, który był osobistym lekarzem generała po i przed każdą potyczką i którego niepokoił łomot sprawiany temu czterdziestodziewięcioletniemu człowiekowi.

- Tak jest - odparł Chajjam, zajmując się zbolałymi kośćmi i tęczowymi sińcami - każdy głupiec to widzi.

Raza Hajdar nie krył łez, kiedy po jego ciele poruszały się badawcze palce Śakila, lecz nazywał je łzami radości.

Zapaśnicza strategia Razy Hajdara przyniosła mu podwójne zwycięstwo. Pomogła armii zaakceptować jego przywództwo, bo teraz był związany ze swoimi ludźmi w owej makabrycznej wspólnocie wstydu. Kiedy Stary Rozpruwacz Bebechów zarobił kopniaka w szczękę, runął na brezent z kostkami zaciśniętymi wokół szyi, duszony przez piechura; gdy pękły mu żebra, a ramiona powychodziły ze stawów, odżyła dawna popularność bohatera z Ansu; oczyszczona z kurzu i anonimowości lat spędzonych w college'u wojskowym, zajaśniała znowu jak nowa. Tak jest, Rozpruwacz Bebechów powrócił, większy niż kiedykolwiek..., ale później Razi to nie wystarczyło, więc osiągnął także drugi swój cel, bo w miarę jak żołnierze z poszczególnych obozów, którzy brali udział w walkach bądź tylko jako ryczący tłum przyglądali się spoza ringu poniewieraniu tego jedyne go bohatera wojennego, jaki pozostał w armii, zaczęli odzyskiwać wiarę w siebie, zaczęli wierzyć, że skoro są na tyle dobrzy, aby sponiewierać generała w kurzu, to nie mogą już być tak bardzo beznadziejni, jak sobie wyobrażali. Po upływie roku walk zapaśniczych Raza Hajdar dał spokój. Stracił dolne i górne siekacze i odniósł mnóstwo innych obrażeń.

- Nie muszę już tego dłużej robić - oświadczył Sądzi, którego poczucie ustawicznego odrzucenia (choć nieco zredukowane) wyszło na jaw jako jego cecha osobista, nie zaś po prostu wynik przegranej, teraz zaś niemal zapomnianej już wojny.

- Powiedz tym bękartom - poinstruował go Raza - że spodziewam się po wszystkich zwycięstwa w każdych zawodach, w których wezmą udział, bo inaczej nie wiem, co im zrobię.

Po czym rzeczywiście nastąpiła elektryzująca poprawa wyników sportowych armii.

Zatrzymałem się na dłużej nad kwestią morale armii, aby wskazać, dlaczego w okresie sprawowania funkcji głównodowodzącego Raza Hajdar nie miał ani czasu, ani energii, aby poświęcić odpowiednio dużo uwagi temu, czego jego córka Sufija Zinobia dopuszczała się w nocy.

W nowym mieście rządzą politykierzy i dyplomaci, ale armia dominowała w starym. Nowa stolica powstała na zasadzie zestawienia obok siebie licznych betonowych gmachów, które wydzielały opary filisterskiej krótko-trwałości. Lekka konstrukcja kopuły piątkowego meczetu już wcześniej zaczęła pękać, ale choć wszystkie nowe budynki dookoła zdawały się pysznić, one także się rozpadały. Psuła się klimatyzacja, zwierały obwody elektryczne, woda z bulgotaniem podnosiła się w rezerwuarach, ku konsternacji hydraulików... O najbardziej plugawe z miast! Owe budowle reprezentowały ostateczny triumf modernizmu, który był w

istocie rodzajem zbrojonej nostalgii, formą bez funkcji, pozorem islamskiej architektury bez jej istoty - zawierały więcej mogolskich łuków niż mogolowie kiedykolwiek byli w stanie sobie wyobrazić, łuków zredukowanych przez zbrojony beton do spiczastych otworów w ścianach. Nowa stolica była w istocie największym zbiorem lotniczych terminali na ziemi, składowiskiem niechcianych poczekalni tranzytowych i sal odpraw celnych i może to było właściwe, bowiem w tych stronach demokracja nigdy nie była czymś więcej niż ptakiem wędrownym... dla kontrastu stare miasto nabrało zdecydowanej prowincjalności swoich lat. Stare, szerokie, wysadzone drzewami ulice, chaotyczne bazy, slumsy i ogromne rezydencje dawnych angreskich władców. Oficjalna siedziba głównodowodzącego była neoklasycystycznym pałacem kamiennych portyków z masywnymi żłobkowanymi kolumnami, podpierającymi greckie fryzowane frontony; stopy kul armatnich otaczały wspaniałe schody, które prowadziły do frontowych drzwi; armata na kołach nazwana apokryficznie „Małą Zamzama”⁴⁸ strzegła jasnozielonego trawnika. Tyle było miejsca, że bez żadnych dyskusji wprowadziła się tu cała rodzina, Dobra Nowina i Talwar Ulhaq, Omar Chajjam i Sufija Zinobia, Dawud i aja Śahbanu, jak również Raza oraz Bilquis -wszyscy podążali śladem przeznaczenia pod tym przestronnym dachem, podczas gdy obcy bogowie z Grecji i Rzymu pozowali w kamieniu pod wysokim sklepieniem niebieskiego nieba, patrzyli w dół z wyrazem wyższości na twarzach.

Sprawy nie układały się dobrze.

Jakby tego nie było dość, że armia jest zwariowana -Raza powiedział do siebie kiedyś podczas tamtych pierwszych dni na północy - to teraz jeszcze mój dom zapełnili szaleńcy. Tymczasem mieszkańcy owego anachronicznego pałacu przystąpili do zamiany jego gniewnej uwagi w dosłowną prawdę.

Kiedy maulana Dawud pojawił się pewnego ranka, odziany w tradycyjne szaty pielgrzyma odbywającego hadżdż⁴⁹, czyli w dwa białe płótna, jedno owinięte wokół lędźwi i drugie otaczające luźno klatkę piersiową, generał Raza Hajdar został zmuszony do rozpatrzenia sugestii, iż częściowo sfosylizowany duchowny uległ wreszcie falom starości, które zaczęły go obmywać podczas lotu na północ. Z początku starał się obchodzić delikatnie ze starym sprzymierzeńcem. - Maulanadzi - powiedział - jeśli chcesz odbyć pielgrzymkę, wystarczy, że powiesz tylko słowo, a ja już wszystko przygotuję, bilety do Arabii i co tam będzie trzeba - ale

⁴⁸ Zamzama, Zam-Zammah - jedna z osobliwości Lahaur, potężna armata o długości 4,3 m, uwieczniona w powieści R. Kiplinga pt. *Kim* (1901).

⁴⁹ Hadżdż - pielgrzymka do Mekki, jeden z pięciu podstawowych obowiązków muzułmanina.

Dawud odparł tylko: -Na co mi samoloty, kiedy już stąkam po świętej ziemi? - Następnie maulana począł dreptać po mieście, rozłożywszy przed sobą dłonie, jakby trzymał książkę, intonując wersy Koranu w języku arabskim, który z powodu osłabienia jego władz umysłowych przechodził w inne, bardziej prostackie dialekty; znalazłszy się w szponach zgrzybiałości, która kazała mu wyobrazić sobie, iż w dali za miastem widzi szczyty Abu Qubais, Thabiru i Hiry, i brać fabrykę rowerów za cmentarz, gdzie pochowano żonę Proroka, zaczął ubliżać mieszkańcom miasta za ich niereligijne bluźnierstwa, ponieważ mężczyźni oczywiście nie nosili stosownych szat, a kobiety nie miały wstydu, śmiały mu się prosto w twarz, gdy nazywał je wszetecznicami. Słowem stał się szalonym staruchem, który pytał ciągle o drogę do Kaaby⁵⁰, brodatym głupcem w fazie drugiego dzieciństwa, który się poniżał pod sklepami z rybami, jakby to były święte miejsca Mekki i wołał: „Ja, Allah!” W końcu jego ciało przywieziono do rezydencji Hajdarów nawozie zaprzęgniętym w osła, a zdezorientowany właściciel wozu oznajmił, że ów starszy gość zmarł, wypowiedziawszy słowa: „Coś takiego! I przykryli to łajnem”. Zawędrował na skraj starego miasta do miejsca, gdzie znajdowały się nowe zbiorniki oczyszczalni ścieków, do których wpuszczono ostatnio aktywowany szlam; Raza Hajdar bardzo się starał udawać, że to było oczywiste, banalne wyjaśnienie jego ostatnich słów, w istocie jednak był poruszony do głębi, bo jako człowiek religijny nigdy nie śmiał traktować dziwacznych zachowań przewodnika duchowego jako wynik zwykłego procesu starzenia się. Siniec na czole zabolął Rażę i sprowadził sugestię, że może stary maulana rzeczywiście miał widzenie Mekki, objawienie świętości w środku tego nieświętego miasta, i może gasnące na jego ustach słowa zawierały straszne, ukryte ostrzeżenie. - Kaaba - drżący szept Razy rozległ się w jego własnych uszach - tak, na pewno, musiał ją w końcu ujrzeć, a oni wylali na nią ekskrementy. Kiedy później Raza zostanie prezydentem, nie będzie w stanie usunąć tej wizji z pamięci.

Pod koniec pierwszego roku cywilnych rządów generał Raza Hajdar został dziadkiem. Dobra Nowina urodziła śliczne, zdrowe bliźniaki, dwóch chłopców. Generał tak się ucieszył, że zapomniał o Sindbadzie Mengalu. Dokładnie rok później Dobra Nowina ponownie została matką; tym razem urodziła trojaczki. Raza Hajdar przeraził się nieco i pod wpływem zdenerwowania zażartował z Talwara Ulhaqa: - Powiedziałaś, że będziesz znakomitym zięciem, ale, baba, pięciu synów w zupełności wystarczy, może zbyt gorliwie podchodzisz do swoich obowiązków. Ni mniej, ni więcej, tylko dwanaście miesięcy później Dobra Nowina urodziła piękny kwartet dziewczynek, które Hajdar pokochał tak bardzo, że postanowił nie

⁵⁰ Kaaba - najważniejsza świątynia islamu, położona na dziedzińcu Wielkiego Meczetu w Mekce.

wyrażać swego niepokoju odnośnie do rosnącej liczby kołysek, pieluch, sznurów do suszenia bielizny i grzechotek hałasujących w domu. Pięć kolejnych córek ujrzało światło dzienne tego samego dnia po upływie roku; z kolei teraz Raza Hajdar musiał coś powiedzieć. - Czternaścioro dzieciaków urodzonych jednego dnia - powiedział małżeństwu tak surowo, jak tylko umiał - do licha, co wy robicie? Nie słyszeliście o problemie nadmiaru urodzeń? Powinniście przedsięwziąć jakieś kroki - ale na te słowa Talwar Ulhaq wyprostował się - całe ciało zeszytniało mu tak jak jego kark - i odparł: - Sir, nigdy nie sądziłem, że usłyszę coś takiego. Jesteś przecież człowiekiem pobożnym. Duch maulany Dawuda spłonąłby rumieńcem, gdyby usłyszał, że generał Hajdar zaleca bezbożne postępowanie. Hajdar poczuł się zawstydzony i zamknął usta, a w piątym roku macica Dobrej Nowiny uwolniła sześć nowych istot, trzech chłopców i trzy dziewczynki, bowiem Talwar Ulhaq, dumny ze swej męskości, zdecydował się ignorować uwagę Hajdara o nadmiarze wnucząt; w roku upadku Iskandra Harappy łączna liczba dzieci wzrosła do dwudziestu siedmiu i do tej pory wszyscy już stracili rachubę, jaki jest stosunek dziewczynek do chłopców.

Begam Nawid Talwar, dawniej Dobra Nowina Hajdar, okazała się całkowicie niezdolna do opanowania bezkresnego strumienia ludzkości wypływającego spod jej ud. Cóż, kiedy jej mąż był nieugięty, nienasycony, jego marzenie o dzieciach rozrosło się, zajęło miejsce, które poprzednio w jego życiu zajmowało polo, a dzięki swym zdolnościom jasnowidzenia, zawsze dobrze wiedział, które noce sprzyjają poczęciu. Przychodził do niej raz w roku i polecał jej przygotować się, bowiem nadszedł czas siania ziarna, aż poczuła się jak grządka warzywna o naturalnie żyznej glebie, którą wyjaławiał nadto gorliwy ogrodnik, i pojęła, że nie istnieje nadzieja dla kobiet, bowiem bez względu na to, czy któraś godna jest szacunku, mężczyźni i tak ją wezmą; nieważne, jak bardzo będzie się starała., aby stać się najlepszą spośród dam, mężczyźni pojawią się i napełnią ją mnóstwem nie chcianego życia. Jej dawna osobowość ugięła się pod naporem dzieci, których było tak wiele, że nie pamiętała ich imion, wynajmowała armię piastunek i pozostawiała swe potomstwo własnemu losowi, potem zaś w ogóle przestała się starać. Nie wchodziły już w grę żadne próby siadania na włosach - absolutna determinacja, aby być piękną, co zauroczyło zrazu Haruna, potem zaś kapitana Talwara, przestała być jej cechą, ukazując ją jako prostą, niczym nie wyróżniającą się matronę, jaką zawsze w istocie była. Ardżumand Harappa, której nienawiść do Dobrej Nowiny osłabła przez lata, stale dowiadywała się o upadku swego wroga. Pewien fotograf, którego swego czasu zrobił ukradkiem zdjęcia Pinkie Aurangzeb, został wynajęty do sfotografowania Dobrej Nowiny; Ardżumand pokazała przeźrocza Harunowi Harappie, oczywiście całkowicie beznamyślnie, jakby nie miała w tym żadnego celu. - Biedaku - szdyżła z niego - pomyśleć, że

gdyby nie znalazła sobie kogoś lepszego, mógłbyś spędzić całe życie z tą niesamowitą rozpustnicą.

Lu nie wieje na północy, lecz mimo wszystko zdarzało się, że popołudniami Bilquis przyciskała meble do ziemi, aby nie porwał ich wiatr. Biegała korytarzami nowego, wspaniałego domu, mrużąc coś niewyraźnie pod nosem, aż pewnego dnia podniosła głos tak bardzo, iż usłyszał ją Raza Hajdar. - W jaki sposób rakieta wznosi się ku gwiazdom? - zapytała niewyraźnie, ponieważ w dalszym ciągu mówiła do siebie. - To nie takie łatwe, opuścić ziemię. Maszyna unosi się, traci części, te z kolei oddzielają się i odpadają, w końcu jedynie czubek, tylko czubek uwalnia się od przyciągania Ziemi. - Raza Hajdar zmarszczył czoło i rzekł: - Bóg jeden wie, co ty tam bredzisz, kobieto, ale mimo tej uwagi i następnie sugestii, którą się podzielił z Omarem Chajjamem - że rozum Bilquis zaczął błądzić jak jej stopy - wiedział, co miała namyśli, to mianowicie, że chociaż wznosił się, tak jak to przepowiedziała, na sam szczyt kariery, kiedy szedł w górę, ludzie od niego odpadali, niektórzy zaś spalili się w odrzutowej fazie jego wznoszenia się ku na-ramiennym gwiazdom. Dawud, Dobra Nowina, sama Bilquis. Dlaczego miałbym się wstydzić? - pomyślał. Nic im nie zrobiłem.

Przez lata wiele spraw nadwyreżało Bilquis: ogniste wiatry, rycerze z powiewającymi proporcami, zabici kierownicy kin, brak synów, utrata mężowskiej miłości, zapalenie mózgu, karteczki z erratą, lecz najgorszym ze wszystkiego było przebywanie tu, w tym pałacu, tej królewskiej rezydencji, o której zawsze marzyła, oraz odkrycie, iż to wcale nie było lepsze, że nic nie okazało się sukcesem, a wszystko obróciło się w proch. Rozbita z powodu pustej w treści chwały, załamała się upadkiem ukochanej Dobrej Nowiny, która leżała podduszona pod miękką lawiną dzieci i której nikt nie pomagał... pewnego ranka wszyscy ujrzeni, jak Bilquis ubiera czarną burkę, wkłada woal albo parde⁵¹, chociaż wcale się nigdzie nie wybierała i nie było w jej otoczeniu nikogo poza rodziną i służbą. Raza Hajdar zapytał, do czego, do licha, zmierza, lecz ona tylko wzruszyła ramionami i odparła: - Robi się zbyt gorąco, więc chciałam zaciągnąć zasłony - bo już prawie nie potrafiła się wysłowić, chyba że metaforami. W jej mamrotaniu roilo się od zasłon, oceanów i rakiet i wkrótce wszyscy do tego przywykli, a także do owego welonu jej solipsyzmu, co zrozumiałe, bo przecież każdy ma własne problemy. W tamtych latach Bilquis Hajdar stała się prawie niewidzialna, przybrała postać cienia, który przemyka korytarzami w poszukiwaniu jakiejś zguby, może ciała, od którego się odłączył. Raza Hajdar dopilnował, aby nie wychodziła na zewnątrz..., a dom zarządzał się sam, służba

⁵¹ Parda (pers.) - zasłona, welon; wyżej postawione kobiety islamskie mogły kontaktować się z obcymi mężczyznami tylko przez zasłonę; także instytucja separowania kobiet od mężczyzn.

zajmowała się wszystkim, a pani rezydencji głównodowodzącego była mniej niż postacią, prawie uludą, pomrukiem w zakamarkach pałacu, zawołowaną pogłoską.

Sporadycznie telefonowała Rani Harappa. Bilquis czasami podchodziła do telefonu, czasem nie; kiedy podchodziła, rozmawiała cicho i z jakimś takim niewyraźnym akcentem, tak że Rani z trudem rozumiała, o czym mowa, dostrzegając tylko głęboką gorycz, jakby Bilquis zaczęła nienawidzić przyjaciółki, jakby prawie odrzucona żona w dalszym ciągu miała dosyć dumy, by przeżywać sposób, w jaki Iskander zaangażował jej męża i uczynił go wielkim. - Twój mąż, Rani - powiedziała pewnego razu, tym razem głośno i wyraźnie - nigdy nie będzie szczęśliwy, póki Raza nie rzuci się na ziemię i nie będzie lizał mu butów.

General Hajdar do końca swych dni miał zapamiętać sytuację, kiedy odwiedził Iskandra Harappę, aby przedyskutować budżet obrony i został spoliczkowany za stwarzanie problemów.

- Wydatki spadają poniżej poziomu możliwego do przyjęcia, Isky - poinformował premiera, po czym ku jego zdziwieniu Harappa uderzył pięścią w blat biurka tak gwałtownie, że ołówki Mont Blanc podskoczyły w stojakach, a cienie w kątach syknęły ostrzegawczo.

- Według czyjej miary? - krzyknął Iskander Harappa. - Armia nikomu nie będzie mówić, jak postępować, mój panie. Nigdy więcej. Wbij to sobie do głowy. Jeśli przyznamy wam pół rupii na rok, to znaczy, że tyle musi wystarczyć. Przyjmij to do wiadomości i wynoś się.

- Iskandrze - powiedział Raza, nie podnosząc głosu - nie zapominaj o przyjaciółkach.

- Człowiek na moim stanowisku nie ma przyjaciół - odparł Harappa. - Istnieją tylko chwilowe przymierza na zasadzie wzajemnych korzyści.

- W takim razie przestałeś być istotą ludzką - stwierdził Raza i dodał w zamyśleniu: - Człowiek, który wierzy w Boga, musi także wierzyć w ludzi.

Iskander Harappa wpadł w szal.

- Uważaj, generale - wrzasnął - bo każę cię wyrzucić na śmietnik, gdzie cię znalazłem! - Poderwał się zza biurka i krzyczał Razi prosto w twarz, przyskajac mu na policzki śliną.

- Niechaj ci Bóg wybaczy, Isky - mruknął Raza - zapomniałeś, że nie jesteśmy twoimi sługami.

Dokładnie w tym momencie Isky uderzył go w opluty policzek. Raza nie oddał, ale zauważył cicho:

- Rumieńce po tego rodzaju razach nie giną łatwo. W przyszłości Rani Harappa dowiedzie słuszności tego stwierdzenia, unieśmiertelniając owe rumieńce na jednym ze swych szali.

Po latach, kiedy Iskander Harappa znajdował się bezpiecznie pod ziemią i jego

wytrwałą jak gwoździe córkę trzymano w odosobnieniu razem z jej matką, Raza Hajdar często przyłapywał się na tym, że rozmyśla o tamtym policzku i o czasach, gdy Isky Harappa traktował go jak śmiecia. A Ardżumand była nawet gorsza, gapiała się na niego z taką nienawiścią, że uznał ją za zdolną do wszystkiego. Pewnego razu Isky wysłał ją do niego na doroczną paradę wojskową tylko po to, aby upokorzyć żołnierzy, żeby musieli oddawać honory kobiecie, na domiar złego kobiecie, która nie miała żadnego oficjalnego stanowiska w rządzie; Raza popełnił błąd, skarżąc się dziewicy Żelazne Majtki.

- Być może historia podzieliła nasze domy - powiedział i sprawy nie układały się dobrze, ale pamiętaj, nie jesteśmy sobie obcy, Ardżumand, mamy wspólne korzenie.

-Wiem - odparła lekceważąco - zdaje się, że moja matka jest twoją krewną.

A Sufija Zinobia?

Była jego żoną, lecz właściwie nią nie była. W Karaczi, nocą, zaraz po ślubie Omar Chajjam zobowiązał się na mocy jednej z klauzul kontraktu do niezabierania panny młodej; stało się coś wręcz przeciwnego, mianowicie zaprowadzono go do pokoju z pojedynczym łóżkiem i bez Sufiji Zinobii. Aja Śahbanu poszła z nim, stanęła w drzwiach i pozostała tam; jej mięśnie były napięte.

- Sahib doktor - powiedziała w końcu - muszę wiedzieć, jakie są pańskie zamiary. - Gorliwa opieka, jaką otaczała Sufiję Zinobię, która skłoniła ją do tak straszliwego naruszenia społecznych reguł wyznaczających stosunki między panem a służbą, nawet Omara Chajjama powstrzymała przed gniewem.

- Nie martw się - uspokoił ją - wiem, że dziewczyna jest naiwna. Nie chcę narzucać swojej... wymuszać moich... egzekwować małżeńskich....

Na to Śahbanu skinęła głową i powiedziała:

-W porządku, sahib. Na razie. Ale jak długo będzie pan czekał? Wiadomo, mężczyźni to mężczyźni.

- Poczekam, aż moja żona nabierze ochoty - odparł ze złością Chajjam. - Nie jestem człowiekiem z dżungli. -(Ale nie zapominajmy, że kiedyś nazwał się wilczym dzieckiem.)

Śahbanu odwróciła się, by odejść.

- Proszę pamiętać, że jeśli straci pan cierpliwość - powiedziała z naciskiem - w przypadku jakiegokolwiek próby, nie będę się mogła doczekać, aby pana zabić.

Zanim przeprowadzili się na północ, stało się oczywiste, iż Omar Chajjam zmienił zwyczaj. Jak Iskander Harappa, tylko z innych przyczyn, zrezygnował z rozpustnych

rozrywek - Raza Hajdar nie zgodziłby się na mniej. Nowy Omar Chajjam Śakil -jego „północna wersja” - żył sobie zwyczajnie i ciężko pracował, czternaście godzin na dobę w szpitalu Mount Hira, z wyjątkiem tych okazji, gdy stał w narożniku generała podczas zapaśniczych zmagania. Wracał do rezydencji głównodowodzącego tylko po to, aby coś zjeść i przespać się, lecz wbrew wszelkim oznakom poprawy, abstynencji i poświęcenia, Śahbanu nadal obserwowała go pilnie niczym jastrzęb, głównie dlatego, że jego już obszerna sylwetka stała się jeszcze bardziej korpulentna, kiedy więc zażartował: - I jak tam, Banu, jestem złym czy dobrym chłopcem? - odpowiedziała poważnie: - Sahib Omar, widzę, że się pan czymś opycha, ale tylko jeden Pan Bóg wie, czym, je pan tak niewiele, że jedzenie to być nie może, więc podług mnie za jakiś czas straci pan nad sobą kontrolę albo wybuchnie. Jakże ciężko być mężczyzną - dodała, a w jej oczach malowało się głębokie współczucie.

Tej nocy rozpoznał pukanie Śahbanu do drzwi sypialni. Podniósł się z łóżka i podreptał do drzwi, dysząc i trzymając rękę na wysokości serca; ujrzał aję w nocnej koszuli, ze świecą w dłoni i rozpuszczonymi włosami; przez półprzezroczystą bawełnianą koszulę przeświecało kościste ciało drobnego ptaszęcia.

- O co ci chodzi? - zapytał Omar Chajjam zdziwiony, lecz ona przemknęła obok niego i usiadła uroczyście na łóżku.

- Nie chcę nikogo zabijać - wyjaśniła neutralnym tonem - więc sobie pomyślałam, że lepiej będzie, jak w zastępstwie ja to zrobię.

- Jakże bardzo musisz ją kochać - zachwycił się Omar Chajjam.

- Bardziej niż siebie - odpowiedziała bez cienia krytyki w głosie i szybko zdjęła koszulę.

- Jestem starym mężczyzną - powiedział jej później - zatem przynajmniej dwa razy z trzech to dla mnie zbyt dużo. Może jednak chcesz mnie zabić i wybrałaś prostszą metodę.

-To nie taka prosta sprawa, sahib Omar. A z pana wcale nie jest aż taka ruina, jak pan mówi - odrzekła.

Później przychodziła do niego co noc, poza tymi dniami w miesiącu, kiedy miała okres i kiedy mogła być płodna, więc w ciągu tych siedmiu czy ośmiu nocy w miesiącu leżał w objęciach dobrowolnej bezsenności, wyobrażając sobie jej ciało jako coś w kawałka sprężystego drutu i rozmyślając o dziwnych kolejach losu, które doprowadziły do tego, że ożenił się z jedną kobietą, a dostał za żonę zupełnie inną. Po jakimś czasie dotarło do niego, że zaczął tracić na wadze. Gubił funt za funtem i jeszcze przed upadkiem Harappy wprowadzie nie stał się całkiem chudy, bo taki nigdy nie był, ale na pewno jego ubrania zrobiły się zbyt obszerne (zatem okaże się, że życie jednego i drugiego, jego i Isky'ego, mimo wszystko było

jakoś powiązane, bo Isky także tracił na wadze... lecz oczywiście z innych powodów); pozostając pod urokiem aji parsyjki, bardzo się zbliżył do normalnych wymiarów. „Może się nie nadaje na gwiazdę filmową - powiedział do swojego odbicia w lustrze - ale na pewno przestałem być karykaturą”. Omar Chajjam i Śahbanu - nasz peryferyjny bohater zdobył cień panny młodej i w rezultacie jego własny cień mógł zmaleć.

A Sufija Zinobia?

...leży w łóżku, przyciskając palcami powieki, mając nadzieję, że nadejdzie sen, który, jak wiedziała, może wcale nie przyjść. Czuje na powiekach spojrzenie Śahbanu. Aja patrzy z maty, czeka. Potem ona, Sufija Zinobia, rozstrzyga, że nie zaśnie, odpręża się całkowicie, opuszcza dłonie, udaje. Odkryła, że ta mimikra, symulacja snu, uszczęśliwia innych ludzi. Robi to teraz automatycznie, ma pod tym względem spore doświadczenie, jej oddech nabiera jakiegoś rytmu, ciało znajduje właściwe ułożenie, unosi się i opada w intuicyjnie określonym rytmie, gałki oczne poruszają się pod powiekami zgodnie z pewnym schematem. Po pewnym czasie słyszy, że Śahbanu podnosi się z maty i wymyka z pokoju, przechodzi kilka kroków korytarzem, puka. Bezsensowność wyostrza słuch. Sufija słyszy sprężyny łóżka, oddechy Omara, jej wątle okrzyki. Jest coś, co ludzie robią nocami. Matka opowiadała jej o oceanach i rybach. Pod zamkniętymi powiekami Sufija widzi aję parsyjkę w procesie metamorfozy, przechodzącą w ciecz, rozlewającą się na wszystkie strony, w końcu wypełniającą cały pokój. Roztopioną Śahbanu, słoń, ogromną, i przeobrażonego Omara z łuskami, płetwami, skrzelami, pływającego w tym morzu. Myśli o tym, co się dzieje później, kiedy zjawisko ulega odwróceniu, kiedy sprzątają, kiedy wszystko wysycha. (Pewnego ranka wślizgnęła się do mężowskiego łóżka, gdy Omar wyszedł do szpitala, a Śahbanu razem z dhoobi liczyła ubrania. Dotykała dłońmi prześcieradeł, odkryła wilgotne plamy. Ale po oceanie powinny zostać jakieś ślady; obejrzała podłogę w poszukiwaniu rozgwiazd, wodorostów, muszli. Nie znalazła nic - oto pierwsza tajemnica.)

Teraz podoba jej się to, że czasem zostaje sama i że w jej głowie to się rozgrywa; zamknęła w niej ulubione rzeczy; kiedy ktoś jest przy niej, nie ośmiela się nigdy wydobyć ich na zewnątrz i bawić się, aby ich nikt ich nie zabrał ani przez pomyłkę nie zniszczył. Ci duzi, nieporadni ludzie dookoła, oni wcale nie zamierzają psuć rzeczy, ale i tak ciągle je niszczą. Ma w głowie cenne, kruche zabawki. Jedną z najlepszych to ta, kiedy ojciec ją podnosi. Tuli, uśmiecha się, woła ponad nią. Mówi coś, czego ona właściwie nie rozumie, lecz słowa brzmią tak przyjemnie. Wyciąga go z głowy i każe mu robić wszystko od początku, wszystko, ciągle

od nowa, niczym po sześć razy powtarzane opowieści na dobranoc. Nie można robić tego samego z rzeczami spoza twojej głowy. Te na zewnątrz dzieją się tylko raz i musisz się naprawdę spieszyć, aby je schwytać i umieścić w swojej tajnej skrytce. A czasami w ogóle się nie zdarzają. Istnieje coś, co zawsze było wewnątrz, nigdy zaś nie działo się na zewnątrz - jej matka podskakuje razem z nią. Bilquis trzyma skakankę i we dwie skaczą jednocześnie, wspólnie, coraz szybciej i szybciej, w końcu tak szybko, że nie można odróżnić, która jest którą, mogłyby uchodzić za jedną osobę wewnątrz kręgów sznura. Męczy ją ta zabawa, nie z powodu skakania, ale ze względu na trudność wykonywania czegoś, co nie pochodzi z zewnątrz. Dlaczego jedynie to, co wewnętrzne, jest znacznie trudniejsze do wykonania? Nie daje się powtarzać bez końca.

Podoba jej się, że specjalna nauczycielka przychodzi niemal codziennie. Ona, nauczycielka, dostarcza jej nowych przedmiotów, które Sufija Zinobia umieszcza w głowie. Jest taka rzecz nazywana światem, wystarczy ją uderzyć kostkami dłoni, a wyda z siebie głuchy odgłos; bywa i tak, zwłaszcza w książkach, że jest ona zupełnie płaska i jakby podzielona. Sufija dobrze wie, że tak naprawdę to obraz znacznie większego miejsca określanego słowem „wszędzie”; obrazek nie jest zbyt dobry, ponieważ nie można na nim zobaczyć siebie, choćby się patrzyło przez szkło powiększające. W głowie układa znacznie lepszy świat, widzi w nim tych, których chce widzieć. Omara Śahbanu Bilquis Razę maleńkich na puszcze. Macha do nich, maleńka rodzina macha w odpowiedzi. Lubi też pisać, to także umie robić. W jej sekretnym miejscu ulubione litery - *sin*: wyboiste, *lam*: jak kij do hokeja, *mim*: z piersią nadętą jak u indyka - piszą się na okrągło.

Zapełnia głowę dobrymi rzeczami, tak aby nie zostało miejsca na te, których nie znosi.

Na wizerunek siebie w otoczeniu martwych ptaków. Kto to tam umieścił? I na drugi: gryzie kogoś, mocno. Czasami te niegodziwości zaczynają się powtarzać jak zepsuta płyta i nie jest łatwo je odepchnąć, by wybrać uśmiech ojca albo skakankę. Wie, że dawniej była chora, i może te najgorsze zabawki pochodzą z tamtych czasów.

Są jeszcze inne rzeczy, pochodzą jakby znikąd. Zjawiają się najczęściej podczas bezsennych nocy, kształty, które skłaniają do płaczu, albo miejsca z ludźmi zwisającymi z dachu głową w dół. Czuje, że sama jest odpowiedzialna za to, co dostaje się do środka. Gdyby była dobra, złe rzeczy gdzieś by zniknęły, ale one nie znikają, to oznacza, że nie jest dobra. Dlaczego stała się tak bardzo zła? Co ją psuje? Rzuca się w łóżku i wypuszcza z wnętrza okropne obce kształty.

Często rozmyśla o „mężu”. Wie, co to znaczy „mąż”. Jej ojciec jest mężem, jest nim również Talwar Ulhaq i teraz także ona ma jednego. Co to znaczy „mieć męża”? Po co są

mężowie? Przecież sama sobie radzi z większością spraw, przy pozostałych pomaga jej Śahbanu. Mimo to ma męża. To druga tajemnica.

Przed ślubem zapytała o to Śahbanu i jej odpowiedź zatrzymała w głowie. Wyciąga aję na zewnątrz i słucha, jak ta powiada ciągle od nowa: - Są potrzebni ze względu na pieniądze i dzieci. Ale nie martw się, bibi, ty nie masz problemów z pieniędzmi, a dzieci nie są dla ciebie. - Nie rozumiała tego bez względu na liczbę powtórzeń. Bo kto nie ma problemu z pieniędzmi, nie potrzebuje męża. *A dzieci nie są dla ciebie.* Czemu? - Bo tak mówię. - Ale czemu? - Oj, sza. Czemu czemu czemu wynocha uciekaj. - Zawsze się tak kończy, bez słowa wyjaśnienia. Tylko że sprawa z tym mężem jest poważna. Ona przecież ma męża. Wszyscy z pewnością wiedzą, tylko ona jedna nie. Znowu jest to jej wina.

Najlepsze, co jej się ostatnio przytrafiło, to dzieci, dzieci siostry. Bawi się z nimi tak często, jak tylko może. Lubi na nie patrzeć, jak raczkują, przewracają się, wydają zabawne dźwięki, lubi wiedzieć więcej niż one. Skacze dla nich przez skakankę: Oj, ile zdziwienia w ich oczach. Umieszcza je w głowie i wydobywa wtedy, gdy nie przychodzi sen. Dobra Nowina nigdy się z dziećmi nie bawi. Czemu? Nie ma sensu pytać. „Czemu czemu, bo nie ma dzemu”. W jej głowie dzieci się śmieją.

Potem znowu groźne kształty, bo jeżeli masz męża, a mąż potrzebny jest ze względu na dzieci, ale *dzieci nie są dla ciebie*, to coś tu musi być nie w porządku. To wywołuje w niej pewne odczucie. Coś jakby rumieniec, wszędzie, gorąco, gorąco. Choć pali ją skóra i płoną policzki, wszystko dzieje się wyłącznie w środku; nikt nie dostrzega tych nowych wewnętrznych rumieńców. I to również jest dziwne. Odczucie się pogarsza. Myśli czasem: „W coś się zmieniam”, ale kiedy słowa te docierają do jej świadomości, nie wie, co znaczą. Jak to jest, zmieniać się w coś? Złe, niewłaściwe słowa i odczucie ostrzejsze, bardziej bolesne. Uciekaj uciekaj uciekaj. Uciekaj.

Jest coś, co kobiety robią w nocy z mężami. Ona tego nie robi, Śahbanu robi to za nią. *Nie cierpię ryb.* Mąż nie przychodzi do niej w nocy. Są dwie sprawy, które jej się nie podobają, że nie przychodzi, to pierwsza, pierwsza zaś czyni drugą i wydaje się przerażająca, bez dwóch zdań, te wszystkie jęki, wilgotne i cuchnące prześcieradła. Fuj fuj. Odrażające. Ale przecież jest żoną. Ma męża. Nie potrafi sobie z tym poradzić. Okropna jest ta rzecz i okropne jest jej nierobienie. Zaciska powieki palcami i odtwarza zabawy dzieci. Nie ma oceanu, ale jest wrażenie tonięcia. Robi jej się niedobrze.

Istnieje jakiś ocean. Czuje jego przypływ. I gdzieś w jego głębi porusza się Bestia.

O zjawisku przepadania bez wieści dzieci w obskurnych miasteczkach i slumsach

wiedziano od lat. Powstało wiele teorii tłumaczących owe zniknięcia. Ktoś sugerował, że dzieci uprowadzono gdzieś do Zatoki, aby sprzedać je tam w charakterze taniej siły roboczej albo oddać do najniegodziwszych z możliwych form eksploatacji władcom arabskich księstw. Niektórzy utrzymywali, iż winowajcami byli rodzice dzieci, że to oni pozbywali się niechcianych członków nadmiernie licznych rodzin. Tajemnicy nie rozwiązano nigdy. Nikogo nie aresztowano, nigdy nikt nie wpadł na trop handlarzy niewolników. Zjawisko potraktowano jako życiowy fakt: dzieci po prostu zniknęły w pełnym świetle dnia, rozplywały się w powietrzu. Puf!

Potem odnaleziono bezgłowe ciała.

A było to w roku wyborów powszechnych. Po sześciu latach sprawowania władzy Iskander Harappa i Front Ludowy stawiali zdecydowany opór. Opozycja była jednakże gwałtowna - rywale Isky'ego zjednoczyli się, aby stoczyć z nim poważną walkę. Pojawiła się krytyka ekonomiczna; do tego zarzuty bezbożności, pomówienia o arogancję, podejrzenia o korupcję. Panowała powszechna opinia, że Front przegra we wszystkich okręgach granicznych, tak na północnym wschodzie, jak i wokół K, do tego straci wiele mandatów w miastach. Jednym słowem ludzie mieli wystarczająco dużo na głowie nawet bez zawracania jej sobie kilkorgiem martwych biedaków.

Cztery ciała należały do silnych, młodych chłopców. Głowy ukręcono im z jakąś ogromną siłą, dosłownie wyrwano je z tułowia. Na zniszczonych majątkach były ślady nasienia. Korpusy odkryto na śmietniku w pobliżu slumsów. Głów nie odnaleziono nigdy.

Kampania wyborcza miała niezwykle gorączkowy przebieg. Mordercy nie zaliczali się wtedy do bohaterów gazetowych artykułów, nie wspomniano o nich w radiu. Owszem, pojawiły się pewne pogłoski, plotki, ale ludziom to się szybko znudziło. Przecież wszystkie odmiany Boga wiedzą, co się może wydarzyć w tamtych slumsach.

Oto, co się stało.

Kobieta z woalką - istny horror.

Talwar Ulhaq wracał właśnie z K., kiedy miał widzenie. W tamtych dniach szef Federalnych Sił Bezpieczeństwa był człowiekiem zapracowanym, niemal pozbawionym snu, podróżującym bez przerwy po kraju. Trwała kampania wyborcza, Talwar zaś należał do ścisłego kręgu zaufanych Harappy, a zdrady miał się dopuścić dopiero w przyszłości. Pracował bardzo ciężko, bo Isky powierzył FSB zadanie uprzedzania wszelkich posunięć oponentów przynajmniej o krok, umieszczania własnych ludzi w charakterze piątej kolumny w ich sztabach, niweczenia wszelkich wrogich przygotowań, ponadto szukania podstaw do

aresztowań liderów. W samolocie zajmował się tego typu kwestiami, więc kiedy uszkodzone wiązadła w jego szyi zaczęły mu dokuczać jak jasna cholera, zacisnął zęby i postarał się to zignorować, gdyż oglądał w skupieniu pewne fotografie przedstawiające polityczne mąciwody z separatystycznego Frontu w łóżku z atrakcyjnymi młodymi mężczyznami, którzy byli w istocie lojalnymi, pracującymi odważnie i z oddaniem dla kraju pracownikami FSB. Ale właśnie wtedy nadeszło widzenie i Talwar musiał się oderwać od pracy, bo kabina samolotu rozmazała się i zniknęła; wtedy okazało się, iż stoi niczym szpieg przy ścianie rezydencji Hajdarów i obserwuje Bilquis Hajdar, jak zwykle okrytą od stóp po głowę czarną burką, idącą w jego stronę ciemnym korytarzem. Kiedy go minęła, nawet nie zerknąwszy w jego stronę, z przerażeniem zauważył, że burka jest mokra i ścieka z niej coś znacznie bardziej gęstego niż woda. Krew, prawie czarna w mrocznym korytarzu, znaczyła ślad za Bilquis wzdłuż korytarza.

Wizja zniknęła. Kiedy Talwar dotarł do siebie, sprawdził wszystko i przekonał się, że w domu Hajdarów nie wydarzyło się nic podejrzanego. Bilquis nie opuszczała posesji i wszyscy czuli się dobrze, więc Talwar wytłumaczył wszystko stanem swego umysłu i wrócił do przerwanych zajęć. Później zwierzył się generałowi Razi Hajdarowi: - To był mój błąd. Od razu powinienem był się zorientować, o co chodzi; ale wtedy koncentrowałem się na czymś innym.

Dzień po powrocie z K. Talwar Ulhaq zupełnie przypadkowo dowiedział się o czterech bezgłowych ciałach -dwaj jego ludzie żartowali sobie na temat tych morderstw w kantynie, zastanawiali się, czy nie dałoby się oskarżyć o te zbrodnie homoseksualistów ze sztabu opozycji. Talwar spoważniał i sklął sam siebie. Ty idioto - pomyślał - nic dziwnego, że bolał cię kark.

Udał się natychmiast do dowództwa armii i poprosił Rażę, aby wyszedł z nim do ogrodu, chcąc mieć pewność, że nie będą podsłuchiwani. Hajdar, trochę zakłopotany, postąpił zgodnie z życzeniem zięcia.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz w popołudniowym upale, Talwar opowiedział o widzeniu. Powinien wiedzieć, przyznał z pewnym zawstydzeniem, że postać, która mu się ukazała, była zbyt mała jak na Bilquis Hajdar. Ponadto po głębszym namyśle doszedł do przekonania, że w jej chodzie było coś niepodatnego na kontrolę, coś chaotycznego, skutek braku koordynacji...

- Wybacz - powiedział - ale sądzę, że Sufija Zinobia znowu lunatkuje. - Do daru jasnowidzenia Talwara podchodzono z takim respektem, że Raza Hajdar słuchał, odczuwając zawroty głowy, ale mu nie przerywał. Talwar kontynuował, wyraził opinię, iż gdyby Sufija Zinobia została poddana badaniu lekarskiemu, wówczas mogłoby się okazać, że wcale nie jest

virgo intacta, co by wiele wyjaśniło, gdyż wszyscy wiedzieli, że nie sypiała z mężem. -Proszę mi wybaczyć, sir, ale powiem bez ogródek. Jestem przekonany, że najpierw miała stosunek z każdym z tych czterech młodzieńców, po czym pourywała im głowy.

Obraz psychicznie chorej córki poddanej zbiorowemu rozdziewiczeniu, a potem w akcie odwetu rozrywającej kochanków na strzępy całkowicie rozbił fizycznie Rażę...

- Proszę zrozumieć, sir - Talwar wyrażał się z szacunkiem - nie chciałbym uczynić nic bez porozumienia, bez szczegółowych instrukcji z pańskiej strony. To sprawa rodzinna.

- Nie wiem. Skąd miałem wiedzieć? - jego głos brzmiał niewyraźnie, dochodził gdzieś z oddali. - Jakież ptaszyska, wybuch na weselu, potem przez lata nic więcej. Myślę, myślę, gdzie jest problem? Przecież mógł przeminać, przeminał. Samiśmy dali się ogłupić. Głupcy. -Milczał przez kilka minut. - Mógłby to być mój koniec -dodał w końcu - fantuś, kaput, dobranoc.

- Nie wolno do tego dopuścić, sir - sprzeciwił się Talwar. - Armia cię potrzebuje, sir.

- Dobry z ciebie człowiek, Talwarze - mruknął Raza, potem znowu myślał i myślał, póki zięć nie zakaszłał i nie zapytał:

- Zatem jak postąpić, sir?

Generał Hajdar otrząsnął się.

- O co ci chodzi? - rzucił. - Pytasz mnie, jak postąpić? Mamy jakieś dowody? Jak śmiesz formułować zarzuty na tak kruchej podstawie? Do diabła z tymi bredniami, szanowny panie. Nie zabieraj mi czasu.

- Tak jest, sir. - Talwar Ulhaq stanął na baczność.

W oczach generała zakręciły się łzy, kiedy położył rękę na napiętych ramionach młodszego mężczyzny.

- Mam nadzieję, że zrozumiałeś, co, chłopcze? Sza: język za zębami.

W głębinach oceanu porusza się morska Bestia. Nadyma się powoli, karmi niekompetencją, winą, wstydem, zbliża do powierzchni. Bestia ma oczy jak latarnie morskie, potrafi zapanować nad istotami cierpiącymi na bezsenność i zamienić ich w lunatyków. Bezsenność w somnambulizm, dziewczynę w diabolicę. W odniesieniu do Bestii czas upływa rozmaicie. Lata przelatują niczym ptaki. A kiedy dziewczyna dorasta, kiedy więcej rozumie, Bestia ma więcej pokarmu... Sufija Zinobia w wieku dwudziestu ośmiu lat osiągnęła poziom rozwoju mniej więcej dziewięcioipółletniego dziecka, tak więc gdy aja Śahbanu zaszła wówczas w ciążę i została zwolniona ze służby z powodu niemoralnego prowadzenia się, Sufija wiedziała, co się stało, słyszała wcześniej nocne hałasy, jego pomruki, jej ptasie krzyki. Aja zaszła w ciążę mimo przedsiębranych środków ostrożności, ale przecież łatwo pomylić się w

obliczeniach, i odeszła bez słowa, nie starając się nawet zrzucić z siebie choć części winy. Omar Chajjam pozostawał z nią w kontakcie, zapłacił za aborcję i postarał się, żeby potem nie umarła z głodu, lecz to niczego nie rozwiązało; powstała szkoda.

W łóżku Sufija Zinobia jest sztywna jak deska. Stara się wyciągnąć z głowy dobre rzeczy, dzieci, uśmiech ojca. Ale jest tylko ta rzecz wewnątrz Śahbanu, *rzecz*, którą robią mężowie; mi dziecka nie dał, ona wzięła je dla siebie. Sufija czuje się winna i zhańbiona. Tamta kobieta, która mnie kochała. Mój mąż, ale jego winić nie można, on nigdy żony nie miał. I to się bezustannie powtarza w jej pustym pokoju; Sufija jest falą, która zamienia się w potop, czuje, że coś się zbliża z rykiem, czuje, jak ją porywa, ta rzecz, zalew albo może ta rzecz w powodzi, Bestia wyrywa się, by wyładować swą wściekłość, rozpętać piekło na ziemi, a potem Sufija nie wie już nic, niczego nie pamięta, bo to, ta rzecz, jest na wolności.

Bezsenność w somnambulizm. Potwór podnosi się z łóżka, awatar hańby opuszcza pusty pokój aji. Burka pojawia się nie wiadomo skąd, skądinąd nigdy nie była ubiorem trudnym do znalezienia w tym smutnym domu, potem spacer. Tak samo jak w przypadku zagłady indyków, Bestia zaklina nocne strażę, jej oczy płoną w oczach Sufiji, zamieniają strażników w kamienie, kto może wiedzieć jak; później, kiedy się przebudzą, nie będą świadomi, że spali.

Hańba wędruje ulicami pod osłoną nocy. W slumsach przerażające spojrzenie oczu, których śmiertelny żółty płomień jak wiatr uderza przez azur woalu, paraliżuje czterech młodzieńców. Podążają za nią na śmietnisko zagłady, te szczury na akordeonowy mechaniczny taniec w trawiącym wszystko świetle z okrytych czarnym woalem oczu. Leży na ziemi; i to, co Śahbanu wzięła na siebie, wreszcie dzieje się także z nią. Czterech mężów podchodzi i odchodzi. Czterech, tam i z powrotem, a potem jej dłonie sięgają po kark pierwszego z nich. Inni stoją spokojnie i czekają na swoją kolejkę. Głowy poleciały wysoko, utonęły w rozproszonych chmurach; nikt nie zauważył ich upadku. Ona podnosi się, idzie do domu. I śpi; Bestia uspokaja się.

Generał Raza Hajdar sam przeszukuje pokój córki. Znajduje skrzypiącą burkę, sztywną od zakrzepłej krwi. Zawija ją w gazetę i wrzuca w ogień. Potem wysypuje popiół z okna jadącego samochodu.

Jest dzień wyborów i płonie wiele ognisk.

Rozdział jedenasty

Monolog powieszzonego mężczyzny

Przewodniczący Iskander Harappa nabawił się bólu zębów na trzydzieści sekund przed tym, jak jego dom w stolicy niechciany terminali lotniczych otoczyły dżipy. Los sprowokowała Ardżumand, jego córka, mówiąc coś, a ilekroć ktoś prowokował los, wszystkie poczerniałe od betelu zęby Iskandra zaczynały się odzywać zabobonnym bólem, zwłaszcza po północy, kiedy tego rodzaju sprawy są jeszcze bardziej niebezpieczne niż mogłoby się zdawać w świetle dnia.

- Para uleciała z opozycji - stwierdziła Ardżumand, budząc poważne zaniepokojenie Iskandra.

Wcześniej, podczas błogiego poobiedniego odpoczynku pogrążył się w rozmyślaniach nad pogłoskami o ucieczce pantery albinoski na zalesione wzgórza Baghiragali, oddalone o jakieś czterdzieści mil; zmuszony do myślowego porzucenia nawiedzonych lasów, zwymyślał córkę.

- Bóg jeden wie, jak zmyć ten twój optymizm; muszę cię wymoczyć w zbiornikach za Barrage Dam. - Wtedy zęby zaczęły mu dokuczać jak wszyscy diabli, gorzej niż kiedykolwiek wcześniej, i w zdziwieniu powiedział na głos to, co nagle przyszło mu do głowy: - Pałę przedostatnie w życiu cygaro.

Skoro tylko to proroctwo wyszło z jego ust, zjawił się nie zaproszony gość, mianowicie oficer piechoty z najsmutniejszą twarzą na świecie, pułkownik Śudża, od sześciu lat adiutant generała Hajdara. Pułkownik Śudża zasalutował i poinformował premiera o zamachu.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale musi mi pan bezzwłocznie towarzyszyć do rządowego domu wypoczynkowego w Baghiragali.

Iskander Harappa uświadomił sobie, że wcześniej nie zdołał uchwycić znaczenia swego snu na jawie. Uśmiechnął się: jakież był głupi.

- Rozumiesz, Ardżumand - powiedział - chcą mnie rzucić na pożarcie panterze, prawda? - Potem odwrócił się do Śudży i zapytał, kto mu wydał rozkazy. - Główny Administrator Stanu Wojennego, sir - odparł pułkownik. - Generał Hajdar, sir, proszę o wybaczenie.

- Zerknij na moje plecy - powiedział Iskander do córki - ujrzysz w nich nóż tchórza.

Trzydzieści minut później generał Salman Tughlak, szef sztabu połączonych sił, ocknął się z hałaśliwego koszmaru, w którym przyglądał się odtwarzanej w zwolnionym tempie klęsce

w wojnie o Wschodnie Skrzydło. Obudził go uporczywy dźwięk dzwonka telefonu. Generał Tughlak był jedynym członkiem najwyższego dowództwa za prezydentury Kudłatego Psa, który zdołał uniknąć programu naprawczego w korpusach wojsk obrony i przez jakiś czas ów zły sen nie dawał mu spokoju, nic dziwnego więc, że krzyknął do słuchawki:

- O co chodzi? Jesteśmy otoczeni?

- Dokonaliśmy tego - zabrzmiał głos Razy Hajdara, zdradzający pewne zmieszanie.

Generał Tughlak tak samo zmieszany:

- Czego dokonaliśmy, na miłość boską?

- Na Allaha - Raza Hajdar wpadł w panikę - nikt ci nie mówił? - Potem zaczął się jąkać, bo naturalnie szef sztabu był jego najstarszym rangą oficerem, bo gdyby szef odmówił wsparcia inicjatywy wojsk lądowych marynarką i siłami powietrznymi, sprawy mogłyby przybrać zgoła fatalny obrót. Z powodu niemożliwych do odkodowania zająknięć i utrzymującej się usypiającej mgły, która nadal otaczała generała Tughlaka, upłynęło ponad pięć minut, nim szef sztabu zrozumiał, co się wydarzyło tej nocy.

- A zatem? - powiedział w końcu Tughlak. - Co teraz?

Wymowa Hajdara poprawiła się nieco, ale on sam pozostał ostrożny:

- Proszę mi wybaczyć, generale - zastosował taktykę polegającą na przeczekaniu - a co pan sądzi, sir?

- Do licha, człowieku - wybuchnął Tughlak - jakie rozkazy zamierzasz wydać?!

Nastąpiła cisza; Raza Hajdar zrozumiał, że wszystko jest na dobrej drodze; wtedy powiedział potulnie:

- Tughlakdźi, cóż, z pańskim doświadczeniem w sprawach stanu wojennego i w ogóle...

- W końcu wykrztuś to z siebie - rozkazał Tughlak.

- ...mówiąc otwarcie, sir, liczyliśmy na pańską pomoc w tym wszystkim.

- Zakichani amatorzy - mruknął uradowany stary Tughlak - przejmujecie rządy i nie potraficie powiedzieć, co was boli, a co swędzi.

Opozycja nigdy nie zaakceptowała wyników wyborów. Tłumy na ulicach krzyczały o korupcji; był ogień, zamieszki, strajki. Wysłano wojsko, aby strzelało do cywilów. Dżawanowie i młodzi oficerowie przebąkiwali o buncie, ale ich głosy utonęły w huku wystrzałów. A tu Ardżumand Harappa sprowokowała los.

Ludzie mówią, że generał Hajdar z początku nie miał ochoty się ruszyć; zdecydował się dopiero wtedy, gdy koledzy dali mu wybór: albo pozostawi Harappę, albo upadnie razem z nim. Ale prezydent Hajdar zaprzeczył temu:

- Jestem typem człowieka - powiedział - który na widok chaosu w żaden sposób nie może się powstrzymać od przywrócenia porządku.

Rankiem następnego dnia po przewrocie Raza Hajdar wystąpił w telewizji publicznej. Klęczał na macie i w skupieniu recytował wersety z Koranu; potem przerwał modlitwę i podniósł się, by przemówić do narodu. Po raz pierwszy w publicznym wystąpieniu pojawiło się pojęcie „czynnego arbitra”.

- Zrozumcie - powiedział z naciskiem Raza - armia nie stara się być niczym więcej, tylko uczciwym sędzią albo arbitrem.

A gdzie się podziała prawa dłoń Razy w trakcie przemówienia? Na czym spoczywały jego palce, gdy obiecywał przeprowadzenie nowych wyborów w ciągu dziewięćdziesięciu dni? Cóż to było, oprawione w skórę i jedwab, na czym opierała się wiarygodność przysięgi, że wszystkie partie, w tym Front Ludowy tego „najodważniejszego bojownika i wielkiego polityka” Iskandra Harappy, zostaną dopuszczone do rywalizacji w powtórzonym głosowaniu?

- Jestem prostym żołnierzem - oświadczył Raza Hajdar - skandal to skandal i należy odskandalizować, co się tylko da. Kamera telewizyjna powędrowała w dół od twarzy naznaczonej gątacą, potem wzdłuż ramienia, aż w końcu naród ujrzał, gdzie spoczywała prawa dłoń Razy - na Świętej Księdze.

Raza Hajdar, protegowany Harappy, sam doprowadził do jego egzekucji; na dodatek złamał świętą przysięgę, choć był człowiekiem religijnym. To, co uczynił później, można uznać za wynik pragnienia, aby oczyścić w oczach Boga swe zbrukane imię.

Oto, jak to się wszystko zaczęło: Ardżumand Harappę wysłano do Rani w Mohendżo; ale Haruna Harappy nie schwytano. Uciekł gdzieś na wieś i zapadł się pod ziemię... co z samego początku, w ciągu pierwszych dni, wydawało się reakcją w poważnym stopniu niewspółmierną. Raza Hajdar zażartował w obecności generała Tughlaka. -A to głupiec. Czyżby myślał, że chcę mu obciąć tę jego rzecz, bo nie był dość dobry, aby poślubić moją córkę?

Przewodniczący Iskander Harappa został osadzony w rządowym domu wypoczynkowym w Baghiragali, gdzie oczywiście pantera go nie pożarła. Umożliwiono mu nawet korzystanie z telefonu, to znaczy odbieranie rozmów; zachodnie gazety zdobyły numer i Iskander udzielał długich, elokwentnych wywiadów licznym dziennikarzom zza morza. W wywiadach tych pozwalał sobie wysuwać wiele szczegółowych zarzutów, mnożąc wątpliwości co do dobrej wiary Razy Hajdara, jego kośćca moralnego, potencji seksualnej i prawowitego pochodzenia. Mimo wszystko Raza wykazał się tolerancją.

- Ten Isky - zwierzył się pułkownikowi Śudzi - to strasznie nerwowy facet. Zawsze taki

był. Gość jest oczywiście rozstrojony; na jego miejscu czułbym to samo. Poza tym nie wolno wierzyć we wszystko, co wydrukują w chrześcijańskiej prasie.

- Załóżmy, że pan doprowadził do wyborów, a on je wygrał, sir-ośmielił się pułkownik Śudża, przybierając najbardziej zbolaty wyraz spośród wszystkich, jakie Raza kiedykolwiek zaobserwował na jego zwykle smutnej twarzy - proszę o wybaczenie, sir, ale co on wtedy panu zrobi?

Raza Hajdar wyglądał na zdziwionego.

- Jak to, co zrobi?! - zawołał. - Mnie? Staremu kumpłowi, powinowatemu? A czy ja go torturowałem? Czy wtrąciłem do normalnego więzienia? Co miałyby mi zrobić?

- Rodzina gangsterów, sir, ci Harappowie, wszyscy to wiedzą - powiedział Śudża. - Mają we krwi skłonność do zemsty i co tylko, proszę o wybaczenie, generale.

Od tego momentu posiniaczone czoło Razy Hajdara poryły głębokie bruzdy głębokiego namysłu, natomiast dwa dni później obwieścił swemu adiutantowi:

- Odwiedzimy tego człowieka bez zwłoki, *pronto*, i zrobimy porządek.

Później pułkownik Śudża będzie przysięgał, że aż do spotkania Razy z Iskandrem ten pierwszy wcale nie myślał o prezydenturze dla siebie. „Ten głupi człowiek -powtarzał, kiedy go pytano - sam ściągnął los na swoją głowę”. Śudża pojechał z generałem Hajdarem do Baghiragali i kiedy samochód służbowy wspinał się po górskich drogach, ich nozdrza drażniły słodkie wonie szyszek sosnowych i piękna, aromaty, które miały moc podnoszenia na duchu najbardziej załamanych i kazały myśleć, że nie ma rzeczy nie do rozwiązania. Brzemienne w skutki konferencja odbyła się w bungalowie na jednym ze wzgórz Baghiragali; adiutant generała czekał na jej rezultaty w przedpokoju.

Przecucie Iskandra Harappy odnośnie do cygar okazało się prawdziwe, bo choć były tu urządzenia klimatyzacyjne, kieliszki z kryształu, dywaniki z Szirazu oraz inne udogodnienia, jakoś nie mógł znaleźć choćby jednej popielniczki; a kiedy poprosił strażników, aby mu przysłano z domu pudełko ulubionych kubańskich cygar, usłyszał uprzejmą odpowiedź, że to niemożliwe. Zakaz palenia opanował myśli Isky'ego, wyparł świadomość wygodnego łóżka i dobrego jedzenia, ponieważ było oczywiste, że ktoś wcześniej rozkazał strażnikom, aby nie pozwolili mu palić, więc chyba próbowano dać mu coś do zrozumienia, jakby mówiono „uważaj”, i wcale mu się to nie podobało, o nie, sir. Brak dymu cygarowego pozostawił zjełczały smak w jego ustach. Zaczął bez opamiętania żuć betel, celowo plując na bezcenne dywaniki, bo wściekłość zaczęła przytłaczać wybredną elegancję jego prawdziwej natury. Od tej używki jeszcze bardziej bolały go zęby, dlatego wzięwszy pod uwagę wszystko, co niedobrego stało się w jego ustach, nie powinniśmy się wcale dziwić, że pogorszyło się również

słownictwo... Raza Hajdar spotkał się z przyjęciem, jakiego się chyba nie spodziewał, bo wszedł do pokoju Iskandra, uśmiechając się pojednawczo; ledwie jednak zamknął za sobą drzwi, popłynął stek przekleństw, a pułkownik Śudża przysięgał później, że widział smużki błękitnego dymu przechodzące przez dziurkę od klucza, jak gdyby w środku palił się ogień albo czterysta dwadzieścia hawańskich cygar naraz.

Uwodziciel skundlonej suki swej babki, handlarz córkami, które sprzedał tanio bękarcemu potomstwu alfonsów, niewierny, który ma sraczkę i fajda na Koran -Isky Harappa lżył Razę półtorej godziny, nie pozwalając sobie przerwać. Sok betelowy i brak tytoniu wzbogaciły jego imponujący słownik wyzwisk o złośliwości bardziej zabójcze niż to bywało w czasach jego hulaszczwej młodości. Zanim skończył, ściany pokoju, od góry do samego dołu, zostały spryskane wyciągiem z betelu, a zasłony zniszczone; mogło się zdawać, że zarżnięto tu stado zwierząt, jakby indyki albo kozy walczyły dziko w śmiertelnym szale, biegając po pokoju z krwią tryskającą z czerwonych uśmiechów na szyjach. Z ubrania Razy Hajdara spływał sok z liści pan, miał to na wążach, drżały mu dłonie, a palce ociekały czerwonym płynem, jakby przed chwilą umył dłonie w misce z życiodajną krwią Iskandra.

Generał Hajdar nie odezwał się, póki służbowy samochód nie zajechał do rezydencji głównodowodzącego. Potem powiedział do pułkownika Śudży jakby od niechcenia. - Słyszałem okropne rzeczy o panu Harappie w okresie sprawowania przez niego urzędu. Ten człowiek nie zasługuje na uwolnienie. Stanowi zagrożenie dla kraju.

Dwa dni później Talwar Ulhaq wydał oświadczenie, w którym pod przysięgą oskarżył Iskandra Harappę o przygotowanie morderstwa kuzyna, Małego Mira. Kiedy pułkownik Śudża przeczytał ten dokument, pomyślał ze zdziwieniem: „Popatrz no tylko, dokąd może cię zaprowadzić plugawy język”.

W tamtych czasach dom głównego administratora stanu wojennego zaczął przypominać bardziej sierociniec niż siedzibę rządu, a to za sprawą Dobrej Nowiny, która nie była w stanie powstrzymać dorocznej fali dzieci wypływającej z jej lędźwi. Dwadzieścioro siedmioro dzieci w wieku od roku do sześciu lat rzygało, śliniło się, pełzało, rysowało kredkami po ścianach, bawiło się cegłami, rozlewało soki, zasypiało, spadało ze schodów, rozbijało wazon, wyło, chichotało, śpiewało, tańczyło, skakało, moczyło się, wymagało uwagi, ćwiczyło nieprzyzwoite słowa, kopało nianie, nie chciało myć zębów, ciągało za brody nauczycieli od kaligrafii i Koranu, rozrywało zasłony, plamiło sofę, gubiło się, kaleczyło, nie dawało się szczepić ani sobie zrobić zastrzyków przeciw tężcowi, prosiło o zwierzaki domowe, by następnie o nich zapominać, kradło radia i wpadało na spotkania o najwyższej możliwej randze

w tym szalonym domu. Tymczasem Dobra Nowina jeszcze raz się powiększyła, zrobiła się taka duża, jakby połknęła wieloryba. Wszyscy wiedzieli z przerażającą pewnością, że następuje progresja, że tym razem przyjdzie na świat nie mniej niż ośmioro dzieci, w kolejnym roku dziewięcioro, potem zaś dziesięcioro i tak dalej, i tak dalej, tuż przed ukończeniem trzydziestki zaś powinna urodzić nie mniej niż siedem-dziesięcioro siedmioro dzieci, więc najgorsze miało dopiero nadejść. Możliwe, że jeśliby Raza i Talwar nie myśleli o innych sprawach, może by zgadli, co ta kobieta robi; ale i tak chyba nikt by jej nie powstrzymał, bowiem dzieci zaczęły doprowadzać do szaleństwa każdego, kto żył pośród tego tumultu.

Och, ten Talwar Ulhaq -jakie skrupowanie, jaki brak swobody, jaka wieloznaczność otaczała sztywnokarkiego szefa Federalnych Sił Bezpieczeństwa! Zięcia Hajdara, prawą rękę Harappy... po upadku Iskandra Harappy, Raza Hajdar *zaczai* odczuwać konieczność uczynienia czegoś z mężem córki. Siły Bezpieczeństwa nie należały do specjalnie popularnych organizacji; Raza nie miał wyjścia, musiał je rozwiązać. Lecz mimo wszystko nadal odzywały się głosy żądające głowy Talwara. I właśnie dokładnie ten moment wybrał Talwar, dawna gwiazda polo, aby dowieść, że poważnie potraktował każdą sylabę przysięgi zawierającej obietnicę bycia doskonałym zięciem. Przekazał Razie Hajdarowi tajemnicę, szczegółowe dossier na temat zamordowania Mira Harappy, z którego wynikało w sposób oczywisty, że morderstwa dokonał Harun Harappa z pradawnej nienawiści do swojego ojca; i że owym geniuszem zła stojącym za tym godnym potępienia czynem był nie kto inny, tylko Przewodniczący Frontu Ludowego, który swego czasu mruknął, wykazując cierpliwość: „Życie jest długie”.

- Istnieją dowody, że sprzeniewierzył publiczne pieniądze, rozwijając w Ansu handel turystyczny - Raza Hajdar zwięźle zrelacjonował sprawę generałowi Tughlakowi - ale to jest lepsze. Pogrzyży go całkowicie.

Akt zdrady w postaci dowodu lojalności ze strony Talwara Ulhaqa zmienił wszystko. Front Ludowy nie mógł wystąpić w wyborach; potem wybory odłożono; następnie ponownie przesunięto ich termin; wreszcie z nich zrezygnowano na czas bliżej nie określony. Właśnie w tym okresie ludzie zaczęli opowiadać, że skrót GASW wcale nie pochodzi od „Głównego Administratora Stanu Wojennego”, tylko od „Głównego Administratora Sprzecznych Wypowiedzi”.

I pamięć o prawej dłoni spoczywającej na Księdze zaczęła się zacierać.

Przewodniczący Iskander Harappa został zabrany z domu wypoczynkowego w Baghiragali do więzienia Kot Lakhpat w Lahaur. Trzymano go tam w pojedynczej celi. Cierpiał

na malarię i zapalenie jelita grubego. Przechodził ciężkie ataki grypy. Zaczęły mu wypadać zęby; tracił na wadze także w inny sposób. (Wspomnieliśmy już, że Omar Chajjam Śakil, jego dawny towarzysz od hulanki, także szczupłał w tym okresie - pod dobroczynnym wpływem aji parsyjki.)

Rozprawa odbyła się przed Sądem Wyższym w Lahaur, przed pięcioma pendżabskimi sędziami. Harappa, jak się będzie powtarzać, pochodził z majątku Mohendzo. Zeznanie byłego szefa FSB Talwara Ulhaqa miało największe znaczenie dla oskarżenia. Oskarżony przedstawił na swoją obronę własne dowody, twierdząc, że Talwar sfabrykował określone materiały, aby ratować własną skórę. W pewnym momencie Iskander posłużył się frazą „Niech to szlag” i został upomniany za posługiwanie się w sądzie niewłaściwym językiem. Wtedy przeprosił: - Stan mojego umysłu nie jest najlepszy. Przewodniczący składu sędziowskiego odparł: - Nic nam do tego. - To doprowadziło Iskandra do wybuchu. - Dostyc już znosiłem zniewag i upokorzeń. - Przewodniczący polecił policjantom: -Wyprowadzić tego osobnika, niech się uspokoi. - Inny sędzia dodał następującą uwagę: - Nie możemy tego tolerować. On myśli, że jest dawnym premierem, a my o niego nie dbamy. - To wszystko znajduje się w protokole.

Pod koniec sześciomiesięcznej rozprawy Iskander oraz nieobecny pan Harun Harappa zostali skazani na śmierć przez powieszenie. Iskandra natychmiast przeniesiono do celi śmierci w więzieniu Kot Lakhpat. Na złożenie apelacji miał siedem dni zamiast zwyczajowych trzydziestu.

Iskander oświadczył: - Gdzie nie ma sprawiedliwości, tam nie ma sensu jej szukać. Nie będę się odwoływał.

Tamtej nocy begam Nawid Ulhaq, dawniej Dobrą Nowinę Hajdar, znaleziono martwą, powieszoną w sypialni w rezydencji Hajdara. Na podłodze pod rozkołysanymi stopami leżał sznur po pierwszej próbie, zerwany z powodu nadmiernej wagi ciężarnego ciała. Widocznie to jej nie powstrzymało. We włosach miała jaśmin, a cały pokój wypełniała woń importowanych z Francji najdroższych perfum na świecie - Joy Jeana Patou. Chodziło o to, aby zabić odór po zwolnieniu zwieraczy w chwili śmierci. List pożegnalny przyczepiła bezpieczną agrafką do nieprzyzwoitego wybrzuszenia w talii. Jego treść bezpośrednio nawiązywała do przerażenia arytmetycznym przyrostem dzieci wychodzących z jej macicy. Nie znalazła się tam ani jedna wzmianka o tym, co myślała o mężu, Talwarze Ulhaqu, który nigdy nie stanie przed sądem pod żadnym zarzutem.

Na pogrzebie Nawid Talwar, Raza Hajdar zapatrzył się na ukrytą w czarnej burce, wyobcowaną postać własnej żony Bilquis; od razu sobie przypomniał, jak spotkał ją w odległej, pełnej uchodźców fortecy, że była wtedy tak samo naga, jak teraz była ubrana; widział jej

historię jako powolne przechodzenie od otwartej, pełnej godności, królewskiej nagości do dyskrecji woalu.

- Się masz, Bilquis - mruknął - co się stało z naszym życiem?

- Masz ochotę poczuć się źle? - odpowiedziała stanowczo zbyt głośno. - W takim razie poczuj się źle z powodu życia, które zostało przegrane. Ciebie za to winię. Hańba, hańba, wielka hańba.

Pojął, że już nie jest dziewczyną przy zdrowych zmysłach, w której się zakochał gdzieś, w jakimś zupełnie innym świecie; cóż, jeszcze przed końcem obrzędów pogrzebowych rozkazał pułkownikowi Śudzi odwiedzić ją do domu.

Myśli czasem, że ściany drżą, jakby poplamiony wilgocią beton dostał drgawek, a potem pozwala sobie na zamknięcie powiek, które są ciężkie niczym żelazne tarcze; musi sobie powiedzieć, kim jest. Pod pancerzem niewidzenia recytuje: ja, Iskander Harappa, premier, Przewodniczący Frontu Ludowego, mąż Rani, ojciec Ardżumand, wcześniej oddany kochanek... Zapomniał jej imienia i zmusza się do otwarcia oczu, ale musi pomóc sobie palcami; ściany wciąż pulsują. Karaluchy wysiedlone ze swoich miejsc przez te poruszenia spadają mu na głowę; kiedy strząsa je na podłogę, okazuje się, że mają po trzy cale długości, musi je rozgniatać nagimi piętami; pękają na cemencie niczym łuski nasion sosny. Dudni mu w uszach.

Jaki jest kształt śmierci? Cela śmierci ma dziesięć stóp długości, siedem szerokości, osiem wysokości, sześćdziesiąt i dwie dziesiąte jarda kwadratowego ostateczności, poza którą jest jeszcze tylko pewien dziedziniec, ostatnie cygaro, cisza. *Wybiorę Romeo y Juliettas. Tamta historia też się kończy śmiercią...* Nazywają to izolatką, ale on nie jest sam, są muchy cudzołożące na paznokciach u jego nóg i komary pijące z sadzawek jego nadgarstków, przynajmniej robią z krwi jakiś użytek, nim zmarnuje się cała reszta. Do tego czterech strażników na korytarzu, jednym słowem mnóstwo towarzystwa. I czasami pozwalają jego prawnikom złożyć mu wizytę.

Przez drzwi z żelaznych prętów zalatuje odór latryny. Zimą trzęsie się z zimna, ale niska temperatura osłabia intensywność tego brunatnego smrodu. W porze gorącej nie działa wentylator wiszący pod sufitem i cuchnący zapach pączkuje, narasta, podtyka swe cuchnące paluchy pod jego nos, sprawiając, że oczy wychodzą mu na wierzch, choć kanaliki łzowe są suche. Iskander rozpoczyna strajk głodowy i kiedy jest niemal tak słaby, że ledwie się rusza, rozwieszają płótno nad wejściem do latryny i włączają wentylator. Ale kiedy prosi o coś do picia, przynoszą wrzątek i musi czekać wiele godzin, nim woda ostygnie.

Ból w piersi. Wymiotuje krwią. Ma krwotoki z nosa.

Dwa lata od upadku do egzekucji i niemal cały ten czas spędzony w zamkniętej przestrzeni śmierci. Z początku w Kot Lakhpāt, potem w więzieniu okręgowym, skąd, gdyby miał okno, widziałby pałace swej minionej chwały. Kiedy przenieśli go z pierwszej celi śmierci do drugiej, miał mgliste przeświadczenie, że nie było żadnego przemieszczenia, że choć założyli mu na głowę worek, doświadczał popychania, wrażeń podróży, przelotu, tamci robili to wszystko, aby zbić go z tropu i ostatecznie dostarczyć do punktu wyjścia. Albo do mety, wszystko jedno. Cele były do siebie bardzo podobne, nie uwierzył, iż przenieśli go do stolicy, póki nie wpuścili do niego prawników, aby mu o tym powiedzieli.

Trzymają go w kajdanach. Kiedy we śnie odwraca się zbyt gwałtownie, obręcze wpijają mu się w nadgarstki. W ciągu dnia zdejmują łańcuchy tylko na godzinę; wypróżnia się, spaceruje. I znowu go skuwają. - Mam wysokie morale - powiada do prawników - bo nie jestem z drewna, które się łatwo pali.

Proporcje, zawartość celi. Koncentruje umysł na tym, co w niej konkretne, pewne. Muchy, komary i karaluchy są przyjaciółmi, liczy je, może ich dotknąć, może je rozgnieść, może znosić. Żelazne kraty, pręty, od jednego do sześciu. Zapchlony materac, oddany mu do dyspozycji po pięciomiesięcznych staraniach, zwycięstwo, może ostatecznie. Łańcuchy, dzban wody zbyt gorącej, by jej dotknąć. To wszystko coś znaczy, obejmuje zamiar. W celi śmierci znajduje się klucz do tajemnicy umierania. Tylko że na żadnej ze ścian nie wydrapano odpowiedniego hasła.

A jeśli to jakiś sen - czasami w gorączce swych dni myśli, że tak właśnie jest, wtedy (wie i to) śni ktoś inny, nie on. On jest w tym śnie, bo inaczej nie mógłby dotykać śnionych insektów, nie parzyłaby woda ze snu... ktoś go śni. Czyżby Bóg? Nie, nie Bóg. Usiłuje sobie przypomnieć twarz Razy Hajdara.

Zrozumienie przychodzi dopiero przed samym końcem. On, Harappa, wyprowadził generała z pustyni do normalnego świata. Generała, którego ta cęła jest jedynie drobnym aspektem - generalnego, wszechobecnego, nienasyconego: to jakaś cęła, komórka w jego głowie. Śmierć i generał: Iskander nie widzi różnicy między jednym a drugim. *Z ciemności do światła, z niczego w coś. Stworzyłem go, jam jego ojcem, powstał z mojego nasienia. A teraz mniej znacę niż on. Oskarżają Haruna, że zabił ojca, a to właśnie Hajdar robi mnie.*

Potem kolejny krok, który pozwoli mu wykroczyć poza tego rodzaju bolesne uproszczenia. Ojciec powinien być przełożonym, syn podwładnym. *Obecnie ja jestem nisko, on wysoko.* Odwrócenie - rodzic staje się dzieckiem. *Przemienił mnie we własnego syna.*

Swego syna. Tęgo, który martwy opuścił macicę z pętlą zaciśniętą wokół szyi. *Ta pęćła*

przypieczętowała mój los. Teraz pojmuje, ogarnia umysłem celę, dygoczące ściany, odór ekskrementów, rytm okrutnego, niewidocznego serca - oto brzuch śmierci, odwrócona macica, mroczne odbicie miejsca urodzin, ma go wciągnąć, cofnąć go mimo upływu czasu, aż zawiśnie jak niemowlę we własnych wodach, z pępowiną owiniętą śmiertelnie wokół szyi. Opuści to miejsce tylko wtedy, kiedy jego mechanizmy dopełnią dzieła, dziecko śmierci przedostanie się przez śmiertelny kanał i zaciśnie pętlę.

Człowiek całe życie gotowy jest czekać na zemstę. Zabicie Iskandra Harappy jest zemstą za martwo urodzone dziecko. Tak - *ulegam procesowi antytworzenia.*

Adwokaci w końcu przekonali Iskandra Harappę, aby wniósł apelację od wyroku Sądu Wyższego, skazującego go na śmierć. Apelacji wysłuchało siedmiu sędziów Sądu Najwyższego w nowej stolicy. Do zakończenia postępowania przed Sądem Najwyższym Iskander przesiedział w więzieniu półtora roku. Miało jeszcze minąć sześć miesięcy, nim ciało byłego premiera przywieziono do Mohendzo pod opieką Talwara Ulhaqa, którego już wcześniej przeniesiono z powrotem do czynnej służby w policji.

Wybory nie odbyły się. Raza Hajdar został prezydentem. Wszyscy o tym doskonale wiedzą.

A Sufija Zinobia?

Wskazówki zegara znowu obracają się w przeciwną stronę. Jest dzień wyborów i płonie wiele ognisk. Raza Hajdar wysypuje popioły przez okno jadącego samochodu; Isky Harappa nic jeszcze nie wie o celi śmierci z przyszłości. A Omar Chajjam Śakil o wielkim strachu.

Po zwolnieniu Śahbanu, aji parsyjki, Omar Chajjam Śakil bał się coraz bardziej, bo widział cienie z dzieciństwa, powstające, by prześladować go w latach dojrzałości. Raz jeszcze jego parsyjka zaszła w ciążę; raz jeszcze matka miała mieć dziecko pozbawione ojca. Myśl, że nie ma ucieczki, odczuwał niczym gorący kompres wokół głowy, miał trudności z oddychaniem; do tego doszło zdenerwowanie tym, co może teraz uczynić generał Hajdar, kiedy aja została zwolniona za przestępstwo brzemienności i nie można było już dłużej utrzymać w tajemnicy, kogo Śahbanu odwiedzała prawie każdej nocy. Z powodu tej, co było oczywiste - najpoważniejszej z przewin - niewierności męża pod dachem teścia. Zdrady spraw podstawowych.

Ale Raza Hajdar był tak samo poruszony jak Omar Chajjam i o sprawach podstawowych nie myślał. Po spaleniu na popiół inkrustowanego krwią okrycia dręczyła go myśl, że Talwar Ulhaq jest nieco zbyt dobry, aby jego poza idealnego zięcia mogła uchodzić za prawdziwą. Czyj to kark został ugryziony? Czyja kariera zawodnika polo została wampirycznie

złamana? Kto - niewykluczone - w sposób bardzo umiejętny czekał stosownej chwili, aby się zemścić? Ale ze mnie głupiec - przeklął siebie Raza - powinienem oddać krew do analizy. Może była to tylko kozia farba; szkoda, teraz wszystko poszło już z dymem.

O niechęci ojca do zaakceptowania Potworności w córce! Z dymem poszła pewność, poczucie obowiązku, odpowiedzialność. Raza Hajdar rozważał możliwość wymazania z pamięci całej tej sprawy... tamtej nocy jednak we śnie odwiedził go maulana Dawud. Maulana krzyczał, że nadszedł czas, aby zaczął wierzyć, iż to szatan wstąpił w jego córkę, a wszystko to było w istocie obmyśloną przez Boga próbą wiary i dlatego dobrze by zrobił, gdyby się zdecydował, na czym mu bardziej zależy, na życiu własnej córki czy wiecznej miłości Boga. Maulana Dawud, który najwidoczniej postarzał się po śmierci i był bardziej niedołązny niż kiedykolwiek wcześniej, dodał opryskliwie, że wybryki Sufiji Zinobii będą coraz gorsze - jeśli ta wiadomość w ogóle mogła w jakikolwiek sposób pomóc - i w końcu na pewno zrujnują karierę Razy. Raza Hajdar obudził się i wybuchnął płaczem, ponieważ ów sen odsłonił przed nim jego prawdziwą naturę, naturę człowieka, który dla Boga gotowy jest poświęcić wszystko, nawet własne dziecko. Przypomnij sobie Abrahama - powiedział do siebie, ocierając oczy.

Zatem tego ranka cierpieli obaj, Hajdar i Śakil, gdyż odnosili wrażenie, że nie panują nad swoim życiem, zdawali sobie bowiem sprawę z przygniatającej obecności Losu... Raza uświadomił sobie, że nie ma wyboru i musi porozmawiać z mężem Sufiji Zinobii. Wpadka z ają to głupstwo; to dopiero była poważna sprawa i facet miał prawo wiedzieć.

Kiedy adiutant generała przedstawił się Omarowi Chajjamowi Śakilowi i powiedział ze smutkiem i jakby z zakłopotaniem, że głównodowodzący zażyczył sobie obecności lekarza podczas małej wyprawy na ryby, Omar ze strachu mało co nie wyskoczył z butów. Ciekawe, jaki ważny powód skłonił Hajdara do spędzenia z nim dnia, podczas gdy w mieście eksplodowały powyborcze fajerwerki? O to chodzi, pomyślał, aja przygotowała to dla mnie. W drodze na wzgórze Baghiragali za bardzo się bał, aby otworzyć usta.

Raza Hajdar powiedział, że pójdą nad strumień, miejsce znane ze względu na niezwykle piękno porośniętych drzewami pochyłości oraz legendę, że w jego wodach żyje duch tak okrutny, iż mnóstwo dorodnych pstrągów, które tędy przepływają, woli zawisnąć na haczyku wędkarza, choćby nawet zupełnie nieporadnego, niż płynąć dalej. Tamtego dnia jednak ani Raza, ani Omar Chajjam nie złowili żadnej ryby.

Rozważmy odrzucenie ze strony pstrągów - dlaczego ryby nie brały? Co sprawiło, że obaj znakomici mężowie byli bardziej odstręczający niż duch ze strumienia? Z uwagi na niemożność wniknięcia w wyobraźnię pstrąga, proponuję własne (wystarczająco rybne)

wyjaśnienie. Ryba ma do haczyka swoiste zaufanie, haczyk jawi się rybim ustom jako coś nieuchronnego. Wędkowanie jest walką inteligencji; myśli wędkarza płyną przez wędkę i żyłki, po czym są odkrywane przez pletwiaste stworzenia. Kto tym razem uznał nawiedzone wody za lżejsze na żołądek niż ohydne, ciężkie myśli... cóż, można to przyjąć bądź nie, fakty zaś pozostają faktami. Dzień minął w wysokich butach i na koniec koszyki pozostały puste. Ryby wydały wyrok na obu mężczyźn.

Stojąc w wodzie, mężczyźni rozmawiali o rzeczach niemożliwych. Tymczasem wszystko dookoła - kukułki, sosny, motyle - dodawały ich słowom bajkowego nieprawdopodobieństwa... Raza Hajdar jakoś nie był w stanie wyzbyć się myśli o knuciu intryg i uświadomił sobie, że powierza swój los człowiekowi, któremu zamordował brata. O podejrzani zięciowie! Zwątpienie z przygnębieniem zawisły nad głową Hajdara i wystraszyły ryby.

Ale nie mogę tak po prostu zmusić się do tego, by zobaczyć naszego bohatera jako zamyślonego, cierpliwego bandytę z jakiejś tragedii o zemście - nawet jeśli Iskander Harappa w celi śmierci wierzył, że ludzie całe życie są w stanie czekać na zemstę, nawet jeśli będę musiał stworzyć tę przeklętą możliwość, skoro Hajdar wziął ją sobie do głowy. Przyznałem już, że jego obsesja na punkcie Sufiji Zinobii mogła być zupełnie prawdziwa i szczerą; poza tym, lub nawet z tego powodu, trzymam się raz wytyczonych szlaków. Zbyt wiele upłynęło czasu bez choćby jednej wzmianki ze strony Omara Chajjama Śakila, że ma dojść do aktu zemsty; odnoszę wrażenie, że dokonał on własnego wyboru, decydując się na Hajdarów, odrzucając rodzinę; ten Omar-mąż, Omar-zięc dawno już się uwolnił od cienia Omara-brata oplakującego bliskiego krewnego, którego nigdy nie znał, ten najczarniejszy z koni, oczekujący na swoją szansę. Nieznośna jest sytuacja, kiedy wymyślone postacie postrzegają mniej wyraźnie niż ten, kto je wymyśla; ale mam po swojej stronie trzy jego matki. A Raza chyba nie potraktował swych zmartwień zbyt poważnie, ponieważ w końcu opowiedział Omarowi Chajjamowi wszystko: o bezgłowych chłopcach, śladach nasienia, woalu. Gdyby tego nie uczynił, to cóż, my także byśmy tego nie zrobili.

Dwaj mężczyźni w rwącym strumieniu, nad nimi burzowe chmury, niewidoczne dla ludzkich oczu, ale niepokojące dla rybich. Ze strachu rozboleł Omar Chajjama pęcherz; kiedy się zorientował, że Raza Hajdar przymyka oczy na sprawę Śahbanu, przestał się go obawiać, ale w zamian zaczął odczuwać strach przed Sufija Zinobią; trzecią podstawę do niepokoju stwarzała propozycja Razy...

Padło kilka zdań o poświęceniu Abrahama. O bezbolesnym, śmiercionośnym zastrzyku. Z oczu Hajdara popłynęły łzy, z pluskiem wpadły do wody, a ich słoność jeszcze

bardziej odstraszyła pogardliwe ryby. - Jesteś lekarzem - powiedział Hajdar - i mężem. Wszystko w twoich rękach.

Chodziło o oddziaływanie umysłu na materię. Podczas transu hipnotycznego podmiot może stać się nadnaturalnie silny. Nie czuje bólu, ma ręce mocne jak stalowe sztaby, nogi szybkie jak wiatr. To nadzwyczajne. Wydaje się, że Sufija Zinobia mogła osiągnąć taki stan bez pomocy z zewnątrz. Być może kuracja w hipnozie okazała się skuteczna? Źródła szału zostały zlokalizowane, wypalone, osuszone... korzenie złości odsłonięte i zniszczone. Przypomnijmy, że Omar Chajjam Śakil był sławną postacią w świecie medycznym i że przed laty zawodowa ekscytacja przyciągnęła go do Sufiji Zinobii. Tamto stare wyzwanie teraz znowu stało się aktualne. Obaj mężczyźni, Raza Hajdar i Omar Chajjam odnosili wrażenie, że są poddawani próbie, pierwszy przez Boga, drugi przez naukę. Dla samców tego gatunku typowe jest to, że nie są w stanie oprzeć się idei próby... - Zbadam ją dokładnie - powiedział Omar Chajjam. - Istnieje pewna kuracja.

Nikt niczego nie robi z jednej tylko przyczyny. To niemożliwe, aby Omar Chajjam, pozostający przez lata w bezwstydzie, ośmielił się na coś pod wpływem pojedynczego ukłucia wstydu? Że wstyd za sprawę z Śahbanu skłonił go do wypowiedzenia słów: „Istnieje pewna kuracja” i przeciwstawienia się najgorszemu niebezpieczeństwu w jego życiu? Tym, czemu jednak zaprzeczyć nie można, czemu przeczyć nie próbuję, jest świadectwo odwagi. Mimo wszystko odwaga występuje rzadziej niż zło. Trzeba uwierzyć, kiedy uwierzyć wypada.

Lecz cóż za zmieszanie ogarnęło Razę Hajdara! Człowiek, który zdecydował się na zabicie córki z powodów religijnych, nie znajduje przyjemności w stwierdzeniu, że jest zbyt pochopny.

- Jesteś głupcem - powiedział zięciowi generał Hajdar -jeśli szatan pojawi się znowu, ona ukręci ci ten głupi łeb.

Przejdźmy do rzeczy: przez parę dni Omar Chajjam obserwował Sufiję w domu. Bawiła się z mnóstwem dzieci, skacząc dla nich przez skakankę i łuskając nasiona sosny. Zrozumiał, że jej stan stale się pogarsza, bo po raz pierwszy akt przemocy nie pozostawił żadnych śladów w jej zachowaniu, żadnych zaburzeń odporności, nic w rodzaju śpiączki; zaczęła się do tego przyzwyczajać - pomyślał z przerażeniem - teraz to się może zdarzyć w każdej chwili; zagrożone były dzieci. Tak, dostrzegał niebezpieczeństwo; kiedy go szukał, zauważył błyski w oczach Sufiji, iskierki żółtego światła, które pojawiały się i znikwały. Przyglądał się jej uważnie, zatem widział to, co na pewno uszłoby uwagi przypadkowego obserwatora, mianowicie że krawędzie Sufiji Zinobii przestały być określone i pewne, jak gdyby dwie istoty zajmowały tę

samą przestrzeń, walcząc o nią - dwie tożsamości o identycznym kształcie, lecz o tragicznie przeciwstawnych naturach. Po migoczących punktach świetlnych zaczął się orientować, że nauka nie wystarczy, że jeśli nawet odrzucał opętanie przez diabła jako sposób uchylania odpowiedzialności człowieka za postępowanie, nawet jeśli Bóg nigdy dla niego wiele nie znaczył, mimo wszystko nie był w stanie rozumem wymazać świadectwa tych oczu, pozostać ślepy na ów nieziemski blask, tłący się ogień Bestii. A wokół Sufiji Zinobii bawili się jej siostrzeńcy i siostrzenice.

Teraz albo nigdy, pomyślał i przemówił do niej tonem staroświeckiego męża: - Żono, zechciej mi towarzyszyć do sypialni. - Wstała i podążyła za nim bez słowa, bowiem Bestia nią nie rządziła; lecz w sypialni popełnił błąd i rozkazał jej położyć się na łóżku bez wyjaśnienia, że nie ma zamiaru jej zmuszać, egzekwować małżeńskich praw, więc naturalnie źle zrozumiała jego dążenie i natychmiast to się zaczęło, z żółtym ogniem w oczach zeskoczyła z łóżka i podeszła do niego wyciągnawszy przed sobą dłonie niczym szpony.

Otworzył usta do krzyku, ale na jej widok aż go zatkało; wpatrywał się w te oczy Piekła, otwierając usta jak zdychająca ryba. Nagle Sufija runęła na podłogę, zaczęła się wić i charczeć, na jej wysuniętym języku wystąpiły czerwone bąble. Nie sposób było nie dać wiary, iż oto rozgrywa się walka Sufiji Zinobii z Bestią, że wszystko, co z biedaczki zostało, rzuciło się przeciwko potworowi, że żona broniła męża przed sobą. Dlatego Omar Chajjam Śakil spojrział w oczy Bestii hańby i przeżył, bo choć sparaliżował go bazylijszkowy płomień, Sufija walczyła wystarczająco długo, żeby przełamać urok i żeby Omar zdołał wyrwać się spod fatalnego wpływu. Sufija rzucała się po podłodze tak gwałtownie, że kiedy uderzyła w drewnianą ramę łóżka, rozbiła ją w drzazgi, tymczasem on sięgnął po torbę lekarską, po omacku znalazł strzykawkę ze środkiem uspokajającym i dokładnie w ostatnim momencie walki Sufiji Zinobii, kiedy na ułamek sekundy upodobniła się do śpiącego dziecka, na chwilę przed ostatnim atakiem Bestii, która zniszczyłaby Sufi-ję Zinobię na zawsze, wbił igłę, bez dobrodziejstwa miejscowego znieczulenia, głęboko w jej zadek i wcisnął tłok, a ona z westchnieniem odpłynęła w nieświadomość.

Był sobie pewien pokój na poddaszu. (Dom zaprojektowali angrescy architekci.) Nocą, kiedy służba spała, Raza Hajdar i Omar Chajjam wnieśli odurzoną powłokę Sufiji Zinobii po schodach. Możliwe (trudno to dostrzec w ciemności), że zawinęli ją w dywan.

Omar Chajjam odmówił zrobienia ostatniego, bezbolesnego zastrzyku. *Nie zabiję jej. Przecież uratowała mi życie. I kiedyś ja ją ocaliłem.* Ale nie wierzył już, że możliwa jest jakaś kuracja; widział złoście oczy najpotężniejszego hipnotyzera na ziemi. Ani zabić, ani

wyleczyć... Hajdar i Śakil zgodzili się, że Sufija Zinobia będzie utrzymywana w stanie nieświadomości, aż do podjęcia następnego postanowienia. Miała przejść w stan ledwie podtrzymywanego życia. Hajdar przyniósł długie łańcuchy i przykuli ją do belek na strychu; w ciągu kolejnych nocy zamurowali okno, a w drzwiach zamontowali potężne rygle; dwa razy w ciągu dwudziestu czterech godzin Omar Chajjam wchodził po kryjomu do ciemnego pokoju, echa celi śmierci, by wstrzyknąć w drobne, ułożone na cienkim dywanie ciało płyny odżywcze i otepiające, zaaplikować specyfiki, które zmieniły ją w postać z innej bajki, postać ze *Śpiącej Królowny* zamiast z *Pięknej i Bestii*. - Co jeszcze można zrobić? - zapytał bezradnie Hajdar. - Bo jak widzisz, ja też jej nie mogę zabić.

Rodzina musiała się dowiedzieć; nikt nie miał czystych rąk. Wszyscy byli zamieszani w sprawę Sufiji Zinobii; i sekret został utrzymany. „Mylny cud”... zniknął z pola widzenia. Puf! Ot, jakoś tak.

Kiedy się okazało, że Sąd Najwyższy utrzymał wyrok śmierci stosunkiem głosów cztery do trzech, adwokaci Iskandra Harappy powiedzieli mu, że ulaskawienie jest pewne. - Niemożliwe, aby powiesili człowieka, kiedy podczas głosowania dochodzi do takiego rozłamu - stwierdzili. Jeden z sędziów głosujących za uniewinnieniem oświadczył: - Wszystko dobre, co się dobrze kończy. -W takich przypadkach precedens prawny, powiedziano Iskandrowi, zobowiązuje głowę państwa do skorzystania z prawa łaski. Iskander Harappa odparł: - Zobaczymy. - Sześć miesięcy później w dalszym ciągu przebywał w celi śmierci, kiedy złożył mu wizytę pułkownik Śudża, człowiek o niezmiennie ponurej twarzy. - Przyniosłem panu cygaro - rzekł adiutant głównodowodzącego - Romeo y Juliettas, pańskie ulubione, jak mniemam. - Iskander Harappa domyślił się, podpalając cygaro, że jednak umrze, i zaczął się modlić w pięknej arabszczyźnie, lecz Śudża mu przerwał: - To nieporozumienie, proszę o przebaczenie, sir. - Upierał się, że przyszedł z zupełnie innego powodu, że skierowano do Harappy prośbę o podpisanie aktu pełnego przyznania się do winy, po czym kwestia ulaskawienia zostanie rozstrzygnięta pozytywnie. Słuchając tego wywodu, Isky Harappa zebrał wszystkie siły i zaczął złorzeczyć smutnemu patańskiemu oficerowi. W ten sposób dokonywał swoistego samobójstwa. Jego słowa nigdy nie były bardziej ostre niż teraz. Plugawe obelgi okazały się kłującymi ciosami, Śudża czuł, że piecze go od nich skóra, i zrozumiał, przez co musiał przejść Raza w Baghiragali przed dwoma laty. „Wsadź mi, gdzie tam sobie chcesz, alfonsie, i obciągnij kutasa swojemu wnukowi”, właśnie, o to chodziło, nieważne, że Śudża był zbyt młody, aby mieć wnuki; podniósł się bardzo wolno, a potem przestrzelił byłemu premierowi serce.

Bestia ma wiele twarzy. Niektóre z nich zawsze są smutne.

Egzekucja przez powieszenie na dziedzińcu więzienia okręgowego w samym środku nocy. Więźniowie wyją, stukają kubkami, śpiewają Isky'emu requiem. Kata nikt już więcej nie zobaczył. Nie pytajcie mnie, co się z nim stało; nie możecie się spodziewać, że będę wiedział wszystko. Zniknął - puf! Po odcięciu ciała odbywa się lot do Mohendžo, Rani odsłania płótno z twarzy męża. Jednak nie ogląda klatki piersiowej. A potem ślepcy zaczynają widzieć, chromi chodzić, trędowaci odzyskują zdrowie, wystarczy, że dotkną grobu męczennika. Mówiło się też, iż dotknięcie grobu stanowi szczególnie skuteczny środek na ból zębów.

Samobójstwo Pinkie - nie ma potrzeby znowu wchodzić w to wszystko. Pozostaje całkowicie martwa; po śmierci nie prześladowe nikogo.

Prezydent Raza Hajdar na więziennym dziedzińcu, stojąc przy dyndających zwłokach, rozważał słowa wypowiedziane niegdyś przez Bilquis. Odpadają - myślał - jak części rakiety. Dawud odszedł do Mekki, Bilquis i Sufija skryły się za różnymi zasłonami, Dobra Nowina i teraz Isky zawisnęli na sznurach. Raza czuł wokół siebie kosmiczną pustkę, bo zięciom nie ufał, choć z konieczności był do nich przywiązany. Dokładnie w tym momencie, kiedy Harappa bujał się z workiem na głowie, Hajdar usłyszał jego głos: „Nie obawiaj się, stary, dość trudno się ode mnie uwolnić. Doprawdy potrafię być upartym bękartem, gdy się na to zdecyduję”.

Złoty głos, wyraźny niczym dzwon. Wstrząśnięty Raza Hajdar krzyknął: - Ten matkojebca nie jest martwy! -Nieprzyzwoite słowo w jego ustach zdumiało jeszcze nie znikniętego kata, a po chwili znowu dobiegł wesoły głos Isky'ego: „Nie bądź głupi, jar. Przecież dobrze wiesz, co się tutaj dzieje”.

O nieustanny monologu powieszzonego człowieka! Nigdy się od niego nie uwolnił - ów głos towarzyszył mu od dnia śmierci Iskandra do poranka jego własnej, głos sardoniczny melodyjny ironiczny, już to niosący radę, aby nie pozbywał się adiutanta, gdyż grozi to wyjściem na jaw prawdy, już to szydzący: panie prezydencie, musi się pan jeszcze wiele nauczyć o przedstawieniach; słowa atakujące bębenki niczym krople wody w trakcie chińskiej tortury - nawet we śnie; czasem anegdotyczny, przypominający o ptaszkach, titarach, i przykuciu się do ziemi; innym razem drwiący: jak sądzisz Razo, długo wytrwasz, rok, dwa?

Głos Iskandra nie był jedyny. Byliśmy świadkami pierwszej wizyty widma maulany Dawuda; usadowiło się ono, niewidoczne, na prawym ramieniu prezydenta, aby szeptać mu do ucha. Bóg na prawym ramieniu, diabeł na lewym; taka była niewidoczna prawda o prezydenturze Starego Rozpruwacza Bebechów, dwa konfliktowe głosy na stronie, pod czaszką, odzywające się w rytmie lewaprawa lewaprawa lewaprawa przez resztę życia.

Z Samobójcy, dramatu rosyjskiego pisarza Mikołaja Erdmana: „Jedynie umarli mogą powiedzieć, co myślą żywi”.

Przyrost zmarłych należy równoważyć znikaniem żywych. Kat: nie ma, puf! I Pinkie Aurangzeb. Najgorsze zostawiliśmy na koniec - w noc, kiedy powieszono Harappę, Omar Chajjam Śakil odkrył, że uciekła Sufija Zinobia, jego żona, córka Hajdara.

Pusty pokój na poddaszu. Rozerwane łańcuchy, popękane belki. W zamurowanym oknie pojawiła się dziura. Otwór z głową, ramionami, nogami.

- Niech nas Bóg wspomaga - powiedział Omar Chajjam Śakil, choć nie przeszedł inicjacji w postaci obrzezania, ogolenia, szeptania. Jak gdyby odkrył, że nadszedł czas, aby Wszechmogący wystąpił i przejął kontrolę nad biegiem zdarzeń.

Rozdział dwunasty

Równowaga

Wielki bohater rewolucji Danton, któremu zetną głowę w okresie terroru, wypowiada pewną ponurą uwagę... „Lecz Robespierre i lud - zauważa - są cnotliwi”. Danton znajduje się na londyńskiej scenie, nie prawdziwy Danton, tylko aktor deklamujący kwestie autorstwa Georga Buchnera w angielskim przekładzie; rzecz rozgrywa się teraz, a nie dawno. Nie wiem, czy idea została sformułowana po francusku, niemiecku czy angielsku, wiem jednak, że wydaje się zdumiewająco wątpa - oznacza bowiem, iż ludzie są jak Robespierre. Danton może i jest bohaterem rewolucji, ale lubi też wino, eleganckie ubrania, dziwki; ma słabości, które (publiczność wychwytuje to natychmiast) umożliwią Robespierre'owi, dobremu aktorowi w zielonym płaszczu, ścięcie go. Kiedy wysyłają Dantona, aby złożył wizytę wdowie, starszej damie z koszem pełnym głów, czyli Gilotynie, wiemy, iż nie idzie to na konto ani rzeczywistych, ani zmyślonych powodów. Danton dostaje w szyję (w sposób cudownie zainscenizowany), ponieważ zbyt przepada za rozkoszami. Epikureizm jest niebezpieczny. Ludzie są jak Robespierre. Nie ufają zabawie. Ta opozycja - epikureizm kontra purytanizm - jest w istocie, poucza nas sztuka, prawdziwą dialektyką historii. Nieważne lewo, nieważne prawo, kapitalizm czy socjalizm, czarne czy białe. Cnota kontra zło, ascetyczny kontra rozpustny, Bóg kontra Diabeł: oto rzeczywista gra. *Messieurs, mesdames: faites vos jeux*⁵².

Oglądałem to przedstawienie w dużym teatrze, w którym tylko jedna trzecia miejsc była zajęta. Polityka przyczynia się do opustoszenia teatrów w starym Londynie. Potem wychodząca publiczność wygłaszała niepochlebne opinie. Kłopot ze sztuką najwidoczniej na tym polegał, że było w niej zbyt dużo złotoustego Dantona i za mało złowieszczego Robespierre'a. Widzowie narzekali na zachwianie równowagi. „Podobał mi się ten niedobry” - ktoś zauważył. Poparła go reszta towarzystwa z tego kręgu.

Przedstawienie obejrzałem z trojgiem gości z Pakistanu. Bardzo im się spodobało. - Ależ masz szczęście - zazdrościli mi - mieszkasz w miejscu, gdzie można bez obaw coś takiego wystawiać. Opowiedzieli mi o niedawnych próbach wystawienia *Juliusza Cezara* na uniwersytecie w E Podobno władze bardzo się zaniepokoiły, kiedy się zorientowały, że scenariusz sztuki wymaga zamordowania głowy państwa. Co więcej, w spektaklu planowano wykorzystać współczesne kostiumy - kiedy noże szły w ruch, generał Cezar miał na sobie kompletny mundur. Wywierano olbrzymią presję na uniwersytet, aby zmienić przedstawienie.

⁵² *Messieurs, mesdames: faites vos jeux* - zawołanie krupiera wzywającego uczestników do rozpoczęcia gry.

Jednakże akademicy trwali honorowo w uporze, broniąc antycznego autora o nazwisku kojarzącym się z wojskiem przed atakami generałów. W pewnym momencie cenzorzy zasugerowali kompromis: czy uniwersytet nie zgodziłby się na przygotowanie całej produkcji stosownie do oryginału z jednym jedynym wyjątkiem - chodziło mianowicie o to nieprzyjemne morderstwo? Czy aby na pewno nie mogłoby się obyć bez tej sceny?

Ostatecznie producent zaproponował błyskotliwe, w istocie salomonowe rozwiązanie. Wymyślił prominentnego brytyjskiego dyplomata, aby grał Cezara, wyposażony w (brytyjskie) imperialne oznaki władzy. Armia odetchnęła; sztukę wystawiono; kiedy po pierwszym przedstawieniu kurtyna opadła i zapalono światła, okazało się, że w pierwszym rzędzie siedzą generałowie i wszyscy klaszczą jak szaleni, wyrażając radość z patriotycznego dzieła przedstawiającego obalenie imperializmu przez ruch wolnościowy Rzymu.

Stwierdzam stanowczo -ja tego nie wymyśliłem... przypomina mi się żona brytyjskiego dyplomaty, o której już wspomniałem. „Dlaczego rzymski lud - mogłaby z powodzeniem zapytać - nie pozbędzie się generała Cezara w, no wiecie, zwyczajny sposób?”

Lecz ja opowiadam o Büchnerze. Moi przyjacielom i mnie spodobała się *Śmierć* Dantona; w wieku Chomeiniego etc. wydaje się jak najbardziej na miejscu. Jednakże niepokoi nas Dantona (Büchnera?) pogląd na „lud”. Jeśli lud byłby taki jak Robespierre, jakżeby Danton mógł zostać bohaterem? Dlaczego wspierano go w sądzie?

- Chodzi o to - argumentował jeden z moich przyjaciół - że ta opozycja naprawdę dobrze współgra; na pewno istnieje tu pewna wewnętrzna dialektyka. Ma to sens. Lud nie jest taki jak Robespierre. Oni, my, jesteśmy także Dantonem. Jesteśmy Robestonem i Danpierre'em. Brak spójności nie ma tu znaczenia; bez najmniejszych trudności sam jestem w stanie utrzymywać jednocześnie mnóstwo rozmaitych i całkowicie sprzecznych poglądów. Nie sądzę, aby inni byli mniej elastyczni.

Iskander Harappa nie był po prostu Dantonem; Raza Hajdar nie był czystym typem Robespierre'a. Isky z pewnością używał życia, miał coś z epikurejczyka, ale przy tym wierzył, że ma rację zawsze i bezsprzecznie. A osiemnaście szali ukazało nam, że nie był też przeciwny terrorowi. To, co jemu się przydarzyło w celi śmierci, przydarzyło się innym z jego powodu. To ważne. (Ale jeśli mamy coś przeciwko innym, musimy, niestety, mieć to samo przeciwko niemu.) A Raza Hajdar? Możliwe, że nie sprawiało mu przyjemności to, co robił, że zasada przyjemności nie miała tu zastosowania, nawet jeśli rzekomo działał w imię Boga? Nie sądzę.

Isky i Raza. Byli zarazem Danpierre'em i Robestonem. Być może to coś wyjaśnia; lecz oczywiście w żadnym razie nie usprawiedliwia.

Kiedy Omar Chajjam Śakil ujrzał w zamurowanym oknie dziurę w kształcie Sufiji Zinobii, przyszło mu do głowy, że jego żona nie żyje. Nie znaczy to wcale, że spodziewał się znaleźć martwe ciało na trawniku pod oknem; zakładał raczej, że istota wewnątrz niej - ten rozpalony obiekt, żółty płomień - strawiła ją całkowicie niczym ogień wypalający dom od środka, tak więc dziewczyna, której los uniemożliwił pełny rozwój, ostatecznie zmalą, stała się znikającym punktem. Tym, co umknęło, co wędrowało swobodnie pod niczego nie przeczuwającym gołym niebem, nie była wcale Zinobia Śakil, lecz coś jakby zasada, wcielenie gwałtu, czysta siła Bestii.

- Niech to szlag - powiedział do siebie - świat wariuje.

Była sobie żona, której mąż dwa razy dziennie wstrzykiwał środek wyłączający świadomość. Przez dwa lata leżała na dywanie niczym dziewczyna z bajki, którą przebudzić może wyłącznie pocałunek błękitnokrwistego księcia; lecz pocałunki nie były jej przeznaczeniem. Niby pozostawała pod urokiem magicznych właściwości narkotyku, ale monstrum wewnątrz niej nie zasnęło nigdy, nie zasnęła przemoc zrodzona z hańby, wiodąca własne życie pod cudzą skórą; zwalczyła narkoleptyczne fluidy, wykorzystała czas, aby rozprzestrzenić się powoli w ciele kobiety, aż zajęła ostatnią komórkę, stała się przemocą, która już nie potrzebowała żadnego obcego wsparcia, bowiem kiedy mięsożerca skosztuje krwi, wtedy nie da się oszukać warzywami. I w końcu potwór zwalczył narkotyk, podniósł ciało i rozerwał krępujące łańcuchy.

Opętała Pandorę nieposkromiona zawartość puszeki.

Żółte światło za jej przymkniętymi powiekami, ogień pod paznokciami i w cebulkach włosów. Tak, bez wątplenia była martwa, jestem tego pewien, koniec z sufijozinobiością, wszystko spaliło się w tamtym piekle. Rzuć ciało na stos pogrzebowy, a będzie podrygiwać, uginać kolana, siadać, tańczyć, uśmiechać się; ogień pobudza zakończenia nerwowe zwłok, które stają się ognistą marionetką, prezentując upiorną iluzję życia pośród płomieni...

Była sobie kiedyś Bestia. Kiedy przekonała się o swojej sile, wybrała moment i wyskoczyła przez ceglana ścianę.

Podczas czterech następnych lat, to znaczy w okresie prezydentury Razy Hajdara, Omar Chajjam Śakil zestarzał się. Z początku nikt tego nie zauważył, ponieważ był siwy od lat; ale wystarczyło, że skończył sześćdziesiątkę, jego stopy, które przez większość swego życia musiały dźwigać nieprawdopodobne brzemie otyłości, zbuntowały się, bo w wyniku odejścia aji Śahbanu, gdy został pozbawiony herbatek miętowych i nocnej dawki lojalności z jej strony, znowu *zaczai* przybierać na wadze. Poodpadały mu guziki od spodni i nogi odmawiały posłuszeństwa. Każdy krok stał się dla Omara Chajjama istną udręką, nawet kiedy chodził o

lasce z ukrytym sztyletem, którą nosił ze sobą przez wszystkie lata, zawsze, od czasu lubieżnego przymierza z Iskandrem Harappa, Zwykł przesiadywać godzinami bez żadnej przerwy w wiklinowym krześle tam, gdzie dawniej było coś w rodzaju celi więziennej Sufiji Zinobii, gapiąc się przez okno z niesamowitym obrysem, ceglana pozostałością po odejściu żony.

Odszedł ze szpitala Mount Hira i posyłał większą część swej emerytury do starego domu w K, zamieszkanym przez trzy kobiety, które nie miały zamiaru umrzeć, w przeciwieństwie do Bariammy, która już dawno temu potrafiła się przyzwoicie zachować i odeszła, podparta na podglówkach, tak więc minął niemal cały dzień, nim ktoś zauważył, co się stało... więcej pieniędzy wysyłał do aji parsyjki. Omar Chajjam żył sobie spokojnie pod dachem Razy Hajdara, luskając nasiona sosny, wyglądając przez okno na poddaszu, jakby za kimś podążał wzrokiem, choć nie było tam nikogo.

Ponieważ znał teorię, iż podatność na hipnozę jest oznaką bardzo rozwiniętej wyobraźni - że trans hipnotyczny jest formą wewnętrznej kreatywności, podczas którego podmiot odtwarza siebie i świat według własnego wyboru - myślał czasem, iż metamorfoza Sufiji Zinobii musiała zyskać akceptację jej woli, bo hipnotyzer nawet siebie nie może poprosić, aby zrobił to, czego zrobić nie chce. Zatem wybrała, stworzyła Bestię..., a w takim razie, rozmyślał, siedząc w wiklinowym krześle, z ustami pełnymi nasion sosny, jej przypadek jest lekcją pogładową. Unaocznia niebezpieczeństwo zbyt dużego puszczenia wodzy wyobraźni. Wybryki Sufiji Zinobii wynikały z fantazji, które rozwijały się w sposób dziki i nie kontrolowany.

- Hańba powinna spaść na mnie - poinformował siedzącą na oknie kukułkę - siedzę tutaj i robię dokładnie to, co krytykuje, myśląc Bóg jeden wie o czym, ożywiając zbyt wiele w swej głowie.

Raza Hajdar też myślał: „Hańba powinna spaść na mnie”. Kiedy Sufija odeszła, jego myśli krążyły bezustannie wokół niej. Wyrzucał sobie, że jakiś defekt mięśni, brak koordynacji w chodzie przez jakiś czas powstrzymywał go przed kochaniem jej. *Jakby musiała umrzeć przede mną. Ale oczywiście to nie wystarczyło.* Od głosów pękała mu głowa: Isky Dawud Isky Dawud. Nie sposób logicznie myśleć... a teraz weźmie na nim odwet. W jakiś sposób, o określonej porze wykończy go. Chyba że sam ją wcześniej odnajdzie. Ale kogo wysłać, komu wydać instrukcje? Moja córka, idiotka po zapaleniu opon mózgowych, stała się ludzką gilotyną, zaczęła urywać ludziom głowy. Oto jej fotografia, znajdźcie ją żywą lub martwą, przewidziana nagroda. Niemożliwe. Nie da się nic zrobić.

O niemocy władzy! Prezydent przekonuje siebie, nie bądź głupcem, przecież nie mogła przeżyć, nie przeżyła, od pewnego czasu nie dochodzą żadne wieści, a brak nowin to dobra nowina. Albo znajdzie się gdzieś i wtedy wszystko da się jakoś ukryć. Ale ciągle wybijała się w jego wyobraźni sylwetka drobnej dziewczyny o klasycznie surowej twarzy; oskarżenie... coś pulsowało w jego skroniach, szepty Isky'ego i Dawuda, ich spór, zprawazlewazprawa. Lecz człowieka mogą prześladować tak żywi, jak i martwi. W jego oczach pojawiła się dzikość.

Prezydent Raza Hajdar tak samo jak Omar Chajjam Śakil zaczął łuskać i pochłaniać ogromne ilości sosnowych nasion, największy przysmak Sufiji Zinobii, nad którego pozyskaniem spędziła wiele szczęśliwych godzin, uwalniając go z łusek z oddaniem szaleńca, bo łuskanie sosnowych nasion jest formą zachowania idioty -więcej energii poświęcasz na wydobycie tych cholernych drobiazgów niż uzyskujesz w zamian po ich zjedzeniu.

- Panie generale - pyta Rażę dziennikarz angreskiej telewizji - z dobrze poinformowanych źródeł wiadomo, uważni obserwatorzy twierdzą, wiciu naszych telewidzów na Zachodzie powiada, jak odparłby pan zarzut, jaki pan ma pogląd odnośnie do pogłosek, że ustanowienie islamskich kar, takich jak chłosta i obcinanie rąk, może być w pewnych kręgach postrzegane, stosownie do pewnych definicji, bo to nieoczywiste, jako barbarzyństwo?

Raza Hajdar uśmiecha się do kamery, uprzejmym uśmiechem, uśmiechem człowieka o autentycznie pierwszorzędnym manierach, a nie tylko zachowującego się poprawnie.

- Oczywiście nie jest to żadne barbarzyństwo - odpowiada. -Dlaczego? Z trzech względów. -Wylicza je, unosząc palce. - Po pierwsze - tłumaczy - proszę uprzejmie zrozumieć, że prawo samo w sobie nie jest ani barbarzyńskie, ani wolne od barbarzyństwa. Tak naprawdę liczy się dopiero stosowanie prawa. W tym konkretnym przypadku ja stosuję prawo, Raza Hajdar, zatem naturalnie nie może być mowy o barbarzyństwie. Po drugie, niechaj mi będzie wolno zaznaczyć, sir, nie jesteśmy dzikusami, którzy niedawno zeszedli z drzewa, prawda? Nie będziemy nakazywać pozbawiania ludzi dłoni ot, tak, fatach! rzeźnickim nożem. Nie, sir. Wszystko będzie się odbywało w higienicznych warunkach, pod odpowiednim nadzorem medycznym, z zastosowaniem środków znieczulających. Po trzecie, mój drogi panie, nie chodzi tu o prawa, które wzięły się nie wiadomo skąd. Są to święte słowa samego Boga pochodzące z uświęconego tekstu. Słowa Boga nie mogą być barbarzyńskie. To nie jest możliwe. One muszą być jakieś inne.

Postanowił nie przeprowadzać się do pałacu prezydenckiego w nowej stolicy, czując się znacznie lepiej w rezydencji głównodowodzącego mimo hałaśliwych hord osieroconych przez matkę dzieci, dręczących piastunki na korytarzach. Z początku miał ochotę spędzać pewne

noce pod dachem prezydenckiej rezydencji, na przykład podczas panislamskiej konferencji, kiedy głowy państw przybyły z całego globu, wszystkim zaś towarzyszyły matki, aż rozpętało się piekło, bo w zenanie kobiety rozpoczęły walkę na pazury i zęby o starszeństwo i przesyłały synom pilne wiadomości, zakłócając posiedzenia pełnomocnych przedstawicieli, aby się poskarżyć, że zostały śmiertelnie znieważone, skalano ich cześć, co niemal wywołało walki na pięści albo nawet wojny między przywódcami świata. Raza Hajdar nie miał matki, która by mu przysparzała kłopotów, ale borykał się z własnymi problemami, ponieważ pierwszej nocy w trakcie trwania konferencji, kiedy akurat przebywał w tym „pałacu-lotnisku”, głos Iskandra Harappy stał się tak głośny, że ledwie cokolwiek poza nim słyszał. Monolog powieszzonego mężczyzny bezustannie brzęczał mu pod czaszką; mogło się zdawać, że Isky postanowił dać swemu następcy kilka użytecznych wskazówek -samodzielny głos irytującym, śpiewnym akcentem zaczął płynnie cytować coś, co dopiero po długim czasie zostało przez Rażę rozpoznane jako pisma powszechnie znanego niewiernego i cudzoziemca Niccola Machiavellego. Raza leżał bez snu całą tamtą noc z upiornym buczeniem w głowie. „Opanowawszy rządy - mówił Iskander - zdobywca powinien przygotować i popełnić jednocześnie wszystkie niezbędne okrucieństwa, bowiem jeśli wszystkie rany zadaje się naraz, mniej się je odczuwa i są mnie obraźliwe”. Raza Hajdar nie był w stanie sprawić, by krzyk: - Na Allaha, zamknij się, zamknij! - nie opuścił prezydenckich ust, i od razu straże wbiegły do jego sypialni, spodziewając się najgorszego, mianowicie inwazji pełnych pretensji matek światowych liderów; Raza musiał przyznać ze wstydem: - Nic, nic. To tylko koszmar, zły sen, żaden powód do zmartwień.

- Wybacz, Razo - szepnął Iskander - staram się jedynie pomóc.

Z chwilą zakończenia konferencji i rozstania się matek Raza czym prędzej powrócił do drugiego domu, gdzie mógł się odprężyć, ponieważ tam głos maulany Dawuda w prawym uchu brzmiał głośniejszy niż Isky'ego w lewym. Nauczył się koncentrować całą uwagę na prawej stronie i w efekcie był w stanie żyć z duchem Iskandra Harappy, mimo że Isky bardzo się starał osiągnąć własne cele.

W piętnastym stuleciu generał Raza Hajdar został prezydentem swego kraju i wszystko poczęło się zmieniać. Bezustanny monolog Iskandra Harappy spowodował, że Raza został pchnięty w ektoplazmatyczne ramiona maulany Dawuda, któremu wokół szyi zawisł swego czasu pewien naszyjnik z butów. Raza Hajdar z gattą był, przypomnijcie sobie, typem mohadzira, który przybył z Bogiem w każdej kieszeni, a im więcej Iskander szeptał, tym bardziej Raza czuł, że Bóg jest jego jedyną nadzieją. Kiedy więc Dawud jęknął: „Tutaj w świętej Mekce zobaczyć można wiele zła; święte miejsca należy oczyścić, oto twój pierwszy i

jedyny obowiązek”, Hajdar potraktował jego słowa poważnie, choć nie było wątpliwości, iż śmierć nie zdołała wyzwolić świątobliwego męża z mniemania, że przybył do samego serca wiary, Mekki Szarif, miasta wielkiego Czarnego Kamienia.

Oto, co uczynił Raza: zakazał pijaństwa. Zamknął wszystkie sławetne stare browary w Baghirze, dlatego Panther Lager stał się czułym wspomnieniem, zamiast pozostać orzeźwiający trunkiem. Zmienił program telewizyjny tak drastycznie, że ludzie zaczęli wzywać monterów do naprawy swoich odbiorników, gdyż nie mogli pojąć, dlaczego telewizory nagle przestały pokazywać cokolwiek poza teologicznymi wykładami, i zachodzili w głowę, dlaczego owi mułłowie utkwili wewnątrz ekranów. Na urodziny Proroka Raza postarał się, żeby o dziewiątej rano w każdym meczecie rozległ się dźwięk syren, a każdy, kto zapomniał się zatrzymać i pomodlić, kiedy usłyszał wycie, natychmiast wędrował do aresztu.

Żebracy w stolicy oraz we wszystkich innych miastach przypomnieli sobie, że Koran zobowiązuje wiernych do dawania jałmużny, więc wykorzystali pojawienie się Boga w prezydenckim biurze, aby przeprowadzić serię potężnych demonstracji, domagając się ustanowienia przepisu prawnego określającego minimalny datek na pięć rupii. Jednakże nie docenili Boga; w pierwszym roku swoich rządów Raza Hajdar uwięził sto tysięcy żebraków i jednocześnie, niejako przy okazji, jeszcze dwustu pięćdziesięciu członków nielegalnego obecnie Frontu Ludowego, którym tak czy inaczej wiodło się niemal tak samo jak żebrakom. Obwieścił, że Bóg i socjalizm nie pasują do siebie, zatem doktryna islamskiego socjalizmu, na której bazował Front Ludowy, była najgorszym rodzajem bluźnierstwa. - Iskander Harappa nigdy w Boga nie wierzył - obwieścił publicznie - dlatego niszczył kraj, udając, że utrzymuje go w jedności. Owa doktryna niekontabilności zaskarbiła Razi przychylność Amerykanów, którzy byli tego samego zdania, choć jedni i drudzy brali pod uwagę innego Boga.

„O tych, którzy przez łajdactwa zdobyli władzę książęcą - brzmiał szept Iskandra w jego uchu - *Książę*, rozdział ósmy. Powinieneś go przeczytać; jest bardzo krótki” - ale do tej pory Raza zdążył się nauczyć, jak ignorować złego czy też martwego anioła z lewej strony. Przeciwstawiał się skutecznie figlom Isky'ego i zamiast uwag na temat historycznych precedensów z opowieści o Agatoklesie Sycylijskim i Oliverotcie da Fermo przysłuchiwał się maulanie Dawudowi. Iskander nie dawał za wygraną, twierdząc, że jego intencje nie są egoistyczne, próbował przypomnieć Razi o różnicy między dobrym a złym posługiwaniem się okrucieństwami oraz potrzebie stopniowego zmniejszania ich dawki o wraz z upływem czasu i osiągania korzyści po troszeczkę, tak aby można było pełniej się nimi cieszyć. Teraz jednak w natarciu był duch Dawuda; bardzo zyskał na pewności siebie, bo prezydent wyraźnie go faworyzował; polecił Razi zakazać oglądania filmów, na początek choćby tylko tych

importowanych; nie godził się, aby kobiety chodziły po ulicach, nie przysłoniwszy twarzy; żądał stanowczych działań i zastosowania rządów żelaznej ręki. To prawda, że w tamtym okresie wierni Bogu studenci zaczęli nosić pistolety i mogli w każdej chwili zastrzelić na miejscu nie dość pobożnych profesorów; że mężczyźni opluwali na ulicach kobiety, jeśli kręciły się wokół swoich spraw, pokazując talię; że za palenie papierosa w miesiącu postu można było zginąć przez uduszenie. System sądowniczy został rozczłonkowany, ponieważ prawnicy zademonstrowali sprofanowaną od podstaw naturę swojego zawodu, oponując przeciwko różnym działaniom państwa; w to miejsce powstały sądy religijne, którym przewodniczyli kapłani powołani do pełnienia funkcji przez Rażę z powodów czysto sentymentalnych, takich mianowicie, że ich brody przypominały mu o zmarłym doradcy. Rządził sam Bóg, a na wypadek, gdyby ktoś w to zwątpił, doszło do pewnej demonstracji siły; sprawił On mianowicie, że rozmaite antyreligijne elementy zniknęły jak dzieci ze slumsów. Tak jest, bękarty zostały załatwione przez Wszechmogącego, zniknęły, puf, właśnie tak.

Raza Hajdar był w owych latach człowiekiem zapracowanym, któremu niewiele czasu pozostawało na życie rodzinne. Ignorował dwadzieścioro siedmioro wnucząt, pozostawiając je ojcu i ajom, ale jego oddanie idei rodziny było dobrze znane, bardzo się o to starał, i dlatego widywał Bilquis regularnie, raz na tydzień. Zabierał ją do telewizyjnego studia na czas swych wystąpień do narodu. Program zawsze rozpoczynał się modlitwą, podczas której Raza klęczał na pierwszym planie, utrwalając siniec, podczas gdy za nim Bilquis, w łagodnym świetle, też się modliła jak na dobrą żonę przystało, osłonięta od stóp po głowę. Przed wejściem na wizję, przez kilka chwil siedzieli razem, zauważył wtedy, że zawsze ma ze sobą jakąś robótkę. Bilquis nie wyszywała szali jak Rani. Jej aktywność była jednocześnie prostsza i bardziej tajemnicza, bo polegała na zestawianiu i zszywaniu dużych kawałków czarnego materiału w kształty niemożliwe do rozszyfrowania. Przez długi czas skrępowanie powstrzymywało Rażę przed pytaniem, o co jej, do licha, chodzi, lecz w końcu zwyciężyła ciekawość, kiedy zatem upewnił się, że nie ma nikogo obcego w zasięgu głosu, prezydent zapytał: - Cóż to robisz w takim pośpiechu, że nie możesz poczekać, aż znajdziesz się w domu? - Ćadary - odparta z powagą, a on poczuł, że przebiega po nim zimny dreszcz.

Dwa lata po śmierci Iskandra Harappy kobiety w tym kraju zaczęły demonstrować przeciwko Bogu. Owe procesje jako sprawa zawila - zdecydował Raza - wymagały delikatnego podejścia. Zatem postąpił starannie, choć maulana Dawud krzyczał mu do ucha, że jest mięczakiem, że ma pozdzierać z dziwek odzienie i nagie porozwieszać na wszystkich dostępnych drzewach. Ale Raza był przezorny; kazał policji unikać uderzania kobiet w piersi podczas rozbijania demonstracji. I ostatecznie Bóg wynagrodził jego cnotliwą powściągliwość.

Jego wywiadowcy dowiedzieli się, że marsze były organizowane przez niejaką begam Nure, która chodziła do domów czynszowych i wiosek, gdzie wzniewała antyreligijne nastroje. Mimo wszystko Raza ociągał się z poproszeniem Boga, aby zajął się zniknięciem tej suki, bo przecież nie można prosić Wszechmogącego o wszystko; poczuł się zatem głęboko usprawiedliwiony, kiedy przedstawiono mu dowody, iż begam Nura miała bogatą historię, a zajmowała się eksportem kobiet i dzieci do haremów arabskich książąt. Dopiero wtedy kazał swoim ludziom ją pochwyć, gdyż przeciwko takiemu aresztowaniu nikt przecież nie mógł zaprotestować, tak że nawet Harappa wyraził mu uznanie: „Jesteś pojętnym uczniem, Razo, może my wszyscy nie doceniamy twoich umiejętności”.

Takie oto było motto Razy Hajdara: „Stabilność w imię Boga”. Po zakończeniu sprawy begam Nury, dodał drugą maksymę do pierwszej: „Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie”. By osiągnąć stabilność w imię Boga, wysłał oficerów piechoty do zarządu każdego ważniejszego przedsiębiorstwa przemysłowego w kraju; umieścił generałów wszędzie; zatem armia sięgała o wiele głębiej w różne sprawy niż kiedykolwiek wcześniej. Raza dowiedział się, że jego polityka powiodła się, kiedy generałowie Raddi, Bekar i Fisaddi, najmłodszy i najzdolniejszy członek generalskiego personelu, przybyli do niego z niepodważalnymi i przekonującymi dowodami, że generał Salman Tughlak w zмовie z szefem policji Talwarem Ulhaqiem, zięciem Razy Hajdara, i pułkownikiem Śudzą, jego adiutantem, zaplanowali przewrót. - Otepiali głupcy - mruknął z zalem Raza Hajdar. - Nałogowcy uzależnieni od whisky, rozumiecie? Zależy im tylko na małych głębszych i dlatego są gotowi poświęcić wszystko, co do tej pory osiągnęliśmy. - Przybrał smutny wyraz twarzy, tak tragiczny jak zwykle u Śudzi; lecz w głębi serca ucieszył się, ponieważ zawsze czuł się zażenowany na wspomnienie niezręcznej nocnej rozmowy telefonicznej z generałem Tughlakiem; poza tym od incydentu w celi śmierci w więzieniu okręgowym starał się znaleźć powód do usunięcia swego adiutanta; natomiast Talwar Ulhaq już wiele lat temu przestał zasługiwać na zaufanie. - Człowiek, który zwróci się przeciwko jednemu zwierzchnikowi - powiedział Raza do młodych Raddiego, Bekara i Fisaddiego - zwróci się przeciwko drugiemu - ale tak naprawdę myślał o tym, że bardzo go przeraża jasnowidztwo Talwara, że facet wie wszystko o Sufiji Zinobii, to znaczy wie zbyt wiele... Raza poklepał generałów po plecach i rzekł: - No cóż, teraz wszystko w rękach Boga - i nim nastał ranek, trzech konspiratorzy zniknęli, nie pozostawiając po sobie choćby małego obłoczka dymu. Dwadzieścia siedem sierot po Talwarze Ulhaqu wypełniło rezydencję głównodowodzącego osobliwie zharmonizowanym krzykiem, wszystkie wrzeszczały dokładnie tym samym tonem i robiły przerwy dokładnie w tych samych momentach, tak że wszyscy przez czterdzieści dni musieli nosić zatyczki w uszach; potem

zrozumiały, że ich ojciec prawdopodobnie nie wróci, i zamilkły całkowicie, więc dziadek nie dostrzegał ich więcej aż po ostatni dzień swoich rządów.

Lojalność młodszych generałów uwidoczniła Razie Haj-darowi, że armia przeżywa zbyt dobry okres, żeby wszystko zepsuć. Stabilna sytuacja -pogratulował sobie -wszystko pasuje jak trzeba.

Właśnie wtedy córka, Sufija Zinobia, znowu wkroczyła w jego życie.

Czy mógłbym wtrącić parę słów na temat islamskiego powrotu do życia? Nie potrwa to długo.

Pakistan to nie Iran. Może to dziwne mówić tak o kraju, który aż po czasy rządów Chomeiniego był jedną w dwóch teokracji na świecie (obok Izraela), lecz moim zdaniem Pakistan nigdy nie był społeczeństwem zdominowanym przez mułłów. Religijni ekstremiści z partii Dżamat mają swych zwolenników pośród studentów z college'ów i tak dalej, ale względnie niewielu głosowało na Dżamat kiedykolwiek w wyborach. Sam Dżinnah, Założyciel względnie Quaid-i-Azam⁵³ nie wydawał mi się człowiekiem, którego Bóg bardzo zaprzęta. Islam i państwo muzułmańskie traktował jako polityczne i kulturowe idee; nie chodziło mu o teologię.

Moja wypowiedź będzie prawdopodobnie wyklęta przez obecny reżim w tym nieszczęsnym kraju. Niedobrze. Otóż islam mógł się objawić jako efektywna unifikująca siła w postbangladeskim Pakistanie, gdyby ludzie nie próbowali robić z tego wielkiego wszechmocnego ambarasu. Może Sindhyjczycy, Beludżowie, Pendżabczycy i Patanowie, nie wspominając o imigrantach, mogli zapomnieć o różnicach na rzecz wspólnej wiary.

Niewiele mitów ostaje się jednak po bliższym sprawdzeniu. Jeśli się je narzuca za wszelką cenę, stają się w istocie bardzo niepopularne.

Co się dzieje, jeśli usiłuje się karmić się kogoś na siłę wielką ilością tego rodzaju niestrawnego żarcia? Jednym robi się niedobrze. Inni odrzucają strawę. Czytelnik doda: a jeszcze inni rzygają.

Tak zwany islamski fundamentalizm nie wypływa w Pakistanie z ludu. Jest mu narzucany. Reżimy autokratyczne uznają za użyteczne posługiwanie się retoryką wiary, bowiem ludzie szanują ów język, niechętnie mu się opierają. Oto, w jaki sposób religia wspiera dyktatorów; otaczając ich słowami władzy, słowami, których ludzie nie chcą uznać za zdyskredytowane, nieuprawnione, wykpiene.

Ale kwestia narzucania idei pozostaje w mocy. W końcu ludzie mają tego dość, tracą

wiarę w wiarę, jeśli nie w wiarę jako taką, to w wiarę jako fundament państwa. Wtedy dyktator upada i okazuje się, że pociąga za sobą Boga, że usprawiedliwiający mit narodu został zniweczony. Pozostają dwie opcje: dezintegracja albo nowa dyktatura... nie, istnieje trzecia, nie będę aż tak wielkim pesymistą, aby przeczyć tej możliwości. Trzecia opcja polega na podstawieniu nowego mitu na miejsce starego. Oto trzy tego rodzaju mity, wszystkie dostępne od ręki: wolność; równość; braterstwo.

Polecam je gorąco.

Później, podczas przerażającego lotu ze stolicy, Raza Hajdar będzie wspominał historię o białej panterze, krążącą między ludźmi, gdy Iskander Harappa siedział w areszcie, będzie drżał ze strachu i wiedzy. Wtedy pogłoski dość szybko zamarły, ponieważ nikt nigdy nie potwierdził, że widział cudowne zwierzę, z wyjątkiem pewnego mało wiarygodnego wiejskiego chłopca o imieniu Ghaffar, lecz jego relacja była tak niedorzeczna, że ludzie doszli do wniosku, iż pantera wyskoczyła prosto z jego kapuścianej głowy. Niesamowita bestia z chłopięcej wyobraźni „nie była całkiem biała, miała czarne włosy na głowie, ale poza tym była bezwłosa, jakby wylusiała; i bardzo zabawnie się poruszała”. Gazety odnotowały to oświadczenie z rozbawieniem, wiedząc, że czytelnicy tolerancyjnie traktują opowieści o potworach; lecz generał Hajdar, wspominając tę sprawę, doszedł do przerażającego wniosku, że biała pantera z Baghiragali była cudowną zapowiedzią, groźnym proroctwem, upiorem czasu, przyszłym spacerem po zagajnikach przeszłości. Jasne, że ją widział - pomyślał z goryczą Raza - i nikt nie uwierzył.

A pojawiła się w taki oto sposób:

Pewnego ranka Omar Chajjam Śakil siedział i jak zwykle wyglądał przez okno na poddaszu, kiedy asgari, sprzątaczką, którą wściekał ten jego nawyk, boją zmuszał do wchodzenia na górę i zamiatania podłogi w tym zapomnianym pokoju, i fatalny zwyczaj upuszczania na podłogę łusek z sosnowych nasion, podczas gdy ona pracowała, pomrukując bezzębnymi ustami starej kobiety uwalniającymi silny zapach dezynfekującego finilu: *-Ta bestia powinna tu przyjść i pozabijać wszystkie bardzo nietaktowne osoby, które nie pozwalają uczciwej kobiecie dokończyć swej pracy.* Słowo „bestia” przedarło się przez mgły rojeń Omara Chajjama; zareagował stanowczym pytaniem: *- Cóż ma znaczyć ta uwaga?* Kiedy się zorientowała, że nie zamierza jej wyrzucić jak Śahbanu, że nie wziął jej uszczypliwości za przekleństwo, odprężyła się i złażała go w stylu starych, przywiązanych do swych państwa sług za traktowanie spraw zbyt poważnie. *- Znowu się o tym mówi, to wszystko -powiedziała - próżniacy muszą w jakiś sposób ćwiczyć języki. Nie ma potrzeby, aby wielki sahib tak się*

⁵³ * Quaid-i-Azam - ojciec narodu.

gorączkował.

Przez resztę dnia Omarem Chajjamem targał wewnętrzny sztorm, którego przyczyny nie śmiał nazwać po imieniu nawet przed sobą, ale nocą podczas czterdziestej którejś drzemki, przysłała do niego we śnie Sufija Zinobia. Stała na czworakach, rozdzielona do naga jak jej matka przez legendarny ognisty wiatr swej młodości - nie, jeszcze bardziej, bo nic nie przywierało do jej ramion, żadna tam dupata przyzwoitości. Obudził się, ale sen nie odszedł. Zatrzymał się przed jego oczami, ów upiór jego żony na pustyni, polujący człowiek i zwierzęca ofiara.

W ciągu następnych tygodni otrząsnął się letargu swego wieku. Mimo słabych nóg stał się znajomą ekscentryczną postacią na przystanku autobusowym, gdzie podchodził, kuśtykając, do groźnie wyglądających mieszkańców pogranicza i proponował pieniądze w zamian za pewne informacje. W dni, kiedy chłopcy przyprawiali zwierzęta z okolicznych dystryktów, kręcił się w pobliżu rzeźni, podpierając się laską. Odwiedzał bazary i walczył się kafejki - dziwaczna postać w szarym garniturze z laseczką-sztyletem - zadawał pytania, nasłuchiwał, nasłuchiwał.

Powoli nabierał przekonania, że opowieści o białej panterze rzeczywiście zaczęły się znowu szerzyć; godne odnotowania było to, że napływały zewsząd, autobusami w tobołkach robotników pracujących przy wydobyciu gazu i powracających z Needle i w pasach na naboje dźwigających strzelby członków plemion z północy. To był duży kraj, nawet bez Wschodniego Skrzydła, kraina pustyń, bagnistych delt z drzewami @mangrowe, górskich kryjówek i otchłani; mogło się zdawać, że opowieść o panterze zbliża się do stolicy z każdego niezwyklego zakątka kraju. Czarna głowa, blade, bezwłose ciało, niezgrabny chód. Wydrwiony opis Ghaffara powtarzali Omarowi niepiśmienni wędrowcy, wierzący, że owe pogłoski należą wyłącznie do ich części świata. Nie wyprowadzał ich z błędu.

Mordercy zwierząt i ludzi, wioski napadane w mroku, martwe dzieci, pozarzynane stada, wycie i krzepnąca krew - oto tradycyjny lęk-ludojad, ale z nowym i przerażającym nachyleniem: - Jakie zwierzę - pytali Omara z niewinnym przerażeniem dziecka wysocy na sześć stóp mieszkańcy pogranicza - jest w stanie urwać człowiekowi głowę, a potem wyciągnąć przez dziurę wnętrzości do pożarcia?

Słyszał o wsiach, w których rozstawiono czujki, o górskich plemionach, które rozmieściły całonocne posterunki obserwacyjne. Relacjom z obserwacji towarzyszyły przechwałki o trafieniu potwora albo jeszcze mniej wiarygodny kit, nie uwierzysz, sahib, wpakowałem temu czemuś kulkę między oczy ze strzelby, ale to istny demon, odwrócił się i rozpułnął w powietrzu, nie można zabić takiego stworzenia, niechaj strzeże nas Bóg... okazało się więc, że już mitologizowano białą panterę. Byli tacy, którzy powiadali, że potrafi latać albo

dematerializować się, albo rosnać, osiągać wielkość drzewa.

Rosła także w wyobraźni Omara Chajjama Śakila. Długo nie mówił nikomu o swoich podejrzeniach, lecz one kłębiły się wokół jego bezsennej postaci, otaczały fotel dni łuskanych nasion. Wyobrażał sobie ją, Bestię, jak trzyma się przezornie z dala od miast, wiedząc może, że mimo swej kolosalnej siły jest bezbronna, bo w miastach są kule, gazy, czołgi. I jakże szybko się stała, działała na zdumiewająco dużym terenie, przemieszczając się szaleńczo po peryferiach kraju; musiały upłynąć lata, nim rozmaite legendy mogły się spotkać, by się zjednoczyć w jego myślach, formując wzór, który odsłonił jej ginący w mroku kształt. - Sufija Zinobia - powiedział do otwartego okna - teraz cię widzę.

Czworonóg ze zgrubieniami na dłoniach i stopach. Czarne włosy, kiedyś ścięte przez Bilquis Hajdar, teraz długie, splecione jak sierść; blada skóra przodków mohadzirów opalona i stwardniała w słońcu, blizny niczym rany odniesione w bitwie, miejsca uszkodzone przez krzewy, zwierzęta, własne paznokcie. Płonące oczy, odór nieczystości i śmierci. Po raz pierwszy w swoim życiu -był poruszony własnym współczuciem - ta dziewczyna jest wolna. Wyobraził sobie jej dumę; dumę z siły, dumę z przemocy, która uczyniła z niej postać legendarną, która nie dozwalała, aby ktokolwiek mówił jej, co ma robić, kim być albo jaka powinna być, a nie była; tak, wzniosła się ponad wszystko, nie, nie życzyła sobie słuchać. Czy to możliwe, zastanawiał się, że istota ludzka jest zdolna do odkrycia swej godności poprzez okrucieństwo? I wtedy wściekł się, przypomniał sobie, że nie była już Sufija Zinobia, że nie pozostało w niej nic, co dałoby się rozpoznać jako córka Bilquis Hajdar, że Bestia w niej zmieniła ją na zawsze. Powiniennem przestać nazywać ją po imieniu - pomyślał; zorientował się jednak, że nie jest w stanie. *Córka Hajdara. Moja żona. Sufija Zinobia Śakil.*

Kiedy uświadomił sobie, że nie może dłużej utrzymywać tajemnicy, i poszedł poinformować Rażę Hajdara o czynach jego córki, zastał trzech generałów, Raddiego, Bekara i Fisaddiego, wyłaniających się z prezydenckiego biura z identycznym wyrazem szczęścia na twarzach, choć szczęścia przytłumionego nieco oszołomieniem. I tak chodzili na rżęsach, odkąd Hajdar awansował ich na członków swego gabinetu po zamachu Tughlaka, ale tym razem oszołomienie było wynikiem nadmiaru modlitwy. Właśnie powiedzieli Razie, że Rosjanie wysłali piechotę do A., położonego za północno-zachodnią granicą i ku ich zdumieniu prezydent poderwał się nagle z krzesła, rozwinął cztery dywaniki modlitewne na podłodze i zażądał, aby wszyscy podziękowali teraz, natychmiast, rach-ciach, za błogosławieństwo, które zesłał im Bóg. Podnosili się i opadali przez półtorej godziny, dorabiając się pierwszych śladów sińca na czole, który Raza nosił z dumą, kiedy wreszcie usłyszeli wyjaśnienie, że atak Rosjan

był ostatnim etapem strategii Boga, bowiem teraz stabilizację rządu będą musiały zabezpieczyć wielkie potęgi. Generał Raddi odparł nieco zbyt cierpko, że polityka Amerykanów koncentruje się na odegraniu dramatycznego kontrposunięcia przeciwko igrzyskom olimpijskim, ale nim Raza mógł stracić cierpliwość, przyjaciele Raddiego, Fisaddi i Bekar, zaczęli potrząsać nawzajem swoimi dłońmi i hałaśliwie sobie gratulować. - Ten tłustodupy jankes - zawołał Fisaddi, mając na myśli amerykańskiego ambasadora - będzie teraz musiał wyłożyć kasę - natomiast Bekar pozwolił sobie pofantazjować o wartym pięć miliardów dolarów sprzęcie wojskowym najnowszej generacji, o raketach, które są w stanie latać bokiem, nie odbierając silnikom tlenu, i o systemach namiaru, które są w stanie wykryć obcego komara widliszka z odległości dziesięciu tysięcy mil. Zagalopowali się tak dalece, że dla wygody zapomnieli przekazać prezydentowi pozostałą część wiadomości; za to nie zapomniał Raddi i bez zastanowienia, nim ktokolwiek mógł go powstrzymać, dodał, że pan Harun Harappa obrał za swą rezydencję apartament w elitarnym bloku położonym w centrum Kabulu, stolicy A. Jego koledzy, zaalarmowani powtórnie fatalną oceną nastroju prezydenta ze strony ich kolegi Raddiego, próbowali przejąć inicjatywę, zapewniając Rażę, że to doniesienie nie zostało potwierdzone, a z Kabulu pod radziecką okupacją pochodzi całe mnóstwo fałszywych doniesień; starali się zwrócić jego uwagę na problem uchodźców, lecz prezydent nic, tylko promieniał uśmiechem. - Mogą przysłać nam dziesięć milionów uchodźców - zawołał - bo wysyłając ich, dołożą mi karty do królewskiego pokera!

Teraz wszyscy trzej generałowie byli w rozterce; wszyscy trzej czuli się zobowiązani do wyjaśnienia, iż najlepsza wiadomość, z jaką przyszli, to ta, iż za granicą Ha-run Harappa otrzymał pełne i czynne wsparcie ze strony nowego, popieranego przez Rosjan rządu i że tworzył grupę terrorystyczną wyposażoną w radziecką broń i szkoloną według palestyńskich wzorców, którą nazwał Al-Iskander na cześć swego ukochanego wuja. - Wspaniale - rozpromienił się Hajdar - nareszcie możemy ludziom pokazać, że Front Ludowy jest niczym innym tylko gromadą morderców i mętów - po czym kazał trzem generałom klęknąć i raz jeszcze podziękować Bogu.

Koniec końców Raza Hajdar odprowadził kolegów do drzwi ze szczerą radością w sercu, a kiedy oszołomiony triumwirat niepewnym krokiem odmaszerował, prezydent pozdrowił Omara Chajjama Śakila doprawdy serdecznie:

- Jak się masz, mój stary, co cię do mnie sprowadza?

Przerażająco dobry humor Razy Hajdara obudził osobliwe emocje w duszy Omara Chajjama, nic zatem dziwnego, że odpowiedział niemal z przyjemnością:

- Sprawa najbardziej delikatnej i poufnej natury - po czym za zamkniętymi drzwiami

prezydenckiego biura ogarnął go nastrój ponurej satysfakcji, gdy informował Rażę o swoich domysłach i poszukiwaniach, gdy obserwował, jak dobra nowina odpływa z twarzy prezydenta i zastępuje ją szara bladość strachu.

- Tak, tak - powiedział Raza Hajdar - już się niemal oszukałem, że nie żyje.

„Porównałbym ją do rwącej rzeki - szepnął mu do ucha Iskander Harappa - która, jeśli wzburzona, zalewa równiny, powala drzewa i budynki; wszyscy przed nią uciekają i wszystko ustępuje przed jej furją, bo nic nie jest w stanie się jej oprzeć. Przeznaczenie ukazuje jej moc tam, gdzie nie można podjąć żadnych kroków, by ją powstrzymać, i kieruje jej furją tam, gdzie, jak wie, nie pobudowano żadnych zapór ani grobli”.

- Jakich barier? - zawołał głośno Raza Hajdar, przekonując Omara Chajjama, że nie wytrzyma stresu. - Jakie mury mogę wybudować przeciwko własnemu dziecku?

Lecz maulana Dawud, jego anioł z prawej, nie powiedział nic.

W jaki sposób upada dyktator? Istnieje stare powiedzenie, wyrażające absurdalny optymizm, iż w naturze tyranii leży ich kres. Mógłby ktoś rzec, że w ich naturze leży rozpoczęcie, kontynuacja, okopanie się i, często, zapewnienie sobie ochrony silniejszych mocy niż ich własne.

Cóż, nie wolno mi zapominać, że opowiadam jedynie bajkę. Mój dyktator zachwieje się z przyczyn chochlikowatych, bajkowych. „Tobie to łatwo” - brzmi oczywista krytyka; zgadzam się; pewnie, że się zgadzam. I dodaje, choć zabrzmiało to nieco jak objaw zniecierpliwienia: „Spróbujcie kiedyś sami i uwolnijcie się od jakiegoś dyktatora”.

Podczas blisko czteroletniej prezydentury Razy Hajdara, biała pantera zaczęła się zbliżać do stolicy. To znaczy morderstwa i rzezie zwierząt miały miejsce coraz bliżej siebie, zdarzały się coraz częściej, opowieści ściślej się ze sobą wiązały, tworząc krąg wokół miasta. Generał Raddi powiedział Razi Hajdarowi, że owe akty terroryzmu są z pewnością dziełem grupy Al-Iskander, dowodzonej przez Haruna Harappę; po czym, ku jego wielkiemu zdziwieniu, prezydent uderzył go mocno w plecy.

- Niezłe przedstawienie, Raddi! - ryknął Raza. - Nie jesteś takim idiotą, za jakiego cię brałem. - Raza zwołał krótką konferencję prasową, na której obarczył odpowiedzialnością za tak zwane „zbrodnie dekapitacji” owych niesławnych dakaitów i gangsterów, których wspierali Rosjanie i którzy działali pod rozkazami arcybandyty Haruna, aby podkopać moralną siłę narodu - ...zejść z drogi wytyczonej przez Boga - jak to określił Raza - ich zamiarem jest destabilizacja kraju, ale powiadam wam, nigdy im się nie uda.

Jednakże w skrytości ducha był zdumiony tym ostatnim dowodem własnej bezsilności wobec chęci przeciwstawienia się córce. Po raz kolejny odnosił wrażenie, że lata jego wielkości i budowania wielkiego gmachu narodowej stabilności składały się na kłamstwa, którymi łudził siebie; że ta nemezis przez cały czas tropiła go, pozwalając mu nieustannie się wspinać, aby tym większy był upadek; jego własne ciało obróciło się przeciwko niemu, a żaden człowiek nie potrafi znaleźć właściwej obrony przeciw tego rodzaju zdradzie. Oddając się fatalistycznej melancholii, zrodzonej z pewności o zbliżającej się zagładzie, pozostawił codzienne kierowanie rządem w rękach trzech awansowanych generałów, wiedząc, że nawet jeśli Sufija Zinobia zginie z rąk członków oddziałów, które przeczesywały kraj w poszukiwaniu terrorystów, wtedy zostanie zidentyfikowana, a hańba, jaką się okryje, doprowadzi go do upadku; ale jeśli zwiedzie swych prześladowców, to także nie będzie ratunku, bo orientował się, iż to, co ona robi, polega na powolnym zbliżaniu się do wewnątrz, spiralna wędrówka do środka, do tego samego pokoju, po którym teraz spacerował bez snu, gniotąc z każdym krokiem rozsypane na podłodze łuski nasion sosny, podczas gdy Omar Chajjam Śakil, tak samo cierpiący na bezsenność, wyglądał przez okno na poddaszu w złowieszczą noc.

Cisza w prawym uchu. Maulana Dawud zniknął, nigdy już do niego nie przemówił. Dręczony przez tę ciszę, która teraz była tak przytłaczająca jak z lewej strony coraz bardziej pyszałkowate świsty Iskandra Harappy, Raza Hajdar jeszcze głębiej zapadł się w grząskie piaski rozpacz, gdyż zrozumiał, że Bóg pozostawił go własnemu losowi.

Nie zmieniłem opinii o panu Harunie Harappie - ten facet to bufon. Jednakże czas szydzi sobie ze swych ofiar, a Harun, który dawniej deklamował nieszczerze rewolucyjne slogany i hałaśliwie opowiadał dowcipy o koktajlach Mołotowa, siedząc na skorupie morskiego żółwia, był teraz wcieleniem kogoś, kim dawniej gardził, czyli niesławnym przywódcą bandy desperatów.

Władze zezwoliły Rani i Ardżumand na wydanie z Mohendzo publicznych oświadczeń, potępiających działania terrorystów. Choć Harun był uparty jak prawdziwy głupiec, śmierć Isky'ego Harappy ostatecznie wyleczyła go z obsesyjnego powracania pamięcią do Dobrej Nowiny Hajdar. Wszak nie jest rzeczą niespotykaną, że wygasła miłość odradza się jako swoje przeciwieństwo, i rzeczywiście: obecnie samo brzmienie nazwiska „Hajdar” sprawiało, że Haruna zalewała krew. Jeszcze większa ironia losu polegała na tym, że porwanie samolotu cywilnego na płycie lotniska w K. posłużyło jako chwilowe odwrócenie uwagi opinii publicznej od skandalu z morderczymi wyczynami białej pantery i kryzysu reżimu Hajdara.

Kiedy generał Raddi dowiedział się o ataku na samolot w K., zainicjował niezwykle

plan, instruując miejscowe władze policyjne, by schlebiali ludziom Harappy tak bardzo, jak to tylko możliwe. - Powiedzcie im, że przewrót się rozwija - zasugerował Raddi, sam się dziwiąc inspirującej sile swego pomysłu - że Hajdar został złapany i kobiety z Mohendzo będą wkrótce wolne. No i Harun Harappa dał się na to nabrać, głupiec, trzymał na ziemi samolot pełen pasażerów i czekał w gotowości do startu.

Upał narastał z każdą chwilą. Para skraplała się na suficie kabiny pasażerskiej i opadała na ludzi niczym deszcz. Zapasy jedzenia i napojów malały, a Harun, zniecierpliwiony w swojej naiwności, połączył się z wieżą kontrolną i zażądał przysłania żywności. Jego prośbę przyjęto nad wyraz życzliwie i ze zrozumieniem; usłyszał, że przyszły przywódca narodu otrzyma wszystko, czego sobie *zażyczy*, i bardzo szybko do samolotu wysłano produkty na wystawny bankiet, gdy tymczasem obsługa wieży poprosiła Haruna, aby jadł i pił do woli, zapewniając jednocześnie, że zostanie poinformowany, kiedy będzie mógł bezpiecznie wyjść na zewnątrz. Terrorysty rzucili się na to jedzenie marzeń, na steki beznadziejnej nadziei i gazowane napoje iluzji i podczas dojadania ostatków wszyscy posnęli w upale, z rozpiętymi górnymi guzikami spodni. Policja weszła na pokład i skuliła ich wszystkich bez jednego wystrzału.

Generał Raddi przeszukał rezydencję głównodowodzącego w poszukiwaniu Hajdara i znalazł go na owym poddaszu rozpacz. Wszedł do środka i zastał Rażę oraz Omara Chajjama zatopionych w ciszy.

- Cudowna wiadomość, sir - obwieścił, lecz kiedy dokończył raport, natychmiast sobie uświadomił, że znowu w to wdepnął, bo prezydent odwrócił się nagle do niego i ryknął:

- Zatem wsadziliście Harappę, he? No to na kogo teraz zrzucicie odpowiedzialność za morderstwa pantery?

Generał Raddi zarumienił się jak panna na wydaniu i chciał przeproszać, ale pod wpływem zmieszania najpierw wybełkotał:

- Ależ, sir, czyż wyeliminowanie Al-Iskandra nie oznacza z całą pewnością, że zbrodnie dekapitacji już się nie powtórzą?

- *Zejdź* mi z oczu - mruknął Raza, wtedy Raddi zorientował się, że złość prezydenta minęła, odeszła daleko, jak gdyby tamten zaakceptował jakiś tajemny los. Gdy młody generał odchodził, pod jego butami pękały łuski nasion.

Mordowanie trwało, ginęli wieśniacy, włóczędzy. Zabójstwa tworzyły wokół domu krąg śmierci; zbliżały się do obrzeży dwóch miasteczek, nowej stolicy i starego miasta. Morderstwa bez żadnego ładu i składu, popełniane - mogło się zdawać - z samego zamięłowania do zabijania albo dla zaspokojenia jakiejś ohydnej potrzeby. Zgniecenie Haruna Harappy

usunęło racjonalne wyjaśnienie tych wydarzeń; panika zaczęła narastać. Podwojono liczbę grup poszukiwawczych, potem podwojono ją ponownie; nadal utrzymywała się reguła powolnego zataczania kręgów śmierci. Ideę o potworze prasa zaczęła traktować z niewiarygodną powagą. „Wydaje się, że ta bestia w jakiś sposób zaklina swe ofiary - napisano w jednym z artykułów. - Nie spotyka się żadnych śladów walki”. Rysownik przygotował wizerunek gigantycznej kobry hipnotyzującej gromadę uzbrojonych po zęby, ale bezbronnych mangust.

- Już niedługo koniec - oświadczył głośno na poddaszu Raza Hajdar. - To jest ostatni akt. - Omar Chajjam zgodził się. Miał wrażenie, że Sufija Zinobia próbuje swych sił, sprawdza działanie hipnotyzujących oczu na coraz liczniejszych grupach, unieruchamia przeciwników, którzy stają, niezdolni do obrony, kiedy jej dłonie zamykają się wokół ich karków. Bóg wie, jak wielu może pokonać - pomyślał - może w grę wchodzi regiment, cała piechota, cały świat.

Niechaj będzie na nam wolno stwierdzić otwarcie, że Omar Chajjam był pełen obaw. Wprawdzie Raza nabrał fatalistycznego przekonania, że jego córka zbliża się po niego, ale mogła równie dobrze szukać męża, który podawał jej narkotyki i ją więził. Albo matki, która nazywała ją Hańbą. - Musimy uciekać - powiedział Razi, lecz Hajdar zdawał się nie słyszeć; cierpiał na głuchotę z powodu braku akceptacji, z powodu ciszy w prawym uchu, bo z lewej strony zablokował mu ucho Isky. Człowiek opuszczony przez Boga czasem woli wybrać śmierć.

Kiedy ich sekret wyszedł na jaw, Omar Chajjam uświadomił sobie, że utrzymanie prawdy w tajemnicy przez tak długi okres graniczyło z cudem. Asgari, sprzątaczką, zginęła bez słowa; niewykluczone, że nie była w stanie poradzić sobie z rosnącą ilością łusek nasion sosny; albo może była pierwszą ze służ, która umknęła przed chwilami grozy, pierwszą, która odgadła, co czeka każdego, kto zostanie w tym domu... w każdym razie wydaje się wielce prawdopodobne, że to asgari puściła farbę. Oznaką osłabienia wpływów Razy było opublikowanie przez dwie gazety historii wzmiankujących, że córka prezydenta jest niebezpieczną wariatką i że jakiś czas temu ojciec pozwolił jej uciec ze swojej rezydencji, „nie zatroszczywszy się nawet o zawiadomienie odpowiednich władz” - jak bezczelnie stwierdzał jeden z dziennikarzy. Ani prasa, ani radio nie posunęły się tak daleko, aby powiązać zniknięcie Sufiji Zinobii ze „zbrodniami dekapitacji”, lecz naturalnie wisiało to w powietrzu, a na bazarach i przystankach autobusowych, przy stolikach w tanich kafejkach potwora zaczęto nazywać po imieniu.

Raza zebrał triumwirat generałów. Raddi, Bekar i Fi-saddi przybyli, aby wysłuchać, jak

Hajdar po raz ostatni nawiązuje do okruchów swojej dawnej władzy. - Aresztujcie tych wywrotowców! - zażądał, machając gazetami w stronę generałów. - Zamknąć ich w najciemniejszym więzieniu, załatwić ich, zlikwidować, wykończyć! Trzej oficerowie pozwolili mu skończyć, po czym generał Raddi odezwał się z najwyższą radością człowieka, który od dawna czekał na taką chwilę: - Panie prezydencie, nie uważamy, aby tego rodzaju działanie było rozważne.

- Areszt domowy czeka mnie za dzień lub dwa - powiedział Hajdar Omarowi Chajjamowi - kiedy przygotują grunt. Powiadam ci: to ostatnia odsłona. Ten Raddi, powinienem był wiedzieć... tracę kontrolę. Kiedy generałowi marzy się przewrót w tym zakochanym kraju, można się założyć, że tego spróbuje i przeprowadzi go, nawet jeśli z początku myśli o tym w kategoriach żartu albo kawału.

Jak upada dyktator? Raddi Bekar Fisaddi znoszą dziennikarskie embarga. Prasa donosi o pewnych fatalnych powiązaniach - o martwych indykach Pinkie Aurangzeb, fiasku uroczystości weselnej Dobrej Nowiny Hajdar i sztywnym karku Talwara Ulhaqa, wreszcie o teoriach dotyczących martwych chłopców ze slumsów. -Ludzie się jak suche drzewa - powiada Raza Hajdar. -Od tych iskier wybuchną płomienie.

Potem nadchodzi ostatnia noc.

Przez cały dzień tuż za ogrodzeniem gromadziły się tłumy, tłumy coraz większe i bardziej agresywne. Teraz jest noc i dobiegają odgłosy jego życia: pomruki, krzyki, szyderstwa. I dźwięki z oddali, takie jak gwizdy, trzaski płonących ognisk, wrzaski. Gdzie ona jest, zastanawia się Śakil, przyjdzie teraz czy kiedy indziej? Jak to się skończy, myśli, napływem tłumu do pałacu, linczami, grabieżami, pożarem czy w inny, dziwniejszy sposób: ludzie rozstąpią się jak mitologiczne wody, odwrócą wzrok, wpuszczą ją, ich bojownika, aby dla nich wykonał brudną robotę - ich Bestię z ognistymi oczami? Oczywiście - myśli jak szaleniec - oczywiście nie wyślą żołnierzy, aby nas chronili, jacy żołnierze postawią nogę w tym domu rychłej śmierci... potem dobiegają z korytarzy z dołu szurze odgłosy, szelesty sług, którzy opuszczają dom z legowiskami na głowach, posłańcy i hamalowie, zamiatacze, ogrodnicy i mężczyźni od wszystkiego, piastunki i pokojówki. Niektórym towarzyszą dzieci, które przy świetle dziennym mogą wyglądać na zbytnio odżywione, gdyby sądzić po ich zniszczonych ubraniach, lecz które nocą mogą uchodzić za potomstwo biedoty. Dwadzieścioro siedmioro dzieci; liczy je w wyobraźni, słyszy je, ich przytłumione kroki. I wyczuwa, że napięcie oczekiwania tłumu rośnie, wypełnia powietrze.

- Na litość boską - błaga Rażę - spróbujmy jakoś się stąd wydostać! - Ale Hajdar jest przybity, po raz pierwszy w życiu nie potrafi wycisnąć z oczu łez.

- To niemożliwe - wzrusza ramionami - tłum. A za nimi będą oddziały.

Skrzypią drzwi; kobiece stopy gniołają łuski. Po osłonkach nasion sosny zbliża się zapomniana postać Bilquis Hajdar. Dźwiga mnóstwo luźnych łańców, wybór z dzieła lat odosobnienia. Burki - uświadamia sobie Omar Chajjam i rośnie w nim nadzieja - płaszcz-niewidki, zasłony od stóp po czubek głowy. *Czadory dla żywych i umarłych*. Bilquis Hajdar mówi jedynie: - Włóżcie to. - Śakil chwyta kobiece przebranie i czym prędzej je wdziewa; Bilquis naciąga czarny materiał na nieruchomą głowę męża. - Twój syn stał się córką - powiada do niego - zatem teraz ty musisz zmienić kształt. Wiedziałałam, że nie szyję tego bez potrzeby. Prezydent pozostaje bierny, pozwala sobą kierować. Ubrani w czerń zbiegowie mieszają się na ciemnych korytarzach domu z uciekającą służbą.

Tak skończył Raza Hajdar: w nieprawdopodobieństwie; chaosie; w kobiecym odzieniu; w czerni.

Nikt nie wypytuje kobiet w zasłonach. Przechodzą przez tłum i krąg żołnierzy, natłok dziupli i ciężarówek. W końcu odzywa się Raza: - I co teraz? Dokąd pójdziemy?

A ponieważ Omar Chajjam nabrał przeświadczenia, iż dostał się w sam środek jakiegoś snu, słyszy swoją odpowiedź, jakby dochodziła z zewnątrz: - Zdaje się, że znam pewne miejsce.

A Sufija Zinobia?

Nie zaatakowała pustego pałacu. Nie pochwycono jej ani nie zabito, ani nie widziano więcej w tej części kraju. Jak gdyby zaspokoila swe pragnienie; albo jakby nigdy nie była niczym więcej niż pogłoską, chimerą, zbiorowym wymysłem gnębionych ludzi, koszmarem zrodzonym z ich gniewu; albo nawet jakby Wyczuwszy zmianę w porządku świata, wycofała się i była gotowa odczekać nieco dłużej na swój czas w owym piętnastym stuleciu.

V
DZIEŃ SĄDU

To niemal koniec.

Zamaskowani, objijając się w autobusach, kuląc w cieniach dworców autobusowych, zmierzają na południowy zachód. Zawsze przemieszczają się krótkimi etapami, zwykłymi autobusami, unikając ekspresów pocztowych Trunk Road. Z równiny Potwar w rzeczne niziny, zwróceniu twarzami ku lądowej granicy położonej za K. Pieniędzy mają tylko tyle, ile znaleźli we własnych kieszeniach, więc jedzą niewiele, piją tyle, ile mogą: bładozielone napoje, różową herbatę czerpaną z dużych aluminiowych kotłów, wodę z żółtych jezior, w których wylegują się woły. Całymi dniami prawie ze sobą nie rozmawiają i zmuszają się do zachowania spokoju, kiedy w małych miasteczkach policjanci przechadzają się wzdłuż kolejek ludzi wyczekujących na dworcach, uderzając lathi⁵⁴ o uda okryte nogawkami krótkich spodenek. Śakil i Hajdar są upokorzeni koniecznością korzystania z damskich latryn. Nie istnieje kraj bardziej ubogi niż Ucieczka.

Udaje się im uniknąć schwytania; nikt się nie spodziewa, że uciekający prezydent zostanie złapany w kobiecym ubraniu, podróżując rozklekotanym autobusem trzeciej klasy. Ale są nie przespane noce i dni; jest strach i rozpacz. Ucieczka przez kraj eksplozji. W nużącym upale wiejskich rejonów autobusowe odbiorniki radiowe przerywają nadawanie otepiających udręk piosenkarzy, aby przekazać informacje o zamieszkach i strzelaninach. Dwa razy siedzą w autobusie otoczonym przez demonstrantów i zastanawiają się, czy nie zginą w jakimś zapiaszczonym miasteczku w płomieniach podpalonej benzyny. Ale autobusom pozwala się przejeżdżać i granica jest coraz bliżej. A za granicą mieszka nadzieja - może znajdą tam azyl, w tym sąsiednim kraju królów kaznodziejów, pobożnych ludzi, którzy z pewnością daliby schronienie upadłemu przywódcy z sińcem na czole. Wtedy może byłoby nawet wystarczająco daleko od niej, od feralnej nemezis, od zemsty ciała na ciele. Raza Hajdar, odmężczyźniony przez żoniną zasłonę, chętnie pielęgnuje takie myśli.

Granicy nie sposób patrolować. Betonowe słupki ciągną się przez pustkowia. Omar Chajjam wspomina opowieści o ludziach przechodzących na drugą stronę w dowolnej chwili, o starym Zoroastrze, zubożałym z powodu tej otwartej granicy, pozbawionym przez pustynię wszelkich dodatków do nędznych dochodów. Wspomnienie o Farah Rodrigues, które pojawia się zaraz potem, niemal go dławi, mieszając się w przetyku z historią o aji Śahbanu; potem zaczynają się zawroty głowy. Na wspomnienie chmur, które kiedyś zawisły nisko nad granicą i przestraszyły go tak bardzo, że zemdlął w ramionach Farah, uświadamia sobie, iż powracają dawne dolegliwości, aby go dręczyć, dopadają go, gdy siedzi w rozklekotanym autobusie, z

⁵⁴ Lathi (hind.) - pałka, najczęściej bambusowa z metalowym okuciem.

kurczakami dziobiącymi go w kark i cierpiącymi na chorobę lokomocyjną dzierzawcami, którzy wymiotują na jego nogi. Zawroty głowy przenoszą go do czasów dzieciństwa i przypominają raz jeszcze najgorszy ze wszystkich nocnych koszmarów, zięjący wylot otchłani. Najgłębsze pokłady duszy Omara Chajjama znowu się poruszają, oszołomienie przemieszcza je do góry - to ostrzeżenie, że bez względu na poglądy innych ludzi powinien wiedzieć, iż ta granica jest krańcem jego świata, obrębem rzeczy i że rzeczywistymi marzeniami są jego dawne fantastyczne wyobrażenia o pokonaniu pewnej nadprzyrodzonej granicy, o przejściu do ziemi obiecanej z szalonych halucynacji. „Wracaj do «Niszapuru» - szepczą wewnętrzne głosy - ponieważ tam zmierzasz przez całe swoje życie, od dnia, kiedy odszedłeś”.

Strach pomaga zwalczyć zawroty głowy; daje siłę, aby nie zemdleć.

Najgorsza chwila przychodzi pod sam koniec. Wspinają się na platformę ostatniego z autobusów swej ucieczki, autobusu, który ma ich dowieźć do K, kiedy słyszą przerażający żart. - I do czegośmy doszli w tym kraju - sztydzi kierowca autobusu, mężczyzna potężny, o grubych jak pień drzewa ramionach i twarzy jak wypełniona końskim włosiem poduszka - nawet transwestyci jeżdżą teraz w purdach. Natychmiast gromada robotników pracujących przy wydobyciu gazu i boksytów wszczyna harmider; rozlegają się gwizdy, rechoty, słychać wulgarne słowa, wycie, pieśni; dłonie wyciągają się, by sięgnąć poślada hidżry⁵⁵. To jest to - myśli Omar Chajjam - załatwieni, pochwyceni, fantuś” - ponieważ jest pewny, że ktoś zerwie z nich zasłony, a twarz Hajdara jest powszechnie znana, ale właśnie wtedy odzywa się Bilquis Hajdar i całkowicie ucisza pasażerów. - Hańba spadnie na was - krzyczy głosem niewątpliwie kobiecym - czyżby mężczyźni w tych stronach upadli tak nisko, że muszą traktować kobiety jak wszetecznicę? W autobusie zapada cisza. Kierowca się rumieni, poleca trzem robotnikom opróżnić miejsca z przodu pojazdu „abyście miały pewność, begam, że nie będziecie już molestowane; owszem, to dla mnie kwestia honoru, splamiono dobre imię mojego autobusu”.

A zatem: w cichym autobusie, w nastroju wybaczenia i po przetrwaniu momentów grozy, Omar Chajjam Śakil ze swymi towarzyszami nieco po północy docierają do przystanku autobusowego na obrzeżach K. Kołysząc się na chorej nodze, bez laski, którą musiał zostawić, i bardzo wyczerpany, prowadzi ich ciemnymi uliczkami pod duży budynek między dzielnicą wojskową a bazarem; tutaj zdejmuje wierzchnie okrycie i wydaje z siebie coś w rodzaju gwizdu, potem powtarza to, póki na górze w oknie nie dostrzeże poruszenia; następnie mechanizm mistrza Jakuba Ballocha zaczyna pracować, opuszcza się winda, po czym wszyscy unoszą się do „Niszapuru” - matczynej krainy, domu - niczym wiadra wyciągane ze studni.

Kiedy trzy matki Omara Chajjama pojęły, kto przed nimi stanął, westchnęły cicho, jak gdyby po wielu latach wydostały się z jakiegoś szczególnie ciasnego ubrania; usadowiły się wygodnie jedna obok drugiej na starej, skrzypiącej huśtawce i zaczęły się uśmiechać. Ów uśmiech wydawał się radosny i niewinny, wszak z jakiegoś powodu jego replikacja na trojgu identycznych wiekowych ust nadała mu wyraz wyraźnej, choć bliżej nie ukierunkowanej groźby. Był środek nocy, ale jedna z trzech starszych dam, którą Omar Chajjam, zmęczony podróżą, ledwie rozpoznał jako mamę Ćhunni, poleciła mu iść natychmiast do kuchni i przygotować herbatę - jakby pojawił się tu zaledwie po kilkuminutowej nieobecności. - Nie mamy już służby - Ćhunni Śakil usprawiedliwiła się z wdziękiem przed Raza Hajdarem, który zdarł z siebie burkę i opadł na krzesło w oszołomieniu, dającym się tylko po części wytłumaczyć znużeniem - ale nasi pierwsi od pięćdziesięciu lat goście przecież muszą na powitanie dostać po filiżance herbaty. Omar Chajjam pokuśtykał gdzieś, po chwili zaś wrócił z tacą, aby od razu serdecznie go złąła druga matka, przywiedła pozostałość średniej matki Munni: - Beznadziejnie, słowo daję. Jakie to naczynia przynosisz, chłopcze? Pójdź do almiry i weź, co mamy najlepszego. - Podążył za wskazaniem jej palca do dużego tekowego kredensu, w którym ku swojemu ogromnemu zdziwieniu znalazł zaginiony przed laty porcelanowy serwis o tysiącu części, powstały w zakładach Gardnera w czasach carskiej Rosji, owe cuda sztuki garncarskiej, które stały się czystą legendą już w czasach jego dzieciństwa. Przywrócone życiu talerze i misy sprowadziły gorący rumieniec na jego policzki, zarażając jego wirujące myśli nostalgicznym przerażeniem, inspirując ideę ulotną, acz budzącą bojaźń, mianowicie że oto wrócił do domu zamieszkanego wyłącznie przez duchy. Ale niebiesko-różowe filiżanki, spodki i półmiski okazały się wystarczająco realne; ustawił je na tacy z dreszczem niedowierzania.

-A teraz idź, przynieś ciasto z puszki Peek Frean -poleciała najmłodsza matka, Bunni, a głos osiemdziesięcikilkuletniej staruszki drżał z radości, z której w ogóle nie próbowała się tłumaczyć; Omar Chajjam mruknął coś pod nosem i pokuśtykał na poszukiwanie czerstwego czekoladowego gateâu, które nadało ostatecznego wyrazu niemożliwości temu koszmarowi spod znaku takalluf, zwanego herbacianym przyjęciem. - No, teraz lepiej - pochwaliła go Ćhunni, kiedy pokroiła i rozdała kawałki suchego ciasta. - Dla takich szacownych gości to normalne.

Omar Chajjam zauważył, że kiedy wyszedł z pokoju po ciasto, jego matki, posługując się nieodpartą mocą wytwornych manier, nakłoniły Bilquis Hajdar, aby zdjęła burkę. Jej pozbawiona brwi twarz, szaroblada, z widocznymi oznakami zmęczenia, byłaby śmiertelną

⁵⁵ Hidźra (hind.) - eunuch, hermafrodyta, często członek osobnej kasty. Hidźrowie noszą żeńskie stroje.

maską, gdyby nie plamy czerwieni na policzkach, świadczące o tym, że jednak należy do żywej osoby; z tej przyczyny fatalny stan uczuć Omara Chajjama jeszcze się pogorszył. Jego filizanka zagrzecgotała na podstawce, kiedy serce ścisnęła mu odrodzona obawa przed tajemnicami domu z czasów dzieciństwa, gdzie żywe osoby zamieniały się w zwierciadlane odbicia swoich duchów; otrząsnął się z wyczerpujących fantazji dopiero wtedy, gdy przemówiła Bilquis, wyrażając pewną niezwykle osobliwą myśl.

- Dawno temu były sobie olbrzymy - Bilquis wypowiadała słowa starannie, głosem pełnym tęsknoty.

Zasady takalluf zmusiły ją do nawiązania rozmowy, lecz zbyt wiele czasu upłynęło, od kiedy uczestniczyła w pogawędkach; straciła do tego dryg, a poza tym trzeba wziąć pod uwagę napięcie i osłabienie wynikające z długiej ucieczki, by nie wspomnieć o ekscentryzmie ostatnich lat jej życia. Sącząc w trakcie rozmowy herbatę, uśmiechając się pogodnie w odpowiedzi na potrójny uśmiech gospodyń, sprawiała wrażenie, że odtwarza jakąś krótką, zabawną anegdotę bądź rozwodzi się dowcipnie o jakimś wyrafinowanym szczególe ze świata mody.

- Dawno temu olbrzymy chodziły po ziemi - powtórzyła dobitnie. - Tak jest, tytany, bezwzględnie, to fakt.

Trzy matki kołysały się na skrzypiącej huśtawce, z wyrazem zaabsorbowania na swoich uśmiechniętych twarzach; ale Raza Hajdar nie zwracał na to uwagi, zamknął oczy i tylko od czasu do czasu chrząkał.

- Obecnie dominują pigmeje - ciągnęła Bilquis. - Ludzie małego formatu. Mrówki. Dawniej on był olbrzymem - niespodziewanie skierowała kciuk w stronę sennego męża - możecie nie wierzyć, sądząc po jego wyglądzie, ale naprawdę nim był. Ulice, którymi szedł, drżały ze strachu i szacunku, nawet tutaj, w tym mieście. Ale, jak widać, nawet olbrzym może skarłowacieć i on jest teraz pokurczem, mniejszym od pluskwy. Wszędzie karty, do tego robaki i mrówki, hańba dla olbrzymów prawda? Hańba, tak się skurczyć. Oto moje zdanie.

Gdy Bilquis lamentowała, trzy starsze damy kiwały z powagą głowami; potem pośpiesznie zgodziły się z nią.

- Co racja, to racja - oświadczyła uprzejmie Ćhunni. Munki potwierdziła:

- Olbrzymy, a jakże, musiały być - po czym Bunni Śakil skonkludowała:

- Bo mimo wszystko istnieją również anioły, są tu nadal wokoło, och tak, jesteśmy tego pewne.

Nienaturalnie intensywny rumieniec pojawił się na policzkach Bilquis, zajętej piciem herbaty, unicestwiając śmiertelną maskę; najwidoczniej była zdecydowana znaleźć pociechę w

tej przerażającej scenie, upewnić się o własnym bezpieczeństwie, wykuwając zbyt pośpiesznie i może zbyt rozpaczliwie zażyłość z tymi skrzypiącymi zabytkami... lecz Omar przestał obserwować tok zdarzeń, ponieważ w momencie, kiedy najmłodsza matka wspomniała o aniołach, zrozumiał dziwne podniecenie sióstr Śakil. Trzy matki zaimprovizowały tę chwilę szalonego przedstawienia, aby uniknąć wspomnień o pewnym martwym młodzieńcu; była skaza w samym środku ich uśmiechniętej gościnności i dlatego poruszały się wokół jej obrzeży, wokół tej pustki, jaką uciekające stworzenia robią w zamurowanych oknach, wokół braku o kształcie Babara Śakila. Tak, o to chodziło, były w stanie uniesienia, ponieważ miały wreszcie w swoich szponach Rażę Hajdara i nie widziały żadnego innego powodu, poza jednym, mianowicie Omarem Chajjamem, który go tutaj sprowadził; zatem starały się niczego nie zepsuć, chciały uspić swoje ofiary, sprawić, by nabrały złudnego poczucia bezpieczeństwa, nie martwiły się i nie próbowały uciekać. I w tym samym czasie wzdychały radośnie, przekonane, że to się w końcu uda, zemsta, sprawiedliwość dokona się tuż pod ich nosami. Po głowie Omara Chajjama krążyła myśl, że we trzy zmuszą go do zrobienia tego - wolnego od wszelkiego żalu, beznamiętnego zabicia Razy Hajdara pod dachem domu matek.

Następnego dnia obudziły go odgłosy zatraskiwanych przez Bilquis Hajdar okien. Zwlókł się z łóżka, które nie wiedzieć czemu było przesiąknięte potem. Miał słabsze nogi, stopy bardziej obolałe niż zwykle; pokuśtykał zobaczyć, co się dzieje. Zastał trzy matki zaprzątnięte przyglądaniem się, jak Bilquis w jakimś szale krąży po domu niczym huragan, zatraskując okna, jakby coś ją bardzo rozzłościło; zamyka okiennice i opuszcza żaluzje. Omar zdumiał się, jakby spostrzegł to po raz pierwszy - jakże wysokie były jego matki, jakby ledwie mogły się zmieścić w ramionach rozciągniętych aż do nieba. Stały w postawie wzajemnej troski, trzymając się pod łokcie, nie starając się wcale przeszkadzać w tym szale zamykania okien. Omar Chajjam chciał powstrzymać Bilquis, bo przy zamkniętych oknach powietrze wewnątrz domu stało się gęstsze i bardziej dławiące, aż zaczął odnosić wrażenie, że wdycha millakutanni⁵⁶, ale trzy matki gestem nakazały mu zachowanie spokoju. - Jest naszym gościem - szepnęła mama Ćhunni - dlatego może zostać na zawsze, jeśli tylko ma ochotę - ponieważ zorientowała się, że zachowanie Bilquis jest zachowaniem kobiety, która zapędziła się za daleko, która przestała wierzyć w granice i wszystko, co mogło być dalej. Bilquis barykadowała się przed zewnętrznym światem w nadziei, że może ów świat zniknie, a było to zachowanie, które siostry Śakil potrafiły zrozumieć bez jednego słowa. - Przedtem cierpiała - stwierdziła Munni Śakil z tajemniczym uśmiechem - ale tutaj jest mile widziana.

Omar Chajjam czuł, że powietrze tężeje, nabiera konsystencji zupy, że zaczynają kiełkować nasiona klaustrofobii. Lecz inne nasiona także już krążyły w powietrzu; kiedy Bilquis upadła, jakby się upiła i zapadła w odrętwienie, Omar Chajjam odgadł znaczenie swej porannej niemocy, gorących rumieńców, nóg jak z waty.

- Malaria - wykrztusił, po czym dostał zawrotów głowy, zakręcił się w miejscu i upadł obok Bilquis Hajdar -z zimna i gorąca.

Dokładnie w tej samej chwili Raza Hajdar obudził się z chorobliwego snu, w którym pojawiło się kilka kawałków zmarłego Sindbada Mengala, zestawionych w zupełnie nieodpowiedni sposób, tak że głowa martwego mężczyzny znalazła się pośrodku brzucha, stopy zaś sterczały mu z szyi podszwami do góry niczym ośle uszy. Mengal wcale nikogo nie obwiniał, lecz jedynie ostrzegł Rażę, że wszystko zmierza ku temu, iż przed upływem kilku dni sam sahib generał zostanie pocięty. Stary Rozpruwacz Bebechów, jeszcze w półśnie, zerwał się, krzycząc o niebezpieczeństwie, ale choroba już i w nim się rozpałała, więc opadł z powrotem na łóżko, ciężko łapiąc powietrze i dygocząc, jakby to była zima. Siostry Śakil podeszły i stanęły obok, aby mu się lepiej przyjrzeć.

- Jakżeż nam miło - powiedziała Bunni Śakil z zadowoleniem - zdaje się, że generałowi niespieszne, by nas opuścić.

Gorączka jest ogniem, który sprawia, że czujesz zimno. Wypala bariery pomiędzy świadomością a snem, więc Omar Chajjam nie miał pojęcia, czy wszystko dzieje się w rzeczywistości czy też nie. W pewnym momencie leżał w mrocznym pokoju i myślał, że słyszy Bilquis wykrzykującą coś o zapaleniu opon mózgowych, o karach boskich i sądach, o chorobie, która upośledziła dziecko zesłane jako kara w tym mieście wstydu. Myślał też, że słyszy Rażę wołającego o nasiona sosny. Kiedy indziej był pewien, że zapomniana postać nauczyciela Eduarda Rodriguesa stoi w oskarżycielskiej pozie przy jego łóżku, trzymając na rękach martwe dziecko -lecz to nie mogła być prawda, tylko delirium. Zdarzały się momenty, kiedy odczuwał przejawy trzeźwości, wołał matki i dyktował im nazwy medykamentów. Miał wspomnienia o przyjmowaniu lekarstw, przypominał sobie ręce unoszące jego głowę i wsuwające mu do ust białe tabletki, ale gdy przypadkiem rozgryzł jedną i poczuł smak wapna, w jego rozgorączkowanej głowie zrodziło się podejrzenie, że jego matki w ogóle nie posłały po lekarstwa. W końcu doszło do tego, że zaczęła bawić go myśl o takiej możliwości, iż siostry Śakil z radością pozwolą malarii wykonać za nie brudną robotę, że chętnie poświęcą żyjącego syna, jeśli tylko zabierze ze sobą Hajdarów. One są szalone albo ja, myślał, po czym gorączka

⁵⁶ * Millakutanni (tamil.) - bardzo ostra zupa; *millaku* - „pieprz”, *tanni* - „woda”.

ogarnęła go znowu i uczyniła wszelkie myślenie niemożliwym.

Czasami - takie odnosił wrażenie - odzyskiwał przytomność, słyszał przez zamknięte i zasłonięte okna strzępy słów wypowiedzianych z wściekłością i dobiegających z dołu, do tego strzały, eksplozje, brzęk tłuczonego szkła, a jeśli to wszystko nie było również częścią delirium, oznaczało, że w mieście wybuchły zamieszki, tak jest, wyraźnie przypominał sobie pewne okrzyki, na przykład „Hotel się pali!” Palił się czy nie? Wspomnienia zataczały kręgi nad bagnami choroby, ale był prawie pewien, że słyszał, jak się pali hotel, trzask walącej się złotej kopuły, ostatnie zawodzenia orkiestry przygniecionej pod stosem cegieł. Któregoś poranka chmura pyłu po zrujnowanym hotelu przedostała się do wnętrza „Niszapuru”, mimo zamkniętych okiennic oraz okien przeniknęła do sypialni, pokrywając wszystko szarością śmierci i pogłębiając odczucie Omara bycia chorym w domu upiorów. Ale gdy zapytał jedną - którą? - z trzech sióstr o ten pożar, ta odpowiedziała - która? - A teraz zamknij oczy i nic się nie martw. Że niby wszędzie jest popiół, skąd ten pomysł?

Tkwiał w przekonaniu, że na zewnątrz świat się zmienia, stare porządki przemijają, wielkie struktury tracą na znaczeniu, a na ich miejsce wyrastają nowe. Na świecie trwał jakiś kataklizm, otwierały się otchłanie, świątynie ze snów wznosiły się, upadały, logika Gór Niemożliwych zeszła w dół, by skazić równiny. Jednakże w tym jego majaku, w nadpalonych szponach choroby i cuchnącej atmosferze domu, możliwe wydawały się jedynie zakończenia. Wyczuwał, że wszystko w nim ustępuje, osuwa się, wypiętrza, grzechoczą pokruszone mury w jego piersi, pękają koła zębate, słyhać fałszywą nutę w funkcjonowaniu silnika. „Ta maszyna - powiedział w którymś momencie owego zatrzymanego czasu - już dłużej nie popracuje”.

Trzy matki kołysały się na skrzypiącej huśtawce przy jego łóżku. Nie, przecież nie mogły jej przenieść, co ona tu robi, była zjawą, mirażem, nie wierzył w nią, zamknął oczy, zacisnął mocno powieki, otworzył je po minucie albo po tygodniu, ale matki nadal tam były na huśtawce, zatem stało się jasne, że jego stan się pogorszył, halucynacje przybrały na intensywności. Siostry wyjaśniały ze smutkiem, że dom nie jest już taki duży, jaki był dawniej. „Ciągłe gubimy pokoje - lamentował upiór Bunni -dzisiaj zapodziliśmy gabinet twojego dziadka. Wiesz, gdzie kiedyś był, prawda, teraz jednak, kiedy wyjdiesz tamtymi drzwiami, znajdziesz się w stołowym, co jest przecież niemożliwe, bo stołowy powinien się znajdować po drugiej stronie korytarza”. Mama Ćhunni pokiwała głową. „Jakież to smutne, synu, sam zobacz, życie stroi sobie żarty ze starych ludzi, przyzwyczaisz się do jakiejś sypialni, a potem pewnego dnia, puf, nie ma, schody gdzieś znikają, cóż zrobić”. „To miejsce się kurczy - odezwała się gniewnie średnia Munni. - Doprawdy, jak tania koszula. Powinniśmy oddać to do sanforyzacji. Niedługo cały dom będzie mniejszy od pudełka zapalek i znajdziemy się na

ulicy”. Ostatnie słowo należało do Ćhunni. „W słońcu, bez ścian - prorokował duch najstarszej matki - nie przetrwamy. Zamienimy się w proch, wiatr nas porwie i poniesie”.

Później znowu stracił świadomość. Kiedy powrócił do przytomności, nie było już huśtawki ani matek, leżał samotnie w łóżu z czterema kolumnami, po których wspinały się drewniane węże, i z rajem wyszytym na baldachimie - w śmiertelnym łóżu dziadka. Czuł się silny jak koń. Pora wstawać. Zeskoczył z łóżka i boso, w piżamie, wyszedł z pokoju, zanim dotarło do niego, że jest to kolejne złudzenie, ale wówczas już nie mógł się zatrzymać, unieruchomić stóp, które przestały mu dolegać i niosły go przez zagracone korytarze pełne wieszaków na kapelusze, wypchanych ryb w akwariach i rozbitych zegarów, wtedy zorientował się, że dom wcale się nie skurczył, przeciwnie, rozrósł się, powiększył do tego stopnia, iż zawiera w swoich murach wszystkie miejsca, w których Omar kiedykolwiek był. Stanowił podsumowanie wszystkich możliwości. Omar otworzył pokryte pajęczyną drzwi i wzdrygnął się przed małą, jasno oświetloną grupką postaci w białych maskach, pochylonych nad jakimś ciałem. Znalazł się w sali operacyjnej szpitala Mount Hira. Postacie skinęły na niego przyjaźnie, chciały, aby pomógł im w operacji, ale on bał się spojrzeć na twarz pacjenta. Odwrócił się energicznie i poczuł pod stopami pękające łuski nasion sosny, wtedy wokół zaczęła się wykształcać oficjalna rezydencja głównodowodzącego sił zbrojnych. W pewnej chwili zaczął biec, starając się znaleźć drogę powrotną do łóżka, ale korytarze ciągle skręcały gdzieś bez ostrzeżenia, tak że w końcu znalazł się w dużym, zdobionym zwierciadełkami namiocie i w kawałeczku lustra zobaczył twarz panny młodej, która miała wokół szyi pętlę; zawołał: „Powinnaś pozostać martwa!”, sprawiając, że naraz goście zaczęli się na niego gapić. Wszyscy stali w łachmanach z uwagi na niebezpieczeństwo dostania się w zbyt porządnym stroju między wzburzony tłum i skandowali unisono: wstyd, wstyd, to ten, ten, co wypuścił z tyłka tlen. Potem uciekał znowu, tym razem coraz wolniej, stawał się ociążały, jego spocone podbródki kołysały się, opadając coraz niżej, aż sięgnęły sutków, zwały tłuszczu zeszły do kolan i w końcu już nie był w stanie się poruszyć, choć bardzo chciał, pocił się jak mysz, było mu to zimno, to gorąco, nie ucieknę, pomyślał i runął na plecy, a na niego opadł łagodnie biały, wilgotny całun, wtedy uświadomił sobie, że jest w łóżku.

Usłyszał głos, który z trudem zidentyfikował jako należący do Haszmat Bibi. Przemawiała z wnętrza chmury: „Jedynе dziecko. Ciągłe zaprzęta im biedne głowy”. Tyle że on nie pozostał jedynym dzieckiem.

Pali się, płonie w tym zimnym ogniu. Zapalenie opon mózgowych. Bilquis Hajdar przy jego boku wskazuje ze złością na firmową puszkę Peek Frean. „Trucizna - rzuca oskarżenie - trujące bakterie w cieście. Ale byliśmy głodni, nie mogliśmy się powstrzymać, więc jedliśmy”.

Wytracony z równowagi przez tę skazę na honorze rodziny, zaczął bronić gościnności swych matek, nie, w żadnym razie, ciasto było wprawdzie czerstwe, ale nie bądź śmieszna, pomyśl o podróży w autobusie, o tym, co piliśmy, jakąś zieloną różową i żółtą ciecz, mieliśmy nie najlepszą odporność. Bilquis wzruszyła ramionami, podeszła do kredensu, po czym zaczęła wyciągać po kolei poszczególne elementy kompletu porcelany Gardnera i rozbijać je o podłogę na różowo-niebieski pył. Zamknął oczy, ale powieki nie były już żadną przeszkodą, były po prostu przejściem do innych miejsc, do Razy Hajdara w mundurze z dwiema małpami na ramionach. Małpa z prawej strony miała twarz maulany Dawuda i dłonie przyciśnięte do ust; na lewym ramieniu siedział Iskander Harappa i drapał się pod małpią pachą. Hajdar zakrył uszy, Isky, podrapawszy się, zasłonił oczy, ale spoglądał przez palce. „Kończą się opowieści, kończą światy - oświadczył Isky małpa - potem nadchodzi sądu dzień”. Ożywszy, ogień i śmierć tańczyły w płomieniach.

Gdy spadała gorączka, przypomina sobie, że śnił, ale nie mógł wiedzieć, iż były to w istocie prawdziwe wizje przyszłości, tego, co się jeszcze zdarzy. Kłótni między trzema generałami. Ciągłych zaburzeń w życiu publicznym. Poruszenia potężnych sił, decydujących o tym, że armia stała się niestabilna. W końcu uwolnienia Ardżumand i Haruna, czyli obejmujących władzę, odrodzonych w potęgze dziewicy Żelazne Majtki i jej jedynej miłości. Upadku Boga i przyjęcia w to miejsce mitu o męczenniku Iskandrze. Następnie aresztowań, prześladowań, procesów, egzekucji, krwi, słowem nowego cyklu bezwstydu i hańby. Tymczasem w Mohendzo pęka ziemia, pojawiają się szczeliny.

Pamięta sen o Rani Harappie - która decyduje się pozostać w Mohendzo i pewnego dnia wysyła Ardżumand podarunek złożony z osiemnastu wspaniałych szali. Z powodu tych szali już nigdy nie opuści majątku - Ardżumand sama umieściła matkę pod strażą. Ludzie zaangażowani w budowanie nowych mitów nie mają czasu na wyszywany krytycyzm. Rani pozostaje w domu o ciężkim dachu, gdzie płyną krwistoczerwone wody; pochyła głowę w stronę Omara Chajjama Śakila. „Zdaje się, że świat nie może być bezpiecznym miejscem - wypowiada swoje epitafium - jeżeli Rani Harappa będzie na wolności”.

Kończą się historie, kończą światy; potem nastaje sądu dzień.

Matka Chunni powiada:

- Jest coś, co powinieneś wiedzieć.

Leży bezsilny między drewnianymi wężami, rozpalony, przeniknięty chłodem, czerwone oczy błędzą w jego głowie. Łyka powietrze, które wydaje się włochate, jakby mocą bożej sprawiedliwości został pogrzebany pod gigantyczną bawełnianą górą. Wydobywa się na

zewnątrz, dyszy, jest wielorybem dziobanym przez ptaki. Ale tym razem one tu są, cała trójka, to żadna halucynacja, jest tego pewny, siedzą na jego łóżku i mają jakiś sekret do wyjawienia. Głowa mu opada; zamyka oczy.

I wysłuchuje po raz pierwszy w życiu ostatniej tajemnicy rodzinnej, najgorszej opowieści w historii. Opowieści o pradziadku i jego bracie, Hafizullahu i Rumim Śakilach. Każdy poślubił kobietę, którą drugi uznawał za nieodpowiednią; kiedy zaś Hafiz rozpowiedział w mieście, że jego bratowa jest kobietą tak swobodną jak luźna piżama i że Rumi wyciągnął ją z Hiramandi, sławnej dzielnicy czerwonych latarni, doszło do całkowitego rozłamu w stosunkach między braćmi. Potem zemsty dokonała żona Rumiego. Przekonała męża, iż przyczyną świętoszkowatej dezaprobaty ze strony Hafiza jest to, iż bardzo chciał z nią sypiać już po ich ślubie, lecz ona stanowczo oparła się jego namowom. Rumi Śakil stał się bezwzględny i zimny jak lód; natychmiast podszedł do biurka, gdzie ułożył do brata anonimowy, pelen jadu list, w którym oskarżył żonę Hafiza o pozamałżeńskie stosunki ze sławnym w tamtym czasie wirtuozem sitara, co okazało się zgubne, gdyż było prawdziwe. Hafiz Śakil zawsze ślepo wierzył żonie, tak więc zbladł, kiedy przeczytał list, który natychmiast zidentyfikował jako pisany ręką brata. Kiedy przepytał żonę, ta przyznała się od razu. Stwierdziła, że zawsze kochała grajka i byłaby z nim uciekła, gdyby rodzice nie wydali jej za Hafiza. Pradziadek Omara Chajjama udał się do łóżka na spoczynek, a kiedy przyszła do niego żona, trzymając w ramionach ich syna, położył prawą rękę na piersi i skierował ostatnie słowa do małego chłopca. - Ta maszyna - powiedział ze smutkiem - już dłużej nie popracuje.

Tej nocy umarł.

- To samo powiedziałaś w gorączce, kiedy nie wiedziałaś, co mówisz - powiada Munni Śakil do Omara. To samo ująłeś w identycznych słowach. Więc teraz rozumiesz, dlaczego opowiedziałyśmy ci tę historię.

- Teraz wiesz wszystko - dodaje mama Ćhunni. - Wiesz, że w naszej rodzinie braci stać było wobec siebie na najgorsze, i może nawet wiesz, iż jesteś dokładnie taki sam.

- Ty też miałeś brata - mówi Bunni - i pamięć o nim potraktowałeś jak błoto.

Niegdyś, zanim wyruszył w świat, zabroniły mu odczuwać wstyd; teraz budziły w nim to uczucie, atakowały go mieczem hańby.

- Twojego brata stworzył archanioł - szepnęła Ćhunni Śakil przy jego boku - więc chłopiec był za dobry na ten świat. Co do ciebie, hm, twoim stwórcą był diabeł rodem z piekła.

Znowu się pogrążył w mokradłach gorączki, lecz ta ostatnia uwaga trafiła w samo sedno, bo żadna z matek nigdy wcześniej spontanicznie nie poruszała tematu ojca. Pojął, iż matki znienawidziły go, i ku własnemu zdumieniu uznał tę myśl za zbyt okropną, aby ją znieść.

Choroba zamykała mu powieki, oferując zapomnienie. Sześćdziesięcioletni mężczyzna walczył, przygnieciony matczyną odrazą. Postrzegał ją jako coś żywego, olbrzymiego i śliskiego. Przez lata karmiły tę swoją maskotkę nienawiści, oddawały jej kawałeczki siebie, oferowały fragmenty wspomnień o Babarze. A ta pochłaniała je, chwytając zachłannie z długich kościstych palców sióstr.

O nieżyjącym Babarze, któremu podczas krótkiego życia nie pozwolono zapomnieć o wyższości starszego brata, człowieka sukcesu, człowieka, który umożliwił im zerwanie więzi z właścicielem lombardu, uratowanie przeszłości przed dożywociem na półkach sahiba Ćalaka. Bracie, którego on, Omar Chajjam, nigdy nie poznał. Matki posługują się dziećmi jak różgami - każdy z braci służy za narzędzie do chłostania drugiego. Dławiony gorącym wiatrem matczynego uwielbienia Omara Chajjama, Babar uciekł w góry; teraz matki zmieniły front, a nieżyjący chłopiec stał się ich bronią przeciwko żywym. *Wżeniłeś się w rodzinę mordercy. Lizalesz buty potężnym.* Pod powiekami Omar Chajjam widział, jak matki układają wokół jego szyi girlandę nienawiści. Tym razem nie było pomyłki; jego przesiąknięta potem broda otarła się o postrzępione sznurowadła, zniszczone języki, roześmiane usta naszyjnika ze znoszonych butów.

Bestia ma wiele twarzy. Przybiera taki kształt, jaki zechce. Czuł, że wpełza do jego brzucha i rozpoczyna ucztę.

Generał Raza Hajdar obudził się pewnego dnia o świcie w takim hałasie, jakby jednocześnie pękło i posypało się na ziemię tysiąc szyb; szybko sobie uświadomił, że to odgłos przełamania choroby. Wziął głęboki oddech i usiadł pionowo w łóżku.

- Gorączko - powiedział radośnie - pokonałem cię. Stary Rozpruwacz Bebechów bynajmniej nie jest jeszcze skończony. - Hałas ustał i wtedy Raza odniósł wrażenie, że unosi się na powierzchni jeziora ciszy, bo głos Iskandra Harappy zamilkł po raz pierwszy od czterech długich lat. Za to słyszał ptaki; wprawdzie jedynie wrony, ale brzmiały one słodko niczym bulbule. No, nareszcie wychodzimy z tego, pomyślał Raza. Potem zauważył stan, w jakim się znajdował. Zostawili go, aby zgnił w grzędawisku własnych wydzielin. Było jasne, że od wielu dni nikt go nie doglądał. Leżał w trzęsawisku własnych ekskrementów, w prześcieradłach pożółkłych od potu i uryny. Pościel zaczęła zachodzić pleśnią i na jego ciele pojawił się zielony grzyb. - Oto, co o mnie myślą - wykrzyknął w pustkę pokoju - te czarownice, już ja im odpłacę! - Lecz mimo fatalnego stanu łóżka, jego nowy optymizm nie dał się podkopać. Raza podniósł się, stanął na nogach, które tylko nieco się chwiały, i zrzucił cuchnące odzienie choroby; potem, z wielkim niesmakiem, bardzo ostrożnie, zebrał w tobołek skażone płótno i wyrzucił je przez okno. - Jędze - zachichotał do siebie - niechaj same zbierają z ulicy swoją brudną bieliznę, to im

dobrze zrobi. - Przeszedł nago do łazienki i wziął prysznic. Kiedy zmywał mydłem odór gorączki, na chwilę zamarzył mu się powrót do władzy. Pewnie, rzekł do siebie, zrobimy to, dlaczego by nie? Zanim ktokolwiek się we wszystkim rozezna. Poczł ogromny przypływ serdecznych uczuó wobec żony, która uratowała go ze szponów wroga i z całego serca zapragnał przywrócić dobre z nią stosunki. Traktowałem ją źle, oskarżył siebie, a ona w ostatniej chwili zachowała się jak trzeba. Pamięć o Sufiji Zinobii stała się po trosze czymś więcej niż złym snem; w istocie nie był nawet pewien jej podstaw, wierząc do pewnego stopnia, iż chodziło o jedną z licznych halucynacji, którymi dręczyła go choroba. Wyszedł spod prysznic, owinął się ręcznikiem i poszedł szukać ubrania. Jeśli Bilquis jeszcze nie wyzdrowiała -- obiecał będę ją pielęgnował noc i dzień. Nie pozostawię jej na lasce tamtych trzech szalonych sępów.

Nigdzie nie było ubrań.

-Niech to szlag - zaklął Raza - przecież mogli zostawić chociaż szalwar i kurtę? - Otworzył drzwi i zawołał: -Jest tam kto?! - Nie było odpowiedzi. Jezioro ciszy wypełniało dom. W porządku, pomyślał, w takim razie niech się nie zdziwią, że tak wyglądam. Zawiązał ciaśniej ręcznik wokół bioder i wyruszył na poszukiwanie żony. Najpierw trzy puste pokoje, następnie czwarty, właściwy, co poznał po zapachu. - Suki! - wrzasnął dziko do odpowiadającego echem domu - wstydu nie macie?! - Potem wszedł do środka.

Panował tu nawet większy odór niż w jego pokoju, a Bilquis leżała bez ruchu w nieprzyzwoitości własnych odchodów. - Nie martw się, Billu - szepnął do niej -Raz jest przy tobie. Oczyszczę cię jak należy i wtedy sama zobaczysz. Zwierzęta nie kobiety, każę im rżęsami zbierać to łajno i wypcham je nim po same dziurki w nosie.

Bilquis nie odpowiedziała i musiało minąć kilka chwil, aby Raza wywęszył przyczynę jej milczenia. Potem poczuł inny zapach oprócz odoru odchodów i poczuł się tak, jakby pęta kata dotknęła jego karku. Usiadł na podłodze i zaczął bębnić palcami w posadzkę. Kiedy przemówił, wszystko wychodziło nie tak, nie chciał brzmieć gniewnie, a oto, co rzekł: - Na miłość boską, Billu, w jakim ty jesteś stanie? Mam nadzieję, że nie udajesz ani nic takiego. O co w tym chodzi, przecież nie umrzesz? -Ale Bilquis przeszła już na drugą stronę granicy.

Po tych kłótliwych słowach, które wprawiły go w zakłopotanie, spojrział do góry i ujrzał trzy siostry Śakil stojące przed nim z perfumowanymi chusteczkami przy nosach. Mama Ćhunni trzymała także, w drugiej dłoni, szturmak, niegdyś własność jej dziadka Hafizullaha Śakila. Mierzyła z niego mniej więcej w pierś Razy, ale jednocześnie kołysała nim tak, że szansę trafienia go były nikłe, poza tym broń wydawała się nieprawdopodobnie stara i zapewne rozerwałaby się tuż przy jej twarzy, gdyby pociągnęła za spust. Pechowo dla Razy jej siostry

również były uzbrojone. Munni trzymała w prawej ręce pozornie groźną szablę z wysadzana kamieniami rękojeścią, palce Bunni zaś ścisnęły drzewce włóczni z okropnie zardzewiałym, lecz niewątpliwie ostrym grotem. Optymizm opuścił Raza, nie siląc się na żadne pożegnania.

- Ty powinieneś umrzeć zamiast niej - oświadczyła Ćhunni Śakil.

Złość odeszła wraz z optymizmem.

- No, dalej - zachęcił siostry. - Bóg osądzi nas wszystkich.

- Nasz syn uczynił dobrze, przywodząc cię tutaj - podzieliła się refleksją Bunni. - Dobrze uczynił, czekając na twój upadek. Nie będzie hańbą zabicie cię teraz, bo i tak jesteś trupem. Otóż będzie to jedynie egzekucja zwłok.

- Poza tym - powiedziała Munni Śakil - Bóg nie istnieje.

Ćhunni machnęła szturmakiem w kierunku Bilquis.

- Podnieś ją - rozkazała. - Taką, jaka jest. Dźwignij ją i przynieś, szybko.

Staął na wyprostowanych nogach; ręcznik ześlizgnął się na podłogę; chciał go chwycić, ale nie zdążył i został nagi przed starymi kobietami, które miały czelność westchnąć... świeżo umyty i całkowicie rozebrany generał Raza Hajdar poniósł cuchnące, pokryte pleśnią ciało żony przez korytarze „Niszapuru”, podczas gdy trzy siostry krążyły dookoła niczym padlinożerne wrony.

-Masz wejść tutaj - stwierdziła Ćhunni, dźgając go lufą szturmaka w plecy, i wtedy wstąpił do ostatniego pomieszczenia ze wszystkich pomieszczeń w swoim życiu. Rozpoznał sylwetę windy wiszącej po drugiej stronie okna i zatrzymującej większość światła. Postanowił milczeć bez względu na rozwój wypadków, ale zdziwienie skłoniło go odezwania się.

- Cóż to znaczy - zapytał. - Wysyłacie mnie na zewnątrz?

- Pan generał na pewno jest dość znaną postacią w naszym mieście - zadumała się Munni. - Niewątpliwie wielu jego przyjaciół chętnie go znowu zobaczy, nie sądzicie? Ależ mu zgotują przyjęcie, kiedy się zorientują, kto tutaj jest.

Raza Hajdar, nagi w windzie obok zwłok Bilquis. Trzy siostry podchodzą do panelu w ścianie - przycisków przełączników dźwigni.

- Maszynę tę zbudował mistrz w swoim fachu - wyjaśniła Ćhunni - dawno temu, kiedy można było wykonać wszystko; niejaki mistrz Balloch. Na naszą prośbę, którą przekazałyśmy mu za pośrednictwem naszej drogiej, zmarłej już Haszmat Bibi, zamontował w urządzeniu kilka dodatkowych udogodnień, z których za chwilę skorzystamy po raz pierwszy i zarazem ostatni.

-Puście mnie - krzyknął Raza; niczego nie rozumiał. - Po co tracić czas?!

Były to jego ostatnie słowa.

- Poprosiłyśmy o to - powiedziała Munni Śakil, kiedy każda z sióstr położyła dłoń na jednej dźwigni - mając na względzie okoliczność, że samoobrona nie jest przecież żadną obroną. Poza tym, musisz sam przyznać, zemsta jest słodka.

Obraz Sindbada Mengala przemknął przez głowę Razy, gdy trzy siostry przesunęły dźwignie, działając w doskonałej harmonii, tak że nie sposób orzec, która pociągnęła za dźwignię pierwsza albo najszybciej, a sprężynowe mechanizmy zwalniające pomysł Jakuba Ballocha zadziałały; ukryte zapadki odskoczyły i osiemnastocalowe ostrza sztyletów śmierci wbiły się w ciało Razy, tnąc je na kawałki; poplamione czerwienią końce powychodziły przez gałki oczne, jabłko Adama, pępek, krocze i usta. Język, odcięty całkowicie pod pewnym kątem, wypadł aż do kolan. Ciało zaczęło wydawać z siebie dziwne odgłosy, jakby klekotanie; zadrżało; znieruchomiło.

- Zostaw ich tam - poinstruowała siostry Ćhunii. - Nie będziemy więcej potrzebowały tego urzędnika.

Skurcze przychodziły w regularnych odstępach, ściskając mu skronie, jak gdyby coś próbowało się urodzić. W celi roilo się od komarów, które z jakiegoś powodu wydawały się wcale nie kłuć przesłuchującego, postaci o sztywnym karku, która nosiła biały hełm i w dłoni trzymała pejcz. „Masz przed sobą kartkę papieru i długopis - powiedział przesłuchujący. - Nie sposób rozpatrzyć prośby o ulaskawienie, jeśli nie nastąpi całkowite przyznanie się do winy”.

„Gdzie są moje matki?” - zapytał żałośnie Omar Chajjam Śakil, głosem, który załamywał się, szybując to w dół, to w górę; Omar Chajjam był zażenowany jego wybrykami.

„Człowiek Sześćdziesięcioletni - zadrwił ten drugi - nie zachowuje się jak dziecko. Zrób jakiś ruch, nie mam całego dnia. Zaraz powinienem być na boisku do polo. Tam na mnie czekają”.

„Czy rzeczywiście można liczyć na łaskę?” - chciał wiedzieć Omar Chajjam.

Prowadzący przesłuchanie, wyraźnie znudzony, wzruszył ramionami.

„Wszystko jest możliwe - odparł - Bóg jest wielki, jak się bez wątpienia przekonasz”.

„Co powinienem uwzględnić - zastanawiał się Omar Chajjam, sięgając po długopis - mogę się przyznać do wielu rzeczy. Do porzucenia korzeni, do otyłości, do pijaństwa, do hipnozy. Do bałamucenia dziewcząt, niesypiania z żoną, nieumiarkowania w jedzeniu nasion sosny, podglądactwa w wieku chłopięcym. Do obsesji seksualnej na punkcie nieletniej, upośledzonej kobiety i w rezultacie niemożności pomszczenia śmierci brata. Nie znałem go. Trudno odważyć się na tego rodzaju czyny wobec obcych. Właśnie, przyznaję się do czynienia obcych członkami mojej rodziny”.

„To na nic - przerwał mu przesłuchujący. - Jakiego pokroju jesteś człowiekiem? Jaki

typ łobuza chce wykręcić się od winy i pozwala matkom wziąć wszystko na siebie?”

„Jestem człowiekiem całkowicie marginalnym - odparł Omar Chajjam. -W historii mojego życia wiodące role odgrywały inne osoby. Hajdar i Harappa, moi przewodnicy. Imigrant i tubylec. Pobożny i profan, wojskowy i cywil. I kilka dam w pierwszoplanowych rolach. Przyglądałem się zza kulis, nie wiedząc, jak grać. Przyznaję się do awansu społecznego, do wykonywania jedynie swojego zawodu, do bycia w narożniku ringu, na którym mocowali się inni ludzie. Przyznaję się do obawy przed snem”.

„Zmierzamy donikąd. - Przesłuchujący wydawał się rozgniewany. - Dowody są poza dyskusją. Na przykład ta twoja laska ze sztyletem, prezent od Iskandra Harappy, arcywroga ofiary. Istnieją odpowiednie motywy i sposobność, mnóstwo jednego i drugiego. Po co to przeciągać? Czekaleś na okazję, przez lata wiodłeś pozorne życie, zdobyłeś ich zaufanie, a w końcu sprowadziłeś na płaszczyznę zbrodni. Obiecując przerzut przez granicę, aby ich zwabić. Nie powiem, skuteczna przynęta. Potem rzuciłeś się na zdobycz i kłułeś, kłułeś, kłułeś bez umiaru. To wszystko jest oczywiste. Przestań pisać i pisać”.

„Jestem niewinny - zaczął Omar Chajjam Śakil. - Zostawiłem laskę ze sztyletem u głównodowodzącego w domu” - ale zaraz potem jego kieszenie zaczęły się wydawać bardzo ciężkie, a przesłuchujący wyciągnął z nich to, co w nich ciążyło. Kiedy Omar Chajjam zobaczył, co Talwar Ulhaq trzyma na wyciągniętej w jego stronę oskarżycielskiej dłoni, zawołał falsetem: „Matki musiały mi to włożyć” - ale nie było sensu kontynuować, bo z ręki śledczego patrzyły na niego przerażające dowody rzeczowe, kawałki Razy Hajdara, starannie odcięte jego wąsy, gałki oczne, zęby.

„Jesteś przeklęty” - powiedział Talwar Ulhaq i uniósłszy pistolet, przestrzelił Omarowi Chajjamowi Śakilowi serce. Ciała zaczęła się palić. Omar Chajjam ujrzał otchłań otwierającą się pod jego stopami i poczuł zawroty głowy - świat się kończył. „Przyznaję się!” - krzyknął, lecz było już za późno. Wpadł w czarny ogień i spłonął.

Ponieważ dorastali przyzwyczajeni do ignorowania tego domu, dopiero któregoś popołudnia ktoś zupełnie przypadkowo dostrzegł zmianę i zawołał, że wielkie frontowe drzwi do rezydencji Śakilów są otwarte po raz pierwszy, od kiedy ktokolwiek pamiętał; jednocześnie wszyscy od razu się domyślili, że stało się coś ważnego, zatem chyba już nikt się nie zdziwił na widok kałuży krzepnącej krwi pod windą mistrza Ballocha. Długo stali bez ruchu przed otwartymi drzwiami, coś powstrzymywało ich przed wejściem do środka, aby choć rzucić okiem, mimo że zżerała ich ciekawość; w pewnym momencie ruszyli jednocześnie, jakby jakiś głos udzielił im pozwolenia: kamieniarze, żebracy, robotnicy, policjanci, mleczarze, urzędnicy

bankowi, kobiety na osłach, dzieci z metalowymi kółkami i kijami, drobni handlarze, akrobaci, kowale, żony, matki, wszyscy.

Okazało się, że ponury pałac przesadnej dumy sióstr stał bezbronny, zdany na ich łaskę; zdumiało ich własne zachowanie, zdumiała nienawiść do tego miejsca, która sączyła się z sześćdziesięcioletnich, zapomnianych źródeł; kiedy polowali na stare kobiety, rozpruli dom na drobne kawałeczki. Byli jak szarańcza. Pozdzierali wiekowe tapety, ale w ich rękach materiał zamienił się w proch, powyłamywali wieka skrzyń na pieniądze, które wypełnione były starymi banknotami i monetami, otwierali skrzypiące drzwi tak gwałtownie, że wypadały z zawiasów, odwracali łóżka do góry nogami i przetrząsali zawartość srebrnych menażek, pourywali wannom złożone stopy i porozpruwali sofę w poszukiwaniu ukrytego bogactwa, wrzucili bezużyteczną huśtawkę przez najbliższe okno. Wszystko odbywało się tak, jakby nagle przestało działać jakieś zaklęcie, jak gdyby stara, zwariowana czarodziejska sztuczka nagle się wyjaśniła. Potem będą na siebie patrzeć z niedowierzaniem w oczach, trochę dumni, trochę zawstydzeni będą pytać, myśmy to uczynili? Przecież jesteśmy zwykłymi ludźmi...

Zrobiło się ciemno. Nie znaleźli sióstr.

Znaleźli ciała w windzie, ale siostry Śakil zniknęły i już nigdy nikt ich nie znajdzie ani w „Niszapurze”, ani nigdzie indziej na ziemi. Opuściły dom, ale dotrzymały przysięgi o odsunięciu się od ludzi; może rozpadły się w proch pod działaniem promieni słońca albo wypuściły skrzydła i odleciały na zachód do Gór Niemożliwych. Kobiety tak przerażające jak siostry Śakil nigdy, ale to nigdy nie czynią mniej, niż obiecują.

Noc. W pokoju pod dachem domu odnaleźli starszego mężczyznę, który marszczył czoło w łóżku o czterech kolumnach z owiniętymi dookoła nich drewnianymi węzami. Obudził go hałas; siedział sztywno w łóżku i mruczał: -Ja ciągle jeszcze żyję. Cały siwy, popielaty od stóp po czubek głowy, i do tego stopnia zniszczony przez chorobę, że nie sposób było orzec, kim jest; a ponieważ mogło zdawać, iż jest duchem, który wrócił z zaświatów, cofnęli się przed nim. - Jestem głodny - oświadczył, wyglądając na zdziwionego, potem przyjrzał się tanim latarkom elektrycznym, dymiącym łuczywom i zapragnął wiedzieć, co oni robią w jego mieszkaniu; następnie wszyscy się odwrócili i uciekli, wołając do policjantów, że ktoś tam jest na górze, może żywy, może martwy, w każdym razie ktoś w tym domu śmierci siedzi w łóżku i odgrywa ważniaka. Policjanci byli w drodze na górę, kiedy usłyszeli coś w rodzaju paniki, która wybuchła gdzieś na zewnątrz i pobiegli sprawdzić, co się dzieje, dmuchając w gwizdki, dając spokój starszemu mężczyźnie, który wstał z łóżka, włożył szarą jedwabną koszulę, ułożoną przez matki starannie w nogach łóżka, i napił się świeżego soku cytrynowego z dopiero co rozpuszczonymi kostkami lodu. Potem także on usłyszał krzyki.

Były to bardzo dziwne krzyki. Słyszał, jak maksymalnie przybierają na sile, a potem nagle, tajemniczo urywają się, i wtedy już wiedział, co się zbliża - coś, co potrafi w jednej chwili zmrozić krzyk, wprawić w osłupienie. Co tym razem nie nasyci się, póki do niego nie dotrze, nie da się zwieść ani nie pozwoli uciec; co weszło nocą na ulice miasta i czego nie można było zlekceważyć. Coś wchodziło po schodach; słyszał ryk tego czegoś. Stał przy łóżku i czekał na nią niczym pan młody w noc poślubną, gdy ona wspinała się, rycząc niczym ogień podsycany wiatrem. Drzwi otworzyły się gwałtownie. W mroku, wyprostowany, obserwował, jak zbliża się żar, a potem już była wewnątrz, na czworakach, naga, pokryta błotem, krwią, odchodami, z gałązkami na plecach i żukami we włosach. Ujrzała go i zadygotała; potem wspięła się na nogi i rozłożyła przednie łapy; miał tylko tyle czasu, by powiedzieć: - A więc, żono, oto w końcu jesteś - nim zmusiła go wzrokiem do patrzenia.

Zmagał się z jej hipnotyczną siłą, grawitacyjnym przyciąganiem, lecz bez skutku; powoli podnosił oczy, aż w końcu wpatrywał się w jej ogniste żółte wnętrze i dostrzegł tam, tylko przez moment, jakieś migotanie, jakiś cień wątpliwości, jak gdyby w ciągu tej krótkiej chwili bawiła się myślą, że naprawdę jest panną młodą wchodzącą do sypialni ukochanego; lecz wątpliwości szybko spłonęły w tym piecu i kiedy stał przed nią, niezdolny, by się poruszyć, wyciągnęła dłonie, dłonie żony i zamknęła je.

Jego ciało upadło - jak bezgłowy pijak - i zaraz potem Bestia wygasła w niej raz jeszcze; stała tam, mrugając idiotycznie powiekami, trzymając się niepewnie na nogach, jakby zupełnie nie wiedziała, że wszystkie wątki muszą się skończyć jednocześnie, że ogień przygasł tylko na chwilę, aby w końcu jeszcze przybrać na sile, że w dniu ostatecznego rozrachunku sędziowie też podlegają ocenie i że Bestia hańby nie może zbyt długo wytrwać w schronieniu z krwi i kości, bo ciągle rośnie, żywi się i przybiera, póki nie rozerwie powłoki.

Potem dochodzi do eksplozji, fala uderzeniowa demoluje dom, kula ognista toczy się w stronę horyzontu niczym morze i w końcu cała reszta tej chmury rozprzestrzenia się i zawisa nad nicością sceny, tak że wreszcie niczego nie mogą dostrzec tam, gdzie niczego już nie ma; cicha chmura w formie olbrzyma, w kształcie szarego, bezgłowego mężczyzny, postaci ze snu, fantomu z jedną ręką uniesioną w geście pożegnania.

Podziękowania

Książka tę napisałem przy finansowej pomocy Komitetu Sztuki Wielkiej Brytanii. Wiele zawdzięczam całkowicie niefinansowemu wsparciu mnóstwa innych osób, którym może w najlepszy sposób wyrażę wdzięczność, nie wymieniając ich nazwisk.

Nie oznaczone cytaty na stronie 149 zostały zaczerpnięte z *The Life Science (Nauki o życiu)* P B. i J. S. Medewar (Wildwood House, 1977). Wiersz zapisany kursywą na stronie 212 pochodzi z *Przygód Augiego Marcha* Saula Bellowa (Weidenfeld i Nicolson, 1954). Cytowałem też z *Księgi śmiechu i zapomnienia* Milana Kundery, przetłumaczonej przez Michaela Henry'ego Heima (Faber and Faber, 1982); Z Procesu Franza Kafki w przekładzie Muirsa (Victor Gollancz, 1935); z *Księcia*⁵⁷ Niccolò Machiavellego w przekładzie Luigiiego Ricciego, wydane go przez E. R. P. Vincent w serii klasyki światowej wydawnictwa Oxford University (1935); Koranu w przekładzie N. J. Dawooda (Penguin Classics, 1956); z dramatów *Samobójca* Mikołaja Erdmana w tłumaczeniu P Tegla (Pluto Press, 1979), *Śmierci Dantona* Georga Buchnera w wersji Howarda Brentona z Jane Fry (Methuen, 1982). Dziękuję wszystkim zainteresowanym; wielu dziennikarzom i pisarzom, tak z Zachodu, jak i ze Wschodu.

Wdzięczny jestem także Walterowi za uwolnienie; i jak zwykle Clarissie, za wszystko.

⁵⁷ Niccolò Machiavelli, *Książę*, tłum. Czesław Nanke, PIW 1994. Pozostałe cytaty w przekładzie tłumacza.

Spis treści

I. UCIECZKI Z MACIERZYSTEGO KRAJU

Rozdział pierwszy - Winda

Rozdział drugi - Girlanda z butów

Rozdział trzeci - Topnienie lodu

II. POJEDYNEK

Rozdział czwarty - Za ekranem

Rozdział piąty - Mylny cud

Rozdział szósty - Sprawy honoru

III. HAŃBA, DOBRA NOWINA I DZIEWICA

Rozdział siódmy - Rumieniec

Rozdział ósmy - Piękna i Bestia

IV. W PIĘTNASTY WIEK

Rozdział dziewiąty - Aleksander Wielki

Rozdział dziesiąty - Kobieta w woalu

Rozdział jedenasty - Monolog powieszzonego mężczyzny

Rozdział dwunasty - Równowaga

V. DZIEŃ SĄDU

Podziękowania